

TOMASZ STALIŃSKI

ROMANS ZIMOWY

INSTYTUT
PARYŻ



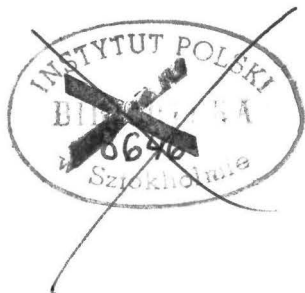
LITERACKI

1972

ROMANS ZIMOWY

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 220



IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE**

TOMASZ STALIŃSKI

ROMANS ZIMOWY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1972

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Widziane z góry, 1967 (wyczerpane)

Cienie w pieczarze, 1971

I

Noc za oknami uciekała do tyłu, z rzadka rozjaśniana bladym światłem lamp stacyjnych czy sygnałowych. Szyby, zasnuwane grubą mgłą, sadzą i dymem nie pozwalają nic dojrzeć na zewnątrz, tylko niewiadoma czarność pędzi w kierunku przeciwnym do biegu pociągu. Na chwilę okna rozświetlają się ogromną łuną blasku — to pewno właśnie Niedźwiedów. Przemknęły wyobrażone raczej niż widziane zarysy olbrzymiego kotła, cielsko elektrowni, odlewnia, sześciany rozjarzonych hal montażowych, w głębi stare budynki biurowe, magazyny i bocznicę kolejową. Ukazany na sekundę Niedźwiedów pozostał w dali, w burym mroku. Po kilkudziesięciu sekundach pociąg zacznie zwalniać, maszynista hamuje rozważnie i stopniowo na dużym, kilkunastokilometrowym odcinku. Katowicki ekspres nie zatrzymuje się przy Zachodniej, jeśli więc złapie w ciemności swój, wyłaniający mu się naprzeciwko zielony sygnał, to w dziesięć, dwanaście minut powinni toczyć się już po peronie Dworca Centralnego. Za oknami wzrasta żółciejąca łuna wielu zlewających się świateł, migają słupy wysokiego napięcia. Tak, to już Wielka Warszawa.

Osiński, stojący od dłuższej chwili na korytarzu, przytknął czoło do zimnej szyby wagonu. Chętnie by nawet otworzył okno, ale boi się wiatru i dymu. Gnębi go poalkoholowa depresja. Nie „kac” broń Boże, ten zjawia się na drugi dzień, lecz właśnie depresja, zniechęcające osłabienie, które przychodzi, gdy się za wcześnie otrzeźwieje. Bo przecież ową utrapioną wódcę pił jeszcze parę godzin temu, w Katowicach, ba, nawet w pociągu „utrwalił” się z rozsądku butelką pełnego piwa, obnoszonego po korytarzach przez limfatycznego kelnera. A jednak kryzys nadzedł i to akurat w momencie przyjazdu.

Zalewali się z kooperantami właściwie przez całe trzy dni

z rządu: w Bielsku po odwiedzeniu „Mechany”, potem w Zagłębiu w powiązanej z Niedźwiedzowem hucie „Globus”, wreszcie z dyrekcją Zjednoczenia w Katowicach. Tak to jest na Śląsku, zwłaszcza w początkach grudnia, tuż przed Barbórką, kiedy wszyscy mają tam w głowie właśnie nic innego, tylko picie. Wolno im, Barbórkę bardzo się ceni i poleca, władze centralne skaczą dziś koło górników. Wiadomo, węgiel, jedyny w końcu pewny i stale dostępny artykuł na eksport, tyle, że oddaje się go za liche grosze a raczej centy. Osiński widzi, jak głupio zrobił, wyjeżdżając akurat teraz — to Staszek Buchała go wypchnął, nie może się doczekać tych swoich maszyn do obróbki. Dawno już je sobie gdzieś tam wkalkulował, a tu one jeszcze w lesie i nie wiadomo w ogóle czy i kiedy będą. Waligóra też mądry, zrobił w „Mechanie” awanturę, zagroził im sekretarzem wojewódzkim czy nawet Biurem Politycznym, po czym się zmył a wysłał samego Adama. Skutek wiadomy, nic się nie dało zrobić, Adam wygłupił się przyjeżdżając przed Barbórką, łaska Boża w ogóle, że chcieli z nim gadać. Choć, prawdę mówiąc to gadania było niewiele, za to dużo picia, gadanie stanowiło tylko wstęp i pretekst do wódki. W dodatku obie noce spędzone w nowym katowickim hotelu okazały się okropne. Upał w pokoju jak w kotłowni a okna zaryglowane na mur — aż się skaleczył w rękę, próbując otworzyć — i nic. Pod ciężką niczym blacha kołdrą męczył się bezsenność w maleńkim jak trumna pokoiku, parując alkoholem, zduszony w dodatku od wewnątrz jakąś super tłustą śląską golonką. Radio, nie wiedzieć dlaczego, nastawione było wyłącznie na obrzydliwie mdłą niemiecką muzykę rozrywkową, w nocy kilkakrotnie dobudziła go do reszty pomyłka telefoniczna. Wstawał ciężki, teraz dopiero śpiący, z zawrotem głowy i, opiwszy się mocnej kawy, spieszył do dalszych jałowych rozmów. Beznadziejność sytuacji powiększał z punktu faktu, że gospodarze najwyraźniej nie mogli się doczekać pory obiadowej, czyli terminu rozpoczęcia picia, do którego to proceduru gościnnie wciągali „pana kierownika” z Warszawy, jak tytułowano Osińskiego. — Nie odmówicie nam przecież, inżynierze. Niby jak miał odmówić, zważywszy jeszcze nikłą nadzieję, że może przy wódce uda się jednak coś załatwić. Płonna to była nadzieja: przy wódce mówiono tylko, jak to na Śląsku, o piłce nożnej, o świniobiciu, o Barbórcy, w najlepszym wypadku o mieszkaniach i o służbowych awansach. Osiński siedział skwaszony: porzućcie wszelką nadzieję.

Najgorsze było picie dzisiejsze, w samych Katowicach. Najgorsze, bo krótkie, zagęszczone: Adam spieszył się właśnie na pociąg, mimo usilnej namowy, żeby pojechał nocą. Nie chciał,

rano pędził przecież do Niedźwiedowa, nie było sensu przyjeżdżać do Warszawy i znów wyjeżdżać, a nocny ekspres w Niedźwiedowie nie staje. Pili więc szybko w jakiejś niby nowoczesnej, otwartej na przestrzał szklanej klatce. Osiński nie lubił zmodernizowanego centrum Katowic, gdzie wielopiętrowce stały kilku szeregami, jak uczniowie w ławkach, wołał przedwojenne ceglane, ponure w swej monotonii, nieskończenie długie ulice Zabrze, Gliwic czy Bytomia. Choć na zewnątrz smutne, dobrze się tam jednak piło w przytulnych, ciepłych mieszkaniach. Tymczasem tu siedzieli w tłumie, obserwując podobny tłum za szybą. Niby wielkomiejski ruch, ale w gruncie rzeczy całe Katowice były dziś jednym kłębem topniejącego śniegu, błota, sadzy, brudnego mglistego mroku, przebijanego tu i ówdzie światłem sygnarów i neonów. Zresztą cała Polska tak dziś wygląda — skutek przedwczesnej a kapryśnej zimy.

O tej właśnie ziemi rozmawiali teraz wszyscy w pociągu. Polacy nie cenią sobie milczenia, jak tylko zejdą się w przedziale, muszą zacząć namiętą rozmowę. Najchętniej zresztą o byle czym: o pogodzie, o rozkładzie jazdy, o ostatnich wczasach. Wydaje się, że takim nieustannym gadaniem utwierdzają się wzajemnie w czymś, tylko nie wiadomo w czym, bo wszelkie istotniejsze tematy są z rozmów milczącą umową wykluczone. Osiński bolał bardzo nad tym obyczajem, sześćioletni niemal pobyt w Oflagu nauczył go milczenia. Toteż z trwogą, wsiadłszy do pociągu, patrzył po twarzach, badając, co go czeka. Oczywiście wcale się nie zawiódł: gadali jak najęci, a on tym razem z nimi, bo był „na rauszu”, podniecił się. To mu ułatwiło podróż, jeździł zresztą, choć służbowo, drugą klasą, a nadwyżkę za pierwszą i za miejscówkę chował do kieszeni — tak robili wszyscy. Pogadał więc sobie, droga „na bani”, popędzona jeszcze piwem, zbiegła szybko, tyle, że nie wyzyskał czasu, nie przejrzał notatek, nie naszkicował sprawozdania. I oto teraz ów kryzys: niesmak i zniechęcenie. Szczęście, choć i nieszczęście, że mieszka tak blisko: w najnowszej dzielnicy, niedaleko Dworca Głównego, a tuż koło przystanku „Ochota” nad wykopem kolejowym. Dzielnica to jeszcze nieskończona, dziwaczna kombinacja szkła, jarzeniowych świateł, cementu, metalu, oraz gruzów, wertepów, starych ceglanych ruder i mokrej ciemności, czającej się za najbliższym rogiem. Ale za to niedaleko stąd do przystanku kolei elektrycznej, do owej stacji „Ochota”, tam, pod mostem na dole. W niecałe dwadzieścia minut jest się już w Niedźwiedowie i to bez przesadnego tłoku, bo rano jeżdżono raczej do Warszawy niż z Warszawy.

Maszyna do obróbki uchwytów szcęk hamulcowych w tra-

ktorach, a także wiertło oraz nóż do dziurkowania i krajania aluminium — oto czego Osiński nie załatwił na Śląsku. Obrabiarka do owych uchwytów, zaopatrzona w optyczne sterowanie, była już raz u nich na zakładzie, „Mechana” ją przysłała. Zamocowano maszynę z dużym trudem, kramu z tym mieli, a kramu, po czym okazało się, że mechanizm działa nieprecyzyjnie, że wykazuje usterki nie do poprawienia na miejscu. „Mechana” wzięła rzecz z powrotem, obiecali poprawić, tymczasem pół roku mija i nic, ani prośby ani groźby nie skutkują, bo ci z Bielska wciąż mówią, że sprawa jest „w trakcie studiów”. Sami się przecież ofiarowali, ręczna obróbka uchwytu trwa sześć godzin, ich konstruktor zaręczył, że maszyna będzie to robić w trzy minuty. Różnica ogromna. Rzecz sprawdzono przez dziesięć instancji, maczał w tym palce i resort i NOT i Państwowy Komitet Normalizacyjny i Instytut Mechanizacji Rolnictwa i wszyscy Święci Pańscy, wreszcie sprawę zatwierdzono, wciągnięto do planu, zaklepano. Płynęła stąd dla fabryki jeszcze jedna korzyść. Oto wciąż borykano się z brakiem kadr, a przy obrabiarkach można zatrudnić kobiety, dla których ręczna obróbka jest zbyt ciężka. Wszystko więc się zgadzało, tymczasem nagle katastrofa, bo maszyny nie ma i nie wiedzieć kiedy będzie. „W trakcie studiów” — wściec się można. Wściekał się więc Staś Buchała, a ustosunkowany partyjnie dyrektor techniczny Niedźwiedowa, młody geniusz konstrukcji Waligóra, zachował się po swojemu: najpierw dzika awantura, potem uszy po sobie i w krzaki. Zrób mu dziecko na plecach, jak mawiał Staś. No i teraz przyszłoroczny plan ciągników oraz traktorów leży, nowe normy i wskaźniki dawno zatwierdzone, obliczenia zrobione, cyfry produkcji ustalone, tymczasem maszyn nie ma, czasu brak, kobiet zaangażować nie można. Nic w ogóle Osińskiemu w tym Bielsku nie obiecali, tyle, że oblali rzecz wódką. I nawet rugać ich za bardzo niesposób, bo robią przecież dla Niedźwiedowa niektóre precyzyjne części silników, któż by inaczej je robił? Po prostu nieszczęście!

Inna znów historia z wiertłami i nożami do aluminium. Łączy się ona ze sławnym wynalazkiem starego nudziarza, inżyniera Walichowskiego. Sprawa tego wynalazku, małego, elektrycznego, lecz ręcznie kierowanego pługa o kilku ruchomych obrotowych ostrzach lemieszowych, automatycznie odwracającego skiby, to istny wąż morski fabryki w Niedźwiedowie, wąż wlokący się za zakładem od szeregu lat. Wiadomo czym jest w produkcji wynalazca — nieszczęściem. Pęta się taki i wszystkim przeszkadza, domagając się wprowadzenia swych pomysłów w życie zakładu, na co ludzie nie mają chęci ani czasu. Plany

i normy są przecież ustalone, nikt nie chce ryzykować pieniędzy ani darmowej pracy, nikt nie pali się do niepewnego interesu, w dodatku, jeśli wynalazek się przyjmie, to normy skoczą w górę, zmieni się akord, oddali premia. A normy w Niedźwiedowie są niskie, taka już polityka dyrektora Maciejewskiego. Wykwalifikowany robotnik, żeby osiągnąć swoje cztery tysiące złotych, musi wyrobić sto sześćdziesiąt procent miesięcznej normy. Ośrodek normowania żądał kiedyś zmiany: cóż to za norma, którą można przekroczyć o przeszło połowę? Ale dyrektor naczelny Maciejewski, bardzo bojowy, bo się boi (to też dowcip Stasia) nie zgadza się. — Wolę, żeby mnie skrytykowali za zbyt liberalne normy niż za przewalenie planu — zwierza się, niby konfidencko, kierownikom wydziałów. W gruncie rzeczy stary cwaniak wie dobrze, że poniżej trzech i pół tysiący miesięcznie żaden wykwalifikowany robotnik, mający pierwszą grupę, w Niedźwiedowie nie zostanie. Pójdą do Warszawy do budownictwa, gdzie ich przyjmą z pocałowaniem ręki. Stoi więc wszystko po staremu, i dobrze, tymczasem zwariowany wynalazca chce to wszystko wyrzucić, do tego ileż by z nim mieli papierkowej roboty w finansowym, w inwestycyjnym, w planowaniu. A kysz!

Ale z inżynierem Walichowskim to nie taka prosta sprawa. Stary wyga z drewnianą nogą inżynierował tu jeszcze przed wojną, kiedy fabryka była prywatna. W czasie okupacji pomagał podobno komunistom, pracował tu wtedy jako majster jeden taki, co doszedł dziś do samego najwyższego Biura. I oto inżynier Walichowski ma pierś wyorderowaną niczym radziecki marszałek, z baretkami orderów kuśtyka po fabryce na swej drewnianej nodze, a że jest już na emeryturze, więc całe dnie myśkuje i kombinuje, co by tu nowego wyczynić. I oto właśnie — pług. Utrapiiony starzec nie tylko dał pomysł, zrobił rysunki, ale także wykradł czy wyprosił, wyżebrał zgoła potrzebne części i sam, własnoręcznie, choć inwalida i połamaniec, sporządził prototyp. To już przecież, jak mawiał Staś, mucha nie siada.

Oczywiście, nikomu ani było w głowie tym się zająć, Walichowski jednak, jak się rzekło, to twarda sztuka. Opatentował wynalazek — istny cud, wszakże w Urzędzie Patentowym czeka się nieraz całe lata — i potem już jał nękać dyrekcję nieustannym ogniem, to strasząc Partią i swoimi zasługami, to znowu roztaczając miraż zwiłokrotnionej wydajności, unowocześnionej techniki, fantastycznej produkcji na eksport. Poruszył prasę, radio, Radę Państwa, pisał listy, artykuły, anonimy, ale decydująco pomogły mu dopiero dwie sprawy: reforma obliczania planów i norm w przemyśle maszynowym oraz objęcie stanowiska dyrektora technicznego przez inżyniera Roberta Waligórę.

Długi czas produkcję Niedźwiedowa, jak i wielu innych fabryk tej branży, obliczano w kilogramach czyli tonach. Najpierw w kilogramach i tonach przerobionego surowca, potem w wadze netto wyprodukowanych maszyn i pojazdów. Tak trwało i było dobrze, aż ktoś tam w resorcie czy instytucie, bo Zjednoczenia jeszcze na szczęście nie było, wpadł na pomysł, że w ten sposób preferuje się w produkcji żelazo i stal, a nowoczesność to przecież lekkie metale, przede wszystkim aluminium. Więc, jakoby z powodu błędnych wskaźników planu, Niedźwiedów robi się zacofany, pora wprowadzić normy inne, technicznie uzasadnione. Tak wywoził ktoś w resorcie, potem rzecz podchwycili jacyś partyjni dziennikarze i zaczęli rozrabiać w prasie, stale biorąc sobie niedźwiedowskiego kolosa za przykład. Dyletanckie to było, bo nawet człowiek obeznany w technice pojęcia nie ma o skomplikowanych manipulacjach przeliczeniowych przy układaniu planu, mógłby coś o tym powiedzieć tylko Michaś Chruszcz, kierownik inwestycji i planistyki. Tu przecież nie kapitalizm, tu socjalizm, ceny i wartości nie biorą się mechanicznie z rynku, ale z kombinacji wielu wskaźników i norm interwencyjnych. W dodatku trudno, ale Niedźwiedów, jako przede wszystkim producent ciągników pozostawał nadal wiernym klientem zagłębiowskiej huty „Globus”, kiedyś pewien czas zwanej hutą „Marchlewski”. Pozostawał, bo rządziło tu dalej żelazo, najwyżej wysokojakościowa stal. Nie tylko traktory były przecież z ciężkiego metalu, ale także wielkie pługi śnieżne oraz te do podorywek i łukowe, poza tym kopaczki, projektowane kieraty i w ogóle cała reszta. Prawda, robili też lekkie siewniki, było to oczko w głowie fabrycznego handlowca Stasia Buchały, który chciał coś dawać na rynek dla indywidualnych chłopów, nie tylko giganty dla PGR-ów, Kółek Rolniczych czy POM-ów. Ale te siewniki jakoś nie szły: może nie wiedziiano, gdzie je kupować, może indywidualni gospodarze mieli z kupnem trudności, a może w ogóle chłopci woleli jeszcze siać jak Bóg przykazał — z płachty. Tak czy owak plan, choć nieco zmodyfikowany, opierał się dalej na tonach, lekka produkcja nie ważyła w nim wiele, zresztą zarówno samorząd robotniczy jak i Karaś, pierwszy sekretarz Komitetu Zakładowego, byli przeciw niej — wiadomo, z żelazem zarobek pewny, a tu licho wie co będzie. Przyklasnął im dyrektor Maciejewski, ten to z zasady żadnych zmian nie lubił.

I wszystko byłoby po staremu, gdyby emerytowany inżynier Walichowski nie wyskoczył ze swoim elektrycznym pługiem, czyli w konsekwencji z projektem zmiany planu surowcowego a więc i w ogóle produkcyjnego przez zwrot ku metalom lekkim. Oczywiście, decydująco zaciążyłoby to na profilu fabryki tylko

w wypadku produkcji masowej, bo krótkie serie z długim przygotowaniem technicznym nikogo tu nie urzędały. Na taką zaś masową produkcję trudno było liczyć: wynalazek jest selektywny, elitarny, może znaleźć zastosowanie tylko w nowoczesnych, całkowicie zelektryfikowanych gospodarstwach. Tu jednak wtrącił się Staś Buchała ze swoim eksportem — przekabacił go widać ten obleśny chytrzec bez nogi. Staś widział już wielką serię zamówień dla NRD, głównego zresztą zagranicznego odbiorcy Niedźwiedowa, jeśli chodziło o bardziej precyzyjne maszyny (ciągniki szły raczej na Zachód). Odbiorca ten pozostawał dotąd mało wyzyskany, choć fabryka miała bezpośrednie prawa eksportu. No i premia eksportowa była nie wyzyskana — tym argumentem nadłamano z punktu opór konserwatywnej Rady Robotniczej, która nic nie znaczyła, ale na odraczające „veto” zawsze zdobyć się mogła. Decydującą jednak pomoc okazał sprawie pług nowy dyrektor techniczny, Robert Waligóra. Mówiono potem, że zmalowali całą rzecz dwaj panowie „W”: Walichowski i Waligóra, jeden stary, drugi młody.

Bo Waligóra jak nastał miał zaledwie trzydzieści dwa lata. Poprzedziła go fama i sława. Był działaczem Związku Młodzieży Socjalistycznej, znanym mówcą, a do tego podobno od dziecka znakomitym konstruktorem, jakiś jego studencki jeszcze pomysł przyjęty stocznie i okazało się to rewelacją. W Niedźwiedowie wystartował oryginalnie, bo urządził sobie gabinet nie w starych budynkach biurowych, gdzie urzędowali wszyscy, lecz za przepierzeniem w samej niemalże wielkiej hali montażowej. Siedział tam osobno, daleko, w huku i łoscocie, odizolowany od kolegów z innych działów, za to robotnicy wraz ze swym niemądrym reprezentantem Bieńkiem mieli do niego dostęp każdej chwili — taki to był z niego demokrat. Adam od razu po pierwszych rozmowach zorientował się, że to komediant i narwaniec. Wysoki, bardzo jasny blondyn, stale, zimą i latem opalony na oliwkowo, miał donośny metaliczny głos, którym wyczyniał przeróżne efektowne brewerie. Przy byle okazji krzyczał bardzo zasadniczo i światopoglądowo, powołując się na socjalizm, partię i dyktaturę proletariatu, ale gdy tylko trafiło się coś naprawdę trudnego, kładł uszy po sobie, milkł, oczy miał wtedy jakby nie widzące. Tak właśnie się stało z ową maszyną do uchwytyłów szczęk hamulcowych w „Mechanie”. Poza tym zresztą efektowne, zewnętrzne właściwości oraz popularność nowego dyrektora technicznego przydawały się w Niedźwiedowie. Zakład był reprezentacyjny, głośny w świecie socjalistycznym, ciągle snuły się po nim jakieś delegacje, dziennikarze, telewizja, film, przyjeżdżali zagraniczni turyści, odbywały się otwarte zebrania partyjne.

Istny nieustający miting. Dawniej we wszystkich tych okolicznościach przydywał i robił honory zastępca Naczelnego, dyrektor Wilner, od czasu jednak akcji antysyjonistycznej przestano go pokazywać publicznie. Znalazł się za to Waligóra, do tego, jak sądzono, wręcz idealny — gorzej było z robotą.

Raz jednak „zadziałał” nader skutecznie, właśnie z owym pługiem. Stary Walichowski szybko, swymi ni to płacziwie ni to bezczelnie zmrużonymi oczyma wypatrzył sobie nowego Technicznego i stał się, choć przecież renciści nie mieli tu w zasadzie wstępu, codziennym gościem za owym przepierzeniem przy hali montażowej. O czym rozmawiano, trudno wiedzieć, zresztą huk montażowni głuszył wszystko — może dlatego się właśnie Waligóra tam zainstalował. Tak czy owak młody dyrektor szybko pojął szansę, jaką mu daje wynalazek Walichowskiego: ledwo oto nastał na technicznego, już przeprofilowuje produkcję, wdraża nowoczesną technikę, podwyższa wydajność bez zwiększenia zatrudnienia. Wszystko jak znalazł, bardzo modne i na czasie. Piękny Robert pchnął do prasy wywiad jeden i drugi, na własną rękę, choć nie miał do tego prawa, po czym jął przełamywać opory, najpierw strachliwego Naczelnego i leniwego Gościńskiego z finansów, potem tępego Karasia, Pierwszego Sekretarza, który podobno też pracował w fabryce jeszcze podczas okupacji, gdy robiono tu części do niemieckich czołgów. No i udało się — Waligórze wszystko się z początku udawało. Rozstrzygającą rolę odegrał także Staś Buchała, bo zagwarantował tę swoją długą eksportową serię dla NRD, gdzie mieli stałe kłopoty z brakiem siły roboczej w rolnictwie. Wciągnięto rzecz do planu, wyznaczono miejsce, ludzi, poszły pisma w różne strony, „Mechana” obiecała wiertła i noże, a tu nagle cios, i to jaki. Bielszczanie odwołali zamówienie. — Nie mogą zrobić, tłumaczyli, bo dostali za miękka stal — z Ameryki Południowej. Był to import polityczny, w ramach pomocy dla krajów Trzeciego Świata, walczących o wolność i suwerenność z imperialistycznym molochem monopolistycznego kapitału USA. Staś Buchała dostawał szału, słysząc o takich historiach, nie ulegało jednak chyba wątpliwości, że stal naprawdę okazała się za miękka, a innej już „Mechana” w tym roku nie dostanie. Przydział stali takiego czy innego pochodzenia to rzecz ważna: Niedźwiedów na przykład bierze stal z „Globusa”, który pracuje na radzieckiej rudzie z Krzywego Rogu, pomija zaś pętaćką, na złomie pracującą hutę warszawską, choć byłoby i bliżej i taniej i wygodniej, przy tym niby wytapiano tam stal szlachetną. Więc „Mechana” odpada a gdzie indziej zamówienia upchnąć się już nie da, w zjednoczeniu wcale tego nie ukrywali. Wbij zęby w ścianę! A na

kogo pójdzie cała wina? Oczywiście na kierownika działu zaopatrzenia i kooperacji, Adama Osińskiego. Że nie przewidział, nie sprawdził, nie zawiadomił... Jakby z tymi niefrasobliwcami i nietykalnymi głupkami ze Śląska można było cokolwiek przewidzieć. Choć Waligóra przewidział, dlatego właśnie nie pojechał. Umyslnie zrobił awanturę, żeby móc się obrazić, nie pojechać, żeby wszystko poszło na szefa zaopatrzenia. Spryciarzyk i ostrożniak, choć niby taki gwałtowny.

Szef zaopatrzenia! Osiński z goryczą wspominał, jak ciężko dobijał się przed wojną stopnia inżyniera — po to, aby teraz po niezapomnianych wrocławskich latach znowu urzędzić i jeździć na delegację, użerając się z idiotami. Ukończenie przed wojną warszawskiej politechniki to przecież nie byle co, zwłaszcza gdy miało się rodzinę w Łodzi i mieszkało w stolicy kątem. Przedwojenny życiorys Osińskiego był prosty, aż za prosty. Adam Osiński, urodzony w 1915 w Łodzi, matura w Łodzi, po czym studia na wydziale budowy maszyn Politechniki Warszawskiej. W roku 1938 dostał wreszcie tytuł inżyniera, nawalczył się o niego mozolnie (po co?!). Po studiach podchorążówka łączności w Zegrzu, stamtąd prosto na front i — sześć lat Oflagu (po co?). Pójście do niewoli pamiętał doskonale, bo odbyło się to bardzo głupio. Po bitwie pod Kutnem prowadzono ich, kilkuset chyba oficerów i podchorążych wyboistymi, wiejskimi drogami. Słońce prażyło jakby nie we wrześniu, niebo bez chmurki, majolikowy jasny błękit, spokojny, bo front poszedł na Wschód, samoloty z nim. Tych kilkuset zgnębionych Polaków prowadzone było przez kilkunastu Niemców z karabinami. Podobno jakieś tam prawo honoru nie pozwalało uciekać. Osiński i drugi, starszy, dziś znany architekt wlekli się na końcu kolumny, ostatni Niemiec obok nich, minę miał tępo pocziwą. Pić, pić, a tu niedaleko coś jakby przysiółek. Pytają Niemca, czy można pójść napić się mleka, on z robioną sztywnością mówi że można, ale żeby dołączyć „sotof”. Mleka się nie napili, bo nikogo tam nie było, tylko wody ze studziennego wiadra. A tu kolumna już daleko, ginie w tumanie kurzu. — Wiejemy? — pyta Adam, wygodnie sobie siedząc na krawędzi studni. — Nie — mówi architekt — nie ma sensu, przecież wcale nie pilnują, czyli że na pewno wszystkich puszcza, a tak będziemy nielegalni, bez papierów! Więc dołączyli biegiem do kolumny, niemiłosiernie maltretując porządnie już zdarte nogi. Niemiec nawet na nich nie spojrzał. Skutek? Sześć lat Oflagu w Murnau, tam nadgryzła Adama nuda, tam nauczył się milczeć, oraz nie lubić zewnętrznego świata. To mu chyba zostało, czuł teraz nawiązanie do tamtych czasów, gdy przytykając czoło do zimnej szyby hamującego

pociągu zrywał się na myśl, że trzeba się za chwilę zanurzyć w bury, mglisty mrok, w wilgotne, dotkliwe zimno świata. Zresztą to depresja poalkoholowa — nic innego.

Bury mrok oddzielał go również od dnia jutrzejszego, a ten nie prezentował się komfortowo. Chodzi oczywiście o komfort duchowy, którego na pewno nie będzie śladu. Najpierw, rzecz prosta, bardzo długo nie uda mu się dostać do dyrektora Maciejewskiego, postara się już o to sekretarka, starzejąca się utleniona blondyna z wymalowanymi na fioletowo powiekami, w spódniczce tak krótkiej, że chcąc nie chcąc widzi się cały jej szkielet. Idiotka najpierw będzie się wdzięczyć, potem zrobi się wyniosła i impertynencka, uda ważną, zaś wszystko po to, żeby chronić starego durnia do południa, bo on rano śpi przy biurku i nic nie rozumie. Gdy wreszcie Osiński dobrze do dyrektora, ten przyjmie go dobrodusznie, wysłucha uważnie, po czym z dużą precyzją starać się będzie nic określonego nie powiedzieć i wreszcie odeśle petenta do Waligóry. U Waligóry znów, dokąd zresztą wlec się trzeba z pół kilometra, w nieskończoność wysiadują przedstawiciele załogi, no i lepiej nie myśleć już o starym Wali-chowskim — może Bóg sprawi, że go jutro nie będzie. Dyrektor techniczny urzęduje z zasady przy otwartych drzwiach i bez sekretarki, zacznie zachęcać Adama żeby mówił przy wszystkich, certylenie się i czekanie znów potrwa z godzinę, tam tylko robotnicy nie czekają. Gdy wreszcie uda się zostać sam na sam i zmusić „pięknego Roberta” do przymknięcia drzwi, co przyciszy nieznośny hałas dolatujący z montażowni, dopiero wtedy rozpocznie się komedia! Waligóra odegra najpierw znakomicie scenę zaskoczenia i zdziwienia, potem wpadnie w potęgujące się crescendo gniewu, które doprowadzi do najwyższych partyjnych grzmotów i piorunów, wreszcie zamilknie i wpatrzy się niewidzącymi oczyma w ścianę za plecami Osińskiego. Po długim milczeniu poradzi mu całkiem już innym tonem, aby skontaktował się z towarzyszem Chruszczem i wysondował, jaki jest w tej sprawie pogląd działu planowania. Jasne że tak się musi skończyć, przedtem jednak, dla formy konieczne są owe dwie pozbawione treści rozmowy, ze starym bałwanem przed emeryturą i młodym cwaniakiem na dorobku.

Michał Chruszcz, ten uratuje wszystko! Już sam jego wygląd i sposób bycia uspokajają: miły, pogodny brydzyista, uśmiechnięty ale w duszy mocny i równy. Wcale się nie zdziwi, jakby tego właśnie a nie czego innego oczekiwał i od razu weźmie się do przerabiania planu. Późno już wprawdzie, ale i tak idą przeciw poślizgi z kończącego się roku. W ogóle zaś Chruszcz wie, że na papierze zawsze da się zrobić wszystko, Chruszcz to wirtuoz

i czarodziej planowania. Istnieje przecież mnóstwo przeróżnych wskaźników, nie porzucono dotąd całkiem obliczania produkcji w tonach, ceny zaopatrzeniowe są w trakcie zmiany, do tego zonglować można normą i wydajnością w zależności od płynnej ciągłej fluktuacji kadr. A jest jeszcze w rezerwie plan przerobu, odpisy amortyzacyjne i na fundusz rozwoju przedsiębiorstwa, odsetki na fundusz nagród i premii, i także przecież plan perspektywiczny modernizacji zakładu. W tym się nikt nie po-łapie, Chruszcz załatwi wszystko, że „mucha nie siada”. Przygotuje taki plan, aby żadne czynniki na górze ani na dole nie mogły się przyczepić, kontrola też go nie ugryzie. Tak, Chruszcz zna swoje rzemiosło, jak nikt w tej fabryce!

Oczywiście, z pługiem elektrycznym pójdzie mu łatwiej, zwłaszcza, że od początku nikt prawie nie miał do tego przekonania. Gorzej będzie z traktorami, sprawa wręcz zasadnicza. Szczęśli hamulcowe to od dawna punkt krytyczny, modeluje się je za wolno i nie precyzyjnie, są niepewne. Tego się nie da ukryć i zagadać, sprawa kiedyś musi wyskoczyć, rozumie to Osiński, rozumie i Chruszcz. W dodatku Chruszcz wie, że Osiński też wie i że zna również zdanie jego, Chruszcza. W tej kwestii, pojmują to obaj, trzeba coś począć, pójść do resortu, do Mechanizacji Rolnictwa, do NOT-tu, może znajdą jaki sposób, może gdzieś zamówienie upchną. Ale pójść teraz, na początku grudnia? Osiński wiedział, że Warszawa zaczyna obecnie półtora-miesięczne świętowanie, od Mikołaja do Trzech Króli, przedtem zakupy, potem kac. Miasto tonie w ciężkim grudniowym zmierzchu, w błocie i śniegu. Ulice nie do przejścia, woda, ślizgawica, chodniki zastawione kopcami brudnego lodu, ruch na jezdniach nerwowy, dziwny, a o trzeciej robi się ciemno. W biurach i na halach maszyn absencja, ludzie, piją w pokojach, w stołówce, w domu kultury, w hotelu robotniczym, nic im nie zrobisz — święta. Wieczorami ulice opustoszeją, za to w domach pijani, naźarci warszawiacy parują przy telewizorach. Parować tak będą do połowy stycznia, bo przecież Mikołajki, rybki, opłatki, wigilie, Święta, Sylwester z zakładowymi balami, życzenia noworoczne, telewizja, no i kac, kac, kac ponad wszystko! Jakże tu załatwić uchwyty do hamulców w tej grudniowej, warszawskiej rozświetlonej ciemności, toć jakby nieustająca Barbórka na Śląsku, taka z wódą, krupnikiem, golonką, świniobiciem! Wie o tym dobrze pogodny i mądry Chruszcz, tylko brwi podniesie i zaraz się obaj porozumieją bez słów: trzeba czekać.

Taka więc będzie esencja jutrzejszego dnia w Niedźwiedowie. Acha, znajdzie się jeszcze odprężenie, czyli na pół gniewna na pół żartobliwa przemowa Stasia Buchały. Dowie się on

o wszystkim w jakiś sobie wiadomy sposób i oto idzie już po-
spiesznym krokiem do gabinetu Adama, siwawy o poczciwych
niebieskich oczach. Od razu od drzwi zaczyna polityczną a raczej
zgoła nie polityczną gadkę swym kogucim, nieco ironicznym
dyszkantem. „Panie, co oni z byka spadli, zwariowali do reszty,
oślepli! Przecież ten ustrój skompromitował się już w Rosji
kilkadziesiąt lat temu, teraz dalej się nie weryfikuje, a oni swoje
i swoje. Jak to się wszystko trzyma, jak absurd może trwać?!
Na Zachodzie postęp techniczny robi się przez ryzyko przedsię-
biorcy, pieniężne ryzyko jednostek czy spółek. Tam facet odpo-
wiada kieszeni, więc ze skóry wyłazi, żeby nie stracić ale zaro-
bić. Ryzyko zaś jest tylko jego, jak splajtuje to też jego, pań-
stwu korona z głowy nie spadnie. A tu?! O produkcji decyduje
kupa facetów z różnych urzędów, każdy ma inne interesy, do
tego siedzą na karku dyletanci z partii i ciągle groźba kontroli.
Każdy się tu panu wtrąci, dyrekcja, województwo, komitet par-
tyjny taki, komitet partyjny siaki, resort, NOT, PAN, NIK, parę
innych ministerstw, a wszyscy gównu mogą i gównu wiedzą,
ceny i normy wzięte z powietrza, bezsens, bezsens absolutny!
Panie, kto tu co zaryzykuje — każdy się trzęsie, żeby na niego
nie padło, nikt nie jest zainteresowany w zmianach, bo nikt nie
zarobi na nich żadnej forsy, najwyżej może stracić i w łeb
dostać. A odcięcie od dewiz i importu — kto to właściwie
o tych dewizach decyduje?! Absurd panie, bzdura, nonsens!”

Staś Buchała jest już po sześćdziesiątce, pochodzi ze Skocz-
wa na Śląsku Cieszyńskim. Przed wojną studiował za granicą,
potem odbył Kampanię Wrześniową, wylądował w Anglii, u
Maczka, jako rotmistrz pancerny przejechał Belgię, Holandię,
Niemcy. Po wojnie zaraz wrócił i został dyrektorem dużej huty
na Górnym Śląsku. Ale niedługo zasnął tego dyrektorstwa. Na
Śląsku panował wtedy straszny bałagan, narodowościowy, poli-
tyczny, gospodarczy, jaki kto chciał. Niemcy wciągnęli tu więk-
szość ludzi na swoją volkslistę, a znowu przed wojną Partia
Komunistyczna lata całe głosiła niemieckość Śląska. Jakże pro-
wadzić tutaj teraz politykę polską, zwłaszcza gdy większość dzia-
łaczy patriotycznych to byli dawni narodowcy, katolicy, chadecy
spod znaku Korfantego? W dodatku wszystko się miesza, istna
wieża Babel, do starego antagonizmu między Ślązakami i Zagłę-
biakami dochodzi awersja wobec masowo tu teraz nadciągających
Lwowian. Górnicy burzą się przeciw zakłócaniu śląskiej tradycji
i śląskiego ducha, o wszystko jest awantura, nawet o Barbórkę,
boć to przecież święta Barbara. Ówczesny wojewoda, późniejszy
wielki dostojnik, choć komunista zakuty, orientował się o co
chodzi, nie na darmo sam pochodził z „gołębiarskiej” rodziny

na Ksawerach koło Dąbrowy Górniczej. Robił co mógł i w końcu dawał sobie radę, choć on także miał przecież na karku Rosjan. Opowiadano na Śląsku jak to do wojewody przyszła delegacja górników w sprawie... złotych szwajcarskich zegarków. Szło o to, że przed wojną każdy górnik co pracował w kopalni 50 lat dostawał taki zegarek. Hitlerowcy uszanowali tę tradycję, Polska Ludowa miałyby jej nie szanować? Więc komunistyczny wojewoda wypruł z siebie flaki i w ramach alianckich odszkodowań jakoś te zegarki sprowadził, nie bacząc, że starzy górnicy o których szło, większość swego życia przepracowali za Niemca, bo przed i w czasie Pierwszej Wojny, a potem w czasie Drugiej.

Tak, wojewoda dawał sobie radę, ale dla szczerego Stasia Buchały wszystko to okazało się za trudne: po dwóch latach siedział już w kryminale, oskarżony o sabotaż, dywersję, szpiegostwo, spisek i ukrywane burżuazyjne pochodzenie. Długo siedział, po latach dopiero wyszedł zrehabilitowany i poszedł pracować do Niedźwiedowa, ale już nie w produkcji tylko w handlowym. Pyskował jak najęty ale pracował dobrze, postawił dział, zwłaszcza zagraniczny, chociaż pozwalali mu wyjeżdżać tylko do KDL-ów, a ściślej do NRD. Wobec cudzoziemców zresztą trzymał fason, nigdy nic „reakcyjnego” nie bąknął, tylko potem sarkał na stronie do Osińskiego. „Panie, byli tu Niemcy z NRF-u, pytali o nasz tryb pracy, ciekawi są socjalizmu. Rozumiesz pan, Niemcy z NRF-u, hitlerowcy, ciekawi są socjalizmu?! Żeby zobaczyć ten bałagan... Łatwo powiedzieć: 'przedsiębiorstwo społeczne', trudniej zobaczyć, jak się to realizuje, o Jezu! Nie żadne społeczeństwo zarządza, lecz kupa nieodpowiedzialnych dyktantów. Ale powiedz pan to Szkopowi, nie uwierzy. A człowiek znów w łeb dostanie. Eh, życie...”

Rozmowa ze Stasiem Buchałą na pewno nie będzie przykra, bo to kolega złoty i bez zółci. Choć i zakochał się w tym elektrycznym pługu na eksport, to w końcu popsoczy i przeboleje. Zjawią się za to inne przykrości, na przykład ze strony Działaka. Ten gładki, obleśny ubeczek Działak! Ale z nim jest przecież teraz inna sprawa, stał się mniej groźny odkąd „zaistniała” również Jolanta Działak. Szkoda, że Adam nie pomyślał o tym wcześniej, ta sprawa mogła mu opromienić burą noc i natłoczony, rozgadany pociąg. Po prostu miał zaproszenie do Działaków na drugi dzień Świąt — to zaproszenie świeciło jak tajemniczy zielony sygnał w grudniowym mroku. Że też o tym zapomniał, ogłuszony przez pijanych nygusów ze Śląska!

Więc przypomnienie Jolanty Działakowej łagodzi ową zim-

ność wagonowego korytarza, oraz wewnętrzną, pijacką gorączkę, ale i tak cały ten nastrój zaczyna już topnieć, niknąć, przepychają się ludzie z tłumokami, jednocześnie noc za oknem blednie, coraz to intensywniej rozplywa się w dookolnym żółtym świetle. Światło owe jeszcze bardziej się oto zagęszcza, ciepło migają wysokościewce Ochoty, teraz tunel, pociąg jedzie już bardzo wolno, ludzie z rzeczami, stłoczeni na korytarzu, wreszcie wylot tunelu, długi peron częściowo pod sklepionym, drewnianym dachem, brzydkie betonowe filary, w górze lampy jarzeniowe, czarne, zamglone niebo nad szerokim wykopem, mroczna sylwetka Pałacu Kultury, wysypujący się z wagonów niezgrabny tłum. Warszawa Centralna.

Wspinając się wśród ciżby po brudnych, drewnianych schodach prowizorycznego dworca, Adam Osiński myśli o paru rzeczach naraz, to go szczęśliwie rozprasza i łagodzi depresję, osłabia wstrząs, wywołany zmianą otoczenia, wysiłkiem przecięzania wódczanego dreszczu, wdzieraniem się i wsiąkaniem w bury, mokry tutaj grudniowy mrok. Przypomnienie Jolanty nasunęło nie rozstrzygnięty dotąd problem, jakby wymanewrować Jadwigę i małego ze świątecznej wizyty u Działaków. A za tym przychodzi świadomość, że prócz przykrej drogi po przedwcześnie oblodzonych wertepach czeka go rodzinne „M 3”, tam rozmowa z żoną i Zbyskiem, włączenie się mimo depresji w domową atmosferę. To także jest przecież wstrząs. Ale wszystko jakoś układa się inaczej, łagodniej, czasem warto przygotować się na najgorsze! Najpierw droga okazuje się nie taka zła, bo choć wiatr zrywa się zza starego, ceglanego rogu, a zmieszany z brudnym śniegiem mokry gruz chrzęści pod nogami, to jednak szklany hall ich bloku, owa niby portiernia świeci z daleka blaskiem znajomym, zapraszającym. Po drugie w mieszkaniu M 3 na pierwszym piętrze jest ciemno, Zbyszek już śpi, Jadwigi nie ma. Najwidoczniej znowu jej wypadł dyżur w szpitalu, coraz częściej ma te dyżury, Adam nie może się w nich połapać (doktor Lasota?! — nie, skądże, to nie to). Tak więc Osiński jest sam, na palcach idzie do lodówki, coś tam sobie przynosi, rzuca przez okno spojrzenie i znowu odkrywa w tle tłumnie spiętrzonych mnogości nowych i starych domów wyniosły, tonący czubkiem we mgle Pałac Kultury. A teraz francuski „kryminał” na samotnym tapczanie, lektura poprzedzona proszkiem nasennym — to jedyne na depresję. Owe pół godziny coraz bardziej (po proszku) błęgiego stanu, owe francuskie czytanie, przeplecione też zostanie spokojnymi, choć rozgrzewającymi myślami o problemie Jolanty Działak. Ona zresztą jest tu gdzieś niedaleko, Działakowie mieszkają przecież na tym samym nie-

wydarzonym osiedlu. A potem siedem prawie godzin solidnego niebytu oddziela Osińskiego od jutrzejszych nieuniknionych peregrynacji w Niedźwiedowie. Siedem godzin to jest coś — należy mu się taka chwila wytchnienia po zwariowanej śląskiej łązni.

II

Osiński dawno już spał, zamroczony kolejno zmęczeniem alkoholowym, pigułką nasenną i śledzonymi jakby od niechcienia przygodami komisarza Maigreta, które rozplynęły się wreszcie w ciepłej mgłę ostatnich chwil przed zasnięciem. Spał, ale życie jego toczyło się dalej, toczyło się tym razem po torze wspomnień raczej rodzinnych, taki kierunek sennych marzeń narzucony został chyba przez atmosferę małego mieszkanka a także przez jakieś myśli czy półmyśli, co przemknęły widocznie ponad Adamem w czasie lektury, której się na pozór oddawał przed „spoczynkiem”. Na pozór czytał, teraz na pozór spał na sprężynowym tapczanie, oddzielony cienką ścianą od śpiącego w drugim pokoju Zbyszka, a kolorową makatą w tak zwane „pikasy” od widoku gigantycznego lecz mglistego cienia Pałacu Kultury za oknem. We śnie, nawet mocnym i bez marzeń, przeżywamy dalej dziwnie przetworzone czy zastępczo wysublimowane fragmenty życia, tyle, że wyrwane z całości, potasowane jak karty i nie uszeregowane przyczynowo. Tej nocy senne perypetie Adama Osińskiego wywołane zostały przez gorzkawą choć pełną rezygnacji myśl o własnym życiorysie, jaka nasunęła mu się w pociągu. Myśl wymagała widać uzupełnienia, choćby nocnego, bo życiorys Adama nie zakończył się przecież na pobycie w Oflagu. Przyszła druga część ziemskiej pielgrzymki, powojenna, oddzielona od tamtej jakby przepaścią — tak zresztą było u wszystkich Polaków jego generacji. Ta nowa faza mogła prezentować się z początku jako odrodzenie, choć teraz znów skłaniał się do myśli o nieuniknionej porażce, której źródeł szukać chyba należało jednak w owych pierwszych latach, zaraz po wojnie, choć wtedy pełen był, mimo wszystko, ochoty do życia i pracy.

Ochota wzięła się może stąd, że owo życie w kraju, mimo zamętu jaki tu panował i mimo skutków znanych plag okupa-

cyjnych, okazało się początkowo lepsze, niż można by sądzić z perspektywy obozu i powrotu. Ten powrót zwłaszcza, to znaczy pierwsza jego, włóczęgowska niemal faza, okazał się absurdalny aż do obrzydzenia. Osiński mówił Jasiowi Brzozowiczowi, z którym wracał przez całe Niemcy, że do niewoli dostał się głupio, ale wychodzi z niej jeszcze głupiej — czyż życie z chwilą wybuchu Drugiej Wojny bezpowrotnie już utraciło wszelką wzniosłość na rzecz panoszącego się głupstwa? „Głupstwo rozum zjadło”, powtarzał chętnie Jaś Brzozowicz, Żyd, który kochał polskie przysłowia, polską tradycję i kulturę oraz polskie towarzystwo. Wisielczym swym lecz ciepłym humorem pocieszał on Osińskiego niejedyn raz, a i sam się radował, że przetrwał obóz jeniecki wśród Polaków i jako Polak, bo Niemcy nie poznali w nim Żyda, koledzy go nie zdradzili, nie nosił opaski z osobliwą niebieską gwiazdą, nie żył w odosobnieniu, rozkoszował się polskością, do której dopuszczono go jako pełnoprawnego uczestnika i konsumenta. Trudno przewidzieć, gdzie i kiedy znajdzie sobie ktoś szczęście. A mieć koło siebie człowieka szczęśliwego w domu wariatów, to jednak rzadka szansa.

Oflag był domem wariatów przygaszonych, stonowanych przymusem, za to pobite Niemcy w pierwszych dniach alianckiej okupacji okazały się zakładem obłędu ostrego a zbiorowego. Tyczyło się to zwłaszcza sektora amerykańskiego, bo Amerykanie, wśród których przeważali młodzi chłopcy nie znający Europy, ani rusz nie mogli pojąć gdzie się znaleźli i co to wszystko znaczy. Wspaniale wyekwipowani i uzbrojeni technicznie, potrafili przerzucić most pontonowy przez rzekę w ciągu godziny, dokonywali cudów organizacji, obsypywali byłych więźniów darami, żywnością, lekarstwami, środkami dezynfekcyjnymi. Dobrzy to byli chłopcy, ale nic nie rozumieli — przeszkadzał im wyssany z mlekiem matki pragmatyzm.

Naiwność amerykańską wyzyskiwali za to maksymalnie owi, od razu a nadmiernie przejęci tchórzostwem i spodleli Niemcy — aż się wierzyć nie chciało, że przed tymi pokornymi lizusami drżała niedawno cała Europa. I na takim to osobliwym tle znaleźli się nagle obdarci oficerscy jeńcy, przemierzający tę, pożał się Boże, Rzeszę we wszystkich kierunkach. Ich rola też była przegłupia, niby to zwycięzcy, płatali się teraz wśród ciżby pstrokatych, wywiezionych podczas wojny na roboty cudzoziemców nikomu nieznani i niepotrzebni. A już najgorszy los spotkał Polaków: oni, którzy rozpoczęli wojnę z Hitlerem, teraz, w nagrodę przebudzili się pono zgoła bez ojczyzny. Cały wschód Europy załała Rosja, Polakom z Oflagów nie radzono wracać nad Wisłę, ostrzegając, że czeka ich tam natychmiastowa wywóz-

ka na Sybir, tak właśnie wywożono samychże Rosjan, uwolnionych z obozów jenieckich w Niemczech. Ale Osiński i Brzozowicz nie pozwolili się odciągnąć od swych zamierzeń i parli na Wschód jak i czym się dało. Brzozowicz, choć stracił w getcie warszawskim rodzinę, nie myślał rezygnować ze swej tak walnie w oficerskim obozie jeńców potwierdzonej i uswięconej polskości. A Osiński nie chciał zapomnieć choćby tego, co winien ojcu, który przetrwał wojnę w przyłączonej do „Reichu” Łodzi. Wprawdzie Warszawa była zburzona, ale Łódź stoi jak stała i należy do niej dotrzeć.

Od razu na nowej granicy się rozdzielili: Jaś Brzozowicz pojechał do Warszawy, gdzie zaczął pracować w uruchomionym niezadługo Niedźwiedowie. Pracuje tu do dzisiaj, jako zastępca Gościńskiego w ekonomicznym, kariery nie zrobił, przeciwnie niż przybyli z Rosji Żydzi partyjni, odkomenderowani na początku do różnych, bardzo specjalnych poruczeń. Osiński zaś dotarł do Łodzi, gdzie odnalazł ojca i siostry, o śmierci matki wiedział jeszcze w obozie. Ojciec był struty, przygnębiony, przestraszony perspektywą bolszewizmu, siostry, trudniące się w czasie okupacji przemytem z Rzeszy do Generalnej Guberni, dalej handlowały, robiły interesy, gadały i plotkowały. Adam odczytał się w obozie od mówienia, to w paradoksalny sposób zdecydowało o jego dalszym losie. Nie mógł się przyzwyczać do gadulstwa sióstr i do ich ruchliwych okupacyjnych mężów, toteż z wdzięcznością przyjął propozycję pracy we Wrocławiu (polski Wrocław — rzecz niewiarogodna), przy uruchomianiu wielkiej poniemieckiej fabryki wagonów, dawniej Linkego i Hoffmana, nazywanej obecnie PaFaKolem.

Zaczęły się teraz jego wielkie czasy, pierwsze prawdziwe, poobozowe życie i pierwsza inżynierska praca. Wrocław ówczesny to morze ciemnoczerwonych, cuchnących gruzów, okolone po brzegach wyspami ocalałych dalekich od śródmieścia dzielnic mieszkalnych, często willowych i pięknie położonych wśród malowniczych choć smutnych lasów. Plagą miasta, oprócz braku żywności stały się szybko hordy rabusiów z całej Polski, przybywających tutaj na tak zwany „szaber”, to znaczy wynoszących i wywożących ze zburzonych domów wszystko, co w nich jeszcze ocalało. Nie wiadomo było zresztą dokładnie, czy to co robią jest legalne czy nie, bo okazywali się to częstokroć również ludzie bezdomni, pokrzywdzeni przez wojnę lub wysiedleni przez bolszewików, tymczasem zarządzenia w ich materii wydawano sprzeczne, wciąż się one zresztą zmieniały. A znowu wojska sowieckie czy, jak zaczęto mówić, radzieckie, demontowały i wywoziły cały sprzęt oraz uzbrojenie nieczynnych fabryk. Robiły

to w takim bałaganie, że trudno było uwierzyć, aby kiedykolwiek udało się te na chybił trafił spakowane części maszyn zmontować na nowo i mieć z tego jakikolwiek pożytek. Fakt jednak wywożenia był tu faktem, aby mu przeciwdziałać, należało jak najprędzej uruchomić istniejące zakłady, stawiając dziwnych sojuszników również przed faktem dokonanym. Rozumiał to doskonale pierwszy prezydent Wrocławia, przedwojenny, anarchystyczny nieco działacz krakowskiej lewicy, człowiek pochodzenia żydowskiego, który spędził wojnę nie całkiem z własnej woli w dalekim kraju Jakutów. Choć chemik z wykształcenia, niewiele znał się na technice, ale wiedział, że niemieckie zakłady trzeba jak najszybciej uruchomić i to póki są jeszcze na miejscu niemieccy wykwalifikowani robotnicy i majstrowie. Rąk do pracy zresztą nie brakowało, do Wrocławia napływały wszakże tłumy ludzi z całej wielkiej, historycznej Polski, ze Wschodu i Zachodu, ale warto było, póki czas, wyzyskać owych, znających sekrety produkcji szkopskich specjalistów, co nie zdążyli uciec i nie wyginęli w bezrozumnej, kierowanej przez SS obronie miasta. Zebrała się już grupka polskich inżynierów spragnionych pracy, a praca to była dla Polski, rzecz nie ulegała wątpliwości. I oto niezadługo, mimo ogromnych trudności surowcowych, PaFaKol ruszył, zbiegło się to zresztą z dymisją krakowskiego prezydenta, której zażądał podobno rosyjski dowódca garnizonu. Ale fabryka stała i polszczała z dnia na dzień, w miarę jak odpływali stąd ostatni Niemcy. I tak się wszystko zaczęło.

Osiński, rozpoczynając od prymitywnej pracy w narzędziowni, doszedł po paru latach do godności zastępcy naczelnego inżyniera. Właściwie decydował już wtedy samodzielnie o wszystkim, bo kierownikiem technicznym PaFaKolu został naczelnny inżynier Edward Rotman, oficer z Pierwszej Armii, który zajmował się wszystkim, poza techniką. Miał najwidoczniej zleconą jakąś pracę polityczną — każde przedsięwzięcie, według nowego obyczaju, musiało posiadać teraz swego politycznego nadzorcę. Osińskiemu wydawało się to z początku obojętne: absorbowała go produkcja, z inżynierem Rotmanem (w fabryce przezywano go „Czerwonym Żydem”) stosunki miał dobre, dostał nawet dzięki niemu duże, paropokojowe mieszkanie za placem Grunwaldzkim, w ponurych lecz wygodnych, podłużnych blokach po drugiej stronie Odry. Widok z okien był tu melancholijny ale malowniczy, na odrzańskie kanały i na spaloną od wewnątrz lecz wyniosłą katedrę, królującą wśród Tumskiego Ostrowia. Obce to, lecz stało się swojskie, gdy przybyła do rozległego i jasnego, niemieckiego mieszkania rodzina. W roku 1951 Adam ożenił się z Jadwigą, w roku 1953 urodził im się syn Zbigniew.

Aż do czasów powojennych Osiński mało miał do czynienia z kobietami — nie było po prostu jak i kiedy, właściwie to znał tylko swoje siostry i, z daleka, kilka ich szkolnych koleżanek. A tu nagle małżeństwo — cóż za nieoczekiwana przygoda, potwierdzająca jednak coraz bardziej niewątpliwy fakt, że się żyje, żyje życiem prawdziwym i odpowiedzialnym, nie zaś wymyślonym i sztucznie wyobcowanym, jak w obozie. Romans z Jadwigą był krótki i intensywny niby olśnienie — Adam przez pierwsze tygodnie znajomości nie wierzył, że to właśnie to, że przychodzi doń legendarna sprawa, na którą bardziej lub mniej świadomie, oczekiwał był przez długie lata samotności, czy to indywidualnej samotności, jak podczas studiów, czy też osamotnienia zbiorowego w wojsku i niewoli. Każdego dnia szedł na spotkanie pełen wewnętrznego drżenia, wywołanego obawą, że cała rzecz okaże się złudzeniem, rozchwije się i zniknie, każdego dnia ze zdumieniem przekonywał się na nowo, że uczucie jest obustronne, że Jadwiga podziela zarówno jego namiętne emocje jak i jego ciepłą tkliwość. Była młodsza od niego o lat dwanaście, wywieziona z Warszawy po Powstaniu wylądowała na robotach we Wrocławskim, obecnie studiowała medycynę. Nie stworzono jeszcze wówczas osobnej Akademii Medycznej, medycyna mieściła się w ocalonym, starym budynku uniwersyteckim nad samą Odrą. Adam przychodził tu często, czekając na Jadwigę na małym, trójkątnym placyku, przyozdobionym pomnikiem nagiego młodzieńca, lub też u stóp ciemnych, monumentalnych schodów, prowadzących do lśniącej złotem, srebrem i purpurą barokowej auli „Leopoldinum”. Szli sobie potem przytuleni w stronę Placu Grunwaldzkiego, albo dołem, romantyczną promenadą wśród fiołkowych odrzańskich mgieł, nad bystrą, cichą wodą, gdzie pływały dzikie kaczkę, albo też górą przez Plac Biskupa Nankera. Plac ten był właściwie morzem gruzów, metodycznie zrujnowali go sami Niemcy, aby umożliwić start samolotu, uwożącego ze środka miasta generała SS, dowodzącego obroną. Generał drapnął więc w ostatniej chwili, pozostawiając za sobą ów czerwony od cegieł i wypalonych gruzów plac Nankera. Wykwitały tu teraz na tle ruin barwne stragany, w przedwiosennym i wiosennym słońcu sprzedawano kolorowe ciuchy, owoce, kwiaty, znaleźli się też skądś Cyganie. Gdy Adam z Jadwigą wędrowali tędy z uniwersytetu, czuli że miasto żyje i pulsuje wokół nich mimo zgłiszcz i czerwonych szkieletów wypalonych kamienic (brano stąd cegłę na odbudowę Warszawy), że tętni jakimś wewnętrznym rozpędem a na zewnątrz rozbrzmiewa śpiewną i szybką zarazem, nie znającą zwątpień czy zasmuceń lwowską gwarą. Nie ulegało wątpliwości, że Wrocław żył i że stał się na wskroś

polski — to jego nowe życie okazało się tak podniecające, jak i ich sprawa z Jadwigą — Adam samotnik nigdy wszakże dotąd nie spędzał życia wspólnie z kimś. Pobrali się zanim jeszcze Jadwiga skończyła studia. Zamieszkiwanie we dwoje tam, w ponurych na pozór blokach za mostem Grunwaldzkim stało się niezwykłą przygodą, a cóż dopiero mówić o okresie, gdy narodził się Zbyszek. Adam po raz pierwszy w życiu czuł się za kogoś odpowiedzialny, odpowiadał oto za maleńką ale osobliwie spoiłą grupkę ludzką, którą sam stworzył i której przewodził na zasadzie nie pisanego, ciepłego i serdecznego prawa. Było to znane i stare jak ludzki świat, ale Adam Osiński przeżywał rzecz od początku, na nowo, raz na całą wieczność, w sposób świeży i niepowtarzalny. Co innego jest słyszeć o jakichś formach życia, co innego doświadczać je samemu, odkrywać wszystko na własną rękę. To była premia losu, losu, od którego Adam, zmożony długimi latami wojskowej i obozowej nudy niczego już się nie spodziewał. Odczuwał teraz swoją prawdziwą pełnię i zarazem swoją młodość — łączyło się to dobrze z powtórnią młodością otaczającego ich miasta, tak absurdalnie zburzonego i tak przekonywająco choć w ciężkich konwulsjach się odradzającego. Prawda, zostało w śródmieściu coś nie coś starego, prócz dziwacznie ozdobnego ratusza, olbrzymich ciemnoczerwonych kościołów, hotelu, dworca, opery i dostojnego uniwersytetu, ocalało nawet gdzieś niedaleko domów. Ale życie toczyło się tu teraz całkiem nowe, ta nowość bardzo odpowiadała Osińskiemu, nie mającemu wiele wspomnień ze swego dość nijakiego, przedwojennego bytowania. Zresztą mało kto w tym mieście wspominał obecnie przeszłość, choć zebrali się tu ludzie ze wszystkich stron Polski i świata, mający chyba coś nie coś do opowiedzenia na temat owego absurdalnie burzliwego czasu. Wszyscy jednak patrzyli w przyszłość, obsesjonalnie niemal patrzyli tylko w przyszłość, choć nie było wcale pewne, że musi się ona okazać różowa, raczej przeciwnie. Szorstki lwowski optymizm obecnych wrocławian udzielił się również i Adamowi — wspominał to później z rozrzewnieniem i żalem, bo nadodrzańskie lata jego życia miały pozostać mu we wspomnieniach jako najszcześniejsze. Najszcześniejsze zarówno jeśli szło o Jadwigę jak i o jego pierwszą, samodzielną inżynierską pracę w narzędziowni i niezapomnianego PaFaKolu. Niezapomnianego, choć później, po pierwszych junackich właśnie, trudnych lecz niepamiętliwie beztróskich pięciu latach, PaFaKol powoli przekształcać się jął dla Adama Osińskiego w teren zgrzyot i tortur, w niezrozumiałą Karuzelę Udręczeń.

Jak właściwie do tego doszło? Chyba źródła całej sprawy szukać należało jeszcze na samym początku, owej mroźnej zimy

1945, kiedy to uruchomiono zakład przy pomocy przybyłej z Warszawy ekipy od Lilpopa. Początkowo produkowano chaotycznie jakieś półfabrykaty, szarpiąc się jednocześnie okropnie i na wszystkie strony, aby zorganizować kooperację, stałe dostawy węgla i stali a także rozwiązać ową najbardziej dokuczliwą sprawę, jaką jest po dziś dzień brak drobnych, precyzyjnych „wihajstrów” dla narzędziowni: śrubek wielu rodzajów, kabli, drutu, walcówki, kółek zębatach, uszczelek, sprężyn. Adam tudzież jego współpracownicy najeździli się wówczas po całym Śląsku Opolskim i Górnym nieopalanymi, natłoczonymi pociągami — trwała przecież jeszcze w pełni ogólnopolska Wędrówka Ludów ze Wschodu na Zachód, z Południa na Północ. Węgiel i ruda owszem, to dawało się jakoś zdobyć, wszakże Górny Śląsk podczas wojny pracował całą parą dla niemieckiej maszyny zbrojeniowej i uruchomienie produkcji w mało zniszczonych zakładach nie nastroczało przesadnych trudności, a skoro już wydobywali węgiel czy przetapiali rudę, to chcieli swe produkty gdzieś przekazać, nie było to wówczas jeszcze tak biurokratycznie skomplikowane jak dziś. Gorsza znacznie sprawa z precyzyjnymi detalami, koniecznymi dla tworzącej się z niczego prototypowni. Już wtedy nie wiadomo było, kto właściwie ma je wytwarzać, niektóre fabryki zajmowały się tym ubocznie, produkując małe serie takiego czy innego drobiazgu, inne rzeczy zamawiać można było jedynie u prywatnych rzemieślników. Tych ostatnich jednak rychło zaczęto likwidować, karać, odmawiać przydziału surowca, brać pod zarządy przymusowe („idea dział” — mawiał poznany wtedy przez Adama Staś), masę warsztatów się polikwidowało, w rezultacie mieszkańcy opuszczali całe, z rzemiosła żyjące miasteczka, które popadły w ruinę, jak podwrocławska Kamienna Góra. Produkcja PaFaKolu cierpiała na tym wszystkim dotkliwie, żyli od przypadku do przypadku, nie wiedząc, czy praca wielkiej fabryki nie stanie jutro lub pojutrze z powodu braku jakiejś śmiesznej śrubki bądź sprężynki. Prawdę mówiąc trwało tak w Polsce po dzień dzisiejszy, o czym Osiński jako „zaopatrzeniowiec” Niedźwiedowa wiedział najlepiej. — Musicie się zdecydować: albo rytmiczna, ciągła produkcja albo socjalizm — mawiał niepoprawny Staś Buchała.

Tak czy owak jednak, pośród zamętu, płynności kadr, sprzecznych zaleceń, zarządzeń i rozkazów udało się po roku doprowadzić do tego, że w styczniu 1946 miast półfabrykatów i produktów o niezbyt określonej zastosowalności, za bramę fabryczną w stronę specjalnej stacji bocznicej wyjechało 100 świeżo zeszyłych z taśmy PaFaKolowskich węglarek, wyprodukowanych w najwcześniejszym uruchomionym zakładzie W 7. Były to,

po remoncie czterdziestu warszawskich tramwajów, pierwsze poważne kroki, zaś już w roku 1953, właśnie gdy rodził się Zbyszek, zbudowano w fabryce prototypową elektryczną lokomotywę, po czym praca ruszyła zdecydowanie w kierunku seryjnej produkcji nowoczesnego, coraz bardziej uszlachetnionego taboru, produkcji znanej dziś dobrze w całej Europie i poza nią. W produkcji tej niestety, zwolniony z początkiem roku 1955 Rotman już nie uczestniczył, ale owe pierwsze sto węglarek to było w dużym stopniu jego dzieło, tak jak i późniejszy zwrot do konstrukcji nowoczesnych lokomotyw, wymagającej nie bylejakiego przygotowania techniczno szkoleniowego. I wtedy właśnie, w pierwszym chaotycznym lecz heroicznym roku, zaistniał, jak mawiano w nowym języku, pierwszy spór między Osińskim a inżynierem Rotmanem. Spór ów szybko zażegnano i zapomniano, ale chyba nie tak całkowicie, jak sądził wówczas zaabsorbowany pracą Adam. Gdy rozważał po latach swe wrocławskie perypetie, coraz bardziej utrwał się w przekonaniu, że ta pierwsza, szybko zatuszowana różnica poglądów, pozostała gdzieś w aktach jako zarodek przyszłej afery, czyli, jak mówiono we Wrocławiu, „sprawy Osińskiego”.

A wszystko poszło o wykwalifikowanych robotników niemieckich. Niemców w zasadzie we Wrocławiu od razu było niewiele, część wyjechała zawczasu, pozostałych zdziętkowało oblężenie oraz SS-owski terror stosowany wobec własnej ludności, ocalała reszta w dużej mierze nawiała samorzutnie zaraz po kapitulacji, aby uniknąć spotkania z Czerwoną Armią. Miasto zostało więc na razie bezpańskie i niemal bezludne, ale tu i ówdzie tkwili w nim jeszcze Niemcy, albo nieliczne rodziny* albo też poszczególni śmiałkowie, pozostawieni przez swoich na zwiady czy dla próby. Sporo takich niedobitków utrzymało się koło nieczynnych zakładów przemysłowych, między innymi u Linkego i Hoffmana, czyli w późniejszym PaFaKolu: z niemiecką zapobiegliwością pilnowali fabrycznego dobytku, chciwie czyhali na uruchomienie robót, jasne było dla nich, że zostaną tu zatrudnieni i że pracować należy tak jak na swoim. Adam zapamiętał zwłaszcza dwóch majstrów z narzędziowni, Heynemanna i Müllera, specjalnie dlań, wobec kłopotów z precyzyjnymi drobiazgami, ważnych i potrzebnych. Rozmawiał z nimi po niemiecku, czego się dobrze nauczył w Oflagu, a oni bardzo służyłsi i dyskretni, darzyli go chyba jakimś zawodowym szacunkiem, chociaż była to przecież jego pierwsza samodzielna praca. Zabawna to zresztą rzecz, po wszystkim co się stało, po latach lęków i upokorzeń, komenderować Szkopami w polskim Wrocławiu i przy polskiej produkcji. Obu majstrom jednak, a także setce

chyba pozostałych w fabryce niemieckich robotników sprawa ta wydawała się zupełnie oczywista — uznawali obecne polskie prawo do kierownictwa i rozkazywania, jak ognia za to bali się Rosjan, w czym mieli na pewno swoje bardzo określone motywacje i przyczyny. O okrucieństwach popełnionych wobec Polaków nie mówiło się, nie mówiło się zresztą o niczym poza pracą — nowe czasy i kwita.

Tymczasem nad głową wrocławskich Niemców wisiła ewakuacja. Zdecydowano ją już dawno, ślimaczyła się jednak z różnych powodów, głównie dlatego, że wszyscy ewakuowani chcieli jechać pod okupację zachodnią, omijając strefę rosyjską, tymczasem Anglicy na przykład nie kwapili się do takiego przyrostu ludności, obawiając się o zaopatrzenie a także o grożący epidemiami stan zdrowotny przybyszów. Na temat warunków ewakuacji krążyły zresztą fantastycznie wyolbrzymione przez Niemców pogłoski.

Adamowi ogromnie było na rękę jak najdłuższe pozostawianie w dziale mechanicznym pracowników niemieckich, zwłaszcza owych majstrów, którzy odgrywali w narzędziowni i tworzącej się prototypowni specjalnie pozytywną rolę, szkoląc narybek, rekrutujący się z niewykwalifikowanej przeważnie czeredy polskich przybyszów czy autochtonów. Lecz tu właśnie „zaistniał” pierwszy konflikt Osińskiego z małomównym i pogrążonym przeważnie w jakichś swoich papierach naczelnym inżynierem Edwardem Rotmanem. Inżynier Rotman kategorycznie i sucho zapowiedział przymusową ewakuację w pierwszej kolejności właśnie majstrów Heynemana i Müllera, na protesty zaś Adama ściągnął mu na kark jakiegoś wojskowego Sowietę, który potraktował rozmówcę niczym szpiega czy sabotażystę, tyle, że nie mógł swych rekryminacji wyrazić dokładnie, nie władał bowiem żadnym językiem prócz rosyjskiego, tego zaś ofiara jego nie rozumiała wcale a wcale. Adam odwołał się w tej sprawie do dyrekcji, powołując się na żywotny interes fabryki i produkcji oraz wskazując, że w kopalniach i hutach Dolnego Śląska, na przykład w Wałbrzychu niemieccy fachowcy pracowali w najlepsze i o przyspieszonej ich ewakuacji nikt nie wspominał. Odpowiedzi jednak nie otrzymał, sprawa odwlekała się tylko o parę tygodni, po czym nagle obaj majstrowie wyjechali z dnia na dzień, nie zdążywszy nawet pożegnać się z Osińskim. Wraz z nimi wyjechała grupa najbardziej wykwalifikowanych niemieckich robotników a także kilku fachowców pochodzenia polskiego, którzy mieli wszakże otrzymać obywatelstwo. Jak się Adam dowiedział grubo już później, cała sprawa wynikała z nacisku wrocławskiej komendy wojsk czerwonych, bowiem w radzieckiej strefie oku-

pacyjnej Niemiec otwarło się nagle silne zapotrzebowanie na fabrycznych fachowców, koniecznych do uruchomienia tamtejszego przemysłu. Tak więc Adam działał tutaj nieświadomie przeciw sowieckiej racji stanu, stąd i twarde choć zamaskowane małowównością stanowisko uświadomionego politycznie naczelnego inżyniera.

Po tym pierwszym konflikcie nastąpiła jednak zupełna, dwuletnia albo dłuższa cisza. Adam zafascynowany był rozwojem fabryki. Nie uważał się za komunistę, śmieszyły go i drażniły nieustanne agitacyjne zebrania, ale ogromne państwowe dotacje, którymi hojnie obsypywano deficytową jeszcze chyba produkcję PaFaKolu (była to produkcja pierwszoplanowa, „wiodąca” — znacznie gorzej i skąpiej traktowano na przykład dolnośląskie zakłady włókiennicze), oraz ogólny rozmach jaki z tego wynikał, przekonywały go i skłaniały do optymizmu. W końcu to było nie byle co dowodzić parotysięczną i wciąż rosnącą armią robotników rozbudowującego się i modernizującego zakładu. Za modernizację odpowiadał w gruncie rzeczy Osiński, bo jego szef, ów właśnie inżynier Rotman, zawsze nader rzadko pojawiał się w narzędziowni czy w halach montażowych, woląc przesiadywać w swym gabinecie nad stertami niewiadomych papierów, gdzie wysłuchiwał również co parę dni drobiazgowych raportów swego zastępcy. Planowanie i dział ekonomiczny nie były wówczas w zakładach tak rozbudowane jak dzisiaj, toteż decyzje modernizacyjne, przesadzające o dalszym kierunku produkcji oraz o doborze kadr, kierownictwo techniczne podejmowało niemal na własną rękę, stawiając nieraz dyrekcję wobec faktów dokonanych. I tutaj właśnie zaczęły się między Osińskim a Rotmanem niewidoczne z początku, bezsłowne niemal lecz coraz częstsze konflikty. Polegały one na tym, że Rotman, w sobie właściwy, milczący, suchy sposób kwestionował taką czy inną propozycję Adama, lecz po wysłuchaniu jego repliki zazwyczaj ustępował, manewrując jednak tak, aby powzięta decyzja obciążała konto projektodawcy, co potwierdzone bywało zazwyczaj jego właśnie nie zaś naczelnego inżyniera podpisem. A decyzje te bywały wiążące w sposób ryzykowny, boć chodziło właśnie o nierozwiązalne nieraz problemy kooperacyjne, o zmianę kooperanta lub spisanie na straty niewłaściwego surowca czy półproduktu, czasem wręcz o zakup potrzebnych części na wolnym rynku lub zgoła „na lewo”. Przy wszystkich tych decyzjach trzeba też było wykonywać istny taniec wśród noży czy mieczy, to znaczy balansować pośród mnogości rodzących się z dnia na dzień wskaźników i instrukcji, ustalanych częstokroć teoretycznie i niefachowo przez niewiadomych ludzi w Warszawie, wskaźników za-

czepniętych częstokroć z innych zgoła branż i nie tyjących się tej bezprecedensowej, nowej na ogół w Polsce, poza Cegielskim czy Lilpopem produkcji. Nie było wtedy doradcy — czarodzieja, jak dzisiaj Michaś Chruszcz, a inżynier Rotman nic nie ułatwiał, gdy, swoim zwyczajem milcząc, z podniesionymi pytająco brwiami wskazywał Adamowi taki czy inny punkt takiej czy innej instrukcji. Instrukcji przemysłowych i obowiązujących wskaźników powstało zresztą wówczas tyle i tak ze sobą sprzecznych, że diabeł by się w tym wszystkim wyznał, chcąc zaś je ściśle stosować należałoby w ogóle zaniechać wszelkiej produkcji. Wobec zaś chaosu, obiektywnych trudności materiałowych i kadrowych a jednocześnie niewątpliwie żywiłowego rozwoju zakładu, stającego się na terenie Wrocławia i w ogóle całych Ziemi Odzyskanych istną potęgą, trzeba było ryzykować mnóstwo decyzji formalnie i prawnie nie całkiem jednoznacznych, lecz w konkretnie codziennej pracy i przyszłej produkcji absolutnie i natychmiastowo koniecznych. Inżynier Rotman w tradycyjny swój, bezślownie powątpiewający sposób odwlekał decyzję, a probował zaś dopiero, gdy mu Adam przygotował pełną dokumentację na piśmie, biorąc za nią równie pełną, pedantycznie podcyfrowaną odpowiedzialność. I w ten sposób Adam decydował, a choć zgoła przecież niedoświadczony, miał w dyrekcji, wśród robotników, majstrów, oraz kadry konstruktorsko technicznej opinię śmiałka i zucha, jedynie naczelny inżynier, tkwiąc nad swymi, papierami, milczał i milczał, nie wypowiadając żadnego zdania. Ten stan rzeczy czasem nawet niepokoił Osińskiego, pod nieruchomym, dziwnym spojrzeniem Rotmana biegały mu niekiedy ciarki po krzyżu, ale szczytny zapal wytwórczy tudzież widome skutki pracy szybko odwracały uwagę w inną stronę. W końcu przecież nie robił nic dla siebie a wszystko się jakoś dotąd udawało, produkcja szła coraz zwawiej, więc...

Gdzieś w końcu roku 48 czy na początku 49 wezwano go niespodzianie do Wydziału Personalnego. Wydział Personalny w okresie stalinowskim to było istne sanktuarium, otoczone tajemnicą, nabożeństwem, ledwo skrywaną trwogą. Osiński gościł tam bardzo rzadko, jako jeden z najstarszych, mocno w siodle osadzonych pracowników technicznych, cieszących się zaufaniem i mało kontrolowanych. Na początku, gdy składał swe papiery, rzecz odbyła się prosto i serdecznie, nikt nie miał wtedy czasu na głupstwa. Później jeszcze Adam coś tam uzupełniał, ale w ogóle na specjalną biurokrację czy też szpiclowanie się nie skarżył — może zresztą tego wówczas nie dostrzegał. Teraz za to Wydział Personalny okazał się zdumiewająco rozrośnięty. Mieścił się w osobnej oficynie, istniało tam szereg pokoi, oddzielonych

od siebie przeróżnymi, uszczelnionymi przepierzeniami, a urzędowało mnóstwo osób obojga płci z niezwykle ważnymi i zaafektowanymi minami. Oczywiście, PaFaKol miał już teraz parę tysięcy pracowników, teoretycznie więc było tu co robić, ale Adam wiedział również, że problemy fachowych kwalifikacji angażowanych ludzi (płynność kadr zawsze jeszcze była dosyć spora) nie tutaj są rozpatrywane — zajmował się tym częściowo on sam w konsultacji z inżynierem Rotmanem, częściowo Dyrekcja oraz przedstawiciele Partii i Rady Zakładowej. Co więc robiono tutaj? Ano, jak miał się przekonać na własnej skórze, weryfikowano, czyli czepiano się czego się tylko dało.

Początkowo przez długie miesiące Osiński kompletować tylko musiał swoje papiery. Przy przyjęciu złożył ocalony przez ojca w Łodzi dyplom oraz zaświadczenia wojskowe. Teraz okazało się, że potrzebne są jeszcze rozmaite dokumenty, o których na początku nie wspomiano: metryka, świadectwa szkolne, referencje na temat poglądów politycznych przed wojną i wiele innych. Poza tym wypełniał obecnie Adam najprzeróżniejsze kwestionariusze, po wielokroć pisał życiorys, ręcznie lub na maszynie, odpowiadać też musiał na dziesiątki i setki coraz to nowych pytań, odpowiedzi zaś jego pilnie były uwieczniane i magazynowane w szkopskich jeszcze bibliotecznych szafach. Jakies ważne panusie a potem panowie (czy raczej towarzysze — z reguły mówiono tam do siebie per „wy”) odbijali go sobie i przekazywali z rąk do rąk jak piłkę. Kiedyś koło roku 1951 chyba, pojawili się w biurze personalnym jacyś dwaj nieznajomi, pospolicie ubrani lecz osobliwi faceci („... o północy się zjawili jacyś dwaj cywili...”), pozbawieni niemal twarzy, nie podający ręki, bardzo surowi, bez uśmiechu czy spojrzenia. Pierwsza rozmowa z nimi odbyła się w towarzystwie naczelnego dyrektora Machana, miglanca i krętacza, który unikał wówczas wzroku Adama, potem już obaj panowie (czy towarzysze) zajęli się Osińskim na własną rękę, przesłuchując go regularnie co tydzień lub dziesięć dni. Z czasem przestali się zgoła maskować czy krępować, wreszcie, chyba gdzieś pod koniec pamiętnego roku 1953, roku, w którym urodził się Zbyszek a umarł Stalin, zaś PaFaKol wyprodukował pierwszą elektryczną lokomotywę, zaproszono Adama wręcz na ulicę Cybulskiego (przypominała przedwojenne warszawskie zaułki z okolic Bagna czy Śliskiej), do Urzędu Bezpieczeństwa. „Badali” tam początkowo ci sami dwaj panowie w asyście protokolantki, a także inni panowie, zjawiający się zza kotary jak duchy, przysłuchujący się przez chwilę zeznaniom i niknący bez odgłosu. Delikwentowi, wzywaniem na przesłuchanie mniej więcej co dziesięć dni, wszyscy oni się w końcu pomylili, pokiełba-

sili, zobojeźniał na drętwe twarze i oschłe sposoby bycia, nawet z czasem na podniesione głosy i niegrzeczność. Stało się to wszystko jakimś pobocznym czy podziemnym nurtem jego egzystencji, sprawą intymną i tajemną, o której nie mówił nikomu, nawet Jadwidze. Również w pracy, z chwilą kiedy rzecz przeniosła się poza mury zakładu, nikt nie robił do niej żadnej aluzji, najmniej zaś inżynier Rotman, gdy podpisywał Adamowi zwolnienia, jeśli przesłuchanie odbywało się rano czy w południe, co nie było zresztą regułą, zdarzały się bowiem i seanse wieczorne lub zgoła nocne.

Pytano teraz Osińskiego bardzo dokładnie i wyczerpująco o pobyt w obozie jeńców, aż dziw, że z najbardziej jałowego okresu jego ubogiej w wydarzenia egzystencji usiłowano wycisnąć Bóg wie co. Prześladowcy mieli jak się zdaje dziwnie wyolbrzymione wiadomości na temat lewicowych a także sanacyjnych organizacji wśród zamkniętych w Murnau oficerów, trwały więc w tej materii nieskończone, podszyte utajonymi pogroźkami rozmowy, w których Adam twardo trzymał się prawdy, że o takich organizacjach nic nie wiedział, ergo nie mógł do nich należeć. Wersja ta jednak absolutnie nie kontentowała prześladowców, nie wierzyli w nią, a, najwyraźniej nie znając zupełnie ani jenieckich nastrojów ani przedwojennych stosunków politycznych, w nieskończoność informowali się u Adama, drobiazgowo poddając w wątpliwość każde jego, półgębkiem choćby wypowiedziane twierdzenie czy spostrzeżenie.

Z kolei „na tapetę” weszła sprawa społecznego pochodzenia delikwenta. Ojciec Adama Osińskiego miał nieszczęście być przed wojną dyrektorem administracyjnym jednej z łódzkich fabryk. Podczas okupacji uczył za to na tajnych kompletach a po wojnie wykładał w szkole technicznej, wobec czego Adam spokojnie napisał w odnośnej rubryce: „nauczyciel”. Uznano to, rzecz prosta, za złośliwe i podstępne zatajenie, w nieskończoność więc przeciągały się debaty, rekryminacje i domniemania na temat owego postępku. Nie obyło się, bo jakżeby, bez przedstawiania dziesiątków zaświadczeń i odpisów dokumentów, dotyczących się ojca, każdy taki papierek kosztował naturalnie mnóstwo korespondencji, starań i kłopotów. Czegoż to jednak nie robi się dla sprawy...

Chyba w połowie roku 53, wtedy właśnie, gdy Osiński otrzymał nagrodę pieniężną i odznaczenie przy okazji owej pierwszej elektrycznej lokomotywy, wjechała na porządek dzienny zamierzchnia, wydawałoby się sprawa dwóch szkopskich majstrów, Heynemanna i Müllera. Adam ze zdumieniem stwierdził, że ktoś musiał chyba przed laty podsłuchiwać jego rozmowy z owymi

Niemcami a także uwieczniać je, w sposób zresztą nieinteligentny i dziwacznie wyolbrzymiający. Sprawę zabiegów Adama, aby obu fachowców zatrzymać jak najdłużej, przedstawiono jako filogermanizm i sabotaż, teraz zaś, coraz częściej się zmieniający prześladowcy usiłowali niby misternie powiązać to z jego apolitycznością w obozie jeńców, tudzież z dobrą znajomością niemieckiego, oraz przedwojennymi koneksjami ojca (w przedwojennym łódzkim przemyśle było jak wiadomo sporo Szkopów). Wszystko to wyglądało tak nieprawdopodobnie głupio, że Adam nie stracił wcale kontenansu i bronił się zajadle, choć znowu zeszło z pół roku na powtarzaniu w kółko i coraz to nowym ludziom rzeczy najprostszych. W końcu w połowie chyba roku 1954, po podpisaniu przez Osińskiego dziesiątka jednobrzmiących zeznań i protokołów „sprawa” jęła zanikać. Wzywano Adama na ową ulicę Cybulskiego coraz rzadziej, kiedyś nawet łysy i zasmrodzony tytoniem inkwizytor, cywil tytułowany majorem, uściśnął ofierze dłoń. I nareszcie sprawa zmarła, Adam odzyskał swe normalne życie.

Na niedługo jednak, gdyż oto, późną jesienią tego roku, gdy w ówczesnym Wrocławiu wszechwładnie panowało ceglane błoto oraz brudna mleczna mgła, do PaFaKolu zjechała Wielka Kontrola z Warszawy. Była to jakaś kilkuosobowa komisja ministerialno-partyjna, której przewodził ryży wymoczek o białych, zimnych oczach i cichym głose sędziego śledczego. Komisja obradowała długie tygodnie, często w obecności dyrektora Machana, sekretarza POP Gąsiorka, kogoś z personalnego, czasem zapraszano też inżyniera Rotmana. Stale obecnym, wyjaśniającym na życzenie każdy detal, w istocie czymś w rodzaju podsądnego był za to rzecz prosta zastępca technicznego, inżynier Adam Osiński. Komisja badała przecież wszelkie, na przestrzeni szeregu lat podjęte decyzje modernizacyjne oraz sprawy kooperacji, a na wszystkich niemal dokumentach z tej dziedziny figurował nieodmiennie podpis Adama.

Ciekawie jął się wtedy zachowywać inżynier Rotman. Nadal milczący i tajemniczy, zaczął jednak okazywać swemu zastępcy jakby bezsłowne współczucie, nieraz przed posiedzeniem Komisji, gdy Adam przygotowywał do wglądu sterty papierów, tamten ścisnął mu rękę z konspiracyjną sympatią, jakby byli poufnyimi współnikami. Wspólnikami byli na pewno, boć wszystkie decyzje zapadały wspólnie, tyle, że tamten nie omieszkał nigdy zadbać, aby odośnoy dokument nosił podpis Osińskiego i aby w protokole zaznaczone było, że decyzję podjęto na wniosek Osińskiego. Napuszczał go stale, w dodatku kiedyś przecież skandalicznie zachował się w sprawie owych niemieckich majstrów,

z jego to poduszczenia wynikała niewątpliwie cała późniejsza draka. Tak, Edward Rotman na pewno nie był świetlaną postacią, teraz jednak zdecydowanie zmiekkł, coś go drążyło, choć podczas kontrolnych posiedzeń nigdy nie próbował przyznać się do jakiegś współodpowiedzialności z Adamem, czy też stanąć w jego obronie, najchętniej zaś nie pokazywał się w ogóle, co było przecież bardzo dziwne, zważywszy, że kontrola dotyczyła jego działu. W cztery oczy jednak okazywał wyraźną serdeczność, może czuł, że wszystko to dzieje się bądź co bądź po śmierci Stalina i że zbliżają się nowe czasy?

Za to reszta współpracowników bojkotowała Adama zdecydowanie. Odsunęli się odeń wszyscy, nawet majstrowie, nawet praktykanci techniczni, nawet robotnicy z narzędziowni, o których dbał tak bardzo. Wszyscy najwyraźniej mieli go za winnego czy podejrzanego, a w każdym razie uznali, że dzieje się z nim sprawa nieczysta. Pracy technicznej nie miał już teraz żadnej, brakło na nią czasu i skupienia — nawet Jadwiga, po raz pierwszy w ich pożyciu dostrzegła, że Adam ma nerwy. I oto w styczniu 55, po zakończeniu działalności Komisji, po smutnych omroczonych przecuciami rodzinnych Świątach i po Nowym Roku, bomba pękła. Dyrektor naczelny Machan wezwał Adama i wręczył mu pismo, zwalniające go ze stanowiska z mocą natychmiastową. Zwolnienie opierało się na paragrafie jakiegoś ówczesnego półwojskowego kodeksu, paragraf ten mówił zaś o tajemnicach produkcji i pracy na Ziemiach Odzyskanych, o bezpieczeństwie państwa oraz o kwalifikacjach obywatelsko-ideologicznych. Adam zresztą odczytywał tekst piąte przez dziesiąte, litery skakały mu i mieszały się w oczach, ręce drżały, w sercu czuł zimno. Dyrektor Machan, stary partyjny filut, który był już teraz prorektorem politechniki, w fabryce zaś tkwił tylko jedną nogą, pogratulował mu, że sprawy nie skierowano do sądu a to dzięki, jak łaskawie uważał, niewątpliwym jednak zasługom Adama dla rozwoju fabryki. Nie omieszkał przy tym nadmienić, że tego rodzaju sprawy, sądzone w trybie specjalnym, kończyły się nawet wyrokami śmierci. Osiński chciał wybuchnąć, ale tamten nie dopuścił go do głosu, zawiadamiając, że na własną odpowiedzialność kazał mu wypłacić trzymiesięczne pobory, że zwolnienie nie oznacza „wilczego biletu”, on, Machan, nie radzi mu jednakże starać się o pracę we Wrocławiu i w ogóle na Ziemiach Odzyskanych, lepiej może w Łodzi lub Warszawie. Wreszcie, tytułem informacji zaznaczył, że mieszkanie za mostem Grunwaldzkim wraz z meblami pochodzi z puli zakładowej i należy je opróżnić w okresie możliwie jak najkrótszym. Adam wyszedł bez pozeźnienia, za bramą fabryczną zachwiał się i zatoczył. Trwał

wtedy ostry, bezlitosny mróz, wartownik z karabinem, w wielkim kożuchu, patrzył sztywno przed siebie, pełen dezaprobaty, uznał bowiem inżyniera za pijanego.

Tak więc skończył się dla Adama i Jadwigi ich Wrocław, Wrocław gruzów, błota i ślepych, do nikąd prowadzących bram, ale także Wrocław przepięknego ratusza, starego uniwersytetu, Wrocław zatopionych w zieleni przedmieść, przeniknięty, niby wieczornym oddechem, powiewem płynącym od fioletowo zamglonej Odry i jej niezliczonych kanałów. Wrocław miasto polskości egzotycznej, gdzie Adam został naprawdę inżynierem, mężem i ojcem, gdzie miał pracę, rodzinę i ponemieckie mieszkanie. Przyszła na to miejsce Warszawa, w niej zaś żyło się jak w zamurowaniu, z trudem, niby w mozolnym śnie wyciągając nogi z ulicznej kaszy, śniegu pomieszanego z błotem. Tak, mozolnie się tu wegetowało i nieprzytulnie, choć wydawałoby się, bardziej winno być swojsko niż gdzieś nad Odrą. Mozolnie też się dziś spało po powrocie z uprzykrzonej bo bezcelowej służbowej podróży, w małym choć nowoczesnym mieszkanku „M 3”, drugim po latach przerwy rodzinnym mieszkaniu Osinich.

III

Właściwie Adam poczuł się w stolicy tak dziwnie, jakby powrócił doń Oflag, kwintesencja uprzykrzonego a nudnego snu na jawie. Tu także człowiek czuł się zamknięty wśród niezbyt dorzecznych murów starych i nowych, do tego sparaliżowany ciężką komunikacją, zgnębiony mazołem życia bez celu i oglądaniem wciąż tych samych mało życzliwych twarzy. We Wrocławiu było serdeczniej, cieplej, żywiej, choć przecież równie trudno — wykorzenieni ze swego gniazda lwowiacy potrafili jednak ocalić i przywieźć ze sobą trochę ognia, humoru, fasonu. A tu, w nasianej gruzem i ruinami, forsownie się odbudowującej Warszawie, kręcili się właśnie jacyś ludzie całkiem bez żadnego fasonu, choć co innego śpiewano o nich w urzędowych piosenkach. Nie o to szło, że byli egoistyczni, twardzi, szorstcy, to rzecz nieunikniona, ale byli właśnie bez wdzięku, bez sławionego niegdyś zuchowatego warszawskiego stylu. Dużo przyjezdnych, dużo chłopów, zlepek jak na londonowskiej Alasce, nie tworzący własnej atmosfery, po prostu każdy sobie i kwita. Oczywiście, trudno domagać się atmosfery w gruzach i błocie, gdy na ulicach klną murarze, z góry lecą cegły, kanalizacja i ogrzewanie co parę dni wysiadają, komunikacja zaś przypomina dziewiętnastowieczną rosyjską prowincję, tyle, że ludzie mnóstwo, jak to w wieku dwudziestym. Wszystko prawda, a jednak we Wrocławiu, zburzonym i czasem zgoła piekielnym, istniała atmosfera nie zaś duchowa próżnia, i to od pierwszej chwili, choć też ulice roiły się tłumem przybyłych z różnych stron wiejskich babuszek w chustkach. Może przyjemniej żyć w gruzach miasta cudzego niż swego, może ciekawiej odbudowywać coś nieznanego?

Osińscy zamieszkali u teściowej, matki Jadwigi, w starym mieszkaniu przy ulicy Zgoda, przechrzczonej teraz osobliwie na Hibnera. Mieszkanie, to brzmiało szumnie, w gruncie rzeczy mieli tam jeden, tyle że wysoki, pokój z wejściem z korytarza, a także dozwolone użytkowanie wspólnej kuchni, zaludnionej o każdej porze dnia kupą sąsiadów, coraz to się jakoś zmieniających. W tym jednym pokoju trzyosobowa rodzina z małym Zbyszkciem gnieździła się w kącie za parawanem, resztę przestrzeni zajmowała matka Jadwigi z jakąś swoją ni to przyjaciółką ni to służącą. Matka była inteligentna i sympatyczna, szkoda że arbitralna i we wszystko się wtrącająca — starsze samotne panie muszą to widać robić, zwłaszcza u siebie w domu. Tkwiło w tym jednak i szczęście, jako że zajęła się dwuletnim ledwo Zbyszkciem, rzecz zaś okazała się konieczna, Jadwiga bowiem to już lekarz z dyplomem w ręku, od razu zaczęła pracować w klinice Akademii Medycznej na Oczki, gdzie zresztą pracuje do dziś, a znowu Adam wychodził na cały dzień w poszukiwaniu pracy — siedzieć w „domu” nie miał po co, zwłaszcza że siedziało się na łóżku w ciemnym kącie, co najwyżej przy nocnej, stojącej lampce.

I w ten sposób diabli wzięli cały rodzinny nastrój z Wrocławia, owe niespodziane ciepło, które tak ogrzewało Adama po dziwnym i nieprzytulnym Oflagu. Jadwiga oddalała się od niego z każdym dniem, musiała się oddalać, teraz to wszakże ona przeżywała pierwszą swoją samodzielną pracę, za to domu nie miała, więc siedziała w szpitalu długo, coraz dłużej, tam też jadała i odprowadzała nocne dyżury. Z Adamem spotykali się niesystematycznie, bo krążył po mieście szukając punktu zaczerpienia i wracał o nieokreślonych porach, co najwyżej wstępując czasem po Jadwigę do szpitala. Noce też były niemiłe, we troje na jednym tapczanie. Zbyszek często płakał a za parawanem pilnie nasłuchiwały dwie starsze, na bezsenność cierpiące kobiety. Istna rozpacz po wrocławskich luksusach, jakby ich wyrzucano z ciepłego gniazda na słońce i mróz.

Mrozy zaś były owej zimy okropne, do tego zasyły czy kopce śniegu zawałyły i korkowały wszystko, czyniąc z warszawskich ulic nieprzebyte wąwozy. Jeszcze gorzej jednak gdy przychodziła odwilż: błoto z gruzem i żółciejącą śnieżną kaszą stawało się żywiołem, nadającym ton i barwę wszystkiemu — właśnie niemożność wyciągnięcia nóg z tej brudnej mazi stała się „wiodącym”, jak mówiono w nowym języku motywem wspomnień Adama z tego czasu. Niesposób zmieścić się na zagrodzonym chodniku, niesposób przebrnąć przez śliską, garbatą jezdnię, aby wdrapać się na schodki przepelnionego tramwaju, niesposób wy-

minąć zwisającą nad trotuarem ruinę kamienicy czy też rozwrzeszczaną, rozstukaną jazgoczącą pneumatycznymi świdrami budowę. W środku miasta wyrósł w tym właśnie roku ukończony, sowiecki, na razie mlecznie biały drapacz chmur z długą iglicą na czubku. Sterczał on spośród pokrytego błotem i śniegiem ogromnego placu i, widoczny z każdego punktu miasta, przytłaczał wszystko. Nie, stanowczo tam nad Odrą więcej było powietrza do oddychania!

A gdzie tu pracować? Na pozór roboty masa, choćby w budownictwie, ale to przecież dalekie od specjalności Osińskiego. Dla niego były w mieście właściwie dwie rzeczy: Żerań i budująca się wielka huta, w której zresztą nie doszło jeszcze do pierwszego spustu stali, miało to przyjść, jak się okazało, dopiero za dwa lata. Adam stał się częstym gościem obydwu przedsięwzięć. Ale tu się okazało, że wbrew zapewnieniom dyrektora Machana, papier zwalnający inżyniera Osińskiego z PaFaKolu działał odstrasżająco. Niby nie mówili tego wprost, tylko że w końcu rzecz wyłaziła. Na Żerań na przykład, do FSO Adam był już prawie przyjęty, chodził nawet obserwować montaż silników, kiedy, po paru wręcz tygodniach wezwano go do personalnego i z „wielkim żalem” zwrócono dokumenty, motywując rzecz brakiem zameldowania w Warszawie. Ciekawe, Jadwiga została jako lekarka zameldowana od razu, jemu odpowiadano, że otrzyma meldunek gdy przedstawi zaświadczenie z miejsca zatrudnienia, zaś ewentualne miejsce zatrudnienia obiecywało pracę po przedstawieniu meldunku. Z kolei w Miejskiej Radzie Narodowej rozkładano ręce, że jakżeż tu meldować kogoś, kto ani mieszka ani pracuje. Dziw to nad dziwy w zbulwersowanej nieustannym ruchem i poszukującej wciąż ludzi Warszawie pozostawać bezrobotnym, ale rzecz nie ulegała wątpliwości — w bielańskiej Hucie też nie wychodziło. Pewno się bali, pytali w Partii, może dzwonili nawet do Wrocławia, nikt nie chciał powiedzieć nic pewnego ani wziąć odpowiedzialności. Przebąkiwano niby o jakiejś wiszącej w powietrzu „odwilży” (ten tytuł powieści Erenburga był w modzie), ale strach jest strachem, niepewność niepewnością — Adam po swojej wrocławskiej epopei rozumiał to doskonale.

Zresztą ani praca w hucie ani na Żeraniu specjalnie go nie kusily — po PaFaKolu było to istne mydło. Huta w tym miejscu Warszawy, bez określonego profilu i z arcytrudnym dowozem surowca nie miała najmniejszego sensu. Wykańczanie jej ślimaczyło się w nieskończoność, pożerając nieprodukcyjnie coraz to nowe fundusze, technicznie trudno się tu spodziewać jakichś cudów, po prostu impreza „ideologiczna”, mająca przysporzyć

urzędniczo chłopskiej Warszawie tak bardzo przez Partię upragnionej „klasy robotniczej”. A znowuż SFO produkowała powoli i mozolnie stare sowieckie „Pobiedy”, tu ani uczyć się ani doskonalić nie było na czym. Przebąkiwano wprawdzie, że zerwana kiedyś ze względów prestiżowych czy czort wie jakich umowa z włoskim „Fiatem” ma zostać restytuowana, ale kiedy to będzie, nikt nie wiedział. Na Żeraniu zresztą stosunki wydawały się przykre, bo to fabryka reprezentacyjna, choć produkuje mało i nienadzwyczajnie, to ciągle o niej w prasie piszą, Partia czuwa tam jak szatan, choć nie wiezieć nad czym, więc też Adam ze swym paragrafem na temat tajemnic państwowych i bezpieczeństwa produkcji nie miał w SFO specjalnych szans — pogodził się już z tym, że jest winien bez winy, tak jak bez oporu godził się z wszelkimi dziwactwami, zarządzanymi kiedyś przez Niemców w Oflagu. Dano mu widać naturę cierpliwą, stoicką — świat dostrzegł to i wykorzystywał — przeciwko niemu.

Istniała, owszem, w niewydarzonej i nieszczęsnej stolicy (nieszczęście bynajmniej nie dodaje uroku, jak to usiłowali wmówić komuniści), fabryka, która kusiła Osińskiego: to Warszawska Fabryka Motocykli na Pradze. Nieźle produkowali, wcale dobrze, rynkowo handlowali, ale w tej produkcji nie potrzeba wielu inżynierów, zaś papiery Adama dokonały reszty. I tak oto decydował się już pójść do budownictwa, choć nie spodziewał się tam pola działania dla swej specjalizacji i chociaż, co ważniejsze, nikt mu jeszcze nic określonego nie zaproponował. Tymczasem fabryczkę, do której właśnie na gwałt potrzebował inżyniera. konkwistador prywatnej inicjatywy, oczywiście konkwistador na żalną ówczesną miarę, który się jakoś dotąd z łaski czy przez pomyłkę ostał ze swoją fabryczką.

Adam jeździł czasem do Łodzi odwiedzać ojca, teraz siwiutkiego emeryta z groszową rentą, który ciągle jeszcze coś tam sobie po kątach majstrował, przygarnięty do mieszkania przez Adamową siostrę, gadatliwą Zosię. Przygarnięcie zresztą nie było czymś znów tak heroicznym, bo stare mieszkania to Łódź miała ogromne, pokoje jak balowe sale, nie nadające się ani do podziału ani do ustawiania parawanów. W takim to przestronnym pokoisku zdybał Osińskiego mąż Zosi czyli ówże Franek i jął mu zachwalać swą cudem ocalałą, kilkunastoosobową w zasadzie fabryczkę, do której właśnie na gwałt potrzebował inżyniera. Bezrobotny szwagier — mechanik, to była dla niego gratka, a i dla Adama niby też, bo tutaj żadne papiery nie mogły mu przeszkodzić.

Franek wytwarzał czy chciał wytwarzać właśnie to, co całe

życie (a przynajmniej życie produkcyjne) prześladować miało inżyniera Osieńskiego: przeróżne śruby, druty, kable, sprężyny. Tych precyzyjnych detali nadal nikt właściwie „zawodowo” nie dostarczał: rzemiosło wyniszczane i likwidowane ledwo wegetowało a dużym fabrykom ani się to śniło, każda miała wszakże ambicję realizować produkcję „wiodącą” nie zaś uboczną, mała w akordzie popłatną, pracochłonną, wymagającą wciąż nowych układów, nowej technicznej myśli i przemontowywania urządzeń. W rezultacie, drobnych owych precjozów wciąż w największych krajowych przedsiębiorstwach i zakładach brakowało, z powodu byle głupstwa przerywano pracę, premie i nagrody brały w łeb. Dochodziło więc czasem do tego, że jednak, owszem, ogromne fabryki same uruchamiały sobie własną wytwórnice brakujących drobnych części, ale był z tym wielki kram, zajęcia te nie mieściły się bowiem w planie i przewidzianych kosztach, hamowały produkcję i komplikowały organizację pracy, robotnicy krzywili się na to, bo jak robić to robić, nie zaś niańczyć się z głupstwami. Wiedział to wszystko entuzjasta Franek, który całą wojnę przekombinował, majstrując to lub owo, przeważnie na lewo. Jednym z jego okupacyjnych kawałów było odnawianie singerskich maszyn do szycia kradzionymi Niemcom częściami. Wszedł w porozumienie z pewnym folksdojczem, pracownikiem łódzkiego oddziału firmy Singer, który odpalał mu na jakieś fikcyjne kwity zapasowe części, nadsyłane do magazynu z centrali w Niemczech. Frank skupywał za bezcen stare maszyny do szycia, remontował je, ekwipując w nowe części, po czym sprzedawał jako nowe po dziesięciokrotnych cenach. Istne handlowe *perpetuum mobile*, przy tym zgoła patriotyczne, bo oparte na nabijaniu w butlę Niemców — odbiorcy zaś nie mieli krzywdy, dostawali przecież maszyny jak nowe, zmontowane ze świeżych, niemieckich części. Jasne i proste, no nie?

Tym razem jednak, w Polsce Ludowej żadnego śladu nawet „kantu” być tu nie miało, przeciwnie, rzecz, jak zapewniał entuzjasta Franek, służyć winna do usprawnienia czy uzupełnienia produkcji państwowej. Jeśli fabryczka jego — rozumował — przetrwała jakoś, choć zredukowana do kilku pracowników, wszystkie najcięższe fazy socjalistycznej walki z prywaciarzami i rzemiosłem, jeśli dostał teraz w prezencie od zagranicznej cioci najnowsze maszyny do precyzyjnej obróbki metalu, jeśli atmosfera dla rzemiosła się poprawia a wielkie zakłady wciąż skamlą o drobne części, to najwyższy czas, aby przystąpić do dzieła. Wystarczy przejechać się po kraju, zebrać w drodze akwizycji zamówienia z państwowych zakładów, postarać się o surowiec (niewiele tam tego surowca trzeba — tyle co nic) i — produ-

kować. Ile wlezie, na pełny gaz! Oczywiście, należy po trochu dotrzeć tę rzecz pod względem prawnym, to się zrobi, ma się przecież stosunki, no i logika zacznie chyba wreszcie zastępować biurokrację. A tymczasem czas już z góry przygotować pracę, zorganizować ją, dostarczyć próbek. Do tego zaś od razu jest potrzebny inżynier, fachowiec z praktyką przemysłową — majster tu nie wystarczy. Pensja nie gra roli, mieszkać na razie będziecie u nas. — No co, Adam, dobijamy targu?! Grunt się za długo nie namyślać, można wystraszyć powodzenie! Więc co — grabuła i do dzieła?!

Adam jednak nie był entuzjastą, nie podzielał szwagroskiego naiwnego zapału: widział wszakże niejedno z tej dziedziny na Śląsku, potem przeżył drobiazgowo „kooperacyjne śledztwo” we własnej sprawie. Jeśli karalne było ryzyko, podejmowane dla wielkiego PaFaKolu, to cóż dopiero mówić o prywatnej, indywidualnej produkcji! Ta produkcja nie mieściła się w ramach Idei, trudno i darmo, czy się to komu podoba czy też nie. Tu nie chodziło o korzyści lub straty materialne, tu chodziło o doktrynę. Osiński w swych kooperacyjnych podróżach po Śląsku Dolnym i Górnym a także w samym Wrocławiu napatrzył się masami na akcję likwidacji i niszczenia rzemiosła, akcję prowadzoną najrozmaitszymi sposobami, od finansowych do policyjnych. Często sami urzędnicy skarbowi czy pracownicy prokuratury uczestniczący w tych akcjach działali w najlepszej wierze, sądząc, że rzeczywiście niszczą wrogów i gospodarczych szkodników — idea miała swoje sposoby perswazji, przemieniające białe w czarne i na odwrót. Znał również Adam po stronie drugiej, ściganej, ludzi wręcz ideowych, którzy w swej pracy widzieli istne posłannictwo. Był taki przedsiębiorca z Poznania, przyjeżdżający często do Wrocławia, idealista i maniak, co nie chciał słyszeć o tym, jakoby w Polsce Ludowej mogło komukolwiek chodzić o cokolwiek innego niż o sprawną i wydajną pracę dla społeczeństwa. Z zawodu farmaceuta, w czasie wojny dyrektor „streuhendleryzowanej” przez Niemców słynnej warszawskiej firmy „Ludwik Spiess i Synowie”, założył po wojnie w rodzinnym Poznaniu prywatną wytwórnę lekarstw, gdzie z powodzeniem próbował nawet produkować egzotyczną wówczas w Polsce penicylinę. Stosując się ściśle do postanowień Manifestu Lipcowego z Chełma a także do pierwszych oficjalnych obwieszczeń ludowej władzy, nie przekraczał nigdy w obsadzie swej fabryki liczby 40 pracowników, płacił robotnikom lepiej niż w przedsiębiorstwach państwowych, wygłaszał do nich przemówienia a oni nosili go na rękach. Dla Adama było jasne, że te objawy idealizmu kapitalistycznego oraz solidaryzmu społecznego muszą krań-

cowo drażnić rewolucyjną władzę, ów facet natomiast, nie-szczesny pragmatysta z bielmem na obu oczach, twierdził iż rzecz ma się zgoła przeciwnie, bo zakład jego jest ludowy, pracuje dla ludu, a lekarstw tam produkowanych nie robi w Polsce nikt inny, są one niezbędne, produkcja ich zasię oszczędza krajowi dewiz. Oczywiście rację miał Adam: delikwenta zaczęto wkrótce niszczyć środkami finansowymi, wyciskając zeń pod byle pretekstem olbrzymie domiary podatkowe oraz najprzeróżniejsze kary. Dyrektor nie chciał zrozumieć i przypuścić, że chodzi tu o walkę ideową, wobec czego szarpał się i prawował, zaskarżając niesprawiedliwe decyzje do coraz wyższych instancji i powołując się niezmiennie na swoją społeczną użyteczność. Wreszcie główny jego przeciwnik, naczelnik Wydziału Finansowego (wtedy nazywało się to jeszcze Izbą Skarbową), solidny obowiązkowy Poznańczyk przyszedł doń i powiedział w cztery oczy: — Panie X, przestań się pan siepać, daj Pan sobie spokój, my mamy nakazane Pana zniszczyć i musimy to zrobić, a z nami nikt nie wygra. „Pan X” jednakże nie posłuchał dobrej rady, dalej miotał się i walczył, wydając ostatnią gotówkę na adwokatów. No i wreszcie stało się: władze, nie mając innego wyjścia, wzięły fabryczkę pod zarząd przymusowy. O ile byt zakładów zatrudniających poniżej 40 robotników zagwarantowany został przez sławny Manifest Lipcowy, o tyle oddawanie tychże zakładów pod zarząd przymusowy (co równało się ich upaństwowieniu i stopniowej likwidacji) oparto na... dekrete Naczelnika Państwa z roku 1919, z okresu wojny z Bolszewikami, kiedy to szło o koordynację pracy małych zakładów z celami wojskowymi ówczesnej Polski, zwanej dziś potocznie burżuazyjno-imperialistyczną. Były to więc jawne kpiny, ale „dyrektor X” i tego nie pojął, lecz w najlepszej wierze jął pracować pod przymusowym zarządkomisarzem, sądząc w prostocie ducha, iż bez fachowej wiedzy się tu nie obejdzie, jako że ów komisarz był prawnikiem nie posiadającym dyplomu, a ukończoną miał, jak mówiono wówczas, jedynie akademię ku czci Józefa Stalina. Po pewnym czasie jednak, zobaczywszy na własne oczy, że nowy szef ma za zadanie zlikwidować produkcję, skonfiskować sprzęt i pozwalniać ludzi, dyrektor X dał wreszcie za wygraną i wziął posadkę sprzedawcy w państwowej aptece, akurat bowiem upaństwowiono wszystkie apteki. Później, po roku 1956 wykladał podobno na uniwersytecie, do przemysłu nie wrócił już nigdy. Tak złamano i wykończono ostatniego w Polsce pływającego luzem kapitalistycznego rekina, tym groźniejszego, że ideowego.

Zdarzył się jeszcze inny podobny wypadek, z tej samej branży i też w Poznaniu — Poznań, wyrosły na solidnych niemiec-

kich tradycjach obfitował wówczas w ludzi, którzy wciąż jeszcze sądzili, że produkcja prywatna lecz wydajna a tania i potrzebna jest dla społeczeństwa korzystna. Tym razem pewien inżynier wraz z kilku kolegami uruchomił chałupniczą fabrykację ketgutu, czyli strun baranich do chirurgicznego zeszywania ran. Małeńka, parooosobowa wytwórnia zawiadnęła ogólnopolskim rynkiem, bo innego ketgutu w ogóle wtedy w kraju nie było, wszystkie szpitale zaopatrywały się u nich, bezpośrednio czy pośrednio. Przedsiębiorcy nasi sądzili więc, że jako niezastąpieni są również nietykalni, tymczasem srodze się zawiedli, bo produkcję ich zlikwidowano z dnia na dzień pod byle pretekstem. I co?! I nic takiego. Żadne nieszczęście się nie wydarzyło, pewien czas operowano jeszcze, niczego się nie spodziewając (bo inne władze zamknęły zakład a inne zajmowały się rozdzielaniem ketgutu, jedno o drugich nic, rzecz prosta, nie wiedząc), po tym ketgutu nagle zabrakło, podniósł się skweres przez tydzień nie operowano wcale, trochę pacjentów kipnęło, więc „awaryjnie” sprowadzono ketgut rosyjski (znacznie gorszy, ale cóż to komu szkodzi), wreszcie zaczęto uruchamiać produkcję państwową, co potrwąć musiało dobrych parę lat. Z tego wszystkiego morał prosty, choć dla niektórych tak trudno przyswajalny: rewolucjonistom nie chodzi o produkcję lecz o ideę.

Zachowując to wszystko w pamięci, to, a także świeżo w Warszawie obserwowany fakt skutecznego dorznięcia ostatniego w Polsce prywatnego wytwórcy i konstruktora fortepianów, również fanatycznego starca idealisty, nadaremnie pragnącego przysłużyć się swą wiedzą państwu, Adam Osiński niezbyt do wierzał entuzjazmowi i konkwistadorskim nadziejom swego szwagra, nie miał też specjalnej ochoty stawać się prywaciarzem — powrót do wielkiego przemysłu okazałby się dlań wtedy wręcz niemożliwy. To, że zakład Franka, nominalnie zatrudniającego kilkunastu, teraz zresztą rozproszonych pracowników, jakoś jednak przetrwał i ocalał, wynikało niewątpliwie z przypadku i niedopatrzienia. Przypadek i niedopatrzienie to w tym systemie jedyna forma łaski, podobnie mówiono, że tak zwane kumoterstwo to ostatnie ludzkie uczucie po drodze do socjalizmu. Żarty żartami, ale znów zależeć od przypadku — to przecież nazbyt zniechęcające. Adam nie wiązał więc nadziei z warsztatem szwagra, nie mógł jednak zaprzeczyć, że przyjemnie tam było siedzieć, obcować z najnowocześniejszą, miniaturową tokarką i frezarką, a także gadać ze starym majstrem, od którego mnóstwo rzeczy można się nauczyć. I tak oto jakoś, Adam przetrwał nieoficjalnie w owym warsztacie całe lato i jesień 1956, nie dając szwagrowi wiążącej odpowiedzi, lecz mieszkając wraz z ojcem w gigantycz-

nie przestronnym łódzkim mieszkaniu. Jadwigę i Zbyszka widywał rzadko, bolał nad tym, nie decydował się i dobrze się stało, bo nadszedł głośny Październik 1956 i dużo spraw uległo zmianie.

Do przewrotu zwanego Październikiem nie miał początkowo inżynier Osiński nadmiernego zaufania. Związał się ten przewrót z imieniem i osobą nowego sekretarza Partii, a był to w istocie dawny Sekretarz, z pierwszych lat powojennych, kiedy otrzymał też stanowisko Ministra Ziem Odzyskanych i Adam widział go nawet kiedyś w PaFaKolu. Później Sekretarza tego usunięto, oskarżono o różne dziwne przestępstwa, potem podobno zamknięto, w każdym razie słuch o nim zaginął na długie lata. Tymczasem teraz powrócił zaskakująco, bo jako oswobodziciel i odnowiciel. Adam pamiętał, jak po wojnie pod egidą owego Sekretarza zniszczono na Ziemiach Zachodnich rzemiosło, rujnując całe miasteczka, jak zbałaganiono rolnictwo, dezorientując chłopów sprzecznymi postanowieniami, jak zamykano do ciupy zdolnych ludzi. Ale może, mówiło się teraz, wszystko to działo się wbrew tamtemu, a może on sam się zmienił, ze złego stał się dobry? Tak czy owak, rzeczywiście wydarzyło się od razu dużo nowego, między innymi straciły ważność wszelkie personalne obciążenia i wilcze bilety z poprzedniego okresu, uznane teraz po cichu lecz zdecydowanie za bezprawne. Tyczyło się to również papierów wystawionych Osińskiemu w PaFaKolu. Zresztą ktoś z dawnych znajomych opowiadał, że w PaFaKolu zaszły również ogromne zmiany personalne. Dyrektor Machan opuścił zakład, przechodząc całkiem na politechnikę, o inżynierze Rotmanie wszelki słuch zaginął, kogoś tam z personalnego wywieziono na taczkach za bramę, przyszli za to ludzie całkiem nowi. Inżynier Osiński zaczął przemyśliwać o powrocie do Wrocławia, choć opierała się temu zaabsorbowana swym szpitalem Jadwiga, gdy oto naraz zaproponowano mu doskonale płatną posadę w tworzącym się Projektowym Biurze Konstruktorskim, które pracować miało dla technologii warszawskich zakładów przemysłowych. Takich samodzielnych Biur Konstruktorskich powstawało teraz, po Październiku, sporo — była to okazja powrotu do Warszawy, do Jadwigi i Zbyszka, choćby nawet do zagraconego, ciemnego pokoju na ulicy Hibnera. Adam przyjął propozycję natychmiast i, porzucając tryumfującego, pełnego teraz nowych pięknych nadziei Franka, ruszył do stolicy.

Czym jest Biuro Projektowe, czym jest Oflag, czym jest przydworcowe mieszkanie M 3, którego niskie sufity sklepiają się teraz nad śpiącym niby inżynierem Osińskim? Są to jakieś trzy stacje pechowej karuzeli, stacje niemożności i nudy — one to

właśnie a nie inne epizody wyznaczają rytm życia, choć jeszcze w pełni trwającego, to już zdeterminowanego stałym powrotem podobnych sytuacji, podobnych wciąż klimatów. Na pozór zupełnie odmiennych a w istocie swej podobnych, aż sądzić by można, że to charakter umieszczanego kolejno w tych klimatach osobnika warunkuje każdorazowo taką nie zaś inną otaczającą go, wybraną dla niego czy też przez niego przyciąganą atmosferę.

Podobieństwa między Konstruktorskim Biurem Projektowym i Oflagiem? Bardzo duże! z wspólności tych miejsc z wymarzoną przecież od lat, zmitologizowanym w wyobraźni mieszkaniem M 3 w najnowszej „metalowej” dzielnicy, zwanej tak od zainspirowanych chemią czy metalurgią nazw tutejszych ulic? Też istotne: dadzą się owe wspólności wykryć choćby w czasie snu, kiedy nie myśli się za pomocą konwencjonalnej logiki pojęć zewnętrznego życia, lecz kiedy wszystko zlewa się i łączy, przybierając sobie jakieś syntetyczne kontury. Noc i sen to taka pora, gdy inżynier Osiński nie myśli, lecz wie. Tak było w Oflagu, tak w epoce Biura Projektowego, tak jest i teraz: od myśli ucieka się do bezsłownej wiedzy, która nie wskazując wyjścia, daje jednak chwilowe uspokojenie. Chwilowe — sen to podobno brat śmierci, tak przynajmniej napisano w „Panu Tadeuszu”.

Zatem podobieństwa między Biurem Konstruktorskim a Oflagiem, proszę bardzo, o nich inżynier Osiński myślał często, nie tylko intuicyjnym myśleniem sennym, ale właśnie na jawie i właśnie wówczas, gdy w owej instytucji pracował. I w Oflagu i w Biurze życie toczyło się na niby, sztucznie i chwilowo, mierzalnie a jednak jakoś bez oporu, samoistnie, do tego toczyło się wśród ludzi przypadkowo dobranych i obojętnych, których wszakże, jak w złym śnie, niesposób było się pozbyć. Adam po raz pierwszy zetknął się z warszawskimi spryciarzami bez skrupułów, potrafiącymi w miarę potrzeby przybrać każdą dogodną maskę. Teraz na przykład, z ogromną zręcznością psychologiczną (byli to psychologowie amatorzy, kunsztem swym jednak znacznie bijący dyplomowanych profesorów) przyjęli na się postać „październikowców”, ludzi liberalnych o szerokim spojrzeniu, propagujących nieskrępowany rozwój „wyzwolonej wreszcie z biurokratycznych okowów nowoczesnej myśli technicznej”. Sami, sztuka w sztukę, inżynierowie mechanicy (choć Adam raczej przyznałby im dyplomy doktorów psychologii stosowanej), okazali się mistrzami w sporządzaniu dokumentacji zawyżonych i nieprzystosowanych do rzeczywistości. Nieprzystosowanie takie było oczywiście świadome — inżynierowie z Biura to autentyczni fachowcy i doskonale wiedzą, jak sporządzić projekt nieprzystosowany i nieprzystosowalny, jak go potem stop-

niowo zbliżać etapami do rzeczywistości, biorąc za każdą taką etapową wersję osobne pieniądze. Kogoś oszukiwano tu na potęgę a z gustem. Kogo? Ano, różne warszawskie i podwarszawskie zakłady pracy, a poprzez nie mityczny skarb Państwa. Tyle, że w zakładach pracy nikt się o zawyżanie kosztów wciąż przetwarzanych dokumentacji technicznych nie turbował: warszawskie filuty, klan niezwykle rozmnożony i solidarnie okupujący wszelkie budowy czy prace inwestycyjne pojął „przemiany październikowe” (to określenie nie opuszczało rozrechetanych rubasznie pysków towarzyszy inżynierów) jako zawieszenie kontroli i odkucie się za wszystkie czasy. Doszło do paradoksu: we Wrocławiu inżynier Adam Osiński został ukarany za rzekomą nieuczciwość, której w istocie nigdy nie popełnił, tutaj jest nieuczciwy każdego dnia pracy, ale nikt go nie karze i nikt w ogóle nie chce o tym wiedzieć — nastaly przecież czasy wolności. Adam żyje dziś kosztem innych, uosabianych choćby w anonimowym pojęciu zwanym społeczeństwem, na którym to społeczeństwie wcale się tu nieźle pasożytuje, żyje wśród grona obcych sobie wzajem, choć we wspólny sposób postępujących osobników. W obozie też miał zawsze poczucie, że względny, obrzydły, ale pewny spokój tamtejszego ich niewolniczego życia trwa jakoś na koszt rodzin i bliskich w kraju, a także wszystkich w ogóle Polaków, dręczonych co dzień okupacyjnym terrorem. Oblesny, programowo chamski, ale w myśl Konwencji Genewskiej poprawny Szkop, oraz zdziwaczały i śmiertelnie znudzony przymusowy kolega oficer byli Adamowi równie wstrętni czy dokuczliwi jak obecni koledzy konstruktorzy, skrupulatnie i z dobrym humorem wypłacający mu legalne, choć kilkakrotnie zawyżone, wcale przezeń nie wymagane wysokie zarobki. Ba, jeszcze na wódkę go ciągnęli, któż bo wtedy w Warszawie nie pił, jeśli w dodatku kantował? A któż nie kantował, gdy normalna płaca ani rusz na normalne życie z wódką starczyć nie mogła? Wszyscy to rozumieli i wszystko pod tym kątem, nader zgodnie z odnalezionym naraz, tradycyjnym, warszawskim temperamentem się układało — tyle, że dla jednych, zwinnych rybek dogodne mętne wody otwierały się dawniej przed tak zwanym Październikiem, dla innych dopiero po nim. Przed Październikiem łatwiej się kantowało robotnikom, po nim — technikom i inżynierom. Kiedyś później już w Niedźwiedowie, opowiadano Adamowi, że w „minionym okresie” sławny tamtejszy przodownik pracy śpiewająco, objając się po fabryce, wykonywał przy obrabiarce 200 procent normy, chwalił się zaś, że może zrobić i trzysta i czterysta i mieć w dwa lata Plan Sześcioletni „z głowy”. Po Październiku robotnicy wzięli trochę na ambit a i normy uregulowano (choć nie zawsze

— przykładem dyrektora Maciejewskiego i jego taktyka), za to umyślnie, zwłaszcza technicy wyzyskali wolnościową okazję że aż ha. Wolność w Warszawie to oszustwo, myśli sobie inżynier Osiński. Jakże tęskniło mu się przez lata warszawskiego wygnania za szerokim oddechem wrocławskich hal fabrycznych, za robotnikami, majstrami i prawdziwą pracą! Warszawskiego wygnania? Czemuż to właściwie coraz to nowy etap życia zdaje mu się wygnaniem? Przecież nadal robi wszystko, co do niego należy, a jest tu u siebie bardziej chyba niż we Wrocławiu, choć znacznie mniej, niż w owym przypadkowej proveniencji obozie jeńców.

Robił więc co do niego należało, choć na pewno otrzymywał częstokroć to, co do niego nie należało, a, robiąc swoje, automatycznie brał udział w kantach i kręctwach. Praca w Biurze Konstruktorskim była tak kolektywnie spleciona, wspólna, że w żaden sposób nie można się było od niczego wymówić, rzecz od razu się objawiała, choćby raz, przy projektowaniu odlewni w Niedźwiedzowie właśnie, gdy Adam, któremu powierzono kosztorys materiałowy, próbował rzecz urealnić nie tylko w zakresie swoim, ale wkraczając automatycznie na teren pracy kolegów. Zmonitowano go z punktu, gdyby zaś się upierał wzbudziłby podejrzenie, a wtedy z łatwością wykrecono by sprawę tak, żeby z niego jednego zrobić oszusta. Na to mieli dosyć bezwzględności, no i spryt — wręcz wirtuozowski. Był to w istocie kolektyw idealny, absolutnie zgrany i solidarny. Osiński zadawał sobie pytanie, czy może postępowanie zespołu jest wyrazem opozycyjności politycznej, jakimś ideowym sabotażem? Próbował to wysondować, ale nigdy mu się nie udało: nawet przy wódce współnicy mieli pełną gębę deklaracji pro ustrojowych, socjalistycznych, zwłaszcza teraz, po usunięciu „błędów i wypaczeń”. Nawet też przy wódce nie przyznawali się między sobą, że oszukują (kogo?!), rozmyślnie nie dostosowując dokumentacji do konkretnego, aby ją potem w nieskończoność poprawiać, prezentując wciąż nowe, zawyżone koszty a winę zwalając na zakład pracy, że niby nie wie, czego chce. Przecież pieniądze są niczyje, wędrujące, czemuż, skoro takie są, nie skierować ich w swoją stronę? Jeśli więc inżynierowie z Biura nigdy między sobą nie przyznają się do oszustw i bujań, to jakże ich o to atakować, zwłaszcza będąc jednym z nich? A może oni wcale nie wiedzą kim są, może działają intuicyjnie, zgodnie ze swą naturą, Warszawiacy początku drugiej połowy XX wieku, specjalna nacja epoki polskiego socjalizmu?

Zresztą biura konstruktorskie z czasem skasowano, przenosząc je do fabryk, ktoś tam widać nawet w tym dziwnym syste-

mie, gdzie nie obowiązują ekonomiczne prawa ciężenia, zorientował się, że „coś tu nie gra”. Tyle, że nikt za nic nie został ukarany, koszta zbilansowano i wchłonięto, konstruktorów zaś umieszczono przy fabrykach, wpadając z jednej ostateczności w drugą, bo płacono im tu podle. Ale Osiński nie doczekał zmiany: w swoim Biurze Projektowym przetrwał bez konfliktów ale i bez radości (zupełnie właśnie jak w Oflagu) do wiosny 1960, kiedy to objął pracę w Niedźwiedowie. Cztery lata katorgi i dobrych zarobków, a także dalsze, wciąż postępujące rozstawanie się z Jadwigą i synem. Takie to były czasy.

Z Niedźwiedowem zetknął się Adam wcześniej, właśnie z okazji projektowania owej odlewni, chcieli tam bowiem mieć i własną, zelektryfikowaną odlewnię, żeby nie zależeć wciąż od nierytmicznych dostaw z całej Polski. Cóż z tego, że produkowali rocznie ze trzydzieści, może trzydzieści pięć tysięcy traktorów różnych rozmiarów (w roku 1970 powinni dojść chyba do pięćdziesięciu tysięcy), kiedy z częściami zamiennymi i detalami była wciąż krewa i draka, powstawały z tego przestoje, a zaopatrzeniowcy krążyli po całym kraju jak głodne kruki. Detale, precyzyjne detale, odlewy, walcówka, to samo co w PaFaKolu! Problem, prześladowający Adama całe życie objawiał się znowu, tu, na Mazowszu, pod samą Warszawą. I do tego owa toporna silnikownia, prymitywna hala ręcznych obrabiarek, grube skrawanie i marnotrawstwo wiórów żelaznych — bo co tu z nimi robić?! Wielki, niechlujny i niustawny gigant, bocznica kolejowa, magazyny, śmietnik, park traktorowy, zaś w dali odwieczna, mazowiecka polna droga, obrzeżona szeregami krzywych, podpróchniałych wierzb. Mimo wszystko podobało się tu Osińskiemu, nie tylko wtedy, gdy bywał w zakładzie z okazji sknoconej odlewni, ale i później, kiedy mieszkali z Jadwigą na tej linii, najpierw w Milanówku, potem w niedalekim Piastowie. Bo też i natłukli się „po powiecie” ile wlaźło, gdy zmarła teściowa, a pokój na Hibnera po wielkich awanturach z sąsiadami nie przypadł zameldowanej przecież w stolicy Jadwidze, lecz, nie wiedzieć dlaczego, wrócił do kwaterunku. I zrób mu dziecko na plecach! — jak mawiał Staś Buchała.

Stasia Buchałę spotkał tu Adam od razu, znali się przecież ze Śląska, bardzo się sobie ucieszyli. Jeszcze bardziej ucieszyli się z Jasiem Brzozowiczem — ten jedyny lubiany kolega z Oflagu tkwił tu od samego początku, od swego powrotu. Chcieli zaraz Adama wciągnąć, jemu rzecz się uśmiechała przede wszystkim dlatego, że Niedźwiedów był poza granicą Wielkiej Warszawy, statut osiedlowy dostali dopiero w roku 51-ym, więc meldowali wszystkich, ze wsi czy z miasta bez wyboru. A zara-

zem bliźniutko tu do stolicy, piętnaście, dwadzieścia minut, samo centrum. Osiński wciąż przecież nie ma stołecznego zameldowania, tylko co pół roku zebrze o przedłużenie czasowego, zaś owo złodziejskie Biuro Projektowe zbrzydło mu już doszczętnie. Tymczasem Niedźwiedów jak znalazł — więc się Adam zapalił, choć technicznie nie widać tu cudów. Fabryka bowiem też rąbie traktory „jak leci”, przypadkowo, bardziej na ilość niż na jakość, model zmienia się rzadko. Toteż poziom techniczny niewysoki, inżynier czy technik wypada na trzydziestu robotników, materiał ludzki nie świetny. W dodatku co kogo podszkolą to odchodzi, współczynnik zmianowości kadr ogromny, wiadomo, Warszawa kusi i wysysa ludzi ze wsi, zwłaszcza gdy mogą dojeżdżać.

Atrakcji więc technicznych nie ma tu i nie będzie, fabryka ciągników idzie swoim torem, bez względu na zapotrzebowanie, bo produkować dla magazynów można długo. Głównym zwolennikiem odejścia od schematu i tradycyjnego, przedwojennego jeszcze profilu jest, o dziwo „handlowiec mimowoli” Staś Buchała. Chciałby przy okazji robić też nowości, precyzyjne, ulepszone, jakies siewniki, rozrzutniki, sadzarki, ba, młocarnie i sieczkarnie, nie wystarczają mu wielkie śnieżne pługi, marzą mu się specjalne, do podorywek, łąkowe, także przeróżne brony traktorowe i konne lub zgoła samoczynne. A czemu by na przykład nie żniwarki, sieczkarnie, kieraty? Z tej chlubnej manii wyrosnie kiedyś nieszczęsna afera Walichowskiego z jego elektrycznym ręcznym pługiem „na kółkach”. Koledzy od lat tłumaczą Stasiowi, że to całkiem inna produkcja, że brak tutaj fachowców, urzędzeń, części, kooperantów, że maszyny żniwne robi Płock, Kutno czy Poznań, a małe precyzyjne Lublin, po cóż ich dublować, Niedźwiedów ma przecież jeszcze sprzed wojny swoją tradycję ciągnikową, i tak łaska Boska, że silniki montuje się już na miejscu. Ale inżynier Buchała uśmiecha się smutnie i dalej swoje, powołując się na sprawy zbytu. Tymczasem ze zbytem ma przecież dobrze, traktory idą, nawet na zagranicę, choćby w kooperacji z Bułgarią i Czechami. Idą nie tylko do NRD, lecz nawet daleko, do Południowej Ameryki. Na Zachodzie nikt się przecież do takiej topornej produkcji nie pali. A już w kraju handel łatwy, istna Kanada, jak mówiono w obozie.

O tej krajowej łatwości sam Staś Buchała ma do opowiedzenia niejedną smutną anegdotkę — tyle, że prawdziwą. Raz na przykład musiał upchnąć gdzieś dużą partię traktorów nie najnowszego modelu — taka akurat im wyszła, wobec kapryśnego materiałowego zaopatrzenia trzeba robić z tego, co dają. Pojechał więc do Centrali Handlu Sprzętem Rolniczym, która dostarcza maszyny PeGeErom i spółdzielniom. Ci mają specjalne do-

tacje, wezmą wszystko aby wykonać plan zakupu — rozumował Staś. Tymczasem nagle tamtejszy dyrektor się uparł, powiada, że ma już tego dosyć, że klienci nie chcą brać bez części zamiennych, że wysiada aparatura wtryskowa, sprężyny, chłodnica i cały traktor na nic — istny szmelc. Nie i nie, wbij zęby w ścianę! Staś wrócił do Niedźwiedowa jak struty, bo to plan sprzedaży na najbliższy kwartał, zaś ciągniki stoją gotowe. Wreszcie po trzech dniach zgryzoty pojechał do Centrali jeszcze raz, błagać o litość. A tam właśnie dyrektora nie było, poszedł na urlop, jego zastępca nic o poprzednich rozmowach nie wiedział i od razu wziął partię. Buchała ruszył biegiem, z umową w kieszeni wiał do Niedźwiedowa, ani się obejrzał. Grunt od razu wypchnąć traktory z parku, aby tylko robotnicy ich nie widzieli, gotowi pomyśleć, że fabryka idzie niepotrzebnie. I tak już praca toczy się na odtrąbiono („na odpierdol” — mówił Staś), śniadanie jedzą 40 minut, wódkę piją w hali montażowej, a jak trzeba to jeszcze śpiewająco plan dogonia, bo normy niskie. — Tak panowie, nie wiem jakim cudem się to wszystko trzyma, kto za to płaci — i Staś Buchała wzrusza ramionami ze swoją ni to kpiącą ni to żalowaną miną.

Jednakże Osińskiego interesowała ta fabryka. Nie wierzył co prawda w projekty rozszerzenia produkcji o maszyny specjalne, projekty wciąż wnoszone przez stęsknionego technika, inżyniera Buchałę — rzeczywiście nie ma na to urządzeń, możliwości kooperacyjnych, ludzi. Ale i w samej konstrukcji ciągników było jeszcze dużo niewykorzystanych możliwości, technologia wciąż się przecież na świecie rozwija, nic nie stoi w miejscu. Kapitalistyczny Zachód stawia na nowe dziedziny, na elektronikę i petrochemię, czemuż by go nie wyręczyć i nie opanować rynków traktorowych? Trzeba na to oczywiście udoskonalić produkcję, wyzyskać nową (spatałaszoną przez ich dawne biuro i przez niezdecydowanie dyrektora Maciejewskiego) odlewnię, a także kuźnię i szlifiernię, postawić na zmodernizowane modele gąsienicowe lub kołowo-gąsienicowe, na wzory przyszłości, na poszukiwane ciągniki C-228, C-330, a także na specyficzny, ciężki ciągnik C-385, konstruowany wspólnie z Czechami. Tak, będzie tutaj co robić, nie PaFaKol to wprawdzie, ale równie duży Niedźwiedów, dziesięcioletnia przeszłość załoga, dawna tradycja, no i w końcu stolica, specyficzne osiedle, 25.000 ludzi, tuż u granic Wielkiej Warszawy. Są tu właściwie trzy Niedźwiedowy: stary ryneček z drewnianym kościółkiem i groteskowymi ceglanyymi sześcianikami prywatnych domków, nad nim Niedźwiedów nowoczesny, dzielnica bloków, odzwierciedlająca różne fazy powojennej historii, od ciężko murowanego stalinizmu po

szkłano wysmukłą architektoniczną „odwilż”. Zaś po przeciwnej stronie toru, za podziemnym pasażem dworcowym bije serce tej dziwnej miejscowości: zakłady mechaniczne „Niedźwiedów”. Stare, ceglane biurowce i zielonawe prostopadłości nowych hal, nad wszystkim króluje ponury betonowy kolos nowej odlewni, wznoszący się nad skrzyżowaniem torów. Bucha on na przemiany dymem siwym lub żółtym i napełnia całą okolicę swym stłumionym, miarowo huczącym pomrukiem. A dalej mnogość cygarowatych kominów, opaste fabryczne kotły, smukła wieża rozdzielcza, inna, metalowa wieża wysokiego napięcia, na kształt grzyba, bryły srebrnie owalne tudzież ciemno prostokątne, do tego niespodzianie przystawione nowe hotelowe bloki robotnicze, tak zwane „spalnie”, bo tylko się tu śpi, pracuje się w zakładach, do sklepów i po przyjemności jeździ do Warszawy. Zaś za fabrycznym murem cały teren aż po bliski, nizinny horyzont obrósł liszajem małych, krzywych domków, drewnianych lub ceglanych baraków, bud, bunkrów, warsztatów, opuszczonych magazynów. Są tu też miniaturowe sady, ogródki, a tuż obok żelastwo, cmentarzysko starych części, niechlujne parkany, słupy, rowy, błoto, pejzaż ni to wiejski ni miejski, jak zwykle w polu obok wielkich siedlisk przemysłu.

Adam nawłóczył się po tych okolicach, choć w Niedźwiedowie pracować zaczął dopiero wiosną 1960. Dyrektor Maciejewski przyjął go bez trudu, renoma drugiego inżyniera PaFaKolu zrobiła swoje, ale coś tam się jednak dalej za nim wlokło, bo nie dali go do technicznego, lecz zrobili głównym zaopatrzeniowcem, dokładając z czasem ubeczka Działamaka na zastępcę. Miało to niby być chwilowe, aż się w produkcyjnym coś otworzy, w rezultacie tak już zostało, choć do technicznego przyjęto tymczasem wielu nowych. I oto inżynier Osiński pielgrzymuje znów ile wlezie, po Śląsku Górnym i Dolnym, do Lublina, czasem do Płocka i na północ, do Olsztyna po ogumienie. Wszystko mu się już miesza: semafony, sygnały, bocznice kolejowe, mnóstwo żelastwa w brudnym śniegu, ponure magazyny w błotnistych polach. Nie wiadomo dlaczego cała podwarszawska epopeja skojarzyła się w jego wyobraźni tylko ze zwałami brudnego śniegu, z którego niesposób wyciągnąć nóg (sen, stały sen na jawie) czy też z błotem i zardzewiałą kratą. Były przecież i wiosny, lata, jesienie, rozszumiała się poważnie topolowa aleja przy dworcu w Niedźwiedowie a także rdzawe wrześniowe kasztany nad budynkiem stacyjnym. Ale to szybko spływało, pozostawała zima i noc. Noc zwłaszcza, bo jak się nie mieszka to się wstaje przed świtem, zaś Osińscy długo jeszcze nie mieszkali naprawdę. Gdy, lata całe nim doszło do pracy Adama w Niedźwie-

downie, wynajmowali pokój koło Milanówka, wstawać musieli o czwartej rano, by odwieźć dziecko do żłobka i zdążyć do swych „miejsc docelowych”, do szpitala i biura. Dzień schodził gorączkowo a pusto, wieczorem spotykali się jak dwoje winowajców, z tym, że każde miało jakąś inną niby winę i chowało ją dla siebie, bo o czymże tu gadać. Od lata 1960 inżynier Osiński mieszkał już w Niedźwiedowie, to w hotelu robotniczym to znów w nowych blokach czyli właśnie w „spalniach”, ale wciąż prowizorycznie, bo czekał na warszawski meldunek. Zbyszek chodził do niezłej nawet Niedźwiedowskiej szkoły, Jadwiga przyjeżdżała, ale nie zawsze, koczowali tu i tam, były też jakieś nadmorskie wczasy we troje, zresztą to nieważne: Adam ma w głowie skrót, syntezę — najeżony metalowym rusztowaniem tor podmiejskiej linii elektrycznej, automatyczne przejazdy kolejowe, przewody wysokiego napięcia, parę razy na tydzień wyskok autem fabrycznym do Warszawy po wciąż rozkopanej zsośle, wśród żelastwa, betonu i brudnych kawałów pola. Ciasno tu choć Mazowsze. Semafor, dźwigi, ciężarówka, stare węglarki i wagony, słupy trakcyjne, transformatory, druty, liny, geometryczne stalowe zygzaki na tle nieba — oto wszystko — dużo i mało zarazem.

I nagle spełnienie: jedno z pierwszych mieszkań w „Urano-ym” osiedlu obok Dworca Głównego, M 3, dwa pokoje, kuchnia wąska ale nie ślepa, łazienka, razem 34 metry powierzchni. Tu zeszedli się więc na stałe z Jadwigą i krostowatym, ruchliwym wyrostkiem imieniem Zbyszek — równo w dziesięć lat po wygnaniu z Wrocławia. Na czym ten czas spłynął — nie wiadomo. Ale skoro jest meldunek i mieszkanie, to jest i azyl. Osiedle z betonowych jedenastopiętrowców, ustawionych wokół kwadratu z błota czy chrupkiego lodu, obok szkoły szklanej, niskiej, pokratkowanej niczym plaster miodu, obok hałaśliwego szkolnego boiska. Pod niebotycznym cieniem Pałacu Kultury a powyżej owej sterczącej ukośnie w górę betonowymi rogami nowoczesnej stacji Ochota, do której prowadzi równie betonowy most, rozpięty nad kolejowym wykopem. O świcie już słychać tu daleko się niosący megafonowy, mało ludzki głos, który zapowiada pociągi. Ten głos to znów symbol jakiejś komendy. Inżynier Osiński po latach wygnania zrobił się nieufny, wciąż zwiduje mu się coś niby Murnau 3. I tak dwa lata już mieszkają z enigmatyczną teraz Jadwigą i z krościastym chrypliwym Zbyskiem, popisującym się spadającą na kark falą modnie niedbałej fryzury. Czasu nadal nie starczy na nic, objają się o siebie, w domu widzą się wciąż z bliska, chcąc nie chcąc obserwują wszystkie swoje ruchy i miny. On zresztą przyzwyczał się do takiego

ciasnego życia w Oflagu, ona nie miała okazji. Pewno tu go dopiero naprawdę zobaczyła, tu ostatecznie przestał jej się podobać, gdy po latach prysła legenda Wrocławia. A na horyzoncie jest przecież mityczny doktor Lasota, melancholijny kieszonkowy Judym naszym czasów i obcy, agresywny Zbyszek, wychowany nie wiedzieć kiedy przez przypadkowych (jak to zawsze w socjalizmie) rozrywkowych pedagogów z telewizji. Wszystko zapowiada, że życie rozplynie się w palcach, ale nie ma czasu zebrać go do kupy, owego życia w nowym bloku na wygwizdowie, toczącego się ponad szkłem i betonem, ale także, z drugiej strony ponad ceglanyymi resztkami starowarszawskiego Dzikiego Zachodu. Nie ma czasu, bo jest Niedźwiedów, szpital, szkoła. Każdy żyje sobie, gdy są razem drażnią się wzajem obijaniem po „małym metrażu”. Lecz nie o to chodzi. A właściwie o co? Trudno ułović sensowne wyjaśnienie, zebrali się już przecież razem, życie płynie normalnie, coś się pozytywnego robi. Pociąg elektryczny do Niedźwiedowa, głos z megafonu, niezgrabny tłum, sygnał czerwony, sygnał zielony. Wszystko się niby tłumaczy, pokrywa, układa, ale wewnątrz, Adam jest tego pewien, nie ma porządku — coś nie idzie, coś się wciąż zacina, tak jak owa bez głowy pomyślana czy raczej w ogóle nie pomyślana kooperacja.

IV

Skończyły się w przemyśle przydziały większych mieszkań — choć właściwie owe M 3 (Murnau 3?!) to jak na dzisiaj wcale dużo. Tyle, że jest ono spółdzielcze lecz nie lokatorskie, czyli mnóstwo trzeba będzie za nie płacić, aby po śmierci głównego lokatora wróciło znów do spółdzielni. Taka teraz w Warszawie moda: kiedyś, na początku, socjalistycznie, wszystko za darmo, teraz znowu za wszystko trzeba bulić i to coraz więcej, przy czym nigdy nie wiadomo, jaka znów dziura się otworzy. Nazywa się to nawrotem do rachunku ekonomicznego, Adam uważał, że jest to nawrót do kapitalizmu, ale kapitalizmu dziwnego, państwowego, na którym w gruncie rzeczy nikt nie zarabia, bo forsa gdzieś niknie, przepada, chyba że tu i ówdzie przechwytyują jej część kombinatory, takich zresztą w dzisiejszej Polsce nie brakło, a już w Warszawie roją się niby karaluchy. Skąd się właściwie tutaj wzięli? Adam próbował przypominać sobie Warszawę przedwojenną, ale szło mu opornie, widział ją jak przez grubą mgłę i poza wyglądem starych ulic niewiele z ówczesnych stosunków potrafił sobie odtworzyć. Był tu wtedy niby kapitalizm, ale raczej fasadowy, w istocie dosyć mizerny, bez żadnego rozmachu inwestycyjnego, tyle, że stare fabryki jak Lilpop pracowały solidnie — Osiński odbywał w nich kiedyś praktykę. Kapitalizmu zachodniego prawie nie znał — raz zaledwie liźnął trochę tamtych sławnych krajów, odbywając w ramach studenckiej wymiany sześciotygodniową wakacyjną wycieczkę po Francji i Włoszech. A potem już tylko Oflag i koszmarne, złażdżone Niemcy powojenne. Tak, nie miał właściwie żadnych ustrojowych porównań, zdany był na wizję dzisiejszą, na owe warszawskie śnieżne błoto, z którego, jak w mierzalnym śnie, z trudem wyciągało się nogi.

Nowe mieszkanie, czyli standartowe M 3 w sąsiadującym

z dworcem Osiedlu Uranowym stało się symbolem nowego typu upokarzającej mozolności — upokarzającej właśnie technicznie, bo technika to przecież wyraz ludzkiego panowania nad nudną grą żywiołów. A dlaczego chlubiąca się wciąż swą nowoczesnością i przemysłem, od podstaw na kulcie techniki i produkcji budowana Warszawa wydaje mu się ciągle wielką, niechlujną wsią? Wszak mieszkania, jeśli już ktoś miał nowe, na pewno są znacznie lepsze niż przed wojną, przeróżne zaś wskaźniki statystyczne wyższe. Dlaczegoż więc, mimo bruków, asfaltu, betonu, blisko tu jakoś do ziemi, do błota, dlaczego symbolem miasta stali się pijani, i nieokrzesani, głośno bełkoczący na ulicach nowi jego obywatel, wykorzeni chłopkowie, których wyzuto ze szlachetnej na swój sposób wiejskiej tradycji i wspólnoty, rzucając bezradnych, obałamuconych w nijaki, pozbawiony wewnętrznego kierunku warszawski kołomąt? Dlaczego? Ano, idea działa — mówi nieodmiennie Staś — ona umie wszystko zrobić, zamienić pracę w bałagan a lud w miejskich filutów i kanciarzy. Pijany chłopek, zataczający się na budowie, to symbol dzisiejszej Warszawy: odebrano mu wieś a nie pojął jeszcze miasta, w które zresztą nikt go nie wprowadził. Czy pojmie, kiedy pojmie i kto go ma do tego skłonić? Ba!

Adam Osiński zresztą w ogóle nigdy nie lubił nowoczesnej Warszawy, podświadomie nosił w sercu przedwojenną, secesyjną, gdzie każdy dom miał swoją historię a także swoją indywidualną szatę w postaci zewnętrznego zdobnictwa, konwencjonalnego może lecz jednak zobowiązującego. Dobrze i przytulnie, jakoś ojczysto czuł się też w starych, obszernych mieszkaniach Łodzi, choć tyle krzyczano na temat technicznego zacofania tego kapitalistycznego niegdyś miasta. Tymczasem tutaj, na Uranowym placu nie placu, w samym sercu sławionej warszawskiej nowoczesności, Adam miewał się nieswojo, bo wciąż widział paralelę między usterkami w domu i usterkami w fabryce, przypominało się to nieustannie jak ból zęba. Praca wielkiego, przemysłowego kombinatu mogła zostać sparaliżowana i zatrzymana przez brak śrubek, kabla czy uszczelki, podobnie życie mieszkania lub bloku zastopowane bywało i zatrute przez nieprecyzyjne wykonanie kranów, przewodów elektrycznych, podłóg, okien, zamków, kaloryferów. Prasa o tym pisze, radio gada, ale cóż, kiedy nie ma kto robić, naprawiać, brak materiałów remontowych a tak nowomodnie zwane „usługi” nie są zorganizowane ani rozplanowane, prywatnych rzemieślników wytepieno lecz państwowych nie zrodzono. Detale precyzyjne, to samo co w przemyśle, przesładują Adama i tutaj, psując humor, podkopując duchowy komfort we własnym locum. Drobiazgi niwelujące i

niszczące wielką pracę budowniczych, paradoks wobec rozwoju techniki, że oto, myśląc o architektonicznych słoniach i żyrafach, zapominamy o dokuczliwych domowych pchłach. Czyżby wiejskość Polski trwała dalej w nowej postaci, czy też, jak się upiera Staś Buchała, winien jest system, objawiający wszędzie swą negatywną prawidłowość? W gruncie rzeczy Rosja rewolucyjna to był kiedyś również kraj chłopski: mieszczan sterroryzowano lub wybito, a robotników w chłopskiej ojczyźnie ciągle mało. Wieś blisko, wieś natarczywie blisko! Odczuwał to Osiński, gdy do reperacji spatałazzonego mieszkania sprowadził sobie wreszcie robotnika z Niedźwiedowa, do niedawna wiejskiego, małorolnego cieślę spod Skierniewic. Wyjście się znalazło, ale czuł się tym wyjściem upokorzony jako technik. Od wczesnej młodości wierzył w technikę, uważał ją za obiektywnie pewny miernik ludzkiej działalności, tymczasem tutaj i ona zawodzi. Zrobisz wynalazek czy usprawnienie, okazuje się, że to wcale sytuacji nie poprawia, przeciwnie, komplikuje i utrudnia. Łatwiej bowiem wykoncypować sam wynalazek niż go wprowadzić do produkcji, do harmonogramów i planu. Wynalazca w fabryce to istna zmora, jeśli się go zawczasu nie zniechęci będzie ludzi niepokoił i straszyl, przeszkadzał trawić i bezowocnie nadgrzyzał sumienia, jak ów groteskowy inżynier Walichowski ze swoim wirującym pługiem. W gruncie rzeczy wszyscy oni są nie w porządku wobec tego starego maniaka bez nogi, ale któż tu i kiedy jest w ogóle w porządku? Inżynier Osiński nie był w porządku ani w swoim biurze konstrukcyjnym, ani w Niedźwiedowie, gdzie tak słabo popierał Stasia Buchałę przeciw fabrycznym konserwatystom, nalegającym, aby produkcję precyzyjniejszych maszyn rolniczych zostawić zakładom w Płocku czy Żninie, samemu zaś nadal specjalizować się w średnich a z czasem ciężkich ciągnikach, co najwyżej w traktorach gąsienicowych. Staś twierdzi, że to nie warto, że traktory eksportuje się poniżej kosztów własnych (kto to obliczy, w przedziwnym statystycznym tudzież organizacyjnym zamęcie i w żonglerce różnymi kursami dolara?), rynek krajowy zaś, oczywiście rynek państwowy, wobec rozdrobnienia ziemi, zbliża się do nasycenia zwłaszcza że poszukiwane są głównie traktory lekkie. Staś ma rację, ale Osiński mało go popiera, wie, że to inicjatywa nad siły, że nie da się rady z kooperacją, że szczegółami technicznymi, z przeszkalaniami ludzi, że nikt tego nie chce a biernego, cichego oporu się nie zwalczy. Adam to wie, lecz przez jakieś oportunistyczne lenistwo nie mówi wszystkiego, na ogół milczy, gdy na kwartalnych naradach kierownik Buchała walczy jak lew u boku starego Walichowskiego. Inżynier Osiński nie jest więc w porządku — a nuż jego zdecydo-

wany głos przeważyłyby szale?! Nie jest nawet w porządku, gdy robotnika z fabryki angażuje chyłkiem do prac remontowych w swoim mieszkaniu, nie pytając przy tym, skąd tamten bierze materiały. W porządku był tylko jako samodzielny i wolny od obaw „wyzwolony technik” w PaFaKolu, bo wszakże działał tam nie dla siebie lecz dla gospodarki, dla państwa i społeczeństwa. Tyle, że wtedy właśnie go ukarano!

Brak patosu w swej prywatnej warszawskiej egzystencji, brak elementu walki o dobrą robotę, o jakość, o sens pracy, o kręgosłup, jak mówiono, to właśnie go gnębi. Nic tu nie znaczy ani on ani jego działalność, pogrąża go fatalistyczna inercja, o której wie, że jest obiektywnie uzasadniona, ale ta rozumowa wiedza stanowi element w całej sytuacji najgorszy bo bezapelacyjnie przeżera wszystko, tak jak ostry kwas przeżera metale. Adam nie bije się o nowe rozwiązania techniczne, nie popiera Stasia, nie podaje się do dymisji — parę razy usiłował opowiedzieć to wszystko Jadwidze, ale nie dawało się, za trudne, aby zrozumieć trzeba znajomości różnych elementów całej rzeczy, czego ona nie ma. Jeszcze gdy tułali się kątem w Warszawie czy pod miastem, gdy bliskie były czasy wrocławskie, gdy nawet trwało obmierźłe głupstwo Biura Konstruktoryjnego, wtedy prędzej Jadwiga mogła go pojąć, teraz już nie. A tymczasem ona miała przecież własne, bogate życie zawodowe, bogate i satysfakcjonujące, nie płatała się ani tułała, zadowolona w swoim szpitalu, gdzie spędzała dni i coraz to częściej noce, awansowała, walczyła, przejmowała się, polepszała swą pracę i miała o czym opowiadać Adamowi. Z opowiadań tych wyłaniał się nieraz doktor Lasota, może to jakieś przeciwstawienie nieciekawego męża? Był, sądząc z Jadwigowych opisów, wyraźnym pechowcem, ale takim efektywnym, co cierpi w milczeniu a wszyscy to widzą. Pochodził z proletariatu, dzieciństwo i młodość miał ciężkie, potem Niemcy wzięli go do obozu koncentracyjnego, wrócił jako ofiara i, mimo zniszczonego zdrowia, wziął się do pracy, odbudował szpital, działał, walczył, właśnie walczył, był zresztą w Partii, co Jadwiga usprawiedliwiała koniecznościami owej walki. Z wypiekami na twarzy opowiadała o jego pracy, w dodatku miał jakąś tajemnicę a także żonę, która go nie rozumiała. Adam poznał go kiedyś, chyba nie spodobali się sobie, choć człowiek był interesujący, niewątpliwa indywidualność. Za to Osiński nie jest interesujący i nie ma czym imponować, Jadwiga widzi jego bezradność i upadek, choć nie rozumie przyczyn, jeśli oczywiście są po temu jakieś specjalne przyczyny, boć może zawsze na świecie dzieje się tak jak z nim, tylko że on posiada zbyt małą odporność? Nie był przecież pechowcem, nie szukał sobie

alibi jak doktor Lasota (oho, czyżby zazdrość?) Po prostu okazał się nieciekawym — dla Jadwigi na pewno. Jeszcze we Wrocławiu coś sobą reprezentował, prześladowanie, ciągnięcie do UB, nawet kontrole dodały mu aureoli, bo przecież nikt go nigdy nie oskarżał o osobiste korzyści czy nadużycia, jego sprawa była jakąś walką z bezsenssem, walką o usprawnienie służby ogółowi, nie gorszą od tamtej, toczonej w szpitalu przez doktora Lasotę, przez docenta Lasotę (profesury jakoś mu nie dawali, choć partyjny). Tymczasem w Warszawie Adam zgubił swoją wrocławską rolę, Jadwigę wciągnęło nowe życie, a on swojego nie odzyskał i nie miał żonie czym zaimponować, bo jasne, że nie Biurem Konstrukcyjnym. Niedźwiedź przyszedł za późno i przecież tu również Adam nie był na swoim miejscu, tu również chodził niezaspokojony, roztrzęsiony, tęsknie łypiąc okiem w kierunku hal montażowych lub odlewni, utracił przecież swe techniczne posłannictwo, nie pracował w produkcji, lecz w nonsensownej kooperacji. Wprawdzie we Wrocławiu robił i to, ale system nie był jeszcze wtedy tak silny i udawało się zwalczać czy poskramiać hydrę absurdu, tutaj za to wzięła sobie ona pełny rewanż. — I zrób mu dziecko — jak sentencjonalnie mawiał Staś Buchała.

Wspólne, wreszcie własne mieszkanie miało, w zamiarach Adama czy w jego wyobraźni, odtworzyć, przywrócić dawną wrocławską idyllę. Ale nic z tego nie wyszło, może i to zjawilo się za późno, a może Adam nie wyobrażał sobie, że uciążliwość bytowania na Uranowym Placu stanie się tak dotkliwa, że spiętrzą się trudności i komplikacje, które pożą do reszty wszelki romantyzm, jeśli w ogóle miał się tu jaki odrodzić. Póki się tułali, sytuacja wydawała się jasna, trudności uchwytne, lecz obecna stabilizacja nielogiczności i irytacji, stabilizacja na mur, na beton, na cement, potwierdzona prawnie i instytucjonalnie, to jest nieskończenie gorsze. Na nic się już nie czeka, wszystko zostało ustalone, wegetacja wśród mało dostępnej bo wyrastającej z błota grupy jedenastopiętrowców, poświęcona nieustającej walce z brakiem czasu i brakiem możliwości zorganizowania najprostszych życiowych funkcji — oto jak żyli z Jadwigą i Zbyszkiem i tak już miało zostać zawsze, bo to jest normalne. Życie upływa na niczym — to właśnie jest normalne.

Doba okazywała się o połowę za krótka, aby móc, wrócićszy z pracy, co u Adama przypadało przeważnie na godzinę siedemnastą czy osiemnastą, a u Jadwigi najrozmaiciej, spełnić najprostsze codzienne zadania, jeść, sprzątać mieszkanie, dopilnować lekcji Zbyszka, załatwić cośkolwiek. Sklepy umiejscowione są stąd daleko, bo osiedle Uranowe oddano do użytku pośpiesznie,

zaniechawszy wykończenia zaprojektowanego wcale nieźle pawilonu handlowego. Całą zimę siedzieli tu uwiecznieni w śniegu i błocie, ślizgawica utrudniała szybkie dojście do okolic Pałacu lub na drugą stronę Alej Jeruzolimskich po zakupy, zresztą kto i kiedy miał to robić? Dziewcząt do pomocy przewinęło się u nich wiele, żadna się nie przyjęła, nie przywiązała, niejedna znikła, przywłaszczywszy sobie to lub owo. Ludzie ze wsi zostali obłąkani przez miastowych i, utraciwszy w stolicy swe wszelkie domowe cnoty, patrzyli tylko, jakby zdobyć prędko nieco łatwego grosza i roztopić się w anonimowym pośpiechu miejskiego stylu, miejskich przyjemności. Tych ostatnich nie mieli co prawda w Warszawie zbyt dużo, wszędzie bowiem tłoczyła się chciwa igrzysk ludzka ciżba — socjalizm wydatnie rozbudza i powiększa apetyt, w tej jednej materii funkcjonuje bez zarzutu, jak mawiał bezlitosny Staś Buchała. Wobec szczupłości mieszkania nie mogli żadnej dziewczyny przyjąć na nocleg, tymczasem praca bez mieszkania nikogo nie urządziła, wołały iść do fabryki czy na budowę a wieczorem wracać do siebie na wieś. Po tygodniu czy dwóch zniknęła każda, z awanturą lub bez — znów konflikty, nie przynoszące nikomu glorii, jak i całe to życie. Wieczorem Adam względnie Jadwiga (kto, tego nie dawało się nigdy ustalić z góry) wlekli się lub pędzili do wielkich, pasiastych białych bloków obok świecącego na niebie bladym napisem Dworca Głównego, gdzie znajdował się najlepiej w całej dzielnicy zaopatrzone uniwersalny magazyn „Sam”. Nie było w tych wyprawach wrocławskiej czulej emocji czy choćby solidarnej zapobiegliwości, był tylko gniew, pośpiech, zadyszane zmęczenie. I do tego wszędzie, po zakończeniu lekcji w owej pokratkowanej jak plaster miodu nowoczesnej szklanej szkole nad torowiskiem szyn, płątał się, raził, niecierpliwił, doprowadzał do szału — Zbyszek. Rodzony syn Zbyszek, niespodziewanie trudny do poznania, duży, grube wargi, krosty, głos chrypliwy, śmiech rykliwy, na głowie kołtuniasta strzecha niechlujnych, długich włosów.

Czy można żywić abominację, niechęć, irytację, ba, wstręt fizyczny i duchowy wobec własnego jedyne go dziecka? Okazuje się, że można, co więcej wiedziało się to całkiem na pewno, Adam zresztą dzielił te skrywane uczucia z Jadwigą. Nie umieli ich przed sobą ukryć, częstokroć z oczu matki potrafił trysnąć istny strumień niechęci, i gniewu, czasem krótki, nagły skurcz ust zdradzał wszystko — Adam nie wiedział, czy sam bywa również tak bezwstydnie odsłonięty. Ukrywali to przed sobą i szpiegowali się nieznacznie czy dobrze ukrywają, to był jeszcze jeden element nieustannej wzajemnej obserwacji, obserwacji już prawie nienawistnej, której oddawali się bez chęci ale nałogowo, objaja-

jąc się w owym złośliwie małym mieszkaniu i cierpiąc dokuczliwie przy najrozmaitszych okazjach. Istnieć razem i wiedzieć o sobie wszystko — to może być sprawa wielkiej miłości lub wielkiej nienawiści. Osiński znał bezprzedmiotową nienawiść, wywołaną przez długotrwałe, przymusowe ocieranie się o siebie w małej, zamkniętej przestrzeni — znał to z obozu jeńców. Ale Jadwiga jeszcze się, mimo lat wspólnej tułaczki, nie przyzwyczaiła — zresztą życie w tym przydzielonym wycinku powietrza, zawieszonym jak dziupla u stóp zasłaniającego pół nieba cienia Pałacu Kultury to coś całkowicie nowego, odrębnego. Z czym może się równać wzajemne uczucie dwojga ludzi, umieszczonych na zawsze razem w małej i nieprzytulnej miejskiej klatce? Chłapiąc się w miniaturowej łazience lub siedząc na skąpym sedesie, wiedząc, że żona mimowolnie słyszy i rejestruje każde jego poruszenie a także szum wody i szelest papieru, Adam Osiński stawiał sobie pytanie, czy przypadkiem nienawiść między nimi dwojgiem nie przewyższy niezadługo nienawiści do Zbyszka? Między nimi dwojgiem, bo nieustająca świadomość, że on niczym Jadwidze nie jest w stanie zaimponować, że nie posiada resztki nimbu, legendy, ba, jakiegokolwiek kostiumu, którym mógłby się od niej osłonić, budziła nieraz i w nim uczucia gwałtowne i nieprzewidziane, podobne do nagłych wybuchów nieodpartego rozdrażnienia czy zgoła do erupcji szafu, jakie pamiętał z Oflagu. Do czego to właściwie dojść może jeszcze między nimi dwojgiem we własnym mieszkaniu M 3 na Metalowym Osiedlu?!

Bo jeśli chodzi o Zbyszka, to z czasem oboje przestali ukrywać nienawiść, dając temu uczuciu wysublimowany nieco upust w łajaniu, krytykowaniu, wybuchach podejrzanie intensywnej pasji pedagogicznej. Pretekstu czy przyczyny dostarczała obmierzła obcość Zbyszka, był on bowiem, jak cała okoliczna młodzież, Osobą Ukształconą Przez Telewizję. To znaczy przez samozwańczych i nieświadomych rzeczy telewizyjnych wychowawców, prezentujących seryjne spektakle rozrywkowe, gdyż na programy „produkcyjne” i pedagogiczne nikt oczywiście uwagi nie zwracał. Jak to zwykle w socjalizmie, wszystko, choć na pozór planowe, okazywało się przypadkowe i opaczne, toteż herosami nieletniej młodzieży stawali się zgoła niespodziewanie waleczni półinteligenci, cyniczne pijackie czerepy, w najlepszym zaś wypadku długowłosi debile polskiego *big-beat*'u. Wszystko przedziwnie pomieszane a w rezultacie powstaje i kształtuje się Zbyszek — stwór obcy, niepojęty.

Ale dość o Zbyszku, w końcu to dopust Boży i nie o niego chodzi. Na czym w istocie polegała tutaj główna dolegliwość życia, z której, jako pochodne, brały się wszystkie inne, powo-

dując ów sumaryczny nastrój wiecznego, nieustającego zdenerwowania? Można by to określić, że bez przerwy dopiekało im (a w każdym razie Adamowi) poczucie zależności od pożerającego wszystko molocha nieporządku. Być w niewoli demona wszechobejmującego zamętu, nie wiedząc nawet, gdzie ów demon ma swą kwaterę i jakie są źródła jego wszechmocy — oto stan najprzykrzejszy z przykrych. Adam parokroć już za swego życia tracił wiarę w ład świata i zawsze ciężko to przeżywał. Widział na przykład kiedyś, jak rzekomo żelazny porządek przedwojennego polskiego wojska w ciągu dwóch tygodni przetrworzył się w wariacką karuzelę zamętu, później, po sześciu latach letargu, zamieniono mu, ot tak, z dnia na dzień, obozowy sztuczny dryl na obraz Niemiec pogrążonych w nieładzie iście apokaliptycznym — nieład w Niemczech to już i tak wstrząs ponad miarę rzeczy. Natomiast nieporządek powojenny w Polsce to rzecz w końcu oczekiwana, wytłumaczalna, nawet dziwaczne przygody wrocławskie można by usprawiedliwić, gdyby po nich nie nastąpiła usystematyzowana niejako stabilizacja nieporządku — Warszawa i Niedźwiedów. A przecież jest już dwadzieścia lat po wojnie, w Warszawie nie widać prawie dawnych zniszczeń, czemuż więc dalej rządzi bałagan? System, idea — odpowie Staś Buchała. Ale Osiński nie był filozofem ani w ogóle światopoglądowcem, był empirykiem o zainteresowaniach technicznych. Powojenną odbudowę i rozbudowę Polski podjęto pod hasłem nowoczesnej techniki, dlaczegóż więc technika jako wszechmocne i wystarczające kryterium ani rusz nie mogła tutaj zapanować? Idea? Ależ idea nie może działać, jeśli technika jej nie służy — toć coś sowiecki też jest dziełem techniki!

Już sama zewnętrzność Uranowego Osiedla, mimo że uran to jeden z symboli naukowej współczesności, budzić musiała myśli dwuznaczne i powątpiewające. Wielkie murowane i oszkłone sienie-portiernie na parterze, z kaloryferami i metalowymi skrzynkami na listy, a z tej obfitości pustej przestrzeni wchodziło się bezpośrednio na nieoczekiwane wąskie i ciemne kamienne schody z ukrytą we wnęce małą windą. Za to na piętrach znów ogromne, wysokie korytarze, z nich zaś mnóstwo wejść do małych nieustawnych mieszkań z drzwiami niewygodnie otwieranymi do wewnątrz i z niewyzyskanymi, lichy wie do czego służącymi, niszami i pawlaczami. Ktoś tu projektował bez głowy, preferując niefunkcjonalną pustkę, którą stawiał wyżej ponad użytkową powierzchnię mieszkalną, ktoś drugi budował niedbale, bez wyobraźni, szafując dowolnie wybranym, kiepskim materiałem i nie korygując uderzających błędów projektanta, ktoś trzeci wreszcie dopuścił do niedbałej budowy nieprzemy-

ślanego projektu po czym w pośpiechu oddał całą rzecz do użytku — cóż dziwnego że i ów użytek jest wariacki: jaki pan taki kram. Owszem, prasa krytykowała, tylko nie wiedzieć kogo, anonima — tym społeczeństwem rządzi widać Wielki Anonim. Ale anonimowe wariatwo w kamieniu, betonie i cemencie to nie są żarty, to kosztuje na dziesiątki jeśli nie na setki lat. I tak właśnie skostniał już tutaj pejzaż, na przykład widok z klatki schodowej na drugą stronę Alei Jeruzolimskich, gdzie stały szeregami osobne wysokościowce, ustrojone w poprzeczne pasma balkonów lub podłużne międzyokienne kraty a dalej, koło Towarowej, tkwiły ciemne skrzynie starych, ocalałych domów, z nich jeden o ślepej ścianie, na której wymalowano olbrzymią lecz zupełnie nieczytelną reklamę. Za to z wschodniego okna ich mieszkania na drugim piętrze widok był inny: masa domów całkiem nowych, czyli smukłych, osobnych klatek z winkrustowaną w nie resztką starej, wyrudziałej zabudowy ceglanej lub nieco otynkowanej. Jest nawet, dla kontrastu, trochę ruin, na przykład efektowna, trójkątnie sklepiona ściana bez wnętrza z dziurami okien i drzwi, prowadzących do nikąd. Nad wszystkim ogromny Pałac — nie wiadomo właściwie, po co on tu potrzebny — też symbol Wielkiej Niewygody. W tym więc miejscu przyjdzie żyć aż do samej śmierci, po czym mieszkanie wróci we władanie anonimowej choć niby konkretnej spółdzielni. Zawsze już oglądać się będzie ten pejzaż, symbol niezmienności, tyle, że na przykład w zimie dwojaki: albo śnieżny, mglisto biały albo błotnisty, ciemnobury. Pejzaż jak pejzaż, w końcu można go było polubić, widywało się gorsze — także i we Wrocławiu, w zegrzyńskich koszarach, nie mówiąc już o Oflagu. Tylko że tutaj ustabilizowana niezmienność stawała się symbolem bezruchu, bezsilności, owej małej stagnacji, której Adam wstydził się przed Jadwigą a ona to czuła. Nie miał w oczach swojej żony nimbu, gdyż przegrywał w walce z normalnymi drobiazgami dzisiejszego życia, w walce nie patetycznej, anonimowej jak wszystko wokół. We Wrocławiu był kimś, bo walczył o sprawę, tu był nikim, bo walczył o zwykłe własne życie. A docent Lasota walczył piętro czy dwa piętra wyżej, szerzej, walczył efektownie, pełen fasonu, to widać, choćby po adoracji, jaką darzy go Jadwiga. Tymczasem inżynier Adam Osieński stracił fason, za to napytał się tak zwanego kompleksu niższości, akurat wraz z ukończoną pięćdziesiątką. Jest to niższość wszelaka: wobec żony i jej szefa, wobec pracy, wobec Warszawy i Niedźwiedowa, wobec arogancji nieletniego syna. Ujrzał nagle a dobitnie, że ma spatałszony życiorys i że nigdy nic już na to nie poradzi, zwłaszcza tkwiąc w tej monumentalnej z pozoru i na-

wet, jak na Warszawę, pięknej dzielnicy, przykuty już na zawsze do swego tyle lat wyczekiwanego, spółdzielczego mieszkania w osiedlu Uranowym. M 3 — litera i cyfra, symbol fatalności małej, więc najtrudniejszej do zwalczania.

Kto ma kompleksy, ten szuka rekompensaty, szuka jej zresztą podświadomie, tak zdaje się uczył Freud, prorok ludzi udręczonych, lecz udręczonych niewidocznie, cierpiących po kryjomu — Adam liźnął w obozie jakąś jego książkę, surowo zresztą przez Niemców zabronioną ze względu na żydostwo autora. Jeżeli zaś ktokolwiek owej rekompensaty szuka, to, choćby o tym nie wiedząc, promieniuje swym poszukiwaniem na zewnątrz i przyciąga istoty o podobnym jak on niezaspokojeniu. Tym można było chyba wytłumaczyć historię z Działakową. Historię tę, a raczej przedsmak historii, Adam zapomniał zupełnie i dokładnie na czas podróży ze Śląska, za to teraz cała sprawa była z nim znowu, była w nim obecna, mimo że spał. To zresztą również odpowiadało w jakiś sposób osobliwym teoriom wiedeńskiego profesora a zarazem badacza, rehabilitującego senne marzenia.

Tania to zresztą psychoanaliza, czy raczej psychohipoteza, wiedział o tym Adam dobrze, dlatego starał się nadmiernie do owej całej rekompensaty nie zapalać, brać ją na rozum, choć przyszła doń sama i poniekąd irracjonalnie. Był tu jednak pewien element, który nadawał sprawie pozory ważności czy może jakiejś małej demoniczności. Chodziło o Działaka. Boć Jolanta Działak nie pojawiłaby się w Niedźwiedowie i w życiu Osińskiego, gdyby nie Ryszard Działak.

Któż to taki Ryszard Działak? Po prostu ubeczek. Gdy tylko oczy Adama padły na tę gładką, ugrzecznoną twarzączkę, na złotawe, zagraniczne okulary, na nylonową koszulkę i tropikowy garniturek, już wiedział, kto zacz. Nie chodziło o gładkość, elegancję, mydlkowatość, ale pod tym wszystkim trwało coś sztywnego, napiętego — na swój specyficzny, służbowy sposób. Osiński znał ten sposób z Wrocławia — w Działaku przy całej jego pozornej pogodzie i niefrasobliwej życzliwości czuło się to samo, co w facetach bez twarzy i nie wiadomo jak ubranych z ulicy Cybulskiego. Adam przejrzał Działaka od razu, Działak wiedział o tym, był więc w tym wypadku jakoś onieśmielony a zatem już unieszkodliwiony. Inżynier Osiński nie bał się UB, mieli go już przecież w rękach nieraz, bronił im się, i, choć dla formy dali mu w końcu w łeb, uważał, że absolutnie z nimi nie przegrał. W takim zaś razie jest już szczepiony, immunizowany — o ile raz go puścili, to już więcej nie wezmą — takie miał jakieś instynktowne przekonanie.

Skoro więc Osiński nie bał się Działaka, przeto tamten, wyczuwając rzecz węchem, bał się jego. Objawiało się to w większej jeszcze układności, w gładkiej zdawkowości i wyraźnej unizoności niemal. Facet to banalny, wręcz tandetny, ale Adamowi rzecz nie przeszkadzała, nawet go z lekka bawiła: kiedyś był w fabryce zastępcą ubeka, teraz z kolei ubek zastępował jego, zresztą ubek z nowego rzutu, nowego pokolenia. Ryszard Działak, lat 36, mianowany został z dnia na dzień zastępcą kierownika działu kooperacji i zaopatrzenia, choć licho wie, jakie miał po temu kwalifikacje. Skończył jakąś handlowkę, był też parę lat handlowym przedstawicielem Polski Ludowej w Pakistanie. Wszystko się zgadzało, takich właśnie ubeczków bez kwalifikacji wysyłano dziś często na placówki zagraniczne, toteż sprawy polskie wyglądały tam tak jak wyglądały, tyle, że faceci wracali obsprawieni i nieco ogładzeni. Rola Działaka w Niedźwiedowie wyjaśniła się szybko. Został od razu drugim sekretarzem egzekutywy z przydziałem do kadry pracowników umysłowych, technicznych i urzędniczych, czyli zastępcą pierwszego sekretarza, ociężałego a brutalnego Karasia, przypisującego sobie Bóg wie jaki autorytet, choć w gruncie rzeczy mało co wiedział. W przeciwieństwie do tego sześćdziesięciodwuletniego, powolnego waźniaka, Działak kręcił się po całym terenie jak fryga, ze wszystkimi za pan brat, sypiąc tanimi powiedzonkami i niewiele znaczącymi spostrzeżeniami. W dziale swoim, czyli Adama, nic prawie nie robił poza odrobiną manipulacji papierkowych — w kooperacyjną kwerendę czyli „w Polskę” posyłać go niesposób, bo na sprawach materiałowo technicznych się nie rozumiał, nikt by z nim zresztą nie gadał. Przy tym, o dziwo, nie pił wódki, dosyć chyba z natury wątyły po dwóch kieliszkach robił się czerwony, ręce mu potniały. A, rzecz prosta, na Śląsku, czy to w „Głobusie”, czy w „Mechanie”, czy w zabrskiej fabryce farb i lakierów, „bez wódki nie robierjosz”.

Nie było więc pożytku z Działaka, ale Adam nie zgłaszał pretensji: ubek to ubek, ma swoją robotę, nic się na to nie poradzi, sytuacja jest jasna. Działaka to jednak peszyło, chciał jakoś błysnąć fasonem, proponował na przykład Osińskiemu, że go będzie woził do pracy swym prywatnym volkswagenikiem (też dorobek z dyplomacji), mieszkali bowiem na tymże samym metalowym osiedlu. Ale Adam odmówił, nie chciał krępować tamtego ani siebie, nie chciał też spoufalenia. Jeździł sobie dalej jak Bóg przykazał elektrycznym pociągami niemal przed samego domu, starzy chłopci i baby w chustkach przypominali mu Wrocław, podczas gdy w nowych blokach Niedźwiedowa straszyla już modna brodata młodzież z gitarami. Osiński lubił prawdzi-

wych chłopów, nie lubił za to ich wykorzenionych, zdemoralizowanych przez nagłą zmianę roli potomków. W pociągu czuł się dobrze, anonimowo, po cóż mu Działak z jego autkiem?

Stosunki nie były więc złe — w dodatku Adam, inżynier bezpartyjny, nie miał wobec swego zastępcy zahamowań służbowych. Działak dobrze wiedział, że nic nie robi i że szef przemilcza to z wiadomych powodów. Mógłby może mieć z tego kompleks, gdyby był mniej gruboskórny — ale grubej skóry wymagają w jego fachu przede wszystkim. Urzędowali obaj w starym budynku, w pokojach po dwóch stronach korytarza, gdy Działak był u siebie, Adam zostawiał drzwi otwarte, tamten z konieczności też. Obserwowali się, ale bez natężenia — Działak na pewno wiedział wszystko o przeszłości Osińskiego, Osiński domyślał się wszystkiego o Działaku. Te rzeczy nie są między nimi ważne, walczyć ze sobą nie mieli powodu, zmuszać tamtego do pracy nie było sensu, choćby dlatego, że nie znał się na rzeczy.

Tymczasem oto pewnego dnia na tle otwartych drzwi Działakowego gabinetu pokazała się w południe niecodzienna sylwetka kobieca. Przewinęła się, wionęła — jakby to poetycznie określić — w każdym razie weszła inaczej niż chodziły urzędniczki w biurach Niedźwiedowa. A za chwilę już, w pokoju Osińskiego objawił się Działak. — Towarzyszu kierowniku, chciałem wam przedstawić moją żonę — zaśpiewał swym nosowym głosikiem. Miał zwyczaj mówić do wszystkich „towarzyszu”, Adam nie lubił tego, przez chwilę zastanawiał się, jakby mu to dać do zrozumienia, potem dopiero podniósł wzrok i — doznał wstrząsu. Zjawisko okazało się dziwne, niecodzienne, „towarzysz kierownik” myślał przez chwilę, że towarzysz zastępca przywiózł sobie żonę z Pakistanu czy Indii. Była wysoka, ciemna, czarna, oczy wielkie, lśniące o barwie suszonych śliwek wpatrywały się w Adama uporczywie, długo, oczywiście nie była żadną Hinduską ale tak się stylizowała strojem, wykorzystując swój typ urody. Nie miała więcej niż trzydzieści lat, po przydługiej więc chwili milczenia, gdy uparcie nie spuszczała wzroku, Osiński pierwszy wyciągnął do niej rękę. — Tak bardzo i od dawna chciałam pana poznać — głos miała dziwny jak i urodę, niski, ni to szept, ale afektowany, zgoła dramatyczny. Pan inżynier zdumiał się: niby dlaczego chciała go poznać „bardzo” i „dawno”, co o nim słyszała? Spojrzał na Działaka, ale ten ani mrugnął. — Jola pracuje w wydawnictwie, dziś ma wolne więc przyjechała. Objaśnił nie bez dumy a ona patrzyła nieugięte w oczy Adama. Dziwna, bardzo dziwna scena.

Zapomniał o tym później, choć czasem wydawało mu się, że

coś podobnego do egzotycznej Jolanty przewijało się w okolicach Uranowego Placu. I potem kiedyś, całkiem już niedawno, przyszła znowu. Działaka nie było, Osiński siedział zamknięty u siebie, gdy rozległo się ciche pukanie, jakies tutaj niezwykajne i drzwi zaraz się otwały. Stała w nich Jolanta w pięknym, egzotycznym futrze, oczy miała jeszcze większe niż zwykle. — Mego męża nie ma — powiedziała i od razu nie tyle poszła co wionęła w kierunku Adama, który niezdecydowanie wstał zza swego biurka. — To nic nie szkodzi — mówiła szybko, jakby bojąc się że jej przerwie — miałam do pana ogromną prośbę. Ale proszę mi nie odmówić, to bardzo ważne! I dalej zbliżała się do niego, jednakże nie podając ręki; poczuł, że pachnie jakimis znakomitymi perfumami. — Chciałam pana zaprosić do nas w drugie święto wieczorem, będziemy tylko my, ustaliłam to z Ryszardem. Ale proszę nie odmawiać, bardzo, bardzo mi na tym zależy. Przyjdzie pan? Przyjdzie pan?!

Zaskoczony Osiński zaczął coś bąkać, że nie wie, że może nie będzie mógł i wtedy stała się rzecz najdziwniejsza, w ogóle niesłychana. Pani Jolanta schwyciła jego rękę i, rozchyliwszy futro, położyła ją sobie na piersi. Miała chyba cienką, jedwabną bluzkę, gorące kształty pod gładką materią sparzyły go niemal, w ogóle zatracił się, zaniemówił, po prostu zmienił w przysłowiowy słup soli, ale w słup gorejący, ognisty. Nie miał właściwie pojęcia, jak się zachował, jak się skończyło. Pamięta tylko, że usłyszał jeszcze jej niski szept: „Teraz już pan wie, jak bardzo mi zależy”. Potem przedziwnym sposobem wywiało ją z pokoju, w każdym razie gdy się ocknął, już jej nie było. Długo stał przy biurku, jak zakłęty, w powietrzu unosił się niecodzienny zapach perfum.

Działak potwierdził zaproszenie, tyle, że skierował je nie do samego Adama lecz do „państwa” Osińskich. Zagaił przy tym ze swadą, że skoro się razem pracuje i mieszka w jednej dzielnicy, to „trzeba się przecież poznać” — „z szefem należy żyć dobrze” — dodał w charakterze swobodnego żarciku. „Szef” bąkał coś, że nie wie, że żona, że dziecko, jednakże wyrozumiały Działak uspokoił go, tak czy owak czekają, bardzo by chcieli poznać panią inżynierową, ale oczywiście jeśli... et cetera. Na tym wówczas i stanęło.

Scenę z Jolantą Adam obracał potem w myślach po wielokroć. Chwila zawrotu głowy, dziesiątki razy odtwarzana w wyobraźni, otwierała nową, rewelacyjną perspektywę: życie toczyło się przecież, on znajdował się jeszcze na tym świecie, mógł także żyć jak inni, żyć pełną piersią, prawdziwy w końcu człowiek a nie zniewolony homunculus z Metalowych Bloków. Oczywiście

— zaczął snuć przypuszczenia, podejrzenia, hipotezy, dorobił sobie do tego cały freudyzm, kompleksy, rekompensaty, marzenia, istny kram, śmietnik myślowy. A ona? Że niby zakochała się w nim od pierwszego spojrzenia?! Cóż za nonsens! Taka Marlena Dietrich dla ubogich?! A może to komediantka, histeryczka, wariatka, a może to żart, a może to intryga ubeczką Dziama? Ale tak czy owak dziewczyna była piękna, a on... Dreszcz go brał na wspomnienie tamtego dotknięcia. Co tu gadać, nie przeżył dotąd nic podobnego, w samym zaś fakcie, że kobieta pierwsza się oświadcza jest coś tak podniecającego, że... Że co?!

Nie może tam iść z Jadwigą, ale właściwie jak to zrobić, jak wyjść z domu samemu w dzień święto — przecież święta jeszcze łączyły go z żoną, może tylko one jedne, może to jest ostatnia okazja. Chociaż — z drugiej strony — czy potrzebna mu będzie ta okazja? Bo jeśli...

Nie dopowiadał sobie niczego do końca, lecz w środku dopowiadało się samo. Dziesięć chyba już dni — ależ zawczasu go zaprosili — sprawa ta w nim pracuje, Adam ma teraz przynajmniej na co czekać. Zmienił się też jego stosunek do Dziama, szef nie jest już ze swym zastępcą tak prosty, naturalny i niezależny. Właściwie nie wiadomo po co to wszystko i jak się skończy, ale zastrzeżenia i zwątpienia stają się nieważne, dalekie, gdy powraca dreszcz tamtej chwili. W tym dreszczu jest prawda, innej nie porzeba. Jolanta świeci teraz nad burymi warszawskimi wieczorami, gdy Adam wraca z Niedźwiedowa, gdy załatwia sprawunki, przepycha się wśród tłumu i zgaduje, czy też przypadkiem spotka ją gdzieś tutaj na Metalowym Osiedlu. Ale lepiej nie, wszystko mogłoby prysnąć — prawdziwe spotkanie ma nastąpić w Święta. Tylko co z Dziama? I co z Jadwigą?

Adam myślał o tym ciągle, dopiero na Śląsku zapomniał, bo tyle tam było kłopotów. Teraz jednak znów myśli — śpi, lecz Jolanta na pewno doń wróciła, odgradza go od jutrzejszego Niedźwiedowa i od czekającego go, dokładnie przewidywanego, nudnego bo biurokratycznie bezpłodnego utrudzenia. Jolanta jest teraz z nim wśród innych widzeń, unosi się nad całym, nie chronologicznie i w skrótach defilującym Adamowym życiorysem. Aby stało się zadość koncepcjom pana Freuda. Psychologia marzenia sennego... Freuda teoria snów...

V

Trwa więc wreszcie ów następny dzień w Niedźwiedowie, ale przebiega inaczej niżby się mogło zdawać — tak to nieraz bywa, gdy wyobrażamy sobie rzecz z góry zbyt dokładnie. Początek, owszem, podobny, coś w rodzaju spełnienia tradycyjnych formalności. Śnieżyste błoto na przystanku Ochota, szary zmierzch grudniowego ranka, w dole, poniżej szkoły Zbyszka, żółtawy elektryczny pociąg, ruszający zwolna, by zagłębić się w długi tunel i wyjechać zeń u stóp szeregu efektownych wieżowców osiedla „Ochota II”. Piękne to osiedle, przynajmniej na oko, z daleka, a później, gdy się skończy, biegną już przed oczyma przedwcześnie śnieżyste pola, biel w porannym mroku poprzecinana czarnymi rysunkami elektrycznych słupów. Jak nieunikniona formalność przypomina się też lekka, poalkoholowa zgaga, w przedziale czuć kwaśny odór, mieszaninę dymu z papierosów oraz woni przyodzianych dziś z racji wczesnej zimy baranich kozuchów. I oto Niedźwiedów. Wypełznawszy wśród tłumu sobie podobnych dwunogów z podziemnego, majolikowego pasażu idzie teraz inżynier Osiński błotnistą aleją z poszczerbionego asfaltu, czyli ulicą „Traktorzystów”, mijając gmach dyrekcji, ozdobiony wielkimi napisami na czerwonym tle. „Nasz traktor to oręż w walce o socjalizm i pokój”; „Wykonywanie i przekraczanie planów to oręż w walce o socjalizm” — głoszą te napisy. Był okres, gdy z traktora robiono symbol nowych czasów, o traktorach i traktorzystach pisano wiersze, śpiewano piosenki, kręcono filmy. Produkcja zresztą szła wtedy jak z kamienia, widocznie praca nie znosi przedwczesnej reklamy. Na szczęście to już minęło, z całej paroletniej mody zostały tylko napisy na fabryce. Dobrze i to, bo w Rosji dalej nudzą okropnie, w kółko opiewając traktory i produkcję. Ciekawe, na Zachodzie

o pracy w chwilach wolnych się nie gada, nie ma jej w kinach i telewizji, a jednak robota idzie. Tu także mogłaby iść, gdyby...

Dalej Adam mijają przychodnię lekarską, żłobek, klubokawiarnię, dom kultury z kinem i wreszcie skręca w lewo, w stronę ulicy „Elektrycznej”. Tu właśnie, między małą halą obrabiarek z lewej a parkiem traktorowym Nr 1 jest jego wejście. W parku ciągniki zielone i pomarańczowe stoją szeregami na olbrzymich tylnych kołach, nasianych kolcami z gumy, po prostu wielkie homary z prostokątnymi mordami. Inne maszyny, precyzyjne, maluje się na żółto, niewiele tu ich niestety, ku zgrozocie Stasia Buchały. I oto wreszcie stary budynek na skraju, gdzie mieszczą się inwestycje i finanse, handel i zaopatrzenie. Koniec formalności, zaczyna się życie, które zawsze jednak coś tam nowego przynosi.

Istotnie — są dziś nowości. Osiński zainstalował się u siebie, przejrzał korespondencję i, stwierdziwszy że Działaka nie ma jak zwykle, postanawia zadzwonić do mizdrzącej się lecz nie apetycznej blondynki od Naczelnego. Dzwoni bez specjalnej nadziei, bo dopiero dziewięta a wiadomo że stary rano śpi przy biurku i nie przyjmuje. Tymczasem, o dziwo, okazuje się całkiem co innego: dyrektor jest zajęty, ma od białego czy raczej od szarego świtania ważną konferencję. Jaką? Idiotka przy telefonie nie chce mówić, ale Adam szybko dowiaduje się w sąsiednich pokojach. U dyrektora siedzi właśnie ów członek najwyższego Biura, co to za okupacji pracował w Niedźwiedowie, z nim przyjechała oczywiście odpowiednia partyjna asysta. O co to chodzi? O rzecz dla nich tam najważniejszą, choć dla pracy Niedźwiedowa bez znaczenia. Niedźwiedów jest pokazowy, więc trzeba uroczyście zameldować wykonanie i przekroczenie planu — o przekroczenie takie już się Michaś Chruszcz postarał — oczywiście na papierze. Będzie wielka gala, tyle, że nudna jak flak, spędzą wszystkich, przyjdzie ten z Biura, zasunie mowę na półtorej godziny, nie, przedtem Maciejewski na dwie godziny, jemu w to graj. I to wszystko jeszcze w grudniu, przed Świętami, choć tyle jest zamętu a robotnicy już piją od rana jak zamówieni — tylko patrzeć wypadku na odlewni lub w nowej kuźni. Acha, prawda, ta cała gala i feta połączona zostanie z jakąś „akademią” czy rocznicą, Niedźwiedów to fabryka reprezentacyjna i nie może tu być czegokolwiek apolitycznego. Co chwila mamy przecież jakąś atrakcję, „Dzień odlewnika”, „Dzień mechanika”, „Dzień rolnika”, „Tydzień pomocy dla Wietnamu”, „Miesiąc przyjaźni Polsko-Radzieckiej”, „Zjazd bojowników”, „Rocznica Wielkiego Października”. A do wszystkiego tego Niedźwiedów pasuje jak ulał, boć tu i mechanicy i odlew-

nicy i rolnicy i bojownicy. No i naturalnie ten sekretarz z Biura wsiądzie na swego ulubionego konia, że trzeba szukać utajonych rezerw produkcyjnych, wyzyskiwać rezerwy produkcyjne, uruchomić rezerwy produkcyjne. Nie wie biedak, że hasło takie sprzeczne jest z innymi wysuwanymi dziś dyrektywami i w ogóle pozbawione sensu, boć wyduszanie z maszyn istniejących rezerw to utrwalanie starej technologii i dalsze produkowanie tandety, a przecież wciąż się mówi o postępie technicznym. Sekretarz tego nie wie, bo zapamiętał sobie dawny slogan i ma na ten temat wykute gadanie, stary Maciejewski zaś mu o tym nie powie, choć będzie głądził nie na temat dwie godziny.

Naczelny dyrektor Antoni Maciejewski to także numer, jak mówią Niemcy „rozdział sam dla siebie”. Inżynier rolnik z Wołynia, szlachciura a do tego członek Stronnictwa Demokratycznego, bojowy jest, według określenia Stasia Buchały, jak diabli, to znaczy boi się każdej sprawy z osobna i wszystkich spraw razem wziętych, trzęsie portkami przed Partią jak i całe jego groteskowe stronnictwo, wobec czego ratuje się na zapas wazeliny, ale w jakże olbrzymich dawkach! Gdy zabiera głos na kwartalnych naradach produkcyjnych, to najpierw godzinę mówi o Leninie, drugą o Wielkim Październiku, trzecią o Partii Klasy Robotniczej i jej roli „w całokształcie pracy zakładu, w podnoszeniu świadomości społeczno-politycznej oraz ideowym zaangażowaniu wszystkich partyjnych i bezpartyjnych pracowników a zwłaszcza młodszej generacji”. Potrafił tak i parę godzin, aż się zapamiętywał, chrypl z uniesienia, nawet sekretarz Egzekutywy nie śmiał mu wtedy przerwać, bo jakże tu przerywać gadkę o wielkim Leninie i jego Partii. Spryciarz to był nie z tej ziemi ten Maciejewski, a jak genialnie udawał głupiego, gdy trzeba było coś zdecydować, załatwić, wypowiedzieć własną opinię — podobno konsekwentne struganie z siebie głupka wymaga prawdziwej inteligencji, w takim razie dyrektor naczelny mózg ma nie od parady. Lat 63, czeka na emeryturę, cóż dziwnego, że nie chce się w nic mieszać, nikomu narazić, ostatnio wszystkie decyzje, dotyczące innowacji technicznych zwała z ulgą na beniaminka Partii, pierwszego inżyniera Waligórze. Nawet w rozmowach prywatnych namiętnie gada o niczym, tchórz, mętniak ale cóż za cwaniak! Taki dyrektor to kara Boża dla zakładu, choć niektórzy uważają, że on się poświęca aby chronić innych. Chronić — przed czym?! Tego nie mówią.

A więc, skoro taka ważna dziś u dyrektora jest wizyta, to właściwie do godziny 14-ej inżynier Osiński zbył przykre sprawy „z głowy”, bo nie ma oto pod ręką żadnej osoby, której mógłby złożyć sprawozdanie ze swej podróży na Śląsk. Dyrektor Macie-

jewski będzie się pieścił z dostojnym Gościem długie godziny, jak z kochanką, a potem, po jego wyjściu, będzie nieprzytomny: najpierw musi rzecz odsapać, z kolei zacznie sobie układać jak ma przebiegać owa akademія z uroczystym zameldowaniem o przekroczeniu planu, do tej zaś czynności (układania) zaprosi legion sekretarek i pomocników, aby się przed nimi popisywać i wymizdrzać. Na wiadomość, że kierownik działu kooperacji chce mu złożyć sprawozdanie z podróży, odmachnie się tylko niecierpliwie, niczym od dokuczliwej muchy i co najwyżej odeśle natręta, jak przewidziane, do Waligóry. W tej zaś chwili wszyscy zainteresowani też przebywają na naradzie z Dostojnym Gościem, nie ma więc pod ręką ani Waligóry, ani drugiego wicedyrektora Henryka Wilnera (ten zresztą, podobnie jak szef, z zasady w nic się nie miesza), ani nieocenionego Michasia Chruszcza, ani finansowca Gościńskiego, ani w ogóle nikogo, kto by się sprawą mógł zainteresować. Tkwi oczywiście o parę pokoi stąd Staś Buchała, jego na reprezentacyjne konferencje nie proszą, no ale toć właśnie o niego chodzi — zarówno maszyna do obróbki szczęk hamulcowych jak i ta nowa nieznaną, do krajania aluminium, to jego dzieci, ukochane jego dzieci, jakże tu zawiadamić go, że zostały poronione. Lepiej nie budzić licha, i tak za chwilę na pewno tu przyjdzie, dosyć będzie na ten temat rozmów, oj dosyć...

Jeszcze raz sprawdził, że Działaka nie ma — ach, prawda, przecież to drugi sekretarz Egzekutywy, pewno też siedzi z pierwszym, starym Karasiem, na zebraniu. Mógł co prawda choć karteczkę zostawić... Działak zresztą ciągle gdzieś łązi, ale Adam nie ma mu tego za złe — szanuje przecież Partię, świętość naszych czasów. Działak Ryszard? Działak Jolanta? To ciekawe, byłoby nawet zabawne gdyby... Ale Osiński nie ma teraz czasu myśleć o czymś postronnym, gnębi go ciężar który przywiózł ze Śląska, bo oto okazuje się, że na razie nie może go z nikim wspólnie dźwignąć, podzielić. Siedzi więc w gabinecie sam, zamknął drzwi i zaczyna słowo po słowie wyobrażać sobie, jaka będzie za chwilę rozmowa ze Stasiem Buchałą — aż dziw boski, że tamtego jeszcze tutaj nie przyniosło.

Staś wejdzie, rozejrzy się po pokoju, rzuci okiem na minę Adama i już będzie wszystko wiedział — że znowu nici z obietnic „Mechany”, że obróbkę uchwytów szczęk hamulcowych będzie się po staremu robić ręcznie, długo i niedokładnie, że sławny pług Walichowskiego odłożyć trzeba do Muzeum Dobrych Chęci. Buchała wie, że Adam wie wszystko, a także że wie to, co wie Buchała i wie, że Buchała wie to, co on wie, obaj są bowiem odstawionymi technikami, pracującymi nie w swojej

branży i martwiącymi się obrotem rzeczy a raczej ich brakiem obrotu, ich nieruchomością. Mimo tej obopólnej wiedzy i oczywistej beznadziejności sytuacji, Staś nie odmówi sobie satysfakcji powtórzenia jeszcze raz całego zestawu argumentów — żywi on ciągle tę piękną, naiwną wiarę wszystkich entuzjastów i idealistów, że mówionym słowem poruszyć można góry. Wiara to mocno przestarzała i oderwana od rzeczywistości, zważywszy, że słowo w dzisiejszych czasach utraciło swą treść normalną i nabrało znaczenia dźwiękowo obrzędowego — cóż, kiedy Staś jeszcze tego nie rozumiał, nawet w więzieniu go nie nauczyli. Więc, zorientowawszy się we wszystkim co zresztą wiedział już z góry (bo, będąc niepoprawnym idealistą, jest również dostatecznie pesymistą), inżynier Buchała oprze się rękami o blat biurka i, patrząc w Adama wyblakłymi, pocziwie niebieskimi oczami, rozpocznie swoje. — Cóż z tego, że sprzedajemy na kilogramy starego typu niepotrzebne traktory, wyręczając za marne grosze świat w produkowaniu tandety? Świat, owszem, korzysta z naszego frajerstwa, a sam rozwija myśl techniczną wynalazki i wali naprzód ile wlezie. Po cóż rąbać z taką zaciekłością stare, prymitywne ciągniki, gdy tyle nastęcza się okazji i pomysłów, aby konstruować właśnie lekkie, precyzyjne maszyny? Panie, toż to trzeba mieć bzika, żeby robić, co my robimy! Rynek wewnętrzny? Przecież jeśli nie potrafimy dostarczyć POM-om na czas części zamiennych, to połowa naszych traktorów stoi zepsutych, zdemontowanych. Zapychamy Polskę starymi, mało użytecznymi gratami, jesteśmy nosicielami zacofania zamiast utechniczenia narodu. Za produkcję szmelcu powinniśmy być ukarani, żeby ktoś tam na górze miał olej w głowie, to by nas zamknął właśnie za wykonywanie planów, bo to największe szkodnictwo. Trzeba przeprofilować fabrykę, nawet zawiesić produkcję a przeprofilować. To jest nasz obowiązek, panie inżynierze, ważniejszego obowiązku tu nie widzę!

— Ależ Stasiu, czy jesteś pewien, że ten zakichany pług Walichowskiego to właśnie ów wymarzony postęp techniczny?! (Adam nie był z inżynierem Buchałą na ty, lecz w imaginacji mógł sobie prowadzić taką poufałą rozmowę, zawsze przecież myślał o nim per „Staś”). — To jest pomysł, owszem, ciekawy, ale zbyt wyszukany i precyzyjny, wymagający żmudnych prac techniczno-przygotowawczych, na które tu nie ma czasu, ani ludzi, ani przepisów. Przede wszystkim mały silnik elektryczny to kwadratura koła — jakże go robić w montowni, nastawionej na ropę, spaliny, na duże, prymitywne silniki ciągnikowe?! Toż jak zaczniemy sami produkować narzędzia i części, a choćby, załóżmy, że zaimportujemy odpowiednie maszyny (choć czort wie,

kto i kiedy miałby to załatwić — trzeba na to minimum rok czasu) to dopiero powstanie dezorganizacja, ludzie się zbuntują, zawalimy plan i premie — pamiętasz jak było z nową kuźnią i szlifiernią?! A co do traktorów, to wcale nie jest taka bezużyteczna produkcja jak mówisz, weźmy rynek wewnętrzny, daleko mu bardzo do zaspokojenia. W Polsce jeździ (albo stoi, niech będzie) ze dwieście tysięcy traktorów, do pełnego nasycenia kraju potrzeba ich, według obliczeń, osiemset tysięcy. Pewno, chodzi o urozmaicenie modeli, typów, rozmiarów, trzeba przyspieszyć modernizację nieszczęsnego C-4011, wprowadzić do produkcji C-360, zastosować wreszcie silnik Leylanda do modelu N-1100. Kłopotów z tym jeszcze cała fura, pamiętasz, ile było kramu z kabinami, toć o jedną zakichaną szybę trudniej było niż o cały traktor! A oporzędzenie elektryczne?! Przecież te małe dynama do reflektorów pazurami wydrapywaliśmy z całej Polski, sami tego nie będziemy robili! A części zamienne, a zapasowy drobiazg?! Człowieku, masę jest jeszcze do zrobienia w traktorach: żeby wyprodukować przyzwoity, nowoczesny, trwały lekki ciągnik, mamy do przejścia nie licho świat drogi, a ty tutaj fantazjujesz z tym zwirowanym pługiem! Kto go będzie kupował, kto go będzie umiał użyć?! Nie można wysilać się na ciastka, kiedy ludzie jeszcze nie mają chleba!

Adam już widzi, jak Staś słucha go uważnie choć smutnie, z taką miną „mów, mów, znam to na pamięć”, ale słucha, bo rzadko kto mu odpowiada rzeczowo, realnie a bez demagogii, gdy zaś kiedyś przewodniczący rady robotniczej, chłopski rezoner Bieniek poparł projekt Walichowskiego, to raczej podmówiony do tego, aby dokuczyć pewnym ludziom, niż z miłości do innowacji technicznych, do tych bowiem robotnicy, zwłaszcza ci wiejscy, się nie palą, wiedzą, że to pachnie doksztalaniem, przestojami, uderzeniem po kieszeni. Więc Staś słucha uważnie, taka rozmowa to może jego jedyna prawdziwa arena, gdzie walczą z sobą argumenty i techniczne konkrety, nie zaś dziwactwa „nowej rzeczywistości”. Lecz oczywiście słucha nie po to, aby schować rzecz do kieszeni, ustąpić, zrejterować. Nie, Staś Buchała to nie byle jaki kozioł, koźli upór łączy się u niego zresztą z przyrodzoną łagodnością, zestawienie takie sprawia, że niesposób gładko przejść nad nim do porządku, lub też odebrać mu głos. I oto jego dobroduszny choć i ironiczny tenorek czy dyszkant znowu polemicznie rozebrzmi w pokoju.

— Cacy, cacy, obóz pracy, panie inżynierze! Pług, owszem, powiedzmy, rozumiem, że nie ma odpowiednich narzędzi, że w Bielsku za miękka stal, chociaż to nonsens, bo kto im kazał ją kupować od tych jakichś Indian (co prawda wiem kto i wiem

po co). Ale, wracając do innej sprawy z Pańskiej ostatniej podróży — to co będzie, pytam się, z puszczającymi hamulcami?! One puszczają w najlepsze, czyli że robimy braki, i będziemy robili aż miło — ręczne modelowanie nie może dać rezultatu. A kobiety do pracy przy nowej maszynie już przygotowaliśmy! Tymczasem z taśmy schodzą buble — i będzie z tego nieszczęście! Wie pan przecież, że traktorzyści z Kótek, ci co się wynajmują na dni czy godziny, jeżdżą prawie zawsze pijani. Wie pan, co może narobić pijany kierowca, jak dostanie ciągnik z nawalającym hamulcem? Nie mamy, w gruncie rzeczy, prawa tego sprzedawać! A teraz druga kwestia. Pan przesiąkł rozposzechnionym u nas prymitywnym (proszę się nie gniewać — przecież dyskutujemy) poglądem, że kultura rolna to traktor i tyle. Bardzo błędny pogląd. Ciągnik na wsi, proszę pana, wozi węgiel, koks, cegły, kartofle, buraki, dopiero na końcu służy do orania. I żeby nim orać, trzeba się znać na rzeczy, na całym komplecie maszyn przyczepnych, na ustawieniu pługa — inaczej się stępi lemiesz, zużyje paliwo, a ziemię zamiast zorać to zniszczy — mało to pięknego czarnoziemiu wyskrobano w kołchozach na Ukrainie? Chłop, ten z zagrody, zna się na orce, traktorzysta z Polski Ludowej niekoniecznie, jemu to wisi, chce odmachać, dniówkę i tyle. A właśnie pług Walichowskiego to jest próba, aby dać coś do ręki indywidualnemu chłopu, chłopu żywicielowi, nie państwowemu marnotrawcy! I to dać coś nowoczesnego. Przestańmy uspokajać swoje sumienie sprzedając wciąż te same ciągniki Centrali Mechanizacji czy Centralom Zbytu — to nie ma nic do kultury rolnej, oni to rozprawdzają bezdusznie, byle jak, albo i trzymają miesiącami w magazynach, zaś po awarii to znów ciągnik latami nieraz stoi w Międzykółkowej Bazie Maszynowej i nikt go stamtąd nie wydostanie, brak chęci, brak kompetencji, brak części. Musimy wreszcie zrozumieć, że skoro miłościwie panująca Partia nie zniszczyła nam rolnictwa (choć ochoty nie brakło!), pozostawiając w Polsce prywatnego chłopca, to my też musimy o tego chłopca zadbać, dostarczyć mu lekkie, tanie maszyny do indywidualnego użytku, siewniki, rozrzutniki obornika, dojarki, rozrzutniki sztucznych nawozów, kultywatory. Nad tym trzeba wciąż myśleć, panie Kołogo! I tu właśnie trzecia sprawa, najważniejsza. Nie przekonał mnie Pan z tymi ciastkami i chlebem. Czy Pan naprawdę uważa, że fabryka to piekarnia, robi co umie i wypuszcza traktory seriami jak bochenki chleba?! Sam Pan w to nie wierzy, Panie inżynierze, Pan, technik z krwi i kości! Taka fabryka jak Niedźwiedów, kilkanaście tysięcy ludzi, tuż pod samą stolicą, Panie, to musi być nie tylko wytwórnia! To musi być pracownia nowej

techniki, centrum nowej myśli, tu trzeba kombinować jak skrócić drogę, jak pójść na przelaj — dziś nie wygrywa się siłą, lecz sposobem. Wie pan, jak jest w Ameryce? Każdy zakład przemysłowy organizuje swoje Biuro Studiów, siedzą tam najlepiej płatni faceci i nic nie mają wspólnego z aktualną produkcją, nie wolno im: oni są od tego, żeby przewidzieć co się stanie za lat piętnaście i obmyśleć, jaka wtedy będzie potrzebna technologia produkcji, obmyśleć i technicznie i kosztorysowo i rysunkowo. A u nas co?! Zakład Doświadczalny nic nie robi, Wydział Konstrukcyjny kombinuje, jaki by dać daszek na kabinowych traktorach albo skąd wziąć cztery pręty do kabiny, żeby ten daszek na nos nie spadł. Panie, czyste kpiny! A przecież nie muszą nawet wymyślać nic nowego, na świecie wymyślono tyle, że dla nas wystarczy — tylko czytać fachową prasę, obserwować rynki. Mówi pan, że nie mamy dewiz?! Mamy jak potrzeba, tylko czort wie na co je wydajemy — tak jak z tymi angielskimi doradcami: rok siedzieli i nic nie doradzili. Bo co tu można doradzić, jak panuje Towarzysz Absurd?! Pług Walichowskiego, Panie, to próba ratunku, to przykład, to pokazanie drogi, jak się wyłamać ze schematu, jak przeskoczyć etap. A nasza Rada Technologiczna siedzi na szerokich tyłkach i nic, jeden Waligóra się zapalił, ale co on robi, gdy kooperacja mówi: nie! I Herkules dupa, kiedy ludzi kupa. Wbij zęby w ścianę!

Na tę przewidywaną Stasiową filipikę ma Adam swoją odpowiedź, z dawna przygotowaną, zdawałoby się, że jeszcze we śnie dziś w nocy dopolerowaną, wypieszczoną. Teoretycznie i uczuciowo jest po stronie inżyniera Buchały, to jasne, ale w praktyce widzi niewykonalność wielu jego propozycji, ba, nie obrażając, zgoła ich fantastyczność. Trudno — nie żyje się w próżni, opór tarcia zniweczył już niejedną energię kinetyczną czy zneutralizował potencjalną. Wróćmy do przykładu z kuźnią i szlifiernią. Łańcuchy do gąsienic długo kuto ręcznie, aż poprzedni techniczny, inżynier Moskwa poświęcił rok życia, żeby dostarczyć zakładowi zautomatyzowaną kuźnię oraz szlifiernię. No i co? To było piekło, hańba zakładu, przez tę inwestycję przejechał się właśnie inżynier Moskwa, groził mu nawet proces o lekkomyślne gospodarowanie groszem publicznym, a Michaś Chruszcz ledwo sam się ocalił, porzucając inżyniera w ostatniej chwili, gdy nic się już nie udało uratować. Poszło o to, że w tej kuźni zainstalowano najnowocześniejszą maszynę zagraniczną, tyle, że jak się okazało, była ona z serii informacyjnej, próbnej (kto za to odpowiada — jakaś odnośna centrala Handlu Zagranicznego — a kto rzecz badał i powziął decyzję?!), brak było do niej fachowców, części też nie sprowadzono. W nieskończono-

ność trwały próby i ciągłe przestoje, co wyszkolono ludzi to okazywało się, że nie tak, że coś się zepsuło, wszyscy wciąż nad tym deliberowali, pracy włożono mnóstwo, w rezultacie się okazało, że zmechanizowana produkcja wolniejsza jest i mniej operatywna niż dawna ręczna, kuźnia planu nie wykonała, premię na rozruch techniczny zjadła a produkcyjnej nie dostała, ludzie zaczęli stąd uciekać. Zupełnie taka sama historia, tylko w większej bo całego zakładu skali zdarzyła się na Pomorzu Zachodnim. Założono tam wielką fabrykę opon, będącą między innymi bezpośrednim kooperantem Niedźwiedowa, zainstalowano na licencji i z pomocą zagranicznych fachowców najnowocześniejsze urządzenia, powołano świetnego dyrektora o światowym stażu. Ale cóż — zakład dusił się, oddychał częstką jednego płuca z powodu nieustannej płynności załogi, a to znów wiązało się z siatką płac i premii, zgoła nie dostosowaną do sytuacji i terenu. Fabrykę umieszczono rozmyślnie w okręgu czysto rolniczym, pracowników dowożono ze wsi autokarami. Pomysł dobry lecz skutki okazały się opłakane. Opony są różne, najrozmaitszych rozmiarów i odporności, technologia w każdym wypadku zgoła inna. I oto wytworzył się korkociąg: młodzi, świeżo kreowani „chłoporobotnicy” nie mogli się pogodzić z ciągłym wdrażaniem nowej technologii, bo przez taki okres dużo się pracuje i mało zarabia, akord ani normalna premia jeszcze wtedy nie leci. Jak tylko wyuczyl się jednego, to chcieli się odkuć, rąbać w kółko, aby prędko. Tymczasem w tej dziedzinie, w dętkach, wulkanizacji, tworzywach, postęp na świecie jest ogromny, więc wymagania i zamówienia, zwłaszcza w eksporcie, gdzie konkurencja obowiązuje nawet socjalistów, coraz to większe, coraz to inne. I tutaj właśnie katastrofa! W owym zakładzie na Pomorzu nikt nie palił się do opanowywania wciąż nowej technologii — raz mu wystarczyło. Majstrów, fachowców ideowych, można by powiedzieć, owszem, sprowadzono z całej Polski, za to robotników z krwi i kości nie było, wszystko ludzie ze wsi, posmakowali pracy w jednym dziale, ale przestawiać się nie chcieli, wracali na wieś, czekając, a nuż się trafi co innego? W ten sposób dyrektor miał maszyny, majstrów, tylko nie miał załogi, choć cała okolica przeszła przez zakład. Technologia mu się wciąż starzała, przegrywał wyścig z postępem, wszystko rozlało się w palcach. Koszta pospiesznej budowy przemysłu w rolniczym kraju — powie ktoś. Prawda, ale także koszta zamętu w planowaniu płac i wydatków: gdyby więcej płacili za rozruch działów, to ludzie by nie uciekali i uniknęłoby się wielkich strat w skali ogólnoprzemysłowej. Tylko że u nas jedna głowa liczy wydatki na fundusz płac, zaś inna koszta powoli uruchomionej i przez to już w chwili poczę-

cia przestarzałej produkcji. A kto odpowiada za całość? Ba! Do zasług kandydaci są, do odpowiedzialności nigdy.

Tak więc Adam tłumaczył (w myśli) Stasiowi Buchale to, co tamten dobrze wiedział. A części zamienne do traktorów? Brak ich związany jest ze złą pracą zakładowej odlewni żeliwa. W gruncie rzeczy można by w ogóle nie kooperować, zaprzestać zebraniń po hutach i fabrykach całej Polski, tylko usprawnić i rozbudować działalność tej odlewni. Nie daje się? Najlepszy dowód, że nie stać nas także na maszyny precyzyjne, że trzeba zrezygnować z produkcji ubocznej i skoncentrować się na prostych ciągnikach. Zresztą „kwiatuśzek administracyjny” kwitnie tu także, bo drobne części zamienne w Polsce są, znaleźć je można po prostu w wytwórniach spółdzielczych, ale tam nie wolno się zaopatrywać ani fabryce, ani POM-om ani Kółkom Rolniczym. I zrób mu dziecko!

W żadnym wypadku „materiałowicz” nie jest wszystkiemu winien, trudno mu też zarzucać, że nie przebił głową ściany. „Materiałowicz” i tak robi mnóstwo, jako *Mädchen für alles*: on sprowadza węgiel, stal, półfabrykaty hutnicze ze stali i żelaza, części motorów i maszyny, opony, ropę, szkło, no i te przeklęte drobiazgi, śrubki, wkrętki, uszczelki, kable, druty. *Mein Liebchen, was willst Du noch behr?! Gdzie tu, na Boga wsadzić elektryczny pług?!*

Długo więc sobie dziś toczyli imaginacyjną dyskusję ze Stasiem Buchalą, była to zresztą nie tyle dyskusja, co wzajemne się dopełnianie: Staś wiedział, że nie ma racji choć ma rację, Osiński rozumiał, że ma swoją rację, chociaż jej w gruncie rzeczy nie ma. Buchała miał rację, teoretycznie i ideowo, Adam prawdziwie przedstawiał aktualne możliwości. Stanowili jedną duszę w dwóch ciałach, dlatego nie mogło być między nimi konfliktu antagonistycznego, tak to nazywano w języku marksistowskim. Jakaż więc z tego wszystkiego konkluzja?! Staś Buchała wysuwał w końcu pod adresem Osińskiego jeden jedyny postulat: że Adam, jako zawodowy kooperant czy kooperator powinien jeszcze intensywniej robić to, co tak nieustannie robił — zebrać. Zebrać u każdego, który coś znaczy. U kogo? Buchała związał usta w zabawny ryjek (twarz miał dziecinną, mimo siwych włosów) i recytował jak monotonną litanię: „Ministerstwo Przemysłu Maszynowego. Ministerstwo Hutnictwa i Przemysłu Ciężkiego. Ministerstwo Rolnictwa. Komitet Drobnej Wytwórczości. Zjednoczenie Przemysłu Maszynowego. Ministerstwo Handlu Zagranicznego. Ministerstwo Handlu Wewnętrznego. Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego. Instytut Mechanizacji Rolnictwa. Zrzeszenie Kółek Rolniczych. Państwowe

Ośrodki Maszynowe. Centrala Handlu Sprzętem Rolniczym. Zrzeszenie Państwowych Gospodarstw Rolnych. Państwowy Urząd Normalizacyjny. Naczelna Organizacja Techniczna. Państwowy Komitet Cen i Płac. Międzykółkowe Bazy Maszynowe. Była Kobyła Co Tyłem Chodziła. Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj!!”

Tak nieoczekiwanie kończył Staś swoją litanie, po czym, przybrawszy z powrotem normalną, kpiąco żalostną minę pytał Adama: — Panie, tyłu ich jest, a dlaczego żaden nic nie może? Mówią, że komunizm to dyktatura, ale jeśli na górze też nikt nic nie może, to czyjaż to właściwie jest dyktatura? Chyba bałaganu?!

Dziś jednak osobliwie jakoś nie nastęrcza się okazja do odegrania ze Stasiem tej samej co zwykle sceny, do powtórzenia rytualnego dialogu, w którym obie strony dzielią się wzajemnie rolami i argumentami, wiedząc doskonale, że w gruncie rzeczy myślą to samo, tworząc jedną duszę w dwóch ciałach. Skoro więc nie ma dzisiaj z kim gadać ani co załatwiać, trzeba zająć się podyktowaniem zaległych listów, panienki w sali maszyn nie są teraz pewno zbyt zajęte. Adam grzebie zatem w szufladzie, żeby wyszukać sobie potrzebne materiały, gdy oto właśnie w drzwiach pojawia się onże Staś Buchała, przyniesiony tutaj swoim bezszelestnym, lekkim krokiem. W rękę trzyma jakieś papiery, jedno spojrzenie na jego drobną twarzączkę utwierdza Osińskiego w przekonaniu, że tamten jest czymś bardziej podniecony i zaabsorbowany niż zazwyczaj, na ogół bowiem jego stany ekscytacji miarkowane bywają przez mądrą, wszechwiedzącą melancholię. Tymczasem dzisiaj — nic z tych rzeczy. Inżynier Buchała z tryumfem uderza ręką w przyniesiony plik papierów i ledwo przywitawszy się z Adamem, rozpoczyna pełnią ognia filipikę.

O cóż to mu idzie?! Już po pierwszych słowach Osiński zorientował się i wewnątrz wżruszył ramionami. Właśnie przedwczoraj zdaje się, inżynier Jan Natorf, dyrektor niedźwiedzowskiego Zakładu Doświadczalnego Ciągników Rolniczych urządził u siebie odczyt czy wykład dla inżynierów i techników. Adam był akurat na Śląsku, zresztą tak czy owak na wykład by nie poszedł, miał bowiem ustalony pogląd na inżyniera Natorfa, jego pracę i organizowane przezeń imprezy. Natorf był to człek wielki (wzrostem), stary, krzykliwy i całkowicie, do dna duszy bojowy, to znaczy bojący się partii, rady zakładowej, samorządu robotniczego, nawet safandulskiej dyrekcji z Maciejewskim i Wilnerem włącznie. Od czterdziestu przeszło lat zajmował się technologią maszyn rolniczych, nabył więc chyba sporo wiedzy

i doświadczenia, odznaczał się mimo to jedną, podstawową a zdumiewającą cechą, że mianowicie z ogromną skwapliwością dostarczał argumentów i podbudowy naukowej dla wszelkich tez, które akurat przychodziły z góry — zaś tezy takie zmieniały się nieraz i co pół roku. Nauka w jego pojęciu to była giętka dziesięczyna do wszystkiego, z jej pomocą udowodnić można każdą koncepcję, a zwłaszcza taką, co jest akurat polecana. Tylko skąd wiedzieć na pewno, co jest polecane?! Jaś Brzozowicz, który dla dobrego dowcipu oddałby z ochotą wszystko, twierdził, iż inżynier Natorf musi przez całe życie całować kogoś w d..., nigdy jednak nie wie dobrze kogo, nie wie czyja to tylna część ciała jest właśnie w danym momencie najważniejsza. To chroniczne niepoinformowanie, złączone z również chroniczną gorliwością sprawiały, że inżynier Natorf przy całej swej pokornej usłużności bardzo często popełniał gafy, popadał w tarapaty i niełaskę, rugano go wtedy soczyście, co przyjmował z wielką unizonością, jako zaszczytny dopust Boży, nisko skłaniając swój olbrzymi korpus starego gladiatora. Skąd biorą się takie przedziwne monstra tchórzliwości i opacznej usłużności — diabli wiedzą.

Już po pierwszych słowach Stasia Buchały Adam zorientował się, że tym razem Natorf (on także!) uznał za wiążące i „wiodące” sugestie genialnego inżyniera Waligóry, dotyczące przeprofilowania Niedźwiedowa i zwrócenia się w kierunku nowej, precyzyjnej a specjalnej produkcji, słowem przejścia z ilości w jakość. Była to moda lansowana poniekąd z góry, tyle że bez wyciągnięcia z tego jakichkolwiek konsekwencji w dziedzinie organizacji pracy, przepisów, stawek, premii, et cetera, et cetera. Słowem jeszcze raz koncepcja pisana całkowicie palcem na wodzie, aż dziw, że dał się na to nabrać stary lis inżynier Buchała. Bo co do Jana Natorfa, to pozwolił się on, po raz tysięczny w życiu, uwieść tak zwanej „magii wielkich nazwisk”, założywszy, że należało do nich nazwisko zawodowego blefiarza i pozera, dyrektora technicznego Roberta Waligóry, a także nazwiska sekretarzy: powiatowego i miejskiego, których pan Natorf (oczywiście bezpartyjny!) zaprosił na ów wykład. Niedźwiedów bowiem z racji swego pośredniego położenia, stawał się łupem Sekretarzy najrozmaitszych: wojewódzkiego, powiatowego, miejskiego, osiedlowego, nie mówiąc już o władzach centralnych. Łaska Boska, że na ogół nie znali się oni wcale na rzeczy i nie sprawdzali, czy ich przeróżne polecenia i sugestie są wypełniane czy też nie są. Niemniej inżynier Natorf, podobnie jak i dyrektor Maciejewski uważali niezmiennie, że pokorne ciele dwie (a może więcej niż dwie?!), matki ssie i że na pokorze nikt jeszcze w życiu nie stracił — teza zresztą iście chrześcijańska. Ów sławny,

przedwczorajszy odczyt wygłoszony został przez profesora, doktora habilitowanego, inżyniera magistra Takiego a Takiego, członka rzeczywistego Polskiej Akademii Nauk, przewodniczącego Komitetu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa Polskiej Akademii Nauk, nosiciela jeszcze z dobrego pół tuzina przenajrozmaitszych tytułów. Już z pierwszych zdań, tryumfalnie odczytywanych przez Buchałę (profesor udostępnił mu i pozostawił maszynopis — ba, gdzieżby znalazł wdzięczniejszego czytelnika!) wynikało, że idee profesora Takiego a Takiego to po prostu krew z krwi i kość z kości najulubieńszych idei Stasiowych. Profesor twierdził, ni mniej ni więcej, iż, „kilkakrotne przejazdy po polach różnymi ciężkimi maszynami, ciągnikami, naładowanymi przyczepami etc. powodują zniszczenie gleby, co w rezultacie utrudnia lub wręcz uniemożliwia zwiększenie plonów”. Nadmierne ugniatanie powierzchni pól kołami ciągników i ciężkich maszyn — toż była od dawna ulubiona argumentacja Staszka Buchały, na którą fabryczni mechanicy, aż do czasów inżyniera Waligóry beztrudno wrzuszali ramionami. W konkluzji profesor Taki a Taki postulował, też niczym drugi Staś, przejście na ciągniki bardzo lekkie, lub też maszyny beznamiętne (uwaga, uwaga!), mówiąc i pisząc że: „... przyspieszenie uprawy gleby można uzyskać przyspieszoną orką specjalnymi pługami, bądź też czynnymi maszynami uprawowymi. Już po jednym przejściu takich maszyn po polu jest ono przygotowane pod siew. Maszyny uprawowe wymagają stosunkowo lekkich ciągników czy motorów, a więc mniej ugniatających powierzchnię pól — i, co ważne, tańszych”. (Tu Szanowny Profesor pokazywał swą całkowitą produkcyjną i socjalistyczną ignorancję, bo wszakże nie kilogramy czy tony w Polsce kosztują, lecz właśnie lekka precyzyjna technika). Dalej Taki a Taki twierdził (słusznie!), że chłopci nadal niechętnie wyzbywają się koni, bo z powodu złej organizacji pracy Kółek Rolniczych, braku części oraz ciągników odpowiednich wymiarów, boją się, że w najbardziej im odpowiadających terminach zostaną bez maszyn. Wobec czego, dla usprawnienia prac i zmniejszenia końskiego pogłowia (modne słówko) należy chłopom masowo i PRYWATNIE (ale marzyciel!) sprzedawać lekkie, kameralne ciągniki o mocy 18-20 KM. Tu Staś Buchała zachłysnął się ni to szlochom ni to radosnym śmiechem i drżącym głosem odczytywał dalsze fragmenty referatu, w których uczony profesorek przewidywał, że zmniejszać się będzie ilość małych indywidualnych chłopskich gospodarstw, a zwiększać liczba wieloobszarowych, tak prywatnych jak i państwowych („po cóż więc było parcelować ziemian na drobne kawałeczki, aby potem scalać je z powrotem” — łkał teraz Staś), wobec

czego należy do roku 1985 nasycić rolnictwo wszelkiego rodzaju maszynami, zbierać plony kombajnami, zmechanizować prace polowe i hodowlane, kosić kosiarkami, doić dojarkami, siać siewnikami, rozlewać gnojownicę rozlewaczami, brykietować siano brykietarkami i tak dalej i dalej. „Jeśli osiągniemy w przyszłości taki stan mechanizacji, to dopiero za 15 lat mniej więcej zrównamy się z obecnie już istniejącym poziomem mechanizacji w krajach wysoko uprzemysłowionych, jak kraje skandynawskie, Holandia, USA, NRF i inne. Wskazuje to wyraźnie na duże opóźnienie mechanizacji naszego rolnictwa”. Aby to opóźnienie nadrobić wysoki Profesor Taki a Taki doradza: *primo*, wyasygnowanie 10-12 miliardów złotych na budowę nowych zakładów produkcyjnych oraz rozbudowę i modernizację istniejących; *secundo*, zapewnienie odpowiednich materiałów budowlanych i konstrukcyjnych (przede wszystkim rur, polimerów i specjalnych lekkich profili); *tertio*, zorganizowanie i należyte wyposażenie przyfabrycznych ośrodków rozwojowych; *quarto*, unikanie szkodliwego przerzucania specjalizacji produkcji z jednego zakładu do innego; *quinto*, danie większej niezależności Zjednoczeniu w decydowaniu o wyborze i realizacji zagranicznych licencji; *sexto*, rozsądny podział produkcji maszyn w ramach RWPG, uwzględniający nasze warunki i główne kierunki produkcji rolniczej; *septimo*, pozyskanie kadry koncepcyjnych konstruktorów maszyn rolniczych i ich należyte uposażenie oraz „ustawienie” w zakładach produkcyjnych i ośrodkach rozwojowych. Bardzo bestia pięknie te rzeczy doradził, zapomniał tylko jeszcze, nadmienić, jak to wszystko zrobić, z kim gadać, kogo przekonać, od kogo żądać. Ba, Profesor Taki a Taki nie jest wszakże ani producentem, ani politykiem, ani urzędnikiem i rozwiązywanie kwadratury koła w żadnym wypadku Go nie obowiązuje. On po prostu przepowiada przyszłość rolnictwa, tak, jak według opowiadań Stasia Buchały robią to w nowoczesnej Ameryce. Czegóż więcej można chcieć od profesora Takiego a Takiego, świetnego fachowca na europejskim czy zgoła światowym poziomie?!

I tu właśnie miał Adam pretensję do Stasia Buchały, że popadł oto w tak bezdenną i bezgraniczną euforię. Prawda, myśli Profesora to były jego, Stasiowe myśli, jego Ewangelia, jego Biblia. Ale mimo to Staś jest wariat. Żyje przecież w Polsce Ludowej, wie o niej to co wie, gada co gada, ba, wygaduje jak najęty, a tu naraz myśli, że jeden fachowy referat zmieni wszystko to co tu dwadzieścia parę lat budowano i przesądzi sprawę całej produkcji. Facet ma ćwieka, zresztą zawsze go miał i rzecz to sama w sobie bardzo piękna, ale przecież jednocześnie,

wydawałoby się, umie spojrzeć obiektywnie na świat, tymczasem dziś tego nie potrafi, nawet nie spytał Adama o wyniki śląskiej podróży, sto razy ważniejsze od wszystkich referatów — bo referatem się dziury w aluminium nie wyboruje. Największą zaś, irracjonalną (tym silniejszą) pretensję ma dziś Adam do Buchały, że cały, od wczoraj popołudnia toczony między nimi imaginacyjny dialog poszedł na marne, obrócił się w fikcję. Bo teraz, zamiast Stasia wyobrazonego sobie i wyposażonego w z góry przewidywane repliki, stoi oto przed Osińskim Staś zgoła odmienny, bezprzedmiotowo podniecony, istny wariat. Nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co wylęgnie się jutro w mózgach naszych bliźnich.

Adam już dawniej podejrzewał Buchałę o lekkiego bzika, gdy mianowicie tenże (Buchała oczywiście) brał na serio techniczne zapały inżyniera Waligóry, jakby nie widząc, że w istocie Waligóra na zimno upozowywał swą sylwetkę, przystosowując ją do przyszłej kariery, podobnie jak Maciejewski wyginał się i wdzięczył do zasłużonej rzekomo emerytury. Maciejewski budował własny posąg z wazeliny. Waligóra z szeroko reklamowanej walki o wysoką jakość techniczną, walki bohatersko toczonej lecz dość gładko przegrywanej — aby było wygodniej. Obaj spryciarze i aktorzy nie z tej ziemi, a już Maciejewski to niewątpliwie wielki polityk, psycholog i taktyk — tylko że talenty te idą w próżnię, w jego osobiste bezpieczeństwo i wycaną emeryturę. Nawet fakt, że nie jest w Partii też dowodzi genialnego sprytu: nie podlega bezpośrednim rygorom, o których dowiaduje się z drugiej ręki, może się za to dowoli popisywać bezinteresownym oddaniem i posłuszeństwem. Zaiste, w Polsce dzisiejszej żyją sami ludzie o uzdolnieniach polityczno-dyplomatycznych, ministrowie spraw zagranicznych czy ministrowie propagandy, tyle, że bez teki. Za to na kapitalistycznym Zachodzie mnóstwo jest prywatnych („samozwańczych”, jak mówili marksści) przewodniczących komisji planowania gospodarczego — w każdym przedsiębiorstwie siedzi tam taki jeden, jeśli nie więcej. A w Polsce na cały kraj jest w ogóle jeden. I jakżeż ma coś iść — tu nawet mózg elektronowy nie dałby rady!

Tymczasem Staś i Adam przeżywają po społu swoją tragedię: że nie mogą pracować. Tragedia to zresztą nader powszechna — nikt w komunizmie nie może pracować, bo stworzono tu, czy też jakoś organicznie sam się wytworzył, nieomylny system przeszkadzania. Działa on samoczynnie, ale jest pewno rozmyślny — żeby nikt nic nie znaczył, nie wyróżniał się, żeby poza Partią nie mogła wyrosnąć żadna siła. „Idea działa”, to było przecież powiedzenie Stasia Buchały, dlategoż dziś do tego

nie nawiązał, dlaczego zapomniał o swojej postawie filozofa i dał się bez reszty uwieść złudnej euforii, wywołanej przez referat Profesora Takiego a Takiego?! Nie dogadali się dzisiaj, co więcej, zaabsorbowany marzeniami Profesora Staś patrzył na inżyniera Osińskiego koso, jak na przeszkodę, na hamulec w produkcji, na przyziemnego szkodnika. A może to się tylko Adamowi zdawało, może, jak często bywa, przypisał inżynierowi Buchale własne myśli? Tak czy owak, po wyjściu tamtego wciąż jeszcze dziś nie zatrudniony kierownik działu zaopatrzenia i kooperacji pograżył się w sobie nader niewesoło, zabrakło mu oto ostatecznego minimum, odrobiny psychicznego komfortu. Komfort psychiczny, ba, jakież to rzadki i wręcz zapomniany towar!

VI

Dzień trwa dalej — choć inaczej niż to było przewidziane, pusto, ale pustka taka nader okazać się może myląca, bo choć nic się nie dzieje, czas, z jednej strony rozciągliwy, z drugiej płynie szybciej, zapewne dlatego, że nie posiada teraz wagi, bo nie ukrywa w sobie zmiany pozycji żadnej sprawy wobec innych spraw. Co prawda jest to tylko pozór, gdy bowiem czas płynie a nic się określonego nie zmienia, to znaczy, że wszystko w sumie się zmienia na gorsze, mechanizm świata jest bowiem taki, iż ciągle trzeba w nim coś dokręcać, poprawiać, usprawniać, jeśli się tego nie robi, to aparatura pozostawiona samej sobie degeneruje się i niszczy. Świat potrzebuje swojej „amortyzacji środków trwałych”, w gruncie rzeczy wcale nie są one trwałe, wielu starań należy dołożyć aby mogły zachować pozory trwałości. Gdy w Niedźwiedowie, to znaczy w Niedźwiedowie wąskim, tym, co otacza Adama, trwa i wlecze się dzień podobny do dzisiejszego, ma się wrażenie, że przeczucie zbliżającej się nieodwołalnie klęski czy porażki zagęszcza się, staje się namacalnie nieuchronne. Niejasna obawa przed decydującą klęską — bo ta wrocławska nie okazała się przecież ostateczna — łączy się u inżyniera Osińskiego z podświadomym lecz ugruntowanym wewnątrznie poczuciem, że sam jeden odpowiada tu za wszystko. Oczywiście, Wydział Zaopatrzenia i Kooperacji nie składa się tylko z kierownika, zastępcy oraz biurowych pańienek. Adam ma jeszcze przydzielonych paru młodych inżynierów z technicznego, którzy na każde życzenie służą mu jako eksperci kooperacyjni i mogą być dowolnie wysyłani w teren. Osiński, owszem, posługiwał się już nimi, są wszakże fachowcami, w przeciwieństwie do Działaka, jednak samodzielnie w teren wysyłał ich rzadko, bo decyzję musi przecież parafować osobiście, a więc, dla kontroli, trzeba by było jechać jeszcze raz, po cóż zatem

dublować wyjazdy, zwłaszcza że młodzi, powojenni ludzie, w dodatku po wódeczce, która przy takich okazjach leje się do kieliszków zawsze, mogą zaangażować się w coś niezbyt sensownego. Nie chodziło właściwie o sprawy techniczne, lecz raczej psychologiczne: fachowcami byli dobrzy, ale nie potrafili jednym, dyskretnym spojrzeniem ocenić, czy ewentualny kooperant to człowiek z prawdziwego zdarzenia, czy też lekkomyślny „miglańc”, alias nieuchwytny „nietoperz”. Ostateczną decyzję musiał w końcu inżynier Osiński podejmować na własną rękę — jak we Wrocławiu — wobec tego sam też wolał zapoznawać się z całokształtem wszelkich elementów sprawy. Tę jego metodę pracy podkreślał częstokroć a obtudnie dyrektor Maciejewski — stary lis i w tym wypadku przygotowywał sobie alibi, nie było wątpliwości, że w razie jakiejś hecy czy plajty zwali całą rzecz na ową, tak kiedy indziej chwaloną samodzielność (będzie ją można wówczas nazwać apodyktycznością) inżyniera Osińskiego. Schemat wrocławski działał więc nadal i w Niedźwiedowie — czyżby i koniec miał być tutaj podobny?

Adam łąpał się nieraz na fatalizm, na nie sformułowanym, lecz tkwiącym w nim przekonaniu, iż człowiek jest, może przez swój charakter i sposób postępowania, uwarunkowany i że cokolwiek by robił, los jego został przesądzony, najwyżej egzekucja się odwleka. I dziś, po wyjściu oślepionego entuzjazmem Stasia Buchały, wyglądając oknem, wiodąc oczyma po znanym, fabryczno-polnym pejzażu, rozciągającym się z okien starego, narożnego biurowca, Adam czuł się jak ćma, objijająca się o ściany swego więzienia, jak stwór bezwolny, o którego niewydarzonym losie dawno już i to bez niego zadecydowano. Zostanie oskarżony i skazany — elementy, przypominające winę, narzucały się wręcz tuż, za oknami, przypominając namacalnie, z jakiej to okazji Adam będzie prędzej czy później obwiniony. Elementy te to są owe przysiadłe za parkiem traktorowym obok ogrodzenia nędzne baraki, czasem jakby ceglane bunkry czy wręcz ziemianki. Cały niedźwiedowski zakład, aż po tor kolejowy, bocznice, warszawską szosę, obrośnięty jest wokół liszajami tych brudnych, przywalonych teraz wczesnym śniegiem budyneczków. Każde dziecko z Niedźwiedowa wie, co się dzieje w owych lepiarniach, jakże kontrastujących z przeszklonymi blokami nowego miasta, tam, po drugiej stronie toru. Te tutaj budy i rozmyślnie nie remontowane, nie podpierane niczym rudery to są warsztaty, samozwańcze, nielegalne lub półlegalne warsztaty, gdzie kwitnie techniczne chałupnictwo, oparte o surowiec bądź wynoszony chyłkiem z fabryki, bądź o odpady, skrawki metalowe, okruchy żelastwa, zbierane na istnym Pocięjowie resztek i tan-

dety, rozciągającym się za parkiem traktorowym, obok starej magazynowni, tam gdzie już widać obrzeżoną wierzbami zawsze błotnistą drogę, pierwsze zabudowania wiejskie, a na niedalekim horyzoncie coś niby szlacheckie białe dworki z kolumnkami. (Czerwone, spiczasto spiętrzone dachówki takiego dworku nad fioletową ścianą lasu, ruchome, bo widziane pod różnym kątem, z rozmaitych punktów okolicy — taką upartą wizję wyniósł kiedyś Adam z przedwojennych, dzieciennych wakacji, spędzanych gdzieś na równinie między Helenowem a Łowiczem). Więc w tych nielegalnych czy półlegalnych warsztatach, prowadzonych częstokroć (nieoficjalnie oczywiście) przez niedźwiedzkich majstrów i także przez „chłoporobotników” oraz ich rodziny, wre praca niebylejaka — przymyka się na nią oczy, choć, jak się rzekło, majstrują tu nieraz to i owo z kradzionego czy znalezionego na złomowisku, wyszabrowanego materiału. A niemałe się tutaj robi interesy. Przecież w tych liszajowatych budach, nie tyle parterowych co zgoła, aby nie zwracać niczyjej uwagi, podziemnych, piwnicznych, reperuje się samochody, motocykle, wulkanizuje opony. Nierzadko widać, jak po piaszczystych, oplatających Niedźwiedzów wiejskich drogach kiwa się wielkie zagraniczne auto — tu zrobią dlań wszystko, tu wiedzą po co się pracuje. To jest istne marzenie Adamowego szwagra, Franka, tyle, że tamten ma pecha, bo wystawił sobie niegdyś warsztat w samym sercu ulicy Piotrkowskiej i kłuje tym wszystkich w oczy, te zaś rudery kryją się na śmietniku, tolerowane w swym tandetnym, uderzającym obrzydlistwie, choć parę razy do roku przeróżne kontrole i instancje postulują oczyszczenie terenu, na co się wszyscy skwapliwie zgadzają i co od lat nie jest realizowane, może zresztą dzięki jakimś łapówkom. Tak to rzeczy prowizoryczne trwają a rzeczy solidne chylą się ku upadkowi.

W tych dziwacznych warsztacikach, podziemnych ręcznych kuźniach, frezarniach, tokarniach, wulkanizatorniach mógłby i inżynier Osiński zamawiać jakieś swoje utrapione części, owe sakramentalne śruby, wkrętki, uszczelki, ba — wentyle do małych opon, cząstkę łącie bezcenną. Mógłby, ale oczywiście — nie robi tego. Po pierwsze się boi, bo zamawiać coś u prywaciarzy tu, pod samym płotem wielkiej, państwowej fabryki, to by już była czysta kontrrewolucja, sprawa gardłowa i kryminalna. Po drugie zaś — ci tutaj nie mają prawa wystawiać pokwitowań. Mogą, owszem (choć czy naprawdę mogą, czy tylko tak się utarło?) reperować auta prywatnym ludziom, przyjeżdżającym pod Niedźwiedzów z Warszawy czy Łodzi, ale za nic na świecie nie wolno im wydawać nikomu owych, jedynie miarodajnych dla urzędów rachunków i kwitów. Z celebrowaniem pisanych na fir-

mowych blankietach rachunków jest oczywiście wielki a zawity kram, po prostu osobna, niepojęta dziedzina magii. Przed paru lat do domu kultury w Niedźwiedowie sprowadzono fortepian, sprawa była pilna, gdyż ustalono już datę inauguracyjnego koncertu. I oto wszystko wzięło w łeb, bo trzy tygodnie musieli czekać, aż przeciążone pracą państwowe przedsiębiorstwo transportowe przewiezie fortepian z Warszawy za pięć tysięcy złotych. Tymczasem konny wozak spod Niedźwiedowa chciał załatwić rzecz od ręki za dwa tysiące, ale nie dało się, bo Kontrola by nie uznała — bez rachunku na firmowym blankiecie nie wolno! Czarna Magia czyli względy polityczne, walka klas, rewolucja, idea, ustrój. Na takie sprawy nie ma się co porywać.

A jednak inżynier Osiński się na nie porywał — bo musiał. I, choć nie korzystał z chałupników Niedźwiedowa, to jednak liszajowaty, przyfabryczny mikro pejzaż przypominał mu własną winę: w gruncie rzeczy sprowadzał przecież dla fabryki precyzyjne drobiazgi z podobnych właśnie zakładów, tyle że zazwyczaj tak czy owak zamaskowanych nazwą spółdzielni, lecz zawsze niezbyt legalnych, w zasadzie bowiem pozwalano im tylko „świadczyć usługi”, oni zaś uprawiali produkcję przemysłową, czyli rzecz zastrzeżoną dla państwa. Wybierał sobie takich dostawców z najdalszych krańców Polski, aby trudno było sprawdzić: każde województwo ma własną biurokrację i własne obyczaje. Dla uprawiania jednak tego niecnego proceduru musiał Adam posiadać pewien odnawiający się wciąż papier, obecnie już chyba niezbyt legalny, a raczej na pewno „lipowy”. Jak to wyglądało? Państwowa fabryka może zaopatrywać się u spółdzielców tylko w wypadku, gdy posiada zaświadczenia od wszystkich potencjalnych, również państwowych kooperantów, iż nie są w stanie przygotować zamawianego produktu żądanej jakości na określony termin i w określonej serii. Adam zdobył przed laty takie zaświadczenia, kosztowało go to parę miesięcy podróży, trudów, skomplikowanych perswazji i ciężkich pijaństw, bo fabryki niechętnie wyduszały z siebie tego rodzaju dokumenty, wołały odmówić ustnie i kwita. Ale jednorazowe zdobycie kompletu zaświadczeń to jeszcze drobiazg, chodzi o to, że trzeba je odnawiać co roku, czyli teoretycznie tracić co roku w ten sposób parę miesięcy czasu, trzymając jednocześnie w napięciu i niepewności prywatnych (pardon, spółdzielczych) kooperantów, którzy i tak mają nieskończone kłopoty z surowcem, kontrolą, władzami. Tu już inżynier Osiński się zbuntował i przy pomocy Michasia Chruszcza wykombinował pewną ponadczasową machlojkę. Oto mianowicie, co roku przedstawiał ten sam, raz uzyskany komplet zaświadczeń. Po prostu przekopioowywał

je wszystkie (a raczej prawie wszystkie, bo z ostrożności wydebiął od czasu do czasu jakąś seryjkę technicznych części z czysto państwowej fabryki), zmieniał w kopiach daty, zaś autentyczność nie istniejących podpisów poświadczala mu corocznie nie kto inny, tylko obywatelka Joanna Ptaśnikowa, kierowniczką niedźwiedzowskiego Działu Kadr. Dlaczego właśnie ona? Bo rozłożysta ta, niestara jeszcze blond niewiasta, dostająca z byle powodu gorączkowych wypieków na pulchnym obliczu, absolutnie nie znała się na sprawach produkcji, a za to była nader „bojowa”, tyle, że podobnie jak dyrektor szkolenia Natorf, zielonego pojęcia nie miała, kogo akurat trzeba się bać. Wobec tego Michaś Chruszcz z Adamem straszili ją co roku, że bez owej pliki poświadczonych dokumentów produkcja stanie, odpowiedzialność zaś spadnie oczywiście na panią Joannę, któż bowiem ma obowiązek poświadczania i pieczętowania dokumentów, jeżeli nie „kadry”. Dotąd sztuka corocznie się udawała, a Michaś Chruszcz spokojnie chował jeszcze jedną teczkę nie czytanych przez nikogo papierów do jakiejś tam swojej szuflady, dobrodusznie się przy tym uśmiechając. Swoje sumienie komunisty czy przynajmniej członka partii uspokajał stwierdzeniem, że w bratniej Niemieckiej Republice Demokratycznej kooperacja, prowadzona z włączonymi do socjalizmu pół-prywatnymi producentami praktykowana jest szeroko, u nas natomiast mamy jeszcze w tej dziedzinie pewne „luki ustawodawczo prawne”. Tak więc Chruszcz rozsądnym jak zawsze i gładkim sformułowaniem krył moralnie Osińskiego, lecz jasne było, że w razie jakiegokolwiek „draki” odpowiedzialność spadnie na kierownika kooperacji i zaopatrzenia — niczym we Wrocławiu, z tym, że tutaj rzecz była już jawnym przekroczeniem przepisów, jeśli nie fałszerstwa zgoła. Przymusowa machloja albo zawalenie produkcji — cóż za alternatywa!

Ale innej naprawdę nie było. Z taśmy Niedźwiedzowa musiało teraz schodzić co najmniej 100-150 traktorów dziennie, tymczasem zmorą stały się ciągłe przestoje. Czekano się wciąż na najrozmaitsze rzeczy, na nowe maszyny, na transport surowca, na zaistalowanie i naprawę tych nowych maszyn, na zapowiedaną wciąż reorganizację pracy, a także na półprodukty, na wytwory fabrycznych „wąskich gardeł”: odlewni żeliwa i hali obrabiarek, na kuźnię, szlifiernię, silnikownię wreszcie. Gdyby jeszcze miano czekać dodatkowo na setkę drugorzędnych drobiazgów, bez których traktor nie może wyjechać do ostatecznej toalety, do kontroli technicznej, próby wytrzymałości i wreszcie do parku koło bocznicy, ludzi porwać mogła dzika wściekłość. A czekano by na pewno: żadna fabryka nie dostarczy w terminie drobnych, nie typowych części, produkowanych krótkimi seriami, podczas

gdy przywaciarz czy spółdzielca wytrwały i akuratny jest jak chronometr: on z tego żyje i tym żyje.

Trzeba też zważyć psychologię robotników. Polski robotnik może pracować świetnie, ale tylko gdy widzi, że robota jest przemyślana, zorganizowana, idzie rytmicznie i płynnie. Wszelkie przerwy czy eksperymenty wybijają go z transu, to go zraża, zniechęca, dla odzyskania równowagi ducha zaczyna pić. Zaś znowu młodzi inżynierowie i technicy są zdezorientowani sprzecznymi zarządzeniami, do tego dochodzą starsi majstrowie i brygadziści, z zasady sceptyczni i konserwatywni. Co można robić w tych warunkach? Ano po prostu: klecić traktory nawet bez części zamiennych, nawet modele nie najbardziej akurata poszukiwane, aby tylko rytmicznie, aby ponad 100 a teraz już prawie 150 dziennie. Taki jest Niedźwiedów i w istniejących okolicznościach inny nie będzie — jeśli inżynier Waligóra chce go zmienić, proszę bardzo, ale nie od czubka, tylko od podstawy: od surowców, maszyn, drobiazgów, kooperacji. Bo snuć piękne fantazje techniczne i „futurolologiczne” to nie tylko on potrafi!

I tu dochodził Adam do drugiej swojej troski. Pierwsza była, że go oskarżą o niezbyt formalne, fałszywie udokumentowane dokonywanie zamówień drobnych części w różnych spółdzielniach (o koszty tu nie szło, sumy są groszowe, w państwowych fabrykach okazałyby się w rezultacie większe — szło o zasadę, o ideę). Druga troska — że obwinia go o hamowanie, przez nieudolność kooperacyjną, postępu technicznego. Czy do tego oskarżenia przyłączy się Staś Buchała, czy stanie się Brutusem, zadającym ostatni cios? Po jego wyjściu Adamowi pierwszy chyba raz zaświtała myśl, że tak się może stać. Buchała wyglądał dzisiaj nadmiernie podniecony — czyżby ilość przeszła u niego nagle w jakość?

A przecież był — nominalnie przynajmniej — handlowcem, eksport zaś na przykład świadczył wyraźnie na rzecz Osińskiego. Zagraniczni, wolnodewizowi odbiorcy chcieli mieć traktor mocny i wytrzymały, nie szukali finezji technicznych, te mieli u siebie a polskim nowalijkom nie ufali. Pług Walichowskiego? Wolne żarty, to ciekawostka, owszem, eksperyment techniczny, można go robić na boku, ale nie dezorganizując produkcji, nie drażniąc ludzi. Natomiast poważna jest sprawa zawałonej przez „Mechanę” maszyny do obróbki uchwytów szczęk hamulcowych. Tu Adam się zgadza, tu trzeba robić co się da, zebrać, awanturować się, może nawet jeszcze pojechać (ale z Waligórą, no bo z kim?) mimo tego ciemnego, pijackiego i rozbawionego grudnia. To jest sprawa istotna, podczas gdy pług elektryczny to efemeryda, choćby nawet parę sztuk poszło za granicę.

Teraz z kolei on poczuł się jednak jak zdrajca, zdrajca wspólnej sprawy. Staś miał szlachetne *hobby* i nie tylko *hobby*. Może jednak rzeczywiście postępu technicznego nie da się w tym zwarowanym systemie dokonać inaczej, jak całkiem wariackim przebojem? Mimo to słyszy wyraźnie, że mówi oto, wbrew sobie a do siebie, jakby przekonywał nie tylko pozera Waligórę, który umieścił swe biuro koło wielkiej hali montażowej: „— Główne hale pięknie zmechanizowane — tak, panie Dyrektorze — cóż, kiedy taśmę trzeba zatrzymywać, gdy nie nadaża odlewnia i precyzyjna obróbka — nie mówiąc już o kooperacji — w tych warunkach pomysły przeprofilowania i elektrycznych pługów są w Niedźwiedowie szkodliwą utopią — gdzie indziej tak, ale nie w ogromnej fabryce, w której trzeba się skupić na rytmie produkcji — owszem, technicy miewają tu wolny czas, ale to właśnie jest nienormalne i winno zostać zlikwidowane”. A na to słysząc głos inny, głos syntetyczny, Stasia, Walichowskiego, Waligóry razem wziętych: „— Eksport traktorów na Zachód czy do Azji, jak najprostszych ale trwałych, aby ich tam wyręczać w prymitywnej produkcji, to najmniejsza linia oporu — to się szybko skończy — to nas technicznie nie rozwinie — to nas ściąga w dół — kraju też nie można zalewać ugniatającymi pola tonami żelastwa — to jest wsteczność a ręczny pług elektryczny to postęp, nowatorstwo, twórczy wysiłek, myśl techniczna, rozwój myśli technicznej, eksport myśli technicznej, tryumf myśli technicznej...”

Ocknął się, przy biurku, nad nim stał uśmiechnięty Działak. — Już po konferencji, towarzyszu kierowniku — powiedział. — Wszystko poszło gładko, dyrektor zadwołony, za dziesięć dni uroczysta akademія, połączona z meldunkiem o wykonaniu planu i ze ślubowaniem — zaszczyci nas towarzysz M... z Biura, a kto wie, może nawet towarzysz Pierwszy Sekretarz, bo to wielka okazja. Niedźwiedów przoduje w kraju, oczy są na nas zwrócone, nie możemy zawieść i nie zawiedziemy, towarzyszu Kierowniku!

Tak bredząc Działak zacierał ręce niczym amant z operetki i skakał po pokoju jak małpa z Pakistanu, są tam na pewno podobne stwory. Tymczasem „towarzysz kierownik” zastanawiał się, czy naprawdę chwyciła go przed chwilą drzemka, co mu się w biurze nigdy jeszcze nie zdarzyło i czy tamten rzecz zauważył — po Działaku poznać cokolwiek było niesposób, gładko uśmiechnięta gęba i tyle. Że też można zawsze i przyjaźnie się uśmiechać, a wcale nie być sympatycznym — jest co prawda o czymś takim mowa nawet w „Hamlecie”, którego grali kiedyś w Oflagu, w obozowym teatrze.

Nie słuchając zgoła państwowotwórczych, czy raczej partyjnotwórczych (co obecnie wychodziło na jedno) gawęd swego zastępcy, inżynier Osiński gotuje się do wymarszu „na biuro”, aby próbować wreszcie podzielić się z kimś ciężarem, przywiezionym ze Śląska. Korytarze biurowca zaludniły się, ludzie wracają z konferencji, tej u dyrektora i jakiejś innej jeszcze, diabli wiedzą jakiej, tu, w umysłowym, ciągle ktoś z kimś konferuje. Panuje podniecenie — bezprzedmiotowe podniecenie sztucznymi nadziejami i emocjami, związanymi z jeszcze jedną w bogatej pod tym względem historii zakładu „uroczystą akademią”. Adama owiewa oto znajomy aż do obrzydliwości nastrój, szmer rozplotkowanego zbiorowiska urzędników, podniecone chichoty i szepty. Z zamieszania korzysta oczywiście, baraszkując ile wlezie, pijaczek Jaś Malak, przewodniczący Rady Zakładowej, kiedyś majster awansowany po skończeniu jakiegoś kursu na rachmistrza. Gość starszy, otyły, czerwony na pysku jak malina, rubasznie wulgarny ale nieszkodliwy, tyle, że poza pić nic nie robi i robić już nie będzie, bo przecież samo picie wymaga nader absorbujących zabiegów, na przykład natury finansowej: kto i kiedy postawi wódkę, jak go do tego skłonić, co obiecać, aby potem zapomnieć i nie dotrzymać, jak ulotnić się podczas płacenia rachunku i tak dalej i dalej. Malak pije przy tym nie tylko z ową setką znajomych pracowników umysłowych, umiejętnie ich zmieniając i tasując, ale również z robotnikami, zwłaszcza młodymi, którym bardzo imponuje godność „prezesunia” jak go nazywano, czyli właśnie szefa owej Rady Zakładowej, która bądź co bądź rozdziela fundusze i wczasy. Jasia Malaka na jej przewodniczącego wybrano zresztą dlatego, że zaabsorbowany wódką, nikomu w niczym nie przeszkadzał, właściwość w dzisiejszych czasach zgoła nie do pogardzenia. Otóż rzecz ciekawa: młodzi a lubiący popić robotnicy niedźwiedowcy, przyszłe ofiary Malaka, unikali jak zarazy zakładowego Domu Kultury, klubu, kawiarni, nawet dość przyzwoitego państwowego lokalu w „szklanym Niedźwiedowie” po drugiej stronie toru, upodobali sobie za to brudne ohydne, chuligańskie knajpy w niedalekich miasteczkach P... i Ż... — doszukiwali się w nich najwidoczniej smaku wolności i szerokiego świata. W tych to nędznych knajpach zastawano częstokroć prezesunia całkowicie zalanego, nierzadko rozciągniętego jak długi na gazetach lub zgoła na deskach w kałuży piwa czy czegoś jeszcze gorszego. W takim, znanym z literatury i życia stanie „odbierała” go sobie jego drobniotka, wcale nie stara i zadziwiająco pogodna żona — pijaństwo Jasia uważała ona najwyraźniej za podnoszący na duchu objaw męskiej fantazji. Rzeczywiście, było w końcu coś wzruszającego w

zapale, jaki Malak wkładał w jedyne swe zamiłowanie, które celebrował godnie, upijając się na wesoło i nigdy w zasadzie nie urządzając po wódce żadnych awantur. Drugim zamiłowanym „Jasiem-pijasem” był w Niedźwiedowie ów kolega Adama z obozu, Jaś Brzozowicz, obecnie zastępca głównego księgowego. Ten miał system picia zupełnie odmienny i w ogóle swoisty: zaczynał od samego rana w biurze, niedostrzegalnie wsączając sobie magiczny płyn do herbaty z przynieszonej z domu płaskiej butelki, zwanej „piersiówką”. Takich herbat w czasie urzędowania wypijał nieskończoną ilość, stając się coraz bardziej elokwentny, dowcipny i podejrzenie energiczny, zresztą pracę swą wypełniając bez zarzutu, choć ze sporą dozą ironii, podobnie bowiem jak Staś Buchała ogromnie lubił tak zwane „reakcyjne gadki”, którymi hojnie obdarzał wszystkich, co chcieli i nie chcieli słuchać. Tyle, że jego krytyka inna była niż Stasiowa, bo i innej byli politycznej proweniencji: Buchała to narodowiec, przedwojenny śląski chadek od Korfatego, za to Jaś Brzozowicz to krew z krwi i kości z kości sławnego stołecznego PPS-u, a starzy socjaliści jak wiadomo najwięcej mieli zawsze na pieńku z wieloma zresztą wtedy w Warszawie komunistami. W Niedźwiedowie było jeszcze trochę dawnych robotników, przedwojennych PePeEsowców, ci z największą nieufnością odnosili się do obecnej czerwonej władzy i jej pompatycznych manifestacji, za to niewstrzymana fala gorliwych zelantów płynęła ze wsi: chłop, kiedy zdecyduje się już zrzucić swą przyrodzoną skórę i iść do miasta, przyjmie z chytrą pokorą wszystko, co mu tam na kark nałożą. A swoją drogą Adam nie mógł wyjść z podziwu: przed wojną w zakładach pracy nie słyszało się w ogóle o żadnych komunistach, teraz, na rozkaz, w mgnieniu oka, wyroliło się ich mnóstwo. Co prawda owo rzekome „mgnienie oka” to było już wiele lat, ale przemianie ulegali ludzie z dnia na dzień, na przykład Franciszek Wykrot, główny księgowy, bezpośredni szef Brzozowicza, który jeszcze długo po wojnie siedział w ciupie za udział w podziemnym ruchu endeckim, potem zaś z dnia na dzień zrobił się takim partyjnym gorliwcem że aż hej, przy czym wszystkie jego zalety automatycznie zamieniły się w nieznośne wady, bo przez religijną cześć dla przepisów i ich przestrzegania uniemożliwiał zupełnie wszelkie sprawne działanie, zwłaszcza, że na kulisach i zakrętach (czy, jak mówiono wykrotach) produkcji nie znał się, rzecz prosta wcale a wcale. Jaś Brzozowicz nie skąpił szefowi przycinków na temat namiętnego sojuszu endeko-komunistycznego, wynikłego z pokrewieństwa totalistycznych dusz, na co Wykrot reagował dość chamskimi aluzjami antyse-mickimi. Przed laty nie wychodziło mu to łatwo, obecnie, po

czwrcowej wojnie Izraelskiej roku 67 i po wielkiej mowie szefa Partii na temat dwojakiego rodzaju Żydów, antysemityzm, zwany teraz antysyjonizmem, nie był w Niedźwiedowie tematem ani zabronionym ani unikany. Wiedział o tym dobrze zastępca Naczelnego dyrektora Henryk Wilner, niegdyś wszechwładny w zakładzie, bo opróżniony czy ochmurzony groźną renomą wyższego oficera Bezpieczeństwa, obecnie zamknięty w swym gabinecie na cztery spusty i nigdzie się nie pojawiający. Co innego Jaś Brzozowicz: ten żadnej kariery nigdy nie zrobił, pozostał dziewiczo i demonstracyjnie bezpartyjny, ukochał przy tym polską wódkę, a za to wybacza się wszystko i pozwala na wszystko.

Na tym rojnym, po zebraniu korytarzu Adam, rzecz prosta, instynktownie wręcz unikał dzisiaj wszelkich osób naalkoholizowanych, ci na pewno mieli jeszcze większy stopień bezprzedmiotowego podniecenia niż inni — propaganda, zapowiedź obrad, uroczystości, odznaczeń działała bowiem na ludzi jak lekka wódka — na ludzi zatrudnionych w „umysłówce”, robotnicy, rzecz ciekawa, niebardzo się dawali brać na te historie, choć to o klasie robotniczej i jej rzekomych rządach gładzono godzinami na wiecach i zebraniach (im mniej ktoś jest czegoś pewien, tym więcej razy to powtarza — tak tłumaczył rzecz Jaś Brzozowicz). W tym inteligentkim korytarzowym podnieceniu nie było miejsca tylko dla jednej sprawy: dla interesu produkcji, który to interes dosyć jest zawiły i wart głębszych namysłów. Tymczasem na namyślanie takie nikt w ciągu rozbalowanego i jubilującego, pijanego grudnia nie znajdzie czasu, od dyrektora naczelnego Maciejewskiego poczynając a na ostatnim skacowanym magazynie-
rze kończąc. Wszyscy będą podnieceni, każdy swymi sprawami, nikt za to nie podnieci się tajemniczą i groźną istotą rzeczy, fabryczną istotą rzeczy, od której, wydawałoby się, zależeć powinno wszystko. Dlaczego tylko nieliczni myślą o tym, co najważniejsze? Staś Buchała maniakalnie, Michał Chruszcz rozsądnie lecz pasywnie, Adam Osiński trwożnie, czując że w końcu odpowiedzialność zwałą na niego — na kogoś przecież muszą, instytucja kozłów ofiarnych istnieje od wieków, w tym zaś systemie wydoskonalona została aż do najwyższej perfekcji. Skończą się grudniowe zapusty, prowadzone, niczym przez wodzireja, przez starego, wąsatego tchórza Maciejewskiego, przyjdzie płacz i zgrzytanie zębów, czyli styczniowa narada produkcyjna, gdzie trzeba będzie podjąć znowu jakieś zobowiązania, aby względnie przyzwoitą szatą czy skórą słowno cyfrową pokryć bezwstydnie sterczące, gołe kości. Zejdą się wtedy wszyscy: inżynierowie, kierownicy działów, Komitet Zakładowy Partii, Samorząd Robotniczy z tępym krzykaczem Bieńkiem, Rada Zakładowa, Dyrekcja,

Dział Inwestycji i Planowania, Dział Ekonomiczno-Finansowy, kadry, Dział Handlowy, dział Adama, nawet Wilner ze swoim pionem osobowym, do tego obserwatorzy z zewnątrz, z miasta, powiatu, województwa, z partii, z rządu, czort wie skąd. Tam to dopiero puszcza wodze demagogii, że aż ha, tam to podrzucać się będzie na pożarcie kolejne barany czy kozły ofiarne, tam wszyscy wystąpią z zarzutami przeciw wszystkiemu, mieszając prawdę z bujdą i rzeczywistą troską o produkcję z inspirowanym rozrabiactwem. A gdy się wreszcie ludzie zmęczą i nikt już nic nie będzie rozumiał, jako że w dyskusji mówcy niczego nie wyjaśnią, unikając jak ognia dotknięcia istotnych punktów newralgicznych i wskazania podstawowych absurdów techniczno-kooperacyjnych całości, gdy chaos i niepewność sięgną szczytu, wkroczy oto, jak zbawiciel, olimpijsko spokojny, dyskretnie uśmiechnięty — Michaś Chruszcz i przedłoży swój projekt planu, budżetu i zobowiązań. Wszystko to, oczywiście, przygotowane mieć będzie z góry, z wiedzą Partii, Dyrekcji i Zjednoczenia. Burzliwa dyskusja jest tylko dla pucu i aby wymęczeni nią dyskutanci rzucili się z tęsknotą i upragnieniem na projekt Chruszcza, podpisując się pod nim rękami, nogami i super jednomyślnie. Tak, namiętna i awanturnicza dyskusja będzie dla pucu, ale w tym pucu trzeba z góry uczestniczyć, inaczej nie da się w ogóle pracować, inaczej można zostać pożartym mimochodem, przypadkowo, i na to już wtedy nawet Michaś Chruszcz nic nie poradzi, Chruszcz, który przecież ceni sobie bardzo współpracę z Adamem, który rozumie wszystko, który nie raz i nie dwa działał z Osińskim ręką w rękę, przyjmując odeń pozytywnie każde porozumiewawcze mrugnięcie okiem. Trzeba więc póki czas przyłapać Chruszcza, umówić się z nim a raczej potwierdzić umowę — tu nie można działać bez sojuszników. Tylko gdzie w korytarzowej ciżbie szukać teraz Michała — toć czas płynie na niczym, jest pora dnia tuż tuż przed wczesnym zimowym zmierzchem, a sprawy Śląska Adam nie zwierzył jeszcze nikomu, nawet Stasiowi prawie nie — bo tamten opętany tym jakimś swoim wykładem, wcale słuchać nie chciał. Istna kara Boża!

Ciągle się dziś nadržają nie ci ludzie co trzeba, szkoda na nich czasu, bo istota rzeczy (fabryczna istota rzeczy) wymyka im się, omija ich, niezależnie od władzy i stanowiska, jakie posiadają. Na przykład Wojciech Karaś, pierwszy sekretarz Egzekutywy, człek masywny, na gębie siwy i dostoyny, a w istocie tępak i bufon, popisujący się majestatyczną władczością, choć nigdy nic dla fabryki nie chcący i nie umiejący zrobić. Najprawdopodobniej zresztą stary ten robociarz nie zdawał sobie sprawy, że nie potrafi nic zrobić, nie potrafi z tego prostego powo-

du, iż nie wie, na czym polegają trudności i gdzie tkwią tak zwane popularnie produkcyjne wąskie gardła — nie wie, choć siedzi bez przerwy to na odlewni, to w silnikowni, to znów z kolei w hali obrabiarek. Bardzo jest z siebie rad, z siebie i ze swej autorytatywnej, majestatycznej władczości, gdy na przykład, pełen głębokiego namaszczenia omawia ze starym bałwanem Maciejewskim tak doniosłe sprawy, jak nowy samorzutny „czyn produkcyjny” lub też oszczędności materiałowe, oszczędności, które przy równej zeru wiedzy fachowej starego Karasia kończyły się często stratą techniczną o niepomiernej większej wartości — tak było kiedyś, gdy nakazał oszczędzanie oleju przy próbie silnika, wobec czego przetarto i zdezelowano kupę części i kramu z tym było do cholery. Na szczęście Karas miał jedną słabość: wierzył w słowo pisane i podpisane, wobec czego Michaś Chruszcz obracał nim jak chciał, dlatego w ogóle produkcja mogła iść. Zresztą stary Karas (stary relatywnie — miał dopiero 62 lata), pseudorobociarz, zbakierowany od dawna przez tak zwaną politykę, o produkcję troszczył się nie najbardziej podobnie jak jego zastępca Działak — gdyby od nich zależało, praca Niedźwiedowa nigdy nie wyłamałaby się z zaskorupiałych schematów technologicznych, w nieskończoność klepano by jedną i tę samą rodzinę ciągników, montowanych chałupniczo z części podobieranych od Sasa i od lasa, od rozmaitych niezuniifikowanych zespołów. Aby tylko ilość sztuk się zgadzała — ilości „wózów” wyprodukowanych Karas pilnował, nie wiedzieć po co, tak jak i zmianowości robotników. Często pojawiał się na nocnej zmianie w odlewni czy silnikowni, choć w gruncie rzeczy pojęcia nie miał, co i jak się tam właściwie robi (sam nie pracował już w fabryce od wielu lat), nie wiedział też nigdy na pewno ilu i gdzie znajduje się w Niedźwiedowie robotników — ta ostatnia rzecz zresztą nie była prosta, Adam podejrzewał, że i Chruszcz niezawsze to wie, tyle, że w przeciwieństwie do Karasia jest tej swojej niewiedzy w pełni świadomy, ba, posługuje się nią nawet, wirtuozowsko żonglując wskaźnikiem płynności kadr, zmianowości, absencji i tak dalej. W jego pracy „pisarskiej” każdy element życia fabryki okazywał się przydatny i mógł posłużyć jako figury listek do ukrycia tego lub owego.

Adam lubił słuchać rozmów Karasia ze Stasiem Buchałą. Już sam kontrast fizyczny był znakomity: jeden ciężki, powolny, celebryjący, drugi drobny, szybki, polotny. Z Karasia jego z trudem artykułujący słowa baryton wydobywał się powoli, jak bolesne stękanie, za to wysoki dyszkancik Stasia sypał bystrymi słówkami z precyzyjną szybkością karabinu maszynowego. Rozmawiali niby gęś z prosięciem, jakżeż irytował się Buchała

powolnością myślową i ignorancją tamtego, a już niemal dusił się ze złości, słysząc, że jakaś fikcyjna, potrzebna Partii cyfra czy też mało sensowne zobowiązanie „pełnego wykorzystania rezerw produkcyjnych” ważniejsze mają być o ustalenia perspektyw technologicznych zakładu na długie lata. Ale Karaś, choć głupi, wiedział po co tutaj tkwi, nie omieszczał też nigdy zauważyć w końcu, że Stasia zaangażowano do handlu, nie do eksperymentów technicznych. Staś wtedy milkł, bladł, może przypominał sobie więzienie — toć epokę górną i chmurną miał już za sobą. Porządny to był chłop, że też musieli się dziś z Adamem poróżnić i to o gruszki na wierzbie, których ani jeden ani drugi nie zerwie, z tego prostego powodu, że w ogóle nie wyrosną.

Owa pusta władczość Karasia kojarzyła się Osińskiemu z władczością inżyniera Roberta Waligóry. Ten nawet więcej bił pięścią w stół i krzyczał, oskarżał o sabotaż, antypartyjność, kontrrewolucję niemal, ale jakies to było czcze, jakby sam w to nie wierzył, tu już przeciwnie do Karasia, który święcie a tępo wierzył w każde, wystękanę swym bolesnym barytonem słowo. Waligóra młodzieńczy, opalony, w sportowe wiatrówki odziany efeb milkł jakoś nadmiernie szybko, zasłaniał się tworzona właśnie Radą Technologiczną, odsyłał konkretnego petenta tu lub ówdzie, aby dalej, za to na wszelkich reprezentacyjnych masówkach znowu huczał o postępie technicznym aż miło, wcale jakby nie pamiętając, że parę dni temu sprawił i zbimbał właśnie ordownika tegoż postępu. A w ogóle to wcale z nim gadać się nie dawało, w tym jego snobistycznym gabinecie za wielką halą montażową. To już naprawdę była przesada: Główna Hala Montażu, gdzie z taśmy traktory schodziły już do prób sprawnościowych i prosto do parku, jest stosunkowo najmniej zmodernizowaną i sprawną halą produkcyjną w Niedźwiedowie. Podnośniki i dźwigi ma niedostatecznie zautomatyzowane, co wynika z różnych wielkości ciągników a także z nieustannej kołomyjki z częściami, bo nigdy nie wiadomo, który model wejdzie akurat do wykończenia, który zaś kadłub pojedzie poczekać w bocznej przygotowni. W związku z tym huk i hałas są tu nierównomierne, ciągle przeplatane to sygnałem na przerwę to nagłą ciszą, to znow narastającą kłótnią, zwielokrotnioną echem przez cementowo betonowe stropy — więcej tu pracy dla organizatora niż dla technika inżyniera. Ten nierównomierny przerywany hałas uniemożliwiał właściwie wszelką rozmowę z Waligórą, w dodatku co chwila wpadał z meldunkiem czy skargą jakiś brygadzysta, czasem majster — inżynier prawie nigdy. Huk młotów, zgrzyt nitowania i spawania, wciąż przerywane nieudolnymi interwencjami — o ileż to bardziej wyczerpuje nerwy niż równomierny,

pulsujący pomruk odlewni czy wielokierunkowy zgiełk narzędziowni lub sali obrabiarek. A, poza wszystkim, czyż naczelny inżynier, dyrektor techniczny kilkunastotysięcznego zakładu był od organizowania produkcji na jednej, prymitywnej w dodatku hali montażowej?! Nieporozumienie oczywiste, w ogóle nieporozumienie z tym Pięknym Robertem, aż dziw i szkoda, że taki solidny i ideowy Staś Buchała dał się wziąć na jego pozy i uroki. Motorem jest tu zresztą stary maniak Walichowski, szlachetny maniak, ale cyt... spotkać go tutaj teraz, właśnie po śląskiej kłapie, to już po prostu szczyt kłopotu i niesmaku. Na szczęście starego nie ma nigdzie w pobliżu — może konspirują z Waligórą w hali montażowej. Znikł jednak również Michał Chruszcz, symbol rozsądku, spokoju, konstruktywizmu. Gdzież on, acha, pewno w stołówce, Adam nie jadał w niej obecnie i zapomniał, że ona w ogóle istnieje, tymczasem zmierzcha się już i mroczy po wyludnionych, biurowych kątach, oczywiście — wszyscy poszli na obiad.

Ale przed dojściem do stołówki, dokąd idzie się długim, oszklonym, kamiennym korytarzem, musi Adam zmóc jeszcze jedną przeszkodę. Jest nią Hilary Gościński, kierownik działu ekonomiczno-finansowego, facet objawił się właśnie teraz, widać dopiero co zwolniony z konferencji u Naczelnego. Hilary to człowiek bezkształtny pod każdym względem, tłusciuch rozlany, czarny jak Włoch, wrażeńowiec, plotkarz, do tego hobbysta, jako że ma w Niedźwiedowie piękny ogródek z kwiatami i owocami, a na Wiśle latem wielką swą dumę — własnoręcznie skonstruowaną żaglówkę. O tych też sprawach, o swych prywatnych zamiłowaniach mówi najciekawiej i najbardziej konkretnie, za to na temat finansów Niedźwiedowa dogadać się z nim niesposób, za każdym razem plecie co innego, zmiennik i panikarz, fantasta, lubiący się popisywać rzekomymi rewelacyjnymi wieściami z tajnych partyjnych posiedzeń. Wieści te nigdy się nie sprawdzają, przeróżne światoburcze koncepcje Kościńskiego, wypowiedane proroczym szeptem, to jakiś poroniony płód anormalnej wyobraźni tego grubasa, „niedopieczzonego” jak mówiono czy nie wyżytego. Częściowo sam chyba wierzył w swoje plotki, bywał nawet sugestywny, bo w końcu dosyć inteligentny, cóż, kiedy nie można mu było ufać, podniecał się ni stąd ni zowąd, nieoczekiwanie i niezrozumiale, zmiany księżycy na niego działały czy co u licha? A może miał za dużo czy za mało hormonów?! Osiński go unikał, by nie zarazić się bezkształtnością i nieokreślonością, bądź też by nie uwierzyć w jakieś fantastyczne ploty o zamknięciu fabryki, o spisku Żydów w partii, o tajnym traktacie sowiecko-chińskim, czy o nowej, przymusowej kolektywi-

zacji rolnictwa. Inna rzecz, że gadało się z nim przyjemnie, choć nie na temat i choć z reguły nie udawało się nic załatwić — nic nie załatwiać, to była żelazna reguła Gościńskiego. Przypominał w tym i Waligórę i Maciejewskiego, tyle, że o swej zasadzie głośno mówił i motywował ją nawet zgoła filozoficznie, był to bowiem rodzaj stoika, ale w formie perypatetycznej, koncepcje swe i idee rozstrnuwał bowiem w nieskończonych korytarzowych przechadzkach, kiedy to z powodzi jego plot mętnych a zawiłych wyłuskać się dawało w końcu myśl jakąś nawet wcale ciekawą. Ale w dzisiejszym stanie niecierpliwości brak było nań czasu, duchowego czasu, toteż inżynier Osiński wręcz uciekł przed jego zachęającym uśmiechem, rzucając się desperacko w zimny, betonowo szklany korytarz, na którego końcu znajdowała się stolówka. Tam, przeglądając oczywiście jakieś papiery, kończył swój obiad Michaś Chruszcz, wreszcie ktoś jednoznaczny i rozsądny, wreszcie człowiek nie pożerany, jak tamci, namiętą pasją mówienia, lecz przeciwnie, umiejący słuchać, lubiący słuchać, ceniący słuchanie. Aż do zmierzchu niemal trzeba dziś było czekać, by dobrać wreszcie do tej oazy spokoju i sensu — czyżby świat tak się już posunął do obłądu, że normalność staje się rzadkością a zdrowy rozum wręcz unikatem?

VII

Tymczasem i wybawca nie był dzisiaj taki jak zwykle — inżynier Osiński zorientował się w tym od razu po pierwszych słowach, a raczej jeszcze przed słowami — wystarczyła sama mina. Szef służby planowania i kontroli produkcji, bo tak brzmiał jego oficjalny tytuł, nie okazywał teraz jakoś zwykłej mu łagodności ani owego wszystko wiedzącego i odpuszczającego zrozumienia, z jakim zazwyczaj traktował swych skłopotanych kolegów. Chruszcz nie wychodzi dziś naprzeciw — to było pierwsze wrażenie Adama. Niebieskie oczy tamtego błędziły gdzieś po sali, dziwnie długo kończył jedzenie, drobiazgowo wycierając kawałkiem chleba talerz a potem skrupulatnie żując tenże namoczony sosem kawałek, głowa jego nie dokonywała owych drobnych, aprobujących kiwnięć, świadczących zazwyczaj, że Michaś Chruszcz wszystko rozumie oraz wie, jak na to zareagować, jak wziąć się do rzeczy. Dzisiaj przeciwnie, szef planowania jest wyraźnie niewrażliwy na sugestie i wręcz oziębły. Gdy wreszcie skończył działania pokarmowe i odstawił gładko wylizany czy wytarty talerz, to jeszcze przez dłuższą chwilę milczał, jakby wsłuchując się w echo słów inżyniera Osińskiego, tyle, że echa w pustoszejącej szybko stołówkowej sali zgoła nie słyhać, zresztą zagłuszone by zostało przez brzęk i hałas jaki sprawiały sprzątające dziewczyny. Wreszcie Michaś przemówił, głos miał łagodny jak zwykle, z dyskretnym nalotem kresowej śpiewności (pochodził z Łucka), jednak treść jego słów bynajmniej nie wykazywała tym razem charakteru łagodzącego cokolwiek, przeciwnie, dźwięczał w nich, mimo uspokajającej melodii głosu, wyraźny alarm: jakby kto uderzył na trwogę w werbel czy zadał w strażacką trąbkę.

— Wszystko to pięknie, kolego inżynierze, ale co zrobimy,

jak nas zaatakują na naradzie produkcyjnej w styczniu? Cacy cacy, powiedzą, ale kiedy się znacznie produkować seryjnie ciężkie C-385 to już złe hamulce grożą kryminałem. Toż jedna chwila i wypadek gotów! Weźmiemy to na swoje sumienie, panie inżynierze?

Słowa te miały wiele podtekstów takich i siakich, wszystkie fatalne. Ciężki czołg (ciągnik oczywiście, ale nazywano go pieśczośliwie czołgiem) C-385 to był w Niedźwiedowie postrach jeszcze gorszy, niż sławny pług elektryczny inżyniera Walichowskiego. Wielka i toporna machina, początkowo o mocy 75 koni mechanicznych, ostatnio w prototypowni wyposażona została przy współpracy czeskich inżynierów w wysokoprężny silnik Leylanda, co mogło podnieść jej siłę do 100 lub 120KM. Owszem, systematyczne wypuszczanie „czołgów” opłaciłoby się fabryce, zwłaszcza przy utrzymaniu systemu liczenia wytwórczości w tonach, tyle, że mimo pomocy Czechów i wielkiego szumu robionego dookoła sprawy, nie udało się dotąd uruchomić produkcji seryjnej i w ogóle cała afery nie wykroczyła jeszcze poza stadium eksperymentu. W mijającym roku z wielkimi boleściami urodzono kilkanaście egzemplarzy, którym daleko do kategorii A, nie wspominając już w ogóle o próbie na eksportowy znak jakości, w przyszłym roku też się więcej nie zrobi, jeśli dojdzie z czasem do 50 sztuk na rok, to już będzie wielki sukces. Chruszcz wiedział przecież o tym doskonale, wiedział również, że fabryka przygotowuje się do hucznej uroczystości, ma nią być zaplanowane na wrzesień 1968 wypuszczenie ćwierćmilionowego po wojnie ciągnika. Adam nie był zwolennikiem takich dętych, prestiżowych hec, wszystko jedno w końcu czy wypuści się ćwierć miliona czy o pięć mniej, ale żyli przecież tam gdzie żyli, sprawę rozdał Maciejewski, zapowiedziano ją już na wszelkie możliwe sposoby i za nawalenie spadłyby na fabrykę tak nieobliczalne ciosy „polityczne”, że szkoda mówić. Michaś i o tym doskonale wie, przestrzegał przed tym kilkakrotnie, a skoro tak, to wie również, że trzeba gonić plan i co tchu rąbać ciągniki wszelkich rodzajów, jakie się akurat da, aby tylko dogonić mityczną cyfrę ćwierć miliona. W takim zaś razie ciężkie i niewypróbowane Leylandy C-385 muszą zlecieć z taśmy przynajmniej na dziewięć miesięcy, czemuż więc Szef planowania o nich akurat wspomina i z ich okazji straszy Adama kryminałem? Toć one pożrą mnóstwo surowca i robocizny a planu liczbowego nie wykonają!

Parę jeszcze innych złowrogich podtekstów tkwiło w owych pierwszych słowach Chruszcza, ale inżynier Osiński wyczuł je zaledwie podświadomie i nie miał czasu się nad nimi namyślać,

bo tamten mówił już dalej. I to jak mówił — bezlitośnie, w dodatku jakby się dopiero urodził, jakby się urwał z choinki, jakby nie przegadali na te tematy wielu godzin i nie uzgodnili wielu planów. Co mu się stało, czyżby i on...

Najpierw, rzecz prosta, o tych kobietach, co obsługiwać miały ową nie dostarczoną w końcu przez „Mechanę” maszynę do obróbki uchwytów szcęk hamulcowych. Kobiety zostały wybrane, przygotowane, dyrektor od doszkalania kadr Papiernik wyczył je w przyzakładowej szkole czego trzeba, umięją już obejść się z maszynowym, optycznie sterowanym obrabianiem metalu, ale cóż z tego wszystkiego, skoro maszyny „nie ma i nie budiet”. I w ogóle co tu gadać: niedość, że produkcja części zamiennych szwankuje chronicznie (w tym roku będzie wykonane 86 procent planu — mniej niż w zeszłym), niedość, że nowa, zelektryfikowana odlewnia żeliwa kosztuje więcej niż stara, węglowa, a potrzebnych odlewów robi za mało, niedość że montaż jest loterią, bo nigdy nie wiadomo, jakie elementy będą na czas dostarczone, niedość słowem że to, że owo, że tamto, to jeszcze kooperacja nawala — stale nawala. No dobrze, powiedzmy sobie, że maszyna do szcęk to siła wyższa (choć ciężki traktor ze złym hamulcem to już rzeczywiście będzie katastrofa), powiedzmy sobie, że brak wiertła do aluminium to nie nieszczęście, bo zawsze można jeszcze odpisać rzecz z planu a prototyp Walichowskiego budżetu nam nie obciąża. Ale są inne rzeczy: wciąż czeka się na kooperantów i to na tych prywatnych, „nielegalnych”, na owe drobiazgi, uszczelki, śrubki, nakrętki, a także na dostawców państwowych, na specjalne podkładki i inne „normalia”, na przekłete pompy wtryskowe. A co z kabinami, z osprzętem elektrycznym?! Szkoda gadać! No i jak tu planować cokolwiek, kiedy pracę spycha się z dnia na dzień, zaleźnie od tego, co akurat dostarczą?! W tych warunkach planować nie można i niech się nie dziwi, że jak przyjdzie co do czego, to...

Chruszcz głosu nie podnosił, nie leżało to w jego obyczajach i naturze, ale to co mówił dostatecznie było rewoltujące. W dodatku panowało w tym dziwne „pomieszanie z poplątaniem”, jakby tak zazwyczaj precyzyjnie myślący szef planowania postanowił dziś sobie zlekceważyć wszelką dyscyplinę i formę rozważań, aby po prostu za jednym zamachem zrzucić z serca wszystko, co go w Niedźwiedowie gnębi. Zrzucić z serca, pięknie, ale dlaczego akurat na Adama, z którym mieli przecież dotąd niezłą komitywę i ciche a ważne porozumienie?

Właśnie, porozumienie. Chruszcz mówił tak, jakby żadnego porozumienia nigdy nie było, „udawał Greka”. Zwłaszcza nielojalna widziała się Osieńkiemu wzmianka o prywatnych, „niele-

galnych" kooperantach. Po pierwsze nie byli oni prywatni, lecz, formalnie przynajmniej, spółdzielczy, po drugie rzekoma nielegalność dokonywanych u nich zamówień jest dla życia fabryki absolutnie konieczna, co sam Chruszcz wielokrotnie stwierdził, po trzecie wreszcie, nie oni zalegali z terminami, gdyby wszyscy pracowali tak jak oni, produkcja funkcjonowałaby cudownie. Ale przecież ta produkcja zależała i od własnych drobnych części, Niedźwiedów produkował je z konieczności, krótkimi seriami, w sumie około 300 detali, a znowu dużą partię innych detali zabezpieczyć miała bytomska centrala „Metalozbyt”. Tyle, że w Niedźwiedowie realizowano rzecz chaotycznie, od przypadku do przypadku, Waligóra się tym nie interesował, on jest wyższy ponadto, decydowali majstrowie, ci zaś robili jak im wygodnie, posyłając robotników do tej hali, albo do tamtej, bez planu, bo i bez rozeznania kierunku potrzeb. A znów „Metalozbyt” decyduje miesiącami (zawsze ten nonszalancki Śląsk), na potwierdzenie przyjętego zamówienia też czeka się w nieskończoność, często w ostatniej chwili nadchodzi odpowiedź odmowna, wtedy biegiem co tchu do prywatnego, ale ten także, choć solidny i zależy mu, na poczekaniu nie robi. No i stąd opóźnienia, braki, przestoje, co się potem dziwić, że każdy traktor inny, że unifikacja produkcji żadna, do tego kosztu kooperacji większe — bo pośpiech. Cierpi na tym wszystkim poziom techniczny, ale to sprawa całościowej organizacji produkcji, nie Bogu ducha winnych prywatniarzy — bez nich i tego co jest by nie było. Czyżby Chruszcz się czegoś zląkł i chciał porzucić Adama, jak kiedyś porzucił dyrektora Moskwę? Wiedział przecież o wszystkich trudnościach i wiedział, na jakiej drodze szukać by można trwałego wyjścia, o ile ktoś by w takowe jeszcze wierzył. Całościowa organizacja produkcji według z góry określonych ram technicznych — oto czego potrzeba, od tego powinien być przecież dyrektor Waligóra, nie od snucia marzeń na temat elektrycznego pługa ani też od nieskończonych dyskusji w montowni, dyskusji, które nic już wszakże przynieść nie mogą, boć montownia to ostatni etap, uwarunkowany wszystkim co było (lub czego nie było) przedtem.

Argumenty te próbował Osiński szybko a bez przekonania „wgadać” Chruszczowi, szybko, bo tamten nie był dziś w dyspozycji do słuchania, bez przekonania, boć przecież wielokrotnie o tym mówili i Chruszcz te sprawy doskonale rozumiał, przynajmniej do dziś rozumiał. Ale teraz zupełnie nie wykazywał tego zrozumienia, jakby o wszelkich rozmowach i umowach zapomniał, w dodatku okazał się jeszcze przykro kaśliwy. — Dyrektor techniczny ma organizować kooperację? — odciął, przerywając

Osińskiemu uwagi na temat co powinien a czego nie powinien robić Waligóra (choć nieraz rozważali to w podobny sposób wspólnie). — Toż on nie ma możliwości, ani wglądu; cóż w takim razie ma robić szef zaopatrzenia i gospodarki materiałowej?! Szewc jest wszakże od kopyta, nie krawiec!

Szef Zaopatrzenia, słysząc tę bezceremonialną impertynencję a także wymieniony swój urzędowy tytuł, zbaraniał całkiem i zamilkł, zastanawiając się, co to wszystko znaczy i kto właściwie uszył mu tutaj buty. Pauzę wykorzystał Chruszcz, wskakując w nią i zalewając Adama lawiną cyfr i danych rzeczowych, od dawna zresztą im obu znanych. — Ceny zaopatrzeniowe — wywoził cicho lecz gorliwie — skoczyły w górę o 30 procent, wszystko się zmieniło, i wewnątrz fabryki i na rynku — tylko płace nie. Ano, wiadomo — bank potrzebuje pieniędzy, żeby ich nie było za dużo w obiegu, żeby nie naruszyć rynkowej równowagi, jasne, ale jak tu wybrnąć z funduszem płac, z funduszem na remonty, na postęp techniczny, jak wykonać plan eksportu? Kooperacja kosztuje coraz drożej, niektóre zespoły do ciągnika podskoczyły w sumie o 60 procent, a przecież państwowym producentom należy się ustawowo nie więcej niż 15 procent marży zyskowej. Ale najważniejsze, że zakład płaci wciąż za błędy i opóźnienia kooperacji. Pracuje się zrywami, od przypadku do przypadku, plany miesięczne leżą, był miesiąc, że 17 procent wykonali. No bo zegar sprawdza każdemu robotnikowi godzinę przyścia, a potem idą się byczyć: nie ma materiału. Spacerują sobie, śniadanie jedzą w nieskończoność, co mają robić skoro materiał nie przyszedł? Za to jak przyjdzie, to dopiero ruch, nerwy a bulić trzeba podwójnie, i za przestoje i za nadgodziny. Godziny nadliczbowe narosły o 72 procent przez jeden ostatni rok, straty czasu o 13 procent, braki i zła jakość równoważą wartość 900 średnich ciągników. Traktory niby jadą na taśmie, za to w odlewni, mimo że na trzy zmiany, praca słaba, normy niskie, więc odlewów ciągle brak, a podwyższyć norm niesposób, bo kto zechce pracować — praca tam niemiła jak diabli, ludzie dziś są wygodni, to już nie są „przeklęte czasy wyzysku i eksploatacji”. Cała dyscyplina zawalona, a znów mniej płacić też nie można, bo odejdą — Warszawa blisko, pracowników wsysa, w samym Niedźwiedowie mieszka ledwo 30.000 ludzi, kto tu chce siedzieć? Do tego jeszcze zmiany technologii, przekwalifikowanie, doszkalanie, tymczasem w mieście na zwykłej budowie z nadgodzinami cztery tysiące leci. No i tak fluktuacja załogi rośnie, procent zmienności był już 29,5 na Metalurgicznym, przy tej nowej odlewni nawet 33, a przecież do tej pracy trzeba ludzi z pół roku przyuczać. W rezultacie wydajność spada choć

funduszu płac brak, tymczasem mamy napięte zadania eksportowe: 31 milionów złotych dewizowych, z tego do krajów kapitałistycznych 28 milionów, jeśli łaska. Jak temu wszystkiemu sprostać? Radźcie coś, kolego inżynierze!

Inżynier Osiński dobrze wiedział, jak to jest z tą robocizną i fluktuacją. Ludzie ze wsi przepływali przez Niedźwiedów niby bieżąca woda — byli tacy, co zgłaszali się z okolic na parę zimowych miesięcy, aby, gdy tylko zaczynały się polne prace, bez skrupułów wrócić do siebie. Inni decydowali się na dłużej, dawali się podszkolić i potem odpływali do Warszawy, tam wszakże też nie brak zakładów mechanicznych i metalurgii, co szkodzi pojechać parę przystanków dalej, i tak pół życia spędza się w pociągu, gdy się na przykład dojeżdża spod Skierniewic — a znowu ci co jadą ze wschodu, spod Siedlec i Mińska, bliżej mają Warszawę niż Niedźwiedów. Dojeżdżać przecież nikt nie zabrania, tylko meldować się w Warszawie nie wolno. Owszem, można by ludzi przywiązać, dając mieszkania, ale jak to zrobić: hotel robotniczy pęka dosłownie, nawet stary, prymitywny, przepiętny jest po brzegi, niedźwiedowska Rada Narodowa dawno już swoją pulę wyczerpała, z najpotrzebniejszymi inżynierami były trudności, a te parę dyrekcyjnych mieszkań na Uranowym Osiedlu w Warszawie to istny cud. Trzeba więc bazować na chłopach, „chłopo-robotnikach”, co zasadniczo mieszkają na wsi, ale tym nie zależy, oni swoją bazę mają gdzie indziej, zawsze mogą wrócić do rodzin, chcą się tylko trochę po miejsku zabawić. Jakże w tych warunkach tworzyć i przeszkalać kwalifikowane kadry, jak organizować pracę, kiedy majster czy nawet brygadzysta nie wie często, ilu ma ludzi i których na której zmianie. Wydajność spada, choć niby pełne zatrudnienie — cóż dziwnego, w tych warunkach? Ani tu Warszawa, ani wieś, wygwizdów, skrzyżowanie dróg: ludzie płyną i płyną, lecz mało który się zakorzeni, choć i parę lat posiedzi. Trudno myśleć o postępie technicznym, inżynierowie też uciekają, a co starszy mistrz czyli w dawnym języku majster, jak tylko otrzyma zameldowanie na teren Wielkiej Warszawy to zaraz patrzy, którędy by dać nogę. Mają tu dom kultury, kino, kawiarnię, ośrodek zdrowia, żłobek — a jednak wieją. Istna rozpacz!

Owszem, Adam wiedział to wszystko, wiedział jednak również, że, jak dotąd, fluktuacja załogi i niemożność ustalenia trwałych wskaźników w tej dziedzinie pomagały Chruszczowi w jego biurokratycznym lecz dla fabryki chwalebny trudzie zszywania jakoś zapiętego na ostatni guzik planu produkcyjnego, planu, który na zasadzie wygodnego dla wszystkich i w ogóle koniecznego kompromisu między życiem a przepisami stawał się

podstawą jako tako praworządnego funkcjonowania fabryki. Wskaźnik średniej rocznej zmianowości robotników, wskaźnik wykorzystania środków trwałych, współczynnik materiałowy i amortyzacyjny, procent eksploatacji maszyn, to były właśnie owe użyteczne fikcje nie fikcje, z których Michał Chruszcz specjalną sztuką montował czarodziejską całość planu ogólnego, podrzucając ją następnie do cyfrowego rozpracowania Gościńskiemu, Wykrotowi i innym pionkom, a także do zatwierdzenia głupiemu choć przemądrzałemu Karasiowi. Aby cała ta operacja się udała musiał jednak Chruszcz znać dokładnie problemy zmianowości wśród załogi, toteż znał je znakomicie, o całe niebo lepiej niż odpowiedzialny niby za sprawy osobowe dyrektor Wilner. Lecz ta znajomość rzeczy była dotąd dla Michała walnym sojusznikiem, dziś po raz pierwszy się na nią skarżył, narzekał. Cóż to właściwie znaczyło?

Adam myślał o tym chwilę, nie replikując i tego krótkiego milczenia wystarczyło Chruszczowi, aby otrzeźwiał. I oto z kolei teraz, z momentu na moment stawał się znów „otwarty”, wrażliwy na troski bliźnich, wszechrozumiejący. Może już pożałował, że przed chwilą okazał się złośliwy w sposób zupełnie u niego niezwykajny, że się jakoś obnażył, wyszedł z formy. Najwyraźniej usiłował to obecnie naprawić, zasuwając mowę godną normalnego Michasia, zrównoważonego, pogodnego brydżysty, któremu nie strasze żadne trudności czy komplikacje. — No, nie martwcie się, inżynierze — mówił — jakoś przecież wybrniemy! Szczęki hamulcowe to ważny szczegół, przy tym precedensowy, bo maszyna musi z czasem zastąpić pracę ręcznych obrabiarek, nie wątpię, że w końcu „Mechana” da sobie z tym radę. Natomiast wiertło czy noże do aluminium to mucha — siła wyższa, nie przejmujemy się za bardzo. Najważniejsze, to nie zależeć wciąż od części zamiennych i od tych przeklętych drobiazgów. Ta nieszczęsna silnikownia — a może by tak uruchomić własne wytwórnice zunifikowanych, znormalizowanych części? Ręczna obróbka żeliwa jest prymitywna i niezróżnicowana, toporna walcówka warunkuje nam pewnego typu produkcję, a oni na rynku rozkręcają inny popyt — nonsens, jawny nonsens. No i te drobiazgi uzupełniające, ta zmosfera spółdzielcza — wszystko musimy przecież rozstrzygnąć — to prawdziwe nasze wąskie gardło. Ale nie denerwujemy się: jakoś wybrniemy, musimy wybrnąć!

Bez wątpienia mówił to już dawny Michał Chruszcz, najwidoczniej jest w nim dzisiaj dwóch ludzi, coś go chwilowo wytrąciło z równowagi i pokazał niezbyt miłą podszewkę, ale już wraca do formy, stara się. Osiński notuje w myśli z satysfakcją, że szef planowania machnął już ręką na pług Walichowskiego,

tyle, iż nie chce otwarcie krytykować dyrektora Waligóry, może, aby w razie potrzeby zwalić wszystko na niego bez ostrzeżenia — też dobrze. A pomysł własnej wytwórni części i detali to był również wąż morski, ornament słowny zgoda nieszkodliwy, używany w Niedźwiedowie od lat — nikt się tym nie przejmował, bo sprawa jest nierealna, fikcyjna, tak jak Rada Technologiczna przy Waligórze lub świeżo przez pięknego Roberta powołany Wydział Przetwarzania Informacji. Fikcja nikomu nie szkodzi, można nią szermować ile wlezie!

Tak więc, świat wracał do normy, rozmowa się kończyła uspokajająco, choć wspomnienie jej przykrego fragmentu nie da się — Adam wiedział to dobrze — zatrzeć tak łatwo, będzie wciąż wracać, pogłębiając ogólny niepokój, zabarwiający sobą życie coraz intensywniej. Na razie nie było tu co dalej robić, za oknami już ciemno, ponury zimowy zmierzch, do Chruszcza przyszli aż tutaj jacyś faceci z papierami. Adam ruszył cementowym korytarzem, na razie pusty wewnątrz, bez jednej myśli w głowie. Lecz co to? Cementowym tunelem pędzi też na przeciw Staś Buchała, głowę ma podaną do przodu, jak węszący pies myśliwski. Adam chce się cofnąć, ukryć, dosyć przykrości na dzień dzisiejszy! Ale już pierwsze słowa Stasia go uspokajają: tym razem nie chodzi o przykrości.

— Szukam Was wszędzie, kolego Adamie, żeby Was przeprosić — woła dyszkantem Staś. — Nagadałem głupstw, zdenerwowałem was, aż wstyd. Tylko że widzicie, ja jeszcze ciągle się łudzę, że można tu coś zrobić — niepoprawny jestem, wiem, ale cóż, taka natura. Przecież, skoro komuniści zbudowali już u nas ten przemysł, a, oddajmy im sprawiedliwość, nigdy przemysłu w takiej skali jeszcze w Polsce nie było (niech ja stracę, raz ich pochwałę!) to dlaczego to się ma marnować, przecież świat idzie naprzód, tymczasem my rozpraszamy siły przez brak pomysłu, realizujemy może 30 procent tego, co byśmy mogli. Dlaczego?! Ja rozumiem, oczywiście, musimy się zdecydować: albo zaspokajać bieżącą potrzebę produkcji traktorów albo eksperymentować. Nie mamy u nas czasu na eksperymenty, zgadzam się z tobą, racja, po stokroć racja. Tylko że kto właściwie ma się troszczyć o techniczny poziom mechanizacji rolnictwa w kraju? Tu w Niedźwiedowie każdy robi swoje, nikt nie myśli o całości. Oczywiście, tylko stały, rytmiczny dopływ części zamiennych może zapewnić harmonijną produkcję, a tak narzucamy krajowi te ciągniki, które mamy, zamiast ukierunkowywać i podaż i popyt. Ale co robić, jak montownia nieraz na tydzień naprzód nie wie co i z czego będzie montować! Trzeba uruchomić produkcję części na wielką skalę, tyle, że każdy mól uzna to za niemoż-

liwe, ekonomicznie nieopłacalne, bo części zamienne są niewy-
mierne, pracochłonne, w kilogramach nic nie ważą, chodzi o pre-
cyzję. Więc kto na to, pytam, może poradzić, coś z tego, że one
są najważniejsze, kiedy ceny i koszty mówią co innego, a żeby
to zmienić, trzeba by ustrój zmienić, święty i nienaruszalny
ustrój. Dom wariatów, mówię Wam! W rezultacie zdezelowane
traktory bez części stoją w magazynach międzykółkowych i po-
mocniczych, w punktach remontowych całej Polski — ileż się
tego marnuje, o Jezu! Kraj ma dosyć takich traktorów, potrze-
buje specyfikacji, nie szablonów. No a handel, a handel proszę
Was?! Powinniśmy przecież sprzedawać ciągniki prywatnym lu-
dziom, tymczasem nie wolno nam. Wszystkie te zaś Kółka Rol-
nicze, POM-y, Hurtownie Zbytu, przeróżne centrale sięją tylko
zamęt, niesnaski, zawiść. To jest zrobione umyślnie, ideologicz-
nie, żeby była „walka klas”, ale przez to my nie wykonujemy
swojego zadania. Tylko że ich to nie interesuje, ba, im w to
graj, bo przecież specjalnie chodzi o stworzenie stanu wiecznej
niepewności, niestabilności, żeby żaden chłop nie czuł się na-
prawdę właścicielem. Dlatego ludzie więją ze wsi: wolą zostać
urzędnikami, odpracować swoje i mieć spokój, zamiast być tym-
czasowymi producentami, co to orzą od świtu do nocy a niepew-
ni są dnia ani godziny. Dlatego też my nie możemy nasycić rynku
różnorodnymi, wysoko technicznie postawionymi maszynami rol-
niczymi. Nie możemy lub raczej nie wolno nam, choćby się nawet
udało pokonać trudności materiałowe, zaopatrzeniowe, technicz-
ne. Więc nie martw się pan — to wszystko nie pańska wina.
To ten cały wariacki system! A jak dom wariatów, to człowiek
chce się przynajmniej zabawić, choćby tym elektrycznym pługiem,
niby postępowaniem technicznym, przekonać samego siebie, że coś tam
jeszcze się robi. Ale to bez sensu, ja wiem, napsułem Wam
tylko krwi, Adamie. Nie gniewajcie się, wszyscy już mamy bzika.
Na wódkę Was zaproszę i zalejemy robaka — to będzie
najlepsze. Przepraszam, przepraszam!

Wspaniały jednak jest ten Staś, miodu mu nalał do duszy,
balsamu, rozproszył wszelkie podejrzenia dotyczące jakiegokol-
wiek bzika, czy też rzekomej, wywołanej przez zbyt intensywne
przeżywanie spraw fabrycznych, małostkowości. Ale czy napraw-
dę wszystkie cienie zostały rozproszone? Staś okazał się dawnym
Stasiem, koleżeńskim, pozbawionym żółci, obiektywnym, także
Chruszcz, po jakimś ataku krytycznej złośliwości, powrócił w
końcu do swej zwykłej, łagodnej i rozsądnej postawy. Jednakże
spojrzawszy na tę sprawę spokojnie; z dystansem półgodzinnego
namysłu — a tak właśnie patrzy teraz Adam, kuśtykając pokry-
tą śnieżystym błotem szczerbatą choć niby asfaltową przyfabrycz-

ną ulicą względnie szosą — patrząc więc z dystansem, widzi się przecież w tym wszystkim objawy mocno niepokojące. Niepokojące już nie z punktu widzenia samego Adama, lecz z perspektywy szerszej, chciałoby się rzecz społecznej, choć komuniści obrzydzili to słowo i wytarli je z treści przez ciągłe, hałaśliwe i natrętne jego nadużywanie. Chruszcz, uosobienie opanowania i łagodności (łagodność nie przeczy stanowczości, przeciwnie, jeszcze ją podkreśla), zachowujący się nagle w sposób napastliwy i agresywny, to zjawisko wysoce anormalne. Podobnie niezwykle sprezentował się przez chwilę Staś Buchała: namiętna, demagogiczna a nierozsądna tyrada, godna wręcz jakiegoś pętaka Bieńka z Rady Robotniczej — potem wprawdzie przyszła nader miła i całkowiec go rehabilitująca samokrytyka, ale przecież takie wysoki dotąd się u Stasia nie zdarzały. W sumie obaj okazali się najwyraźniej wytrąceni z równowagi — dlaczego? Może naprawdę w fabryce tak już źle się dzieje, że raz wreszcie ilość przechodzi w jakość, że nad wszystkim zawisa groźba konkretnego, wyjątkowego kataklizmu, takiego, jaki wciąż zapowiada ów mętny plotkarz i drugorzędny prorok Gościński? Może dlatego nerwy zawodzą tak nawet opanowanych i doświadczonych graczy produkcyjnych jak zaufany przecież członek Partii Michał Chruszcz? A może to po prostu podniecenie fizjologiczne, grudniowe? Bo grudzień to w Polsce bardzo podniecający miesiąc, zwłaszcza taki grudzień jak w tym roku, mroczny, błotnisty czy zawalony przedwczesnym śniegiem. W takim grudniu wciąż się na coś czeka, na Święta, na Nowy Rok, na odwilż, a także na podsumowujące bilans narady produkcyjne oraz związane z tym uroczystości, awanse, premie. Atmosfera oczekiwania jest podniecająca i niepokojąca, bo obnaża raptownie jakąś niestabilność, prowizoryczność istnienia — stąd podniecenie, stąd nerwy. Inna sprawa, że inżynier Buchała zawsze był nerwowy, wewnątrznie poirytowany, choć pokrywał to dowcipami. On także wieszczęł czasem, że wszystko się źle skończy, bo taki bałagan trwać nie może. — Jeśli w Rosji też jest taki bałagan — wykrzykiwał — to jakim cudem oni mogą konkurować z Ameryką?! Acha, mogą — odpowiadał sam sobie — bo im wystarczy mieć porządek w bombach atomowych, to zaś organizują na zasadach kapitalistycznych: bulą grubą forszę, ale tylko za to co się sprawdzi, w tej dziedzinie nie można produkować byle czego. Za to wszędzie indziej można, ile wlezie, bo nie potrzeba się troszczyć o ludność, która wszystko przełknie i pojęcia nie ma, że w ogóle coś nie gra. Zresztą rząd tam bogaty z domu: rzeki, lasy, złoto, futra — skolko ugodno! A u nas?! Kraj zniszczony, dziad na dziadzie jedzie i dziadem ujeżdża, a do tego

jeszcze ten nieprawdopodobny, z doktryny wywiedziony bałagan! Dom wariatów, mówię wam, trzaśnie to wszystko pewnego dnia — mówię wam!

Śmieli się wszyscy z tego lapidarnego proroctwa, Michaś Chruszcz dobrodusznie, Hilary Gościński ze złośliwą *Schadenfreude*, ale dziś Osińskiemu nie było do śmiechu — może naprawdę szykuje się jakiś wielki krach, grom, który uderzy na razie i najpewniej w Niedźwiedów?! Bo szło tu wszystko jak z kamienia i rzeczywiście, mimo ilościowego rozwoju, coraz gorzej — przekonała go o tym jeszcze raz owa beznadziejna Barburkowa wizyta na Śląsku. Może więc Chruszcz i Buchała, dobre przecież duchy fabryki, prawidłowo reagowali nerwami, jak szczyry czy inne zapobiegliwe stworzenia, przeczuwające trzęsienie ziemi lub wybuch wulkanu? Może więc nie tylko grudzień był tu winien?

Adam wciągał chciwie owo zgniłe, grudniowe powietrze. Dopiero opuściwszy bezludny już zupełnie budynek biurowy (miła rozmowa ze Stasiem trwała króciutko) poczuł jak bardzo jest zmęczony. Noc już prawie była, koło szóstej chyba, druga zmiana na fabryce w pełni, a tu dzień zeszedł przepędzony na niczym, utrudzający, jak gorączkowy, bezsensowny i niepotrzebny sen. Czas płynął powoli i jałowo, a tu przebiegł szybko, pozostawiając w człowieku jakąś rozpaczliwą zgagę. Nie dało się w dodatku o niczym istotnym pomyśleć, nie zadzwonił nawet do Jadwigi, nie widział jej przecież jeszcze od przyjazdu. Inna rzecz, że Jadwiga po dyżurze wracała późno, koło piątej czyli może właśnie teraz, w ów bezlitośnie mroczny, ciężki wieczór grudniowy, zaś łąpać ją telefonem w szpitalu było niepodobieństwem, ciągle gdzieś biegała, zresztą nie lubiła tego. W ogóle nie lubiła jego telefonów. No bo i o czym miał jej przez telefon mówić? O fabryce i o tym, że mu kooperacja nie idzie? To wiedziała doskonale i to ją nie ciekawiło. A znowuż doktor Lasota...

Myśl o doktorze Lasocie automatycznie, choć właściwie nie wiadomo dlaczego przyciągnęła za sobą obraz Jolanty Działak, tej tandetnej nieco choć pociągającej „Marleny dla ubogich”. Znów o niej zapomniął podczas rozmów ze Stasiem i Chruszczem, no i słusznie, że zapomniął. Śmieszne było podniecać się taką bzdurą, to, że wziął rzecz poważnie jest miarą jego własnego wykolejenia tudzież w ogóle braku równowagi wewnętrznej: nie tylko Chruszcz i Buchała zwariowali, znikował również inżynier Osiński. Przecież piękna Jolanta w swych agresywnych poczynaniach niby erotycznych musiała być jakoś autoryzowana przez męża, Działak o wszystkim wiedział i wyraźnie rzecz popierał. Po co? Ano, on już coś w tym ma, choć nie wiadomo co, ale

trzeba uważać, bo to ubeczek, chytry na swój sposób, mimo że głupi. A najlepiej przestać sobie tą sprawą zaprzętać głowę, to niepoważne, trzeba się zająć własnymi, zaniedbanymi problemami domowymi, zgubioną jakoś i zdezorientowaną Jadwigą oraz nieszczęsnym Zbyszkiem, obijającym się bezsensownie między chłopską Warszawą a westernowym światem telewizji — toż będzie to dzieciak całkiem zmarnowany, jeśli nie odzyska się na niego jakiegokolwiek wpływu — może jeszcze nie jest za późno?

Śnieg zamieniał się po trochu w błoto, było nawet ciepło, wręcz niemal duszno. Inżynier Osiński czuł się tak, jakby przez cały dzisiejszy dzień (wydawał się on teraz długi, niczym jakaś epoka) w ogóle nie żył. Wlókł się na pamięć ową ulicą „Traktorzystów” wzdłuż starych i nowych budynków Niedźwiedowa, bo stare organicznie przeplatało się tu z nowym. Symbolizowało to jakoś dwa światy: z jednej strony młodzi, przybyli ze wsi a przesadnie modni i fasonowi, rwący się do miasta i jego atrakcji, z drugiej strony robotnicy czy „chłoporobotnicy”, poważnie żyłaści, jacyś poryci pracą, chorujący, pokręceni, jedyni bywalcy oszklonej niedźwiedowskiej „klubokawiarni”, którą właśnie mijał. Bo z tyłu pozostał już, tłoczny swymi szeregami żelaznych krabów, park ciągnikowy, rozprzestrzeniający się tuż przy ulicy na tle zielonawo szklistej, teraz w słabym nocnym świetle mrocznej hali. Obecnie Adam szedł obok głównej bramy z wartownią, gdzie na parkingu, prócz kilkunastu aut, srebrzyły się motocykle i sporo rowerów — druga zmiana na metalurgicznym i odlewni trwała w pełni, zaczynali ją wszakże o godzinie czternastej, tylko umysłowych nie było już ani śladu. Minął niską, długą, oszkloną spółdzielnię spożywcą, kiosk z piwem, dalej żłobek i przychodnię lekarską, z tyłu wyczuwał raczej niż widział ceglane budynki starego hotelu robotniczego. Dalej Niedźwiedowska szosa krzyżowała się z biegnącą wykopem, pod kolejowym nasypem, ulicą Projektowaną, gdzie chodniki zawałone były ceglami i wapnem — nie skończono tu jeszcze tegorocznych robót budowlanych, mimo przedwcześnie, śniegiem, zadymką i błotem atakującej zimy. Nad wykopem wznosił się potężny, w ciemności robiący wrażenie nieskończonego wysokiego, czerwony ponury gmach. I znowu, jak wszędzie tutaj, dwojakość: stare, ceglane, brudne ale przytulne w środku rudery, obok za to zimne lecz niby eleganckie, świecące w ciemnościach szklane klatki ze szkła, betonu, metalu.

Tędy właśnie schodziło się po kamiennych schodach do majolikowego tunelu, wyprowadzającego na tłoczne o każdej porze dnia perony (kto właściwie stale tutaj się tłoczył i dlaczego?). Akurat podjechała brudnawo-żółta, mdło oświetlona gąsienica

wagonów, tłum wlał się do niej, rozpełzł po wnętrzu, Adam też dał się wnieść i tkwił oto w środku, na stojąco odbywając dwudziestominutową trasę, gdy w mroku za oknami uciekał do tyłu niewidoczny teraz, znany na pamięć świat skłębionych torowisk, nastawni, bocznicy, słupów trakcyjnych, domków sygnałowych, wszystko mrugające czerwonymi, zielonymi i żółtymi kółkami sygnałów. A oto już tunel, za nim otwiera się głęboko poniżej Alei Jerozolimskich i Towarowej wkopany, migający grubym, szklano betonowym stropem sześcian przystanku Ochota.

Znów po betonowych schodach w tłumie sobie podobnych dwunogów pnie się Adam do góry, obok świecącej elektryczną pustką szkoły Zbyszka, aby za chwilę, zanurzyć się powtórnie w błotnistą ciemność, w pasmo mroku u stóp smukłych, jarzących się mnogością światła jedenastopiętrowców, obramowanych w dole resztkami ruin lub dawnych kamienic, ciemnoczerwonych ruin, gdzie znów przycupnęły ukradkiem stare sklepiki, prywatne magazyny i warsztaty. Wszystko oczywiście skazane na śmierć choć wciąż jeszcze żywe, lecz tym razem Adam nie myśli o tym: brak mu czasu czy, jak się mówi w Warszawie, „nie ma do tego głowy”. Od spóźnionego wyjścia z fabryki, tam, na błotnistej Niedźwiedzowskiej szosie czy w natłoczonym elektrycznym pociągu planował sobie, że będzie dzisiaj dla Jadwigi i Zbyszka dobry, rozumiejący, taki jak we Wrocławiu. Teraz podgryza go niecierpliwość, aby prędko zrealizować swój zamiar, oszklona, bezsensownie przestronna parterowa sień wabi, jak powinien wabić dom rodzinny. Inżynier Osiński wbiega nagle po schodach z młodzieńczą energią, przepędnia go chęć, aby być nareszcie dla rodziny innym niż zwykle, aby nie mówić o głupich, fabrycznych kłopotach ani o niczym takim, aby okazać się wyższym ponadto, swobodnym, opiekuńczym. Na dnie owych nastrojów tkwi też jednak osad niepewności: jakaż będzie dziś Jadwiga, jej pierwsze spojrzenie, jej nastrój — od tego przecież wszystko zależy, a w każdym razie dużo zależy. Gdy więc inżynier Osiński staje przed drzwiami swojego M 3, oddech ma przyspieszony nie tylko z powodu biegu po schodach, lecz również z niepokoju.

Od razu pierwsze, ukradkowe nieco spojrzenie na Jadwigę poucza go, że jest ona nieco spłoszona, lecz nie niechętna — coś niezwyčajnego musiało się zdarzyć. Jeden gest Jadwigi w stronę biurka wystarczy: leży tam list, ale bez znaczków pocztowych, widać przez kogoś przyniesiony. Na kopercie znajome, charakterystyczne pismo ojca. Jadwiga czytała, list jest otwarty, jeszcze przed wyjęciem arkusika z koperty Adam przeczuł jego treść, a pobieżna lektura przecucie to potwierdza. Franek, szwagier,

ten co chciał wciągnąć Adama do swojego warsztatu czy fabryki, został aresztowany. Sprawa prosta, banalna, klasyczna: kupował materiał pochodzący z przecieku, walcówkę z państwowej fabryki, kupował na lewo, choć niby nie wiedział, skąd to pochodzi. Kupował niewiele, tę odrobinę, która mu była niezbędna, płacił dobrze (komu?!) ceny wielokrotne, robił z tego precyzyjne detale, które sprzedawał znów państwowym zakładom, ratując je od przestojów i dezorganizacji produkcji — w sumie jednak działał nielegalnie, sprzecznie z przepisami, jak ktoś się uprze dochoździć i określać rzecz językiem prawnym, wręcz kryminalnie. A tu właśnie ktoś się uparł — pewno po prostu prokurator, zdopingowany czymś donosem: donos groźny jest nie tylko dla delikwenta, którego dotyczy, lecz również, nawet jeszcze bardziej, dla opieszalego adresata, który zeń nie wyciągnie pospiesznych konsekwencji. W tym wypadku adresat nie był opieszale: Frankowi grozi oczywiście kara więzienia, poza tym domiar, grzywna, konfiskata mienia, ruina rodziny. Przestępstwo Franka to nie tylko fakt, że kupował lewy surowiec, on pogwałcił prawo w sposób bardziej frontalny, ideowy i zasadniczy: produkował, podczas gdy ustawowo wolno mu tylko „świadczyc usługi” — wszakże to socjalizm, nie zaś wolnorynkowa anarchia. Tak kończą maniacy, Don Kichoci prywatnej produkcji, kapitanowie chałupniczego przemysłu. *Memento mori!*

Jakaż to klasyczna sprawa, jakże materializują się w niej podświadome lęki i przecucia Adama Osińskiego — wszak krąży to koło niego już ponad dwadzieścia lat, coraz bliżej i bliżej. On też łamie w końcu prawo, zatrudnia pilnych chałupników w rodzaju Franka, ani pytając, skąd biorą materiał i za ile, wprawdzie robi to dla dobra państwowej fabryki, ale kogóż będzie to obchodzić, gdy już dojdzie do publicznego rachunku sumienia? Fatalnie zaczął się grudzień w tym roku, jedyna pociecha, że Jadwiga wyraźnie mu tym razem współczuje, jest poruszona, jakoś ciepło solidarna, czego już dawno nie było. Szczęście, że Zbyszka nie ma w domu (pewno znów u kolegi na telewizji), mogą sobie porozmawiać o biednym, niepoprawnym frajerze Franku, o zdenerwowaniu ojca, o sprawach rodzinnych. Nie często ostatnio mieli z Jadwigą wspólny temat, szkoda tylko, że ten jest tak niepokojący, tak dotkliwie i blisko niepokojący!

VIII

A może złe przecucia, które się w nim ostatnio zagęszczały, pochodziły od materializującej się już przecież w tym czasie sprawy Franka? Bo Adam wierzył, że przecucia nie biorą się znikąd, że promieniują z czegoś, co się już gdzieś dzieje. Nie tylko zresztą wierzył — sprawdził to sobie wielokrotnie, nigdy złe nastroje nie przychodziły doń bez powodu, zawsze posiadały jakąś swoją konkretną, choć oddaloną przyczynę. Czyżby więc całe zmartwienie miało rozładować się i wyczerpać na sprawie Franka? Byłoby to, egoistycznie rzecz biorąc, pocieszające, znaczyłoby, że nic już złego się nie zdarzy, a przy tym sprawa Franka nie mogła przecież rzutować na fabryczną opinię Adama, nikt nie wiedział o ich powinowactwie ani stosunkach. Więc niby dobrze, choć źle i smutno, boć w końcu ojciec i siostry przeżyją rzecz ciężko, straty też będą niemałe — konfiskata tak zwanego mienia, grzywny, kary, domiar wyliczony wstecz. A może jeszcze i z mieszkania ich wyrzucą? Wszystko możliwe, gdy do rzeczy weźmie się jakiś fanatyczny nadgorliwiec z Urzędu Finansowego. Ci ludzie, nędznie płatni a wciąż mający do czynienia z przeróżnymi, w ich pojęciu nagannie wysokimi cudzymi zarobkami, wyżywali się w swej pracy, uważali się za ideowców, za karzące ramię socjalistycznego państwa, przy tym sprawy produkcji prywatnej nie obchodziły ich nic a nic, nienawidzili jej, brzydziła ich do głębi duszy, interesował ich tylko formalny trud wykrywania i niszczenia łamaczy przepisów, tak już byli wychowani. Oczywiście, trafiali się i inni, co brali łapówki, ale to także rzecz obosieczna czy dwuznaczna. Biedny Franek, choć ostrzeżało się go sto razy, biedna rodzina! Już po krótkim namyśle inżynier Osiński widział całą mnogość przykrości i kłopotów, jakie się z tego wywiążą, nie można ich w żaden sposób lekceważyć, owa względna ulga zakładająca, że złe przecucia wynikały tylko z rozgrywającej się w niedalekiej Łodzi sprawy Franka i że

zły nastrój na tym się może wyczerpie, to ułuda, samoułuda. Bo nastrój tak skryształizowany nie wyczerpie się: za duże tu podobieństwo prywatnych interesów Franka z owymi rozpaczliwymi interesami, jakich w imię państwowej fabryki dokonywał Adam. Jedno zostało wyklęte, drugie niby tolerowane, ale zbieżność ekonomiczno-techniczna zastraszająco jest wyraźna. Ta sprawa prześladowuje go całe życie, historia Franka to przestroga, na tym się nie skończy, nie może skończyć. Nie ma zatem powodu do uczucia ulgi, egoistycznej i wszakże z przesądów również wynikłej ulgi, jaka na chwilę przejęła Adama. A tak czekał tej ulgi, zwłaszcza w dzisiejszy ciężki, grudniowy wieczór, gdy po widmowej śląskiej podróży i całkowicie irracjonalnym fabrycznym dniu, zapragnął wreszcie normalnego, domowego wieczoru, takiego, jakich mnóstwo zdarzyło mu się przeżyć we Wrocławiu na początku lat pięćdziesiątych. Nie wiedział wtedy, jaki to bezcenny dobytek, jakie rzadkie i krótkotrwałe ciepło rozgorzało dlań w owych posępnych na pozór, ponemieckich blokach nad Odrą!

Reszta miesiąca była już w stylu tego dnia, a i tło niezmienne: grudzień przedwcześnie śnieżny, ciemny, bezgwiezdny, do tego duszny i błotnisty, stawiający opór nogom, brnącym pospiesznie przez wyszczerbione bruki, kupy gruzu, wykopy i czarne choć górami śniegu obrzeżone wąwozy ulic. Dużo chodził w tym miesiącu, wydeptując przeróżne schody i zastawione brudnymi samochodami dziedzińce, gdzie przekopywano zwykle jakieś przejście dla pieszych, przekopywano zresztą niechętnie, bo nie wiadomo było, kto to właściwie ma robić — źle płatne sprzątaczkі wołały roznosić po korytarzach herbatę, roznosiły ją w złotwiyym tempie, co zresztą odpowiadało szybkości pracy, dokonywanej się rzekomo przy teźże herbacie w gabinetach dyrektorów do spraw..., referentów i innych podobnych osób. Rzekomo, bo inżynier Osiński nie dostrzegał tam żadnej pracy, jeśli takową mierzy się niewielkim choćby lecz widowym postępem czy rezultatem. Postęp winien być skuteczniony przez zbliżanie się do jakiejś decyzji, tego jednak niesposób było stwierdzić, może dlatego, że istota tutejszej decyzji nie miała nic wspólnego z istotą pracy, dokonywanej gdzieś tam, w bielskiej „Mechanie” na przykład. Tu były słowa na papierze, tam brak miejsca w hali fabrycznej, brak czasu, niemożności zebrania odpowiednich ludzi i zmobilizowania ich na jeden termin w określonym celu, na przykład właśnie w celu wykończenia wreszcie owej nieszcześniejszej maszyny do obróbki szczęk hamulcowych, a raczej do wykrycia jej złośliwie utajonych błędów. Należało się na tym skupić, czas, przeznaczony na owo skupienie winien być zapłacony czy raczej przeliczony na pieniądze, bo przecież stano-

wił on odpowiednik konkretnych sum: wszak straty, ponoszone w całej Polsce z powodu kiepskiego hamulca w traktorze były na pewno jak najbardziej wymierne, katastrofy czy awarie kosztowały, ktoś za nie płaci. Gdzież więc, jeśli nie w ustroju kolektywnym, w którym wszystko jest całością i jednością, gdzież, jak nie w tym solidarnym i spójnym w założeniu systemie, koszty owe winny być obliczone i z góry wkalkulowane jako społeczna strata, gdzież, jak nie tutaj winny znaleźć się fundusze na zapobieżenie tej stracie, na przyznanie badaniom i eksperymentom dotyczącym maszyny do obróbki uchwytów szczękowych absolutnego priorytetu w „Mechanie”?! Wszak mniej na pewno wyda się na ową maszynę niż wydaje się na coroczne straty awaryjne, a więc zysk, czysty zysk dla kolektywu jest tu absolutnie wyraźny, wręcz, w skali kraju, wymierny i zbawienny. Ale, rzecz zadziwiająca, urzędnicy ministerstw, zjednoczenia, Komisji Planowania czy Zakładu Mechanizacji absolutnie nie widzieli ani strat ani zysków, związanych z problemem hamulców, były to dla nich sprawy dalekie, niemal abstrakcyjne, żadnymi zresztą odnośnymi cyframi kosztów awaryjnych nie dysponowali, w ich tabelach to się nie zawierało, nikt tego całościowo nie liczył, odnośne sumy istniały tylko w wyobraźni czy domniemaniach, w praktyce zaś (jeśli istniała w ogóle jakaś świadoma praktyka) egzystowały rozczwartowane pomiędzy budżety najrozmaitszych instytucji ubezpieczeniowych, zaopatrzeniowych, naprawczych. Egzystowały więc tylko teoretycznie, w oficjalnie konkretnym życiu ich nie było, nie dochodziły też do świadomości owych urzędników, którzy decydować mogli, jak mówili, tylko na temat sum powszechnie ustalonych, dostępnych i poświadczonych na papierze, przeliczalnych. A przecież i tamte sumy były jak najbardziej uchwytne, wymienne, na pozór tylko rozplywały się w fikcję pomiędzy niezliczonymi rubrykami niezliczonych planów i budżetów. Na pozór — jednak ten pozór okazywał się decydujący, zewnętrzno formalistyczne przeszkody spychały realną sprawę i realną sumę między złudy i byty fikcyjne — urzędnicy „jednostek nadrzędnych” patrzyli na Adama i towarzyszącego mu Stasia Buchałę właśnie jako na orędowników złudzenia, na tracących czas maniaków — tak trochę jak patrzył Adam na inżyniera Walichowskiego. W najlepszym razie odsyłali ich do samej „Mechany”, aby wygospodarowała czas i środki we własnym zakresie, „po gospodarsku”. O, rzekomi naiwniacy, jakby nie wiedzieli, że bez zlecenia z centrali, za ową pracochłonną a w ramach zakładu „nie rentującą się” pracę, można było w „Mechanie” zwłaszcza teraz, w grudniu, co najwyżej darmo napisać wódki.

Czyżby więc w ustroju kolektywnym nie było ani krzty kolektywizmu, tylko mnogość osobnych kółek, z których każde obracało się w swoją stronę bez związku z innymi? Inżynier Osiński stawiał to pytanie Stasiowi Buchale, serdecznemu teraz i przyjacielskiemu, jakby chciał Adamowi wynagrodzić ów nie zapomniany przecież jeszcze moment swego chwilowego wyjścia z formy i zatokowania się w nierozsądnym rezonerstwie — a przecież być nierozsądnym w świecie ograniczonym przez konieczność, to być zarazem i śmiesznym i nielojalnym. Staś wiedział to i wstydził się tamtej chwili. Wyciągnął z niej konsekwencje, zrezygnował, przynajmniej na razie, z pługa Walichowskiego, czyli z wiertła i noży do aluminium, koncentrował się, jak i Osiński, na szczękach hamulcowych. Jeździli teraz do Warszawy razem, służbowym samochodem, bo Buchała pożalował Adama brnącego w błocie czy wśród śnieżnych zasp, choć w gruncie rzeczy mniej się wtedy traciło czasu i energii, niż na owe pełzanie nieustawnym autem, wyposażonym na dodatek w milczącego, niechętnie i opryskliwie opornego kierowcę — toć na takich wozach nic sobie nie zarabiał, nie mógł wziąć nikogo „na łebka” a przecież Święta były tuż tuż i któryż Polak zrezygnuje z uswięconego obżarstwa? Ale inżynier Buchała nie zwracał najmniejszej uwagi na posępną postać przy kierownicy, tylko w odpowiedzi na wewnętrzne, „duszne” strapienie Adama, dotyczące kolektywizmu czy też jego braku, odpowiadał ze swoją gorzką werwą, donośnym, ani odrobinę nie sciszczanym dyszkantem, odpowiadał w zmotoryzowanych intermezzach między jednym stołecznym urzędem a drugim, lub też na wyźłobionej w śnieżyste koleiny, obstawionej po obu stronach żelastwem szosie do Niedźwiedowa.

— Człowieku — wołał Staś w twórczym zapale — ty byś chciał zmienić to, czego miliard ludzi zmienić nie może!! Ty byś chciał zmienić USTRÓJ! Frajerze! (teraz, od pamiętnego, jedynego między nimi konfliktu, mówili sobie już zawsze „ty”). Zrozum, że jeśli produkcja jest społeczna, czyli państwowa, czyli niczyja, decyzje rozdzielone między sto instancji, wtedy nikt nic nie może, nikt za nic nie odpowiada i nikomu na niczym nie zależy. Nie zależy i nie może zależeć, choćby nawet chciał, bo przecież w tym bałaganie nic nie wiadomo: czy strata, czy zysk, czy wydatki opłacalne czy nie opłacalne i w ogóle cholera wie o co chodzi. Na to wszystko i komputer nie poradzi, bo komputer zaprogramowany będzie przez ludzi tutejszych, mających pietra, więc nigdy nie wydedukuje, że trzeba po prostu zmienić ustrój, zaprowadzić kapitalizm. W dodatku nadziei nawet żadnej nie ma. Na Zachodzie ludzie mówią: jak będzie rewolucja,

to zobaczycie. A my już nic nie zobaczymy, już widzieliśmy, bo rewolucja już tu była, jest po rewolucji. Nie ma na co czekać, odwrotnie, do tyłu sprawy na świecie nigdy nie idą, co się już stało, to się nie odstanie. I zrób mu dziecko!

To był efektowny akord początkowy! Osiński patrzył z obawą na szofera, co też on sobie na ten temat pomyśli, ale obywatel kierowca trwał w swojej ponurej, zaciętej obojętności i ani mu było w głowie interesować się, co tam „panowie inżynierowie” do siebie szwargoczą. Bo przecież byli wciąż panami i jako tacy na pewno winnymi, że kierowca, zamiast zarabiać gdzieś extra na Święta, musi się tłuc po ulicach i potem wyczekiwać godzinami przed takim czy innym jałowym ministerstwem. A jednak niechęć klasowa jest wciąż aktualna, rewolucja, wbrew Stasiowym twierdzeniom, trwa najwidoczniej dalej.

— Ale mówmy poważnie! (Adam był przeświadczony, że inżynier Buchała od samego początku mówił jak najpoważniej). Jest przecież oczywiste, bez względu na ustrój, system, światopogląd i czort wie co jeszcze, że duży, samodzielny zakład zatrudniać winien swoich, tylko dla niego pracujących, drobnych wytwórców, chałupników — wszystko jedno, państwowych, prywatnych, spółdzielczych, aby własnych, wyspecjalizowanych w tym, co zakładowi potrzebne. Kooperacja międzyzakładowa jest jedną z największych bzdur, wymyślonych przez ten system. W rezultacie siepiemy się i szarpiemy pomiędzy najprymitywniejszymi kłopotami organizacyjnymi, absolutnie niepojętymi dla zrjonalizowanego, uprzemysłowionego Zachodu. Nasze trudności z produkcją potrzebnych krajowi maszyn rolniczych to trudności elementarne, pierwszego stopnia, w normalnie uprzemysłowionych krajach one nie istnieją, stąd też tam i tylko tam myśleć można o nowoczesnie wydajnej produkcji rolniczej — nie tu. Maksymalnie rolniczym, to znaczy zmechanizowanym i nastawionym na wysoką wydajność pracy rolnej krajem może być tylko kraj na wskroś przemysłowy — nie ma rolnictwa bez dobrze postawionej, wolnej od zgrzytów i hamulców produkcji narzędzi i maszyn. A u nas? Wytwórczość maszyn jest słaba i niedostosowana do potrzeb (potrzeby w dodatku mają to do siebie, że się zmieniają), więc i skutek wiadomy: w miarę mechanizacji produkcja rolna drożeje zamiast tanieć, maszyny nie zwiększają podaży lecz zwiększają koszty. Paradoks i bzdura! Niemcy Zachodnie, kraj żyjący z przemysłu, zalane są własnym mlekiem i masłem, serem, mięsem, nie wiedzą, co z tym robić. A w rolniczej Polsce wydajność rośnie minimalnie, właściwie, wobec ponoszonych kosztów, maleje. Ludzie się łudzą, że jakoś się żyje, ci bałaganiarze z ministerstw, którym na niczym nie zależy, też

się ludzą, że jakoś to będzie, że przecież czas płynie, że się im upieczą. Ale nie upieczą się, tylko, że jak przyjdzie dzień zapłaty, to zapłacimy wszyscy, zresztą już płacimy. Bo ekonomii oszukać się nie da!

„Nie strasz nie strasz, bo się zesrasz!” — mawiał w takim wypadku na stronie stary pijaczyna Malak. Istotnie, złowieszcze proroctwa Stasia Buchały nie sprawdzały się dotąd w sensie nadejścia jakiegoś żywiołowego kataklizmu, ale może właśnie niedowład Niedźwiedowa i częściowa niepotrzebność czy niedostosowanie jego produkcji do popytu już były kataklizmem, tyle, że oni się do niego przyzwyczaili? Chociaż Staś nie — Staś żył w poczuciu stałej klęski, zaczęło się to już udzielać i Adamowi, ale w sposób głębszy, był bowiem od tamtego cierpliwszy, za to bardziej pesymistyczny, życiowy fatalista. Choćby i teraz: Buchała mimo wszystko, mimo swą zasadniczą, zakamieniałą opozycyjność, z większą nadzieją czy choćby zapalczywością jeździł oto po grudniowych urzędach, niż zrezygnowany inżynier Osiński. Zrezygnowany — bo widział brak związku między rozmowami tutaj toczonymi a tym, co się działo w terenie. Tu była abstrakcja, ustawiona do życia praktyczno produkcyjnego jako linia wichrowata, nie przecinająca się z nim. Więc i ich wspólne ze Stasiem błędzenie w przedsięwzięcznym zmierzchu i zgieńku po zakamarkach obłoczonej stolicy było abstrakcją, tematem do fantastycznego skeczu, efektowną może, mglistą wizją z kinematografu, ale nie życiem. Staś myślał, że walczy, Adam wiedział, że traci czas, czas który ucieka, czas spędzany na niczym. To była różnica — jednakże ten Staś pozostał szczęśliwszy od niego, jakby młodszy duchem, choć niby tak zgorzkniały.

Wreszcie, w połowie grudnia, różnymi drogami doszli do tego samego punktu i — dali spokój wędrownikom. Trzeba było wrócić do Niedźwiedowa i tam na miejscu dążyć sprawę maszyny do nieszczęsnej obróbki uchwytywych szczęk. Od czegoż jest Waligóra, od czego dyrekcja?! Niechże przynajmniej oni nie śpią spokojnie, gdy innym troska spędza sen z powiek! Jest odpowiedzialność czy nie ma?! — Nie ma, oczywiście że nie ma — wołał na to Staś Buchała. — Odpowiada tylko frajer, który się do tego poczuwa, ja, ty. Bęcwałam nic nie będzie — jesteśmy przecież po rewolucji!

Gwałcili więc wspólnie inżyniera Waligórę, choć bronił się jak lew, rycząc i potrząsając płową grzywą. Za wszelką cenę starał się wymówić od zrobienia czegokolwiek, o wyjeździe na Śląsk nie można było oczywiście marzyć, bo fabrykę czekała najważniejsza rzekomo sprawa w roku: uroczysta grudniowa akademia z okazji wykonania planu. Naczelnemu inżynierowi nie

przychodziło oczywiście do głowy (a jeśli przychodziło, głęboko to ukrywał), że akademia ta jest czczą, serwilistyczną błazenadą, że natomiast jeśli już, to najważniejszym wydarzeniem będzie styczniowa narada produkcyjna, kiedy nastąpić może istny płacz i zgrzytanie zębów. Ale nie było tego komu tłumaczyć, jak tu zresztą tłumaczyć rzeczy najprostsze i oczywiste?

Jednakże w drugiej już połowie coraz ciemniejszego grudnia, Waligóra dał się wreszcie namówić na korespondencję z „Mechaną”. Rodził te listy w trudzie i męce, trzeba je było przeredagowywać, wiele razy przepisywać, wyduszać podpis dyrektora Maciejewskiego. Oczywiście, nim listy dotrą gdzie należy, będą już święta, odpowiedź zjawi się dobrze po Nowym Roku. Tyle czasu, tyle czasu... Zbliżało się za to najmniej ważne, czyli owa akademia. Nie chcąc się denerwować Adam wziął dwudniowy urlop i pojechał do Łodzi — należało zapoznać się bliżej ze sprawą Franka.

A sprawa stała źle, fatalnie. Z fabryczki zabrano i skonfiskowano owe przysłane przez ciotkę z Anglii maszynki, zabrano je przy tym bez oficjalnej wyceny, bez poświadczenia ich wartości przez kompetentnych rzeczoznawców i świadków. Cała rzecz niewątpliwie nieformalna, wręcz bezprawna, adwokat rozkładał ręce: trzeba było nie dawać! Ale kto właściwie miał nie dawać — stary majster już nie żył, zaalarmowani pracownicy zwiali co tchu, a Zosia, żona Franka jest całkowicie nieprzytomna, w stanie ostrej hysterii. Również, choć w inny sposób nieprzytomny stał się ojciec, który absolutnie nie mógł zrozumieć, co właściwie zaszło i dlaczego przestępstwem okazała się praca, pobłogosławiona w swoim czasie, jak sądził, przez Adama.

Wykładanie ojcu niezgłębionych tajników ustroju nie wydawało się rzeczą celową, gorsze jednak, że i Zosia w swój nerwowy teraz sposób obciążać jeła Adama współodpowiedzialnością: przesiedział wszakże przed laty szereg miesięcy w warsztacie, wiedział co tam się robi, dlaczego nie ostrzegał, jeśli to było złe, karalne, niebezpieczne? Tymczasem Adam owszem, ostrzegał, ale tylko Franka i to w cztery oczy, bo nie chciał martwić czy straszyć rodziny. Jakże to wyjaśnić, jak też przekonać zdesperowaną siostrę, żeby była powściągliwsza i ostrożniejsza w wypowiedziach? Trudno tłumaczyć tonącemu, aby nie wciągał za sobą do topieli innych i perswadować, że nie ma on w tym przecież żadnego interesu, przeciwnie, wykańcza sojusznika co mógłby mu ewentualnie pomóc. Ale Zosia nie wierzyła w żadną pomoc: oprócz maszyny zebrano także cały zgromadzony surowiec, zakład był opieczętowany, meble w mieszkaniu „opisane”, książeczka PKO zablokowana, tyle, że ojciec miał na koncie jesz-

cze trochę oszczędności. Oj, fatalnie wyglądała ta sprawa! Adam dwukrotnie pokonferował z adwokatem, zostawił trochę pieniędzy i, niezbyt serdecznie żegnany przez rodzinę, powrócił do Warszawy, uwożąc ze sobą w dodatku wspomnienie niemiłej rozmowy, jaką odbył z Zosią i z drugim szwagrem, Jankiem, na brudnym, obłożonym i natłoczonym gniewnymi ludźmi dworcu Łódź Fabryczna. Jednak rodzina niezbyt jeszcze dobrze rozumiała gdzie żyje. Może za mało z nimi rozmawiał, ale, prawdę mówiąc, nigdy nie miał na to siły.

Tymczasem w Warszawie coraz ciemniej: smukłe na oko 11-piętrowce Uranowego Osiedla grają się wierzchołkami w żółto-burej mgłę, a od godziny piętnastej wcale ich prawie nie widać z racji szybko gęstniejącego zmierzchu. Żyje się jak podczas polarnej nocy, nie oglądając nie tylko słońca, lecz w ogóle dziennego światła, boć rano, gdy idzie się do pracy, ciemno jest jeszcze w najlepsze, a znów w Niedźwiedowie nie ma czasu na wyglądanie oknem. Nie ma czasu, choć po staremu żadne sprawy nie posuwają się naprzód. Jedyłą oznaką zbliżania się ku czemuś są świąteczne choinki, które w Warszawie pojawiły się na karuzelowym placu obok Dworca Głównego, a w Niedźwiedowie u wylotu starego rynku — widać je z rampy i nasypu. Inżynier Osiński bezradnie przemyśliwa, jakie by tu nieszczęsnemu Zbyszkowi sprawić święta. Bezradnie, bo ogromnie zajętej Jadwigi prawie w domu nie widać, kolejna służąca akurat odeszła, zaś daleki od sentymentalizmu Zbyszek ugania gdzieś całe wieczory. Dla pełni obrazu dodać jeszcze trzeba, że sam Osiński myśli poza pracą tylko o świątecznej wizycie u Działaków a raczej u Jolanty Działak, która to wizyta jawi mu się jako daleki, świetlny punkt orientacyjny w długim, czarnym tunelu.

Działaka, owszem, widuje w biurze, choć nie nadmiernie, bo drugi Sekretarz stowarzyszył się ostatnio z przewodniczącym zakładowego Związku Młodzieży Socjalistycznej, beztroskim cwaniakiem „Zdzisiu” Orzechowskim i obaj pod pozorem ważnych prac partyjnych znikają gdzieś „na terenie” przez długie godziny. Niemniej Działak kilkakrotnie nie omieszkał przypomnieć Osińskiemu o świątecznym zaproszeniu dla „państwa inżynierostwa”, na co Adam nieodmiennie bąkał coś na temat „czy rodzina będzie mogła”. Potem sprawa wyjaśniła się sama, Jadwiga bowiem oświadczyła, że w drugi dzień Świąt pracuje i ma nocny dyżur, wobec czego ciepło rodzinne rezerwuje sobie na Wigilię i pierwszy dzień. Przyniosła też niedużą choinkę oraz na świąteczne zakupy zamówiła znajomą „kobietę”. Wszystko się składa jak scyzoryk — myślał sobie Adam, wobec czego nic jej o zaproszeniu Działakowym nie powiedział — nie było sensu cho-

dzić tam z rodziną, a Zbyszek na pewno jakieś zajęcie sobie znajdzie, i tak przez całe dni nie bywał w domu.

Postępował więc inżynier Osiński chytrze, przemyślnie i wręcz perfidnie, taki jakiś nim kierował wilczy instynkt, co nie znaczy aby czasem, w przypiływie nagłej świadomości tego co robi, nie gnębiły go wyrzuty sumienia. Mógłby je może zagasić pewien dzwonek telefoniczny, który zadzwieczał w mieszkaniu M 3 pewnego wieczora, oczywiście gdy Jadwigi nie było w domu. Ale i ten tajemniczy telefon nie zmienił wiele: taki to już stał się Adam zakamieniały.

Z założeniem telefonu u Osińskich to była wręcz cała epopeja. Oczywiście w tej dzielnicy nie było wolnych przewodów i „gniazdek”, toteż nadziei nie robiono im wcale. Telefonować chodziło się do szklanej budki na dole, niedaleko szkoły — tyle, że zawsze tkwiła w niej jakaś długowłosa madonna przedmieścia, która miała akurat pilnych zwierzeń na całe piętnaście minut i nie pomagało na to stukanie w szybę, czy wymowne, cierpiotnicze miny; kiedy indziej znów sterczał na tle szyby szeroko rozparty, równie długowłosa drałg z aroganckim papierosem w kąciku ust. Zdarzał się też przed budką ogonek zniecierpliwionych osób, poza tym często szyba była wybita a aparat nieczynny. Takie sobie niewinne zjawiska z przejściowej epoki niedotechniki i niedoindustrializacji — przejściowe, ale na jedno ludzkie życie ich wystarczy.

Zdesperowany Adam, mimo zapewnień, że na telefony w tej dzielnicy przyjdzie kolej za pięć lat, starał się jednak usilnie gdzie mógł, doprowadzić nawet do tego, że podanie jego z przychylną adnotacją starego lenia Maciejewskiego znalazło się w końcu na biurku samego Ministra Łączności. Przez pełny rok jednak nie dawało to żadnego rezultatu — cóż bo obchodzi ministra, że oni robią traktory i miewają w związku z tym pilne rozmowy. Lecz oto, któregoś dnia zeszłej zimy, inżynier Osiński spotkał niedaleko szkoły człowieka w skórzanej czapie i ze szpulą drutu na ręku. Gadu gadu, rada w radę i człowiek ów w ciągu trzech dni za jedne sześćset złotych założył Osińskiemu telefon i to nie żaden „towarzystki” — najnormalniejszy w świecie. Tak więc i tutaj rządziły prawa dziwne, tak jak w kooperacji, w budżetowaniu i w obliczaniu kosztów, w ciąганiu do więzienia tych, co bez upoważnienia produkują i we wszystkim innym. Zaiste, idea działa, ale jakaż to w istocie jest idea?

Był potem jeszcze mały kłopot z wciągnięciem numeru do nowej książki telefonicznej, później już wszystko szło normalnie. Tyle, że za pół roku zaczęły się owe anonimowe telefony, zawsze wtedy, gdy Jadwigi nie było w domu.

Tego przedświątecznego wieczora również odezwał się w słuchawce matowy głos kobiety, który wezwał Adama, aby zainteresował się, gdzie to żona jego spędzi drugi dzień świąt, a zwłaszcza noc. Czy przypadkiem, pod pretekstem i pokrywką dyżuru w szpitalu, nie ucina sobie ona aby randki z pewnym lekarzem, co jest naganne samo przez się a także ze względu na miejsce. Miejscem tym miał być pokój dyżurnej pielęgniarki, trzecie piętro, drugie schody na lewo, numer pokoju taki i taki. Więc?

Inżynier Osiniński nie podziękował nieznaney informatorce, prosił ją natomiast usilnie, żeby zaniechała swych interwencji i zdecydowanie odłożył słuchawkę. Nie mógł tym razem powiedzieć więcej, bo Zbyszek z drugiego pokoju nastawiał ciekawie uszy, oczy aż mu się jarzyły. Rozmowy takie powtarzały się, a dzwoniła — rzecz jasna — żona doktora Lasoty. Adam znał już jej głos i sposób mówienia, informacjami zaś nie przejmował się. Czy im nie wierzył?

Nie wierzył, oczywiście że nie wierzył. Tyle, że dziwnie go ta cała sprawa odrętwiała — jakby żył w jakimś zamkniętym, izolowanym świecie, gdzie słowa nie są słowami a czyny czynami. Żył zresztą w takim świecie i w Niedźwiedowie i w Uranowych wysokoścowcach, i w pracy i w domu. Żył i musiał tak żyć — był tego pewny, dzwoniący telefon nic w jego egzystencji nie może zmienić. Zmieniło się dopiero coś przez tę ową właśnie Jolantę, egzaltowaną, przesadną Marlenę dla ubogich. Bo od czasu jej, problematycznego zresztą, „pojawienia się” w jego życiu, jakaś jaśniejsza szczelina otworzyła się wśród czerni czy burej szarości, zalegającej Uranowe osiedle. Czy to dobrze czy źle? I czy to dobrze, że nie powiedział nic Jadwidze o wizycie u Działaków i że, co gorsza, małe czy żadne miał w związku z tym wyrzuty sumienia? Więc oszukiwał Jadwigę, lub też przygotowywał się do jej oszukiwania? A ona nie oszukiwała go, był tego pewien, mimo telefonów nieznanomej wariatki. Gdyby była winna, powiedziała by mu o tym, znał ją na tyle. Jeśli nie mówiła, rzecz jest jednoznaczna, choć pewnie trudna, nie miał więc nawet prawa pytać. Wiedział, że Jadwiga się męczyła — ale i on się męczył. Jak wybrnąć z dylematu?

— Jak — trudno zgadnąć. W dodatku nie miał teraz czasu na myślenie o tym. Nie miał czasu psychicznego, bo cały był czekaniem, czekaniem na drugi dzień Świąt. I nie miał już rzutów sumienia, stłumił je. Czy to dobrze? Nie wiedział tego, wiedział tylko, że to jakaś nieodparta ewentualność wyłoniła mu się, pokazała gdzieś na końcu czarnego, uprzykrzenie czarnego tunelu.

IX

Jest wreszcie ów punkt, gdzie zbiegają się wszystkie nici, wektory niedorzecznych marzeń i przypuszczeń czy domniemań. Na czymś w rodzaju kamiennego dziedzińca między wysokościami Uranowego Osiedla zalega mleczna lecz burością podszyta mgła. W tej mgle budowle osiedla, choć nowe, wydają się ruinami — zresztą do prawdziwych, ceglanych ruin, ciągnących się wzdłuż torowisk i tunelu, prowadzącego w stronę dworca Śródmieście zgoła stąd nie daleko: w gruncie rzeczy nowe i stare zlewa się tu z sobą, jedno przechodzi w drugie, gładko spojone patyną mgły. Górnej części domów nie widać, Pałacu Kultury też nie, wysokościewce trwają ograniczone od góry, niczym sześcienne skrzynie, naładowane w środku zabawą i świętowaniem. Za kotarami, storami, żaluzjami mrowi się dobrze dziś oświetlone życie, gdzieś na firance rysuje się cień choinki, z niektórych, nie zasłoniętych okien wprost bucha jaskrawe światło, gubiąc się jednak szybko w gęstej mgle. Ciżba ludzka bowiem tłoczyła się teraz w święta po domach, bawiły się tam zarówno miejskie chłopcy jak i panowie inżynierowie. Główne, ujednociające wszystkich motywy tej zabawy to telewizja i wódka — inne formy rozrywki raczej dzisiaj zanikały, pozostały na wsiach, w chałupach czy w dawnych dworach, a także w przedwojennych, mieszczańskich mieszkaniach. Adam, przemyskając się kamiennym dziedzińcem, częściowo dziś oblodzonym, częściowo błotnistym, wspomniawszy dawne, rodzinne czasy i zabawy w starej Łodzi. Wszystko minęło, minęło nawet prędzej niż powinno — to sprawa wojny.

W istocie rzeczy inżynier Osiński wcale się przez kamienny dziedzińiec nie przemyskał — po prostu szedł, najnormalniej w świecie szedł. Zapewne miał tylko w środku jakieś tajone przed

sobą samym uczucie, że właśnie się przemyka, skrada, czai. Znowż chyba refleks wyrzutów sumienia, choć formalnego przynajmniej powodu do nich zgoła nie było. Święta domowe, to znaczy wigilia i pierwszy dzień, spędzone zostały więcej niż poprawnie, Jadwiga i Zbyszek okazali się w przytulnym tym razem sanktuarium M 3 bardziej obecni niż kiedykolwiek. Wigilia niemal ciepła a w każdym razie nader uprzejma, pierwszy dzień zgoła udany, cóż więc dziwnego, że drugiego dnia następuje nieuniknione rozejście się pod hasłem „każdy sobie”. Każdy przy tym miał swoje, jak najbardziej prawdopodobne alibi: Jadwiga dyżur w szpitalu, niezwykle odpowiedzialny zwłaszcza w świąteczną noc, Zbyszek wieczór przy telewizorze u rodziców szkolnego kolegi — świąteczny program telewizji jest wszakże bardzo atrakcyjny, zaś Osińscy telewizora nie posiadają. Wyszło w końcu na to, że najbardziej poszkodowany będzie tego popołudnia Adam, pozostawiony samotnie na domowym dyżurze. Jadwiga współczuła mu nawet, pytając o plany, Adam mruknął coś, że może odwiedzi w sąsiedztwie „znajomego inżyniera”. Nie wzbudziło to żadnych zastrzeżeń, przeciwnie, uznanie i uspokojenie — nawet domowy szpieg Zbyszek niczego nie wywęszył. Tak więc, wszystko nadal składało się jak szczyryk — mimo to, a może właśnie dlatego inżynier Osiński miał ciągle wyrzuty sumienia i wydawało mu się, że się skrada, gdy w istocie szedł zdecydowanym krokiem przez kamienny dziedziniec. Plucha i mgła wcale mu w tym zdecydowaniu nie przeszkadzały, znał drogę, gdyż jedenastopiętrowiec Dziamaków wypatrzył był sobie i usytuował w myśli już od dawna. Tyle, że idąc potknął się raz i drugi, bo kamienny plac był tylko teorią, w rzeczywistości wybrukowano go jedynie miejscami, gdzie indziej zaś wyszczerzała się ku niewidocznemu teraz niebu goła mazowiecka ziemia, bądź w postaci nierównomiernej co do swej głębokości topieli, bądź też pokryta szklistym niby, lecz podszytym grząską kaszą lodowiskiem. A więc, jak wszędzie w Polsce, zestawienie zamierzonej nowoczesności z niechlujną starzyzną — jedno tuż obok drugiego, to już wręcz zasada i nikt się jej nie powinien dziwić, zwłaszcza nie ten, co od samego początku czynnie uczestniczy w uprzemysłowieniu Polski Ludowej.

Wreszcie inżynier Osiński, nieco zabłocony (choć nie zbadał jeszcze stopnia katastrofy, jaka dotknęła jego świeżo wyprasowanych nogawek) dobrnął do ostatniego w szeregu wysokościowca, tego właśnie, który był celem jego skrywanej choć niby jawnej i niewinnej wędrowki. Wszedłszy do takiej samej jak u nich, przesadnie szerokiej, oszklonej i mocno oświetlonej sieni, obramowanej obfitością blaszanych skrzynek listowych, rzucił naj-

pierw odruchowo okiem na swe ponad miarę zabłocone spodnie, potem zagłębił się w liście lokatorów. Jolanta i Ryszard Działakowie figurowali tam jako zamieszkujący na trzecim piętrze. Osiński ruszył pieszo, aby rzecz nieco odwlec. Teraz, kiedy zarówno pod względem czasowym jak i przestrzennym był już u celu, zupełnie mu się tej wizyty odechciało. Widział oto cały bezsens parotygodniowego czekania i zaprzątania sobie głowy ową tandetną choć poniekąd piękną kusicielką — zresztą rozmiary tego kusicielstwa najprawdopodobniej mu się w myśli czy wyobraźni wyolbrzymiały, pretensjonalna lecz na pewno cwana Jolanta (innych Warszawianek niż cwane teraz nie było) śmiałaaby się ogromnie, gdyby wiedziała, jak bardzo inżynier Osiński dał sobie byle czym zapruszyć głowę. A do tego ten cały Działak — któż widział odwiedzać w Święta partyjnego fircyka i nieroba, ubeczka, szpiegującego kolegów, w dodatku sekretarza Partii. Aż wstyd co będzie, gdy się o tym dowie taki Staś czy inni — powiedzą, że Adam za ich plecami szuka sobie wpływowych „chodów”. Nigdy z nikim w Niedźwiedowie nie utrzymywał stosunków towarzyskich poza biurem, cóż za diabeł go skusił, aby zaczynać akurat od tandetnego Działaka! Czyż musiał polecić na pierwszą lepszą spódnicę i to niechybnie napuszczoną nań przez męża?! Boć przecież nie zakochała się w nim od pierwszego spojrzenia! Jak mógł roić przez parę tygodni o podobnych nonsensach? Stary a głupi!

Wszystko prawda, lecz jest już za późno. Nie wiadomo jakim cudem nie myślał o tym wszystkim dotąd, zaś najistotniejsze rzeczy przychodzą mu do głowy dopiero w ostatniej chwili. Tak czy owak jednakże, teraz nie ma już wyjścia — gdyby zawrócił, poczułby się jeszcze głupiej. Z determinacją i coraz prędzej kroczy więc po schodach i, znalazłszy się przed drzwiami z ozdobną tabliczką, bez namysłu naciska guzik, powodując tym jakiś melodyjny, osobliwie dźwięczny dzwonek, czy raczej akord, złożony z kilku szklanych dzwoneczków. W drzwiach natychmiast staje Jolanta, prześliczna w czarnej sukience bez rękawów i w ogromnym białym naszyjniku na aksamitnej, chciałoby się poetycznie powiedzieć, szyi. Włosy ma upięte nader kunsztownie, we wspaniałe pukle, jej gorący uśmiech zdaje się przekreślać wszystkie nagłe wątpliwości Adama a nawiązywać wprost do tych jego parotygodniowych, przed chwilą za niedorzeczne uznanych marzeń. Jakby znała na pamięć wszystkie jego myśli i ich fazy, jakby koniecznie i możliwie najprędzej chciała go ośmielić, przekonać, że to co się stało było znaczące i ważne, że nie mylił się w swej ocenie, że naprawdę jej intencje mu się udzieliły, nie ma w tym złudy ani udawania, po prostu odczuwali

wspólnie, tak właśnie jak ona sobie to zamierzyła od samego początku. Od jakiego początku? Przecież widzą się zaledwie po raz trzeci, a tamte spotkania były krótkie, parominutowe. Czyżby to wystarczyło, aby ich myśli przez szereg tygodni wędrowały wspólnym, wytyczonym torem? Zdziwiająca jednak historia!

Adam niezgrabnie umocowuje płaszcz na drewnianym wieszaku, przedłużając tę czynność, aby znów zyskać na czasie, jednocześnie wysłuchuje w konwencjonalne nieco słowa ubranych powitań Jolanty, czując nieustannie, że bije od niej zgoła niekonwencjonalne ciepło, ba, istne gorąco, że ona ociera się o niego pod byle pretekstem, czy też raczej zupełnie bez pretekstu. Inżynier Osiński stara się jak może ochładzać i neutralizować te jej zapędy, wie wszakże, że lada moment wyłoni się skądś Działmak i zacznie dawać popisy swego pustego a głośnego entuzjazmu. Działmaka jednak wciąż jakoś nie ma, Adam zaś, wzięty mocno pod rękę przez gospodynię, wprowadzony zostaje do pokoju, gdzie uderza go i olśniewa niezwykle wrażenie optyczne. Pokój jest bowiem srebrnozłoty, obity jakimis̄ wschodnimi makatami, na podłodze leżą tygrysie czy licho wie jakie skóry, wszędzie pełno tybetańskich lub hinduskich, zresztą w ogóle azjatyckich cacek, mahoniowych czy palisandrowych skrzynek, tajemniczych metalowych posążków, rzeźbionych smoków, węży, słoni a także przeróżnych naszyjników i różańców, do tego zaś tu i ówdzie zawieszono miedziane i mosiężne dzwonki. Nawet spora choinka przystosowana jest do tej egzotycznej scenerii, miejscami purpurowo-złocista lecz łysekająca także srebrem przemyślnie upłątanych nici i różnobarwnymi szkiełkami kunsztownych, elektrycznych lampek. Cóż to za osobliwe i nieoczekiwane wnętrze!

— Jesteśmy na razie sami, Ryszard musiał wyskoczyć na godzinkę — mówi Jolanta głosem nader melodyjnym, nawet podejrzenie melodyjnym, choć na pozór najnaturalniej w świecie. Adam nie ma nawet czasu pomyśleć głębiej nad jej słowami, czuje się od wejścia tutaj nieustannie zaskakiwany, to jej agresywnym ciepłem, które jeszcze na schodach wydawało mu się tworem własnej imaginacji, to niezwyklej scenerią mieszkania, nie zwrócił na nią uwagi w ciemnym przedpokoju — teraz znów ową niespodzianą nieobecnością gospodarza. Nie ma czasu dokładniej nad tym wszystkim pomyśleć, wie jednak, że oto wszystko idzie dalej po linii niezwyklej i niesłychanej, niezwyklej jak i sam początek całej sprawy. A on już przez chwilę w to nie wierzył, ona zaś wiedziała dobrze o tym jego małodusznym zwątpieniu. Co prawda nie pokazywała teraz owej wiedzy po sobie, za to mówiła ciągle, w sposób naturalny lecz przecież dziwny, mówiła, jakby nie chcąc pozwolić żeby się ocknął, żeby

przyszedł do siebie, żeby dał się odczarować. Miała w tym wszystkim zamysł, ale jaki — czyżby odrzucana ewentualność niepojętej „miłości od pierwszego spojrzenia” mogła tu jednak wchodzić w rachubę? A nieobecność Działaka byłaby również sprawą z góry przewidzianą, wkalkulowaną? Ale Jolanta nie mogła przecież wiedzieć, że inżynier Osiniński przyjdzie sam — mógł się zjawić z Jadwigą, ba ze Zbyszkciem. Zdumiewające to wszystko, może jednak Adam nadal ulegał złudzeniu, autosugestii, dopatrując się wyreżyserowanej dziwności tam, gdzie działał tylko przypadek, obcość, zaskoczenie?

Tymczasem posadzono go przy stole, też jakimś dziwnym, palisandrowym, rzeźbionym. Stały na nim kolorowe półmiski, zielonawe wazy, osobliwe karafki, leżały nawet pałeczki, z kości słoniowej chyba. Nadal wszystko jak we śnie, który trwa uparcie i nie chce się dać przerwać. Jolanta, widząc jego zaskoczenie i jakby chcąc mu ułatwić sytuację, mówiła coraz płynniej i coraz melodyjniej. — Dziwi się pan naszym meblom, ja wiem. To jest z Pakistanu, to z Cejlonu, a to nawet Bangkoku. Ryszard lubi takie rzeczy, wie pan, on szuka rekompensaty, może za nieudane życie, złamaną karierę, może za mnie — czy ja wiem? Ja mu w tym nie przeszkadzam, nawet polubiłam hinduskie pamiątki czy inną egzotykę, niech ma przecież te małe ambicje i przyjemności — każdy na swoją skalę, rozumie pan, panie inżynierze. Ja jestem inna, o innym życiu marzyłam, mnie tu nie ma, choć byłam z nim przecież i w Pakistanie i na Cejlonie i w Indiach — tylko do Syjamu skoczył beze mnie. To wszystko nie zapełnia pustki, ale można te rzeczy polubić — zwłaszcza gdy się nie ma nic innego. Trudno — nie każdemu życie się udaje, nie każdy może spełnić swe marzenia. Biedny Ryszard, ale co nam to przeszkadza, i Pan się tu dobrze poczuje, zobaczy Pan, to tylko chwila. Ja także kiedyś... Ale nie mówmy o tym na razie, napijmy się. Co by Pan powiedział na koktajl, oryginalny koktajl, mojego pomysłu? Co by Pan powiedział na koktajl, panie Adamie? Mogę tak mówić, prawda? Przyzna mi pan to prawo, nieprawdaż panie Adamie. No proszę nie milczeć tak uparcie, pomyślę, że się Pan źle czuje w tym egzotycznym lamusie biednego Działaka i jego niezbyt szczęśliwej żony. A więc?

Inżynier Osiniński był całkowicie ogłuszony, nie nadążał za tokiem jej słów, nie wszystko rozumiał, trochę to dziwne, trochę afektowane, może zresztą mu się zdaje, może się do prostu za mało znają, choć ona mówi tak swobodnie, jakby kontynuowała dawną rozmowę, jakby wszystkie te rzeczy były mu dobrze wiadome, jakby powtarzała sprawy stare i do znudzenia oczywiste. Dziwne to, znowu dziwne, ciągle i uparcie dziwne. I pomyśleć,

że to pospolity niedźwiedowski Dziamak mieszka w takim muzeum, ma taką właśnie żonę, że takie są nieoczekiwane kulisy jego nieciekawego, fabryczno-publicznego życia. Zdziwiający to wszystko, choć Adam ciągle, mimowoli, podejrzewa tu jakąś reżyserię. Takie rzeczy nie dzieją się w normalnym życiu, w żadnym z szeregu jedenastopiętrowych punktowców na rozpiętym między Towarową, Srebrną i Złotą warszawskim Uranowym Osiedlu, gdzie codziennie rano przez kamienny, ponury most ponad torami mieszkańcy udają się na ów sakramentalny, przypięty w dole przystanek Ochota. Czyż możliwe, żeby w życiu Adama raz wreszcie zdarzyło się coś naprawdę nieoczekiwanego i nie banalnego? To jednak ze strony Jolanty chyba udawanie, zwykłe i łatwe do rozszyfrowania udawanie.

Tak czy owak na koktajl się zgodził i tu zaczęły się nowe sztuki. Jolanta ocierała się o niego leciutko, manewrowała wokół tak, że wciąż miał świadomość jej bliskości, był tą bliskością przepojony, oddychał nią, oddychał dosłownie, bo czuł idące od jej ciała gorąco, zabarwione silnym zapachem jakichś specyficznych perfum. Kiedyś, w Niedźwiedowie zapach ten (przypomniał to sobie teraz, zapachy mają właściwości asocjatywne, można przy ich pomocy zrekonstruować sobie całą, utraconą wizję przeszłości) wydał mu się nadmiernie ostry, trochę nawet wulgarny czy tandetny, teraz przeciwnie — fascynował go swą odrębnością, jak fascynowało go całe to orientalne mieszkanie, tak niezwyczajne w prozaicznej i standartowej Warszawie. Zresztą może to tylko jeden pokój był taki — nie widział przecież jeszcze całosci owego M 3, inaczej usytuowanego, lecz na pewno nie większego niż jego własne. Te wszystkie, szeregami stojące wysokościowce miały rozkład jednakowy, tyle że ozdobne sanktuarium Dziamaków położone było z innej strony niż ów domowy areszt, na jaki skazano dawnego jeńca z Murnau.

Dzisiaj zresztą nie czuł się jeńcem, to znaczy nie czuł się nim od paru chwil, od czasu, gdy ciało Jolanty jęło się doń zbliżać, okrążyć go, niemal spowijać sobą, choć bezpośredniego dotknięcia strzegła się jak oparzenia. Działała tutaj zupełnie inaczej niż wtedy w Niedźwiedowie, gdy położyła jego rękę na swej piersi. Z drzeniem myślał teraz o niewypowiedzianej śmiałości tamtego gestu — w tej chwili rzecz wydawałaby się absolutnie niemożliwa, choć miał chwilami biust Jolanty nader blisko siebie, wyczuwał jego kształt, podziwiał śmiały dekolt, gdy schyliła się, aby z jakiejś czworograniastej karafki nalać mu ów zapowiedziany koktajl. Myślał o tamtym dotknięciu piersi, wiedząc, że ona też o tym myśli i że świadoma jest znaczenia owej chwili, wie, że tamto właśnie ich związało, przykuwając również obecnie

uwagę Adama, podzieloną teraz między wizję minionego a możliwości chwili obecnej. Było to przecież to samo ciało, tyle, że wtedy nastąpiło mu się ostentacyjnie i wprost, dzisiaj zaś unikało dotknięcia, choć możliwością takiego dotknięcia żonglowało, wykorzystując zwielokrotnioną przez pracę wyobraźni magię tamtego zdarzenia. Wtedy zresztą (było to przecież jeszcze w listopadzie) cała scena wydała mu się czymś sztucznym i mało sensownym — potem dopiero, właściwie nie wiedzieć jak, wrosła w niego, przyswoiła się na trwałe, stając się dorobkiem do którego teraz w pełni się przyznawał. Dotknął wówczas z inicjatywy Jolanty tych piersi, które teraz miał tak blisko siebie, choć tak zarazem na pozór nieosiągalne. Oczywiście ona wiedziała zawsze co się w nim dzieje, manewrowała jego wrażliwością i wyobraźnią, owymi wizjami, rozpiętymi w czasowej ramie paru zaledwie tygodni i czepiającymi się uparcie realności niewielu skąpych, przelotnie na pozór dostrzeżonych faktów. Jest w tym jednak jakieś prawo, że im mniej konkretno, tym większa gra wyobraźni, tym bogatsza przędza uczuciowo myślowa, osnuwająca całą sprawę. Kobiety wiedzą to doskonale, znają regułę erotycznej telepatii, odwrotnie proporcjonalnej do znikomości samych faktów. Im mniejszy fakt, tym więcej obracamy go w pamięci i wyobraźni, tym bogaciej obrasta on w naszą duchowość, stając się czymś niezwykle ważnym, czymś zupełnie innym, po stokroć donioślejszym niż zwykły cielesny pociąg. O tak, kobiety wiedziały o tym doskonale, umiały wyzyskać owo przedziwne prawo męskiej nadimaginacji, czyniące z ich ciała misterium, tajemnicę, ba, świętość niemal. Można by rzec, że opakowanie duchowe staje się tu ważniejsze od samej zawartości, ono decyduje o sposobie odbioru tej zawartości, o intensywności odbioru. Tylko prostytutki rezygnują z wyzyskania owego zwiększającego, ustokrotniającego przeżycie prawa wyobraźni, rezygnują z magii opakowań, wysypując od razu całą, niczym nie zamaskowaną zawartość. Biedne są, bo tak niewiele w zamian za siebie żądają!

Adam Osiński zresztą starał się nie mieć nigdy do czynienia z prostytutkami, przysgnębiało go bowiem właśnie programowe ubóstwo ich sprawy. Zawsze natomiast, w swych niezbyt zresztą ilościowo bogatych przeżyciach erotycznych, zafrapowany był możliwościami transformacji i zwielokrotnień, do jakich zdolny jest popęd cielesny odpowiednio podany (właśnie — opakowany), rzecz przecież w gruncie rzeczy zwykła i codzienna, taka w końcu jak jedzenie czy picie. — Nie róbmy z dupy ołtarza — mawiał w wojsku pewien kolega — powiedzenie to utkwiło w głowie Adamowi, bo właśnie on miał skłonność do takiej ołtarzowej adoracji kobiecego ciała, jeśli potrafiło sprezentować mu

się w sposób kunsztowny, spowite w barwną grę wyobraźni, jak owa choinka, którą różnokolorowe nici, gwiazdki i kule otaczały iskrzącą się zmysłową złudą barw i blasków. Zmysłowa złuda — oto istota rzeczy, oto cała tajemnica, ale tajemnica przecież duchowa, bo pobudzony fizycznym konkretem człowiek zaczyna budować sobie pełne polotu, imaginacyjne konstrukcje psychiczne. Tajemnicą właśnie wydaje się teraz Adamowi ciało Jolanty, tak bliskie a tak przecież dalekie, choć oddzielone od jego oczu tylko cienką, błyszczącą tkaniną. Znał wszakże dokładnie całą fizjologiczną niejako naturę kobiecego ciała, wiedział o nim mnóstwo, nie było tu w gruncie rzeczy tak wielu możliwości, myślał wszystko o wszystkim, co ukrywało się pod zwiewną tkaniną czarnej, przetykanej srebrem sukienki, mimo to zdumiewała go i fascynowała owa nadwyżka tajemnicy, zawierająca się w zwyczajnej jak wiadomo sprawie. A jakżeż kuszące było to, co nie pretendowało nawet do żadnej tajemniczości, co było odkryte, na przykład nagie dzisiaj ramiona Jolanty, gładkie, gorące, z pulsującymi pod skórą krągłymi, młodzieńczymi jeszcze mięskami. Trudno się nie zgodzić, że jest to przecież rzecz zwyczajna, wszędzie na świecie spotykana, powielona w milionach i miliardach egzemplarzy. Tymczasem od ramion Jolanty szedł w tej chwili ku inżynierowi Osińskiemu jakiś magiczny dreszcz: nie potrzeba nóg, nie potrzeba piersi, tych powszechnie znanych, tysiącami czy milionami męskich spojrzeń i rozmów osławionych atutów kobiecego ciała. Nie potrzeba, bo oto najważniejsze, najbardziej porywające stały się obnażone, parzące jak ogień kobiece ramiona, do których Adam przybliżył się ze skrytym dreszczem, gdy oboje, chwilami niemal wsparci o siebie, piją wreszcie ów niesmaczny, jakąś dziwaczną polityrę przypominający, gęsty koktajl.

Ale działanie jego okazuje się dobre, doskonałe, w dodatku bardzo szybkie, bo oto już za chwilę Adam na stałe przykleił się do owych pięknych ramion, które teraz już nie cofają się, przywarły do niego, wspierają się o niego, choć nie wiadomo właściwie jak i kiedy się to stało. Nie wiadomo w ogóle ile upłynęło czasu, którądy ten czas płynie, powstał oto jakiś jego nowy wymiar, obliczany teraz wyłącznie według stopniowego zbliżania się do Jolanty. Obecnie już bowiem Adam jawnie pieści jej ramiona, których ona wcale mu nie żałuje. Trwa to tyle ile trwa, teraz inżynier Osiński zagłębia się twarzą w kącik jej szyi u nasady włosów, wchłania gorącą falę zapachu tych włosów, wie, że za chwilę trzeba posunąć się dalej, jest wszakże taka konwencja, bardzo znana, po wielokroć opiewana i opisywana: pocałunek w usta. Adam boi się, że skoro o tym tak

z pełną świadomością myśli, to rzecz może się nie udać, wyjść sztucznie lub niezgrabnie. Jednocześnie czuje, że Jolanta odsuwa się odeń gwałtownie. Zaalarmowany otwiera oczy, widzi, że pani egzotycznego, choć niewątpliwie snobistycznego domu nalewa znowu do wysokich rzeźbionych kieliszków dwie porcje owej politory i zachęca go do wypicia. Jakby tknięci jedną myślą wychylają zielonawy płyn duszkiem, nie po koktajlowemu, odstawiają kieliszki, po czym Jolanta szybkim, nieco teatralnym czy filmowym ruchem obejmuje go za szyję i dosłownie wpija mu się w usta. Na moment oboje nieruchomieją, jemu przebiega przez myśl błyskawiczny refleks przykrości, że gest był chyba nazbyt sztuczny, jakby wycudzony, może nieszczerzy a przez to niesmaczny. Nie ma jednak czasu na takie refleksje, zostają wypędzone przez nasilenie zmysłowych emocji. Bo to nie tylko gorące ust jest ważne, lecz również liczą się dotknięcia piersi, których twardą krągłość czuje teraz Adam na sobie, a także nogi, uda, biodra — są przecież coraz bliżej, oplatają go, wciskają się weń. Odczuwa nagle gwałtowne podniecenie czysto cielesne, inny niż dotąd rodzaj cielesności, owo konkretne, męskie sprężenie, które i ona musi wyczuwać — są teraz wszakże przyklepnięci do siebie, ciasno spojeni, wręcz spleceni. Adam zdziwiony jest sobą, ale nie wstydzi się tego wyczuwanego przez nią podniecenia, nie wstydzi się, że ona o tym wie, że po prostu go dotyka. W pierwszej tylko chwili poczuł zdziwienie: więc to właśnie jest to, więc z całej fascynacji taki tylko, normalny powstaje rezultat, jakby z arcybarwnego opakowania wyłoniła się powszechnia, użytkowa niejako zawartość? Ten błysk zdziwienia, może nawet przez chwilę niechęci trwa jednak króciutko, jak właśnie błysk — na takie rozważania nie ma teraz czasu, zaprzęta go obecnie prosty instynkt, nasuwający problemy niejako techniczne: jak i gdzie rzecz ma się odbyć, są przecież oboje ubrani, choć Jolanta, co daje się wyczuć, nader lekko, siedzą wciąż na krzesłach, a raczej już w tej chwili niemal na jednym krześle. Adam wie, że „partnerka”, jak mówiono w młodzieżowej Warszawie, wyczuwa dokładnie jego intencje, że nie będzie się bronić (od początku nie miała takiego zamiaru), ale że jemu pozostawia troskę o techniczny przebieg tego, co ma nastąpić. Wiadomo, w takim pierwszym momencie niesmak jest blisko, fiasko też, bo nieodpowiednie myśli czy niezręczne ruchy łatwo mogą przeszkodzić i zamienić uniesienie w konfuzję, wszak rzecz ta sama już w sobie jest nieco brutalna, a może się też okazać trywialna. Osiński, czując, że ich splecenie się w pocałunku osiąga właśnie swe maksimum, że wyczerpuje się samo w sobie, postanawia przedsięwziąć coś zasadniczego, gdy oto targa nim nagle

jakiś wstrząs, wstrząs zimny, płynący z zewnątrz, z innego całkiem świata wrażeń. Nieruchomieją oboje, rzecz się powtarza, teraz dopiero Adam rozumie co to takiego: po prostu dzwonek telefonu.

Za chwilę Jolanty nie ma już przy nim, słyszy jej głos, z przedpokoju czy z drugiego pokoju, padają poszczególne, nader przytomne słowa: — tak — jakieś dziesięć minut — sam — dobrze — do widzenia! Jolanta powraca, poprawiając włosy wcale nie zmieszana, choć jakaś inna, rzeczowa, informująca. — To Ryszard — mówi. — Dobrze że najpierw zadzwonił, jakby zobaczył, zabiłby mnie chyba. Biedny Ryszard! Zaraz tu będzie, zachowujmy się rozsądnie. Napije się pan jeszcze koktajlu?

Oniemiały Adam staje się teraz bezbronnym łupem wszelakiego rodzaju niesmaków i wątpliwości, ale jego towarzyszka zdaje się tego zgoła nie doceniać. Poprawia włosy, przegląda się w lusterku, strzepuje jakieś pyłki czy pudry z ramienia inżyniera Osińskiego, nalewa jeszcze raz zielony płyn do kielichów, a spełniając te wszystkie czynności gaworzy bez przerwy, nie bardzo zważając, jak reaguje na jej monolog całkiem w tej sytuacji oswoiły partner Adam, niemile zjeżony wewnątrz i mocno tym swoim stanem zaabsorbowany, słucha jej tylko półtuchem, notując jednak w świadomości, że obecne jej wywnętrzenia zawierają te same co przedtem elementy konfidencji, zwierzeń, ale czynionych w taki sposób, jakby jej gość wiedział już o wszystkim, znał jej życie małżeńskie i jego perypetie, jakby od dawna był koronnym świadkiem oskarżenia. Bo Jolanta oskarża teraz „tego biednego Ryszarda”, że jej nie rozumie i nie docenia, nie otacza właściwymi i należnymi względami, że właściwie zepsuł jej życie i nadal psuje. Zasadniczym motywem, przyczyną tego psucia jest, według niej, różnica zainteresowań i koncepcji życiowych. „Ten biedny Ryszard” świata nie widzi poza przemysłem i techniką (dla inżyniera Osińskiego jest to całkowita niespodzianka, nie dostrzegał bowiem u swego zastępcy najbliższych zainteresowań technicznych, nie mówiąc już o kwalifikacjach), ona natomiast jest „skończonym filologiem”, powinna pisać a tu musi pracować w wydawnictwie jako podrzędna redaktorka, lata płyną, minęła jej właśnie trzydziestka („... nie przypuściłby Pan tego, prawda panie Adamie?”), no cóż, nie jest szczęśliwa, ale czegoż tu wymagać „od takiego Ryszarda”, biedny człowiek, na swój sposób ją kocha, zabiera ją ze sobą do Azji, ale jej to nie bawiło — co innego on, ma swój świat, ale świat coraz dalszy i dalszy... No cóż, nie są szczęśliwi, ona marnuje życie, on się męczy i zabija pracą (tego też Adam nie mógł ani rusz potwierdzić), lata płyną, on chciał dziecka, teraz już

nie chce, kiedyś wciągał go „tajemniczy, własny świat Azji”, teraz żyje tylko pracą w Niedźwiedowie, stąd głębokie jego przywiązanie do zwierchnika, „opowiadał o Panu Inżynierze całymi godzinami, z takim entuzjazmem, że zapragnęłam Pana poznać, nie przeczuwałam wtedy, co z tego wyniknie, no i stało się” (nic się jeszcze w gruncie rzeczy nie stało, myśli Adam z lekkim cynizmem). — Biedny Ryszard, żebyż on wiedział...

Inżynier Osiniński słucha tego z rosnącym zdziwieniem, w pełnym dziwieniu się przeszkadza mu jednak zmieszanie tym co zaszło, zaskoczenie, niesmak („czuję się jak kogut spędzony przedwcześnie z kury” — myśli ni stąd ni zowąd). Niesmak i zdziwienie potęgują się jeszcze przez to, że ona wcale takich uczuć czy stanów w tym momencie nie doznaje, gędzi za to uporczywie o swoich sprawach małżeńskich, jakby nigdy nic. Piją teraz następny koktajl łyżkami, liżnięciami raczej, siedząc już dosyć od siebie daleko. Ten mało znośny stan przerwany zostaje wreszcie dźwięcznym, dzwoneczkowatym akordem u drzwi. Adam trzeźwo notuje w myśli, że pan domu nie otwiera drzwi kluczem, lecz dwoni, gdyby więc ich nawet kompletnie zaskoczył, byłoby jeszcze trochę czasu, żeby...

Dziamak jak to Dziamak, nic się nie zmienił od przedwczoraj, jest gładki ale gładkością tandetną, uprzejmy uprzejmością fryzjera, zainteresowany gościem, lecz za jakość tego zainteresowania nie dałoby się i dwóch groszy. — Najmocniej przepraszam, towarzyszu inżynierze, za moją nieobecność, mam nadzieję, że Jola nie dała panu się nudzić — brzmi to oblesnie i w dodatku ów „towarzysz”, od którego to zwrotu Dziamak nigdy się widać nie odczy. Osiniński, chociaż zmieszany i wytrącony z równowagi, sztywnieje od razu. Dziamak łyska połączanymi okularami, nie wie o co chodzi, ale w stałym swym samozadowoleniu ani myśli się nad tym zastanawiać. — A pani inżynierowa nie przyszła — ubolewa — szkoda wielka. Czy Jola pokazała panu nasze zbiory, towarzyszu kierowniku? Nie, to także wielka szkoda! Za mało było pewno czasu, ale ja to naprawię, a ty Jolu zajmij się kolacją. Acha, przedtem mały koktajlik — widzę, że państwo już pili. No to jeszcze jednego ze mną, towarzyszu inżynierze. Aby nam łatwiej przyszło zagłębianie się w tajemnice Wschodu. No to cyk! Ja dużo pić nie mogę, ale w takim towarzystwie...

Istotnie Dziamak wiele pić nie mógł, a raczej w ogóle nie mógł, co okazało się już parokroć w biurze, kiedy to próbowali go najwięksi niedźwiedowscy pijacy: Malak i Jaś Brzozowicz. Teraz też, zaledwie umaczał usta w kieliszku, już wystąpiły mu wypieki i poczerwieniały uszy. Drżącymi nieco rękami wziął się do pokazywania Adamowi „zbiorów”, podczas gdy Jolanta

posłusznie brzęczała talerzami — Osiński zresztą nie patrzył w jej stronę, nie miał odwagi. Trudno się było zorientować, czy szumnie tak zwane zbiory Działaka miały rzeczywiście jakąś obiektywną wartość artystyczną lub naukową, czy też był to chaotyczny i dyletancki lamus, co Adam, znając swego zastępcę ze wspólnej niiby pracy, skłonny był raczej podejrzewać. Ale za mało się na tym rozumiał, a raczej wcale nie rozumiał, słuchał więc potulnie objaśnień, skąd pochodzi taki czy inny posążek Buddy lub Sziwy, co oznaczają tybetańskie dzwonki, względnie z jakiej epoki wzięta się jakaś tam zielonawa waza. Ładne to zresztą było a objaśnienia Działaka ostatecznie niezbyt utrudzające. — To takie moje hobby, towarzyszu kierowniku, niewinne hobby, więcej tu dostałem w prezencie niż kupiłem, bo skąd niiby skromny urzędnik handlowy zdobyłby na coś takiego fundusze? Ale przyjaźń ludzką zdobyłem w Azji i zaufanie — wszędzie żyją ludzie, biedni tam ludzie, a w socjalizmie widzą swoją nadzieję, swoją przyszłość. To wzruszające, towarzyszu inżynierze, jak oni dzielą się z nami tym, co mają najlepszego — warto pojechać do Azji, żeby to zobaczyć, towarzyszu. Arystokracja, plutokracja, kapłani, to nie, oni nas nienawidzą, boją się, że im odbierzemy przywileje, że nie będą mogli wyzyskiwać ludu. Ale lud nas kocha, lud wie, że niesiemy mu wyzwolenie. Lud nas kocha i dzieli się z nami tym, co sobie najbardziej ceni: dobrami swej wielowiekowej kultury. I stąd te skromne zbiory, które towarzyszu Kierownik teraz w naszym małym mieszkaniu podziwia.

Towarzysz Kierownik jednym uchem tylko słuchał tych bredzeń: wiedział z doświadczenia, że Działak każdą sprawę zamienia w mierzwę, we frazes i slogan — mówić okrągłymi, uprzejmymi zdaniami drętwe banały, to było najwyraźniej jego drugie hobby. Zawsze jednak się o te frazesy starał, nigdy nie puszczał farby i nie stawał się cyniczny — w każdym razie nigdy wobec Osińskiego. Dowodziło to, że nie ufał mu, nie miał go za swego — Adam wiedział, także z doświadczenia, że ubecy tylko wobec „swoich” wyrzekają się raz przyjętego fasonu. Maską Działaka mogła być tandetna i łatwa do rozszyfrowania, mimo to spełniała swą funkcję — była maską.

Tak czy owak, przedkolacyjna gadanina tamtego przydała się, bo inżynier Osiński wrócił do siebie, odzyskał kontenans, i zasiadł przy stole już mniej więcej opanowany, choć coś szumiało mu w tyle czaszki, jakby tam właśnie tkwiła ukryta przed Działakiem niedawna sprawa z Jolantą. Niedawna a raczej dawna, bo po pierwsze czas od wejścia Adama tutaj płynął inaczej, po drugie cała rzecz miała już przecież swą historię, ba — prehistorię nawet, bo teraz rozumiał, że jeszcze długo przed poznaniem

Jolanty czekał podświadomie na coś takiego, co musi się jeszcze w jego życiu zdarzyć. Coś takiego — właściwie jakiego? Oddał teraz myśl o podejrzewaney sztuczności, o tandetnym nieco upozowaniu, czy budzącej niejasne wątpliwości afektacji, myśl, która towarzyszyła mu od początku tej sprawy. Rzecz jest wytłumaczalna, Jolanta to zjawisko w jego życiu nowe, inne, trudno je ująć w dawne kategorie, to przecież odrębne pokolenie, o dziesięć lat młodsza od Jadwigi.

Myśl o Jadwidze też była obecna w tyle czaszki — znajdował się tam najwyraźniej jakiś magazyn, tajemny schowek spraw trudnych, nie domyślanych do końca, po które jednak nie można było sięgać w tej chwili, podczas tej równie trudnej kolacji. Bo rzeczywiście, niełichy był tu dziś egzamin z opanowania i przytomności umysłu. Trzeba było najpierw wykonywać prawidłowo szereg zwyczajowych, świątecznych czynności. Na stole schab, szynka, sałatki, każdą rzecz należy jeść inaczej, w inny sposób, kiedy indziej, do tego wódki, bo skończyło się z dziwnym koktajlem, objawiły się teraz wiśniak i czysta, przyjęcie, choć szablonowe i tylko zimne było wcale, wcale. Ta wódka zresztą okazała się zbawienna, dzięki niej Adam odzyskał całkowicie pewność siebie a nawet osiągnął zadowolenie, coś w rodzaju uspokajającej męskiej dumy z tego co się stało, choć, normalnie rzecz biorąc, nic się jeszcze nie stało, tyle, że teraz już wiadomo, co w końcu się stanie (pewność taka zresztą zgubiła niejednego, miał się i Adam czegoś na ten temat dowiedzieć). Alkoholowe zadowolenie z samego siebie przetwarza się w śmiałość, śmiało więc popatrywał teraz Osiński na swą współniczkę w grzechu, Jolantę. Ona unikała jego wzroku, unikała nazbyt dokładnie, co świadczyło, że dalej odczuwają wszystko wspólnie — raz czy dwa razy jednak udało się Adamowi uchwycić jej długie, znaczące, zdecydowanie pełne obietnic spojrzenie. Nie szafowała zresztą tymi spojrzeniami, bojąc się najwyraźniej męża, który prawie nie pił, nie uczestniczył więc w ich specjalnym nastroju. Osiński widział wciąż przed sobą jego czerwieniejącą buzię, złote okulary i wymowne usta — dopiero gdy zgaszono światło i zapalono choinkowe lampki, zjawa ta przestała mu dokuczać. W złotawo-purpurowym zmierzchu płonących kolorowo światełek Adam ujrzał wtedy, jak Jola za plecami męża wychyliła duszkiem spory kielich wódki, posyłając jednocześnie gościowi konspiracyjny uśmiech. Bała się najwyraźniej tego Dziama, nie piła przy nim i nie brała prawie udziału w rozmowie, krzątała się koło stołu lub siedziała nieruchoma, jak jakaś indyjska bogini. Co prawda skąd indyjska bogini w chłopskiej Warszawie, na Uranowym Osiedlu, naprzeciw niewydarzonego bo

embrionalnego Dworca Głównego? Mniejsza o to skąd, grunt że była, a w każdym razie chciała być taka, jaka jest.

Milczała, za to Działak gadał bez przerwy i w tym tkwiła właśnie najważniejsza trudność kolacji, bo jedząc i pijąc w sposób skomplikowany a także zapuszczające długie lecz możliwie dyskretne „żurawie” w kierunku Jolanty, należało jednocześnie słuchać obfitych wywodów gospodarza i jako tako przytomnie odpowiadać na jego pytania. A było tych pytań sporo i coraz to dziwniejsze czy bardziej ambarasujące, zeszli wszak teraz oczywiście na temat Niedźwiedowa, tematyka azjatycka bowiem szybko i jednostronnie się wyczerpała, nic zaś innego prócz fabryki ich nie łączyło. Niektóre z kwestii Działaka były nawet wręcz alarmujące, na przykład w alkoholowym, dalekim szumie usłyszał nagle Adam pytanie: — Czy Pan nie myśli, towarzyszu kierowniku, że inżynier Waligóra to po prostu Żydek? Zdumiewające! Osiński ujrzał w wyobraźni smukłą, opaloną, blond sylwetkę naczelnego inżyniera, nigdy mu nic podobnego nie wpadło na myśl, a jednak? Waligóra był przesadny, niby gwałtowny zaś w gruncie rzeczy niepewny siebie, poza tym upozowany, aktor — skądby się wziął taki właśnie inżynier, co odmienne to przecież żydowskie. Kto wie, kto wie, ale co to miało do rzeczy i dlaczego to właśnie Działak o to go pyta? Osiński przypomniał sobie, że w partii od wojny Izraelskiej modny jest teraz antysemityzm, a już w UBe podobno panuje ogromny: mszczą się za to, że Żydzi kiedyś nimi dowodzili. Ale po co ta rozmowa, czyż Działak zaprosił go, aby podpytywać o Niedźwiedów? No tak, oczywiście, po cóż by go inaczej zapraszał?

Dalsza rozmowa potwierdza przypuszczenie: Działak wypytuje dyskretnie (w swoim pojęciu) o Stasia Buchałę i jego przeszłość, to już pytania wręcz klasyczne, potem znów o coś dziwnego: czy Michał Chruszcz był podczas wojny w Rosji? Całkiem to już osobliwe: Chruszcz ma akcent kresowy, pochodzi z Łucka, a czy był czy nie był w Rosji, lichy wie. Zresztą Łuck to dziś także Rosja. Adam przejrzał już Działaka i swobodnie wykręca się od jego pytań — zna ubeków z Wrocławia i wie, jak sobie z nimi dawać radę. Były jeszcze kwestie o Jasia Brzozowicza i Oflag, stopniowo jednak rozmowa się uspokaja, pytania rzędna, potem jest kolorowy brzask choinki, świąteczny mrok pokoju i błysk zębów Jolanty, przechylającej kieliszek. A potem robi się już chyba bardzo późno: Adam wie, że pijani goście siedzą zwykle za długo i nie mogą wyjść, nie chce ich naśladować, jutro przecież wszyscy razem jadą do pracy, przeważnie do tegoż Niedźwiedowa, którym tak zainteresowany jest Ryszard Działak.

Samego pożegnania z Ryszardem i Jolantą jakoś inżynier Osiński nie pamięta. Gdy ocknął się na dobre, znajdował się w połowie owego kamiennego mostu, prowadzącego ponad torami kolejowymi ku Alejom Jerozolimskim. Było już późno, po dwunastej. Mgła zrzędła, powietrze stało się przezroczyste, niebo wyższe. Niedaleko czerwienieje neon dworca Głównego, w od dali mrowią się niezliczone światełka ogromnych bloków, stojących długim, ukośnym szeregiem wzdłuż ulicy Grójeckiej, między nią a biegnącym w dół, w wykopie torowiskiem Linii Srednicowej. Adam patrzy na ten codzienny pejzaż jakby go widział po raz pierwszy. Wódka ustąpiła, pozostał stan nieokreślony. Inżynier Osiński próbuje zdać sobie sprawę, czy stan ten jest przyjemny czy przykry, ale nie dochodzi do zdecydowanego wniosku, to jest teraz za trudne. Wie tylko, że w życiu jego zaszło coś ważnego, ale co i jak, na ten temat trzeba się będzie dopiero zastanowić. „Pomyślę o tym jutro”, mówi do siebie, cytując bezwiednie słowa z ulubionej kiedyś powieści — „Prze minęło z wiatrem”.

X

Okres między Świętami Bożego Narodzenia a Sylwestrem to martwa pora — nikt już wtedy nic ważnego nie rozpoczyna, czekając na Nowy Rok. Tej zimy pora martwa specjalnie dała się we znaki: było ciemno, wciąż, grubymi płatami padał śnieg, na ulicach potworzyły się istne okopy, chodziło się wąskimi, śnieżnymi lejami, co umacniało jeszcze wrażenie, stale przez Adama odczuwane, że jest się zamkniętym i bezsilnym. Nawet Niedźwiedów, położony niby na polach i przewiewany wiatrami, też wydawał się zamknięty, uwięziona w żelastwie, betonie i ceglanych murach strefa niezgrabnych maszyn, kraina ciężarówek oraz masywnych przyczep i ciągników, kołowych lub gąsienicowych. Nieciekawe to teraz było — może po owych wyjątkowych świętach a może dlatego, że w pracy nic nie szło. Nic nie szło — ogólny zastój i niewiedza, zresztą mało kto chciał cokolwiek wiedzieć, zwłaszcza, że niektórych gnębił poświęteczny „kac” a znowu inni przedłużali sobie próżniacze nastroje, wędrując po pokojach i korytarzach z butelką, najczęściej z płaską, ukrytą w kieszeni „piersiówką”. W halach i na wydziałach kierownictwo pilnowało, aby robotnicy nie pili, odpowiadali niby za to brygadziści, w związku z czym zresztą zdarzyła się wielka awantura w montażowni silników i kół zębatach. Za to na umysłowym czyli w administracji oficjalnie sprawa ta nie istniała, a iluż tu było pijaków, jawnych czy ukrytych, każdy zaś uważał okres między świętami i Sylwestrem za specjalnie odpowiedni na alkoholowe wędrowki po pokojach i korytarzach. Organizowano przy tym sylwestrową zabawę w Domu Kultury, zbierano jakieś składki — wiadomo powszechnie, że tyczy się to głównie umysłowych, robotnicy woleli podejrzone knajpki w okolicznych, zaprzyiałych i tonących w śniegu miasteczkach, albo też choćby

natłoczony dancing „Casanowa” w osiedlu Niedźwiedów-miasto. Zresztą większa część rozpraszala się w okolicznych wsiach i duży był kłopot z absencją po Nowym Roku. Ale robotników zawsze łatwiej sprawdzić, czy coś robią czy nie, gorzej z umysłowymi, jeśli nawet Dyrektor Naczelny jest w tej mierze nieuchwytny i nie do skontrolowania, co prawda ten i ów stwierdzał, że od starego w dniach poświętecznych również zalatuje wódka, niczym od Jana Malaka czy Jasia Brzozowicza.

Tylko inżynier Wincenty Walichowski zawsze był trzeźwy. Znalazł się od razu po Świętach i przypominał o sobie jak najtrętniej, stukając drewnianą nogą po korytarzach i bez pukania uchylając drzwi do pokoiów. Adamowi zrobił wręcz awanturę: — Kto tu odpowiada za hamowanie postępu technicznego i lekceważenie myśli wynalazczej!? — to były w przybliżeniu jego słowa. — Nikt nie uwierzy, żeby w „Globusie” nie mieli odrobiny dobrej stali, wiertło i nóż to są detale, techniczne detale. Ktoś tam odpowie za to przed Partią, nie po to budowaliśmy socjalizm, żeby teraz przez lekceważenie obowiązków przepadały najcenniejsze inicjatywy! To sabotaż, nic innego tylko sabotaż!!

Walichowski, jak wszyscy dawni endecy był członkiem Partii i miał jeszcze pełną gębę socjalizmu. Chętnie też składał donosy na cudze nieprawomyślności (czy raczej nielewomyślności) gdzie się dało, tyle, że nie bardzo to brano na serio, co najwyżej jakiś dyletancki a spragniony kariery partyjny dziennikarz pozwolił mu się czasem nabrać. W fabryce radzono wówczas Walichowskiemu, aby jechał sam do „Mechany” czy „Globusa” i załatwił problem „odrobiny stali” — wiadomo było, że sprawa zależy od irracjonalnych sprzężeń kooperacyjno-importowych, których samo rozwikłanie musiałyby zabrać z pół roku, bez pewności pozytywnego rezultatu — a ryzykować własnym czasem i opinią nikt nie miał ochoty ani możliwości. Staremu maniakowi trudno coś było wytłumaczyć, uważał to za sprawy nieistotne — dla niego wszystko było nieistotne, poza techniką. W gruncie rzeczy miał swoją rację, ale była to racja z księżycą — nawet Staś Buchała, równie fanatycznie rozmiłowany w technice, rzecz tę rozumiał. Ale Staś Buchała był przynajmniej otwartym „reakcjonistą”, bez żenady zwał wszelkie trudności na ustrój, wobec którego ludzie okazują się bezradni. — Ty jesteś jeszcze przedwojenny, wiesz dlaczego ci się to wszystko nie podoba — mówił do Adama. — I szczęścia tutaj nie znajdziesz, bo rozumiesz, że tu są Sowiety — dodawał Jaś Brzozowicz. Tak, ci mieli przynajmniej swoją diagnozę, która pozwalała im żyć, nie udawali komunistów, jak stary Walichowski, co to był gotów szantażować każdego Partią, sabotażem, wrogością: kto mu nie

mógł (a w jego pojęciu nie chciał) załatwić elektrycznego pługa, ten jest wrogiem ludu i kwita.

Ale w końcu, stary osioł, naciął się na sobie podobnego — na inżyniera Działaka, jak mawiano w Partii, choć inżynierem to on żadnym nie był. Działak po świętach jął z kolei przesiadywać w biurze, jakby obserwując Osińskiego. Siedzieli przy otwartych drzwiach, gdy tylko Adam podniósł oczy, napotykał porozumiewawczy błysk okularów tamtego. Gniewało go to, bo gdzież tu jakie porozumienie — sprawa Jolanty została zmagazynowana w myśli czy sercu inżyniera Osińskiego, jest to sprawa do rozstrzygnięcia, dobytek ale i znak zapytania, na razie, póki rzecz się nie skryształizowała, Działak ma tu najmniej do powiedzenia, jest zresztą na zewnątrz i, formalnie przynajmniej, o niczym nie wie. Toteż szef chłodno, obojętną twarzą odpierał wszelkie porozumiewawcze awanse swego zastępcy, choć nie dało się zaprzeczyć, że to tamten wywołał całą sprawę z niebytu, tamten również był w końcu gospodarzem i dysponentem złocisto-purpurowego, azjatyckiego mieszkania, a także jego pani, egzotycznej Jolanty o gorących ramionach i oczach jak suszone śliwki. O tym przykrym elemencie sytuacji, o prawach własności Działaka do Jolanty Adam wolał tymczasem nie myśleć, rzecz jest dopiero do załatwienia (psychicznego) jak i wszystko w tej historii. Na razie więc częste spojrzenia Działaka, nieuniknione przy otwartych drzwiach, traktował jako całkiem bezprzedmiotowe. Ale jednak przydały się na coś, bo oto inżynier Walichowski swym naprzykrzonym, nierównym tupotem zakłócając ową jednostronną zresztą grę spojrzeń naraził się wreszcie „towarzyszowi Ryszardowi”. Ten zareagował jak na jego istotną funkcję przystało, choć raz się nie maskował, ku satysfakcji Adama. — Towarzyszu Walichowski! — syknął zupełnie innym niż zwykle głosem. — Pomijam sprawę, że wchodzicie tu bezprawnie i mógłbym Was kazać usunąć przez portiera. Ale do tego jeszcze przeszkadzacie, dezorganizujecie pracę towarzysza inżyniera i moją (tu trochę przesadził), swoimi prywatnymi pretensjami hamujecie działalność zakładu. Żebym ja wam przypadkiem nie powiedział czegoś o sabotażu. Nie przerywać!! Oświadczam, że macie się stąd wynieść a swoją sprawę przedłożyć przez odpowiednią instancję. Już!! Ba, całkiem inaczej z wami porozmawiam!

Ostatnie słowa to był krzyk, czy raczej metaliczny, ostry jazgot — Adamowi przypomniawszy się ulica Cybulskiego we Wrocławiu. A więc klin klinem, partyjny partyjnym, przydał się w końcu i ubeczek, choć oczywiście nie rozumiejący, że w istocie stary inżynier Walichowski ma swoją rację, tyle, że w tym ustro-

ju czy systemie niemożliwą do przeprowadzenia. Jeśli nieszczęsny wynalazca chciał komuś zrobić awanturę, to powinien z nią pójść do tych na górze, do tych najwyższych — nie zaś znęcać się tutaj nad bezwolnymi pionkami. Ale na to nie pozwoliłaby mu jego endecka natura, każąca przymilać się do silnych a wygrażać słabym. Całkowita jego w gruncie rzeczy obojętność na ideologię komunizmu sprawiała, że nie był w stanie uznać się za ofiarę doktryny, lecz wciąż podejrzewał spisek, uknuty przeciw sobie przez jemu podobnych utajonych lecz serwilistycznych na zewnątrz reakcjonistów. Stąd i próby szantażu — niezły to był w gruncie rzeczy padalec i niezłe zasłużył sobie na Działkową brutalność.

Mimo wszystko inżynier Osiński ma w tej sprawie wyrzuty sumienia. Nie ograniczają się one tylko do osoby starego plugawca i fanatyka (dziwne zresztą połączenie) lecz rozciągają się na szerszy zakres problemów. Czy na przykład on, szef służby zaopatrzenia i gospodarki materiałowej w kilkunastotysięcznym zakładzie produkcyjnym był całkowicie w porządku, gdy domagał się od Chruszcza wspólnego, biurokratycznego i podstępnego konspirowania przeciw racji techniczno-ekonomicznej? Czy nie działał tu przypadkiem tylko i jedynie w celu pokrycia własnej nieudolności, względnie zamaskowania życiowego oportunistu i wygodnictwa? Co prawda przeżycia wrocławskie upoważniały go w jakiś sposób do postawy kompromisowej, nauczono go tam wszakże, że nie produkcja jest dla tych ludzi najważniejsza i że nie należy próbować przebicia głową tajemniczej, doktrynerskiej ściany. Nie należy, i to nie jedynie ze względu na siebie, lecz i na samą sprawę, której można tylko zaszkodzić. Przekonali się o tym wielokrotnie różni ludzie dobrej woli, przekonał się Osiński, przekonał Buchała, w trakcie przekonywania się jest właśnie stary dureń Walichowski. Tak, wszystko to prawda, a jednak tkwił w całej sprawie niesmak i utajony wyrzut sumienia. Sumienie techniczne — istnieje jednak taka rzecz na świecie.

Tymczasem co prawda wcale jakoś nie zanosilo się na wspólne z Michałem Chruszczem konspirowanie przeciwko temuż właśnie technicznemu sumieniu. Ów człowiek, zawsze anielski i budzący zaufanie, który tylekroć spokojnie wysłuchiwał reakcyjnych gadek ani im przecząc ani w nich uczestnicząc, w tym roku (a raczej w końcu roku) stał się jakiś twardy, zasadniczy i, co najgorsze, tajemniczo nieuchwytny. Niepokojąca to rzecz, przed zbliżającą się styczniową naradą produkcyjną. Inżynier Osiński ma do niego tysiące spraw, do niego i pośrednio do pani Jolanty Ptaśnikowej. Chodzi oczywiście o przedłużenie owych drobnych umów kooperacyjnych i o wydzielenie tudzież zatwier-

dzenie odpowiedniego funduszu, limitu na kooperację spółdzielczą czy zgoła prywatną. Na razie idzie jeszcze wszystko poślizgiem z mijającego roku, da się tak ciągnąć z dobry kwartał, ale dalej, jeśli zawczasu nie przedłużą się umów, otworzyć się może przepaść. Przepaść, o której istnieniu zielonego pojęcia nie ma ani miglancowaty ramol czyli Dyrektor Naczelny, ani przemądrzały Waligóra, ani nawet Staś Buchała, ani nikt, nikt w ogóle, z wyjątkiem Osińskiego i właśnie Michasia Chruszcza. Tylko Chruszcz, wszechwiedzący i olimpijsko spokojny może go ocalić (a to również znaczy — ocalić fabrykę), tylko Chruszcz, przy pomocy podpisu i pieczęci biednej Ptaśnikowej. Pięknie, cacy, ale właśnie ani Chruszcza ani pani Joanny niesposób w te przed Sylwestrowe dni nigdzie dopaść: mimo złej pogody są ciągle w ruchu, na terenie, nie wiadomo, w narzędziowni, w magazynach, w parku, w zakładach szkoleniowych, w socjalnym, w najdziwniejszych miejscach. Kiedy zaś znajdują się wreszcie u siebie w biurze, to nikogo nie przyjmują, nie odbierają telefonów, zachowują się jak hrabiowie czy książęta. Zrozpaczony Adam próbuje na wszelkie sposoby przedrzeć się przez dziwaczny mur, jaki mu wyrósł na drodze i oto nagle wyłania się goła a katastrofalna prawda: kontrola! O Ptaśnikowej przebąkiwano już od dawna, że straszy u niej IKR (trzy te arcynudne litery oznaczają Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny), teraz z kolei okazało się, że u Michała Chruszcza akurat przed Sylwestrem zainstalował się NIK, czyli Najwyższa Izba Kontroli. A to może oznaczać wielomiesięczną blokadę, niemożność porozumienia, bałagan, klępkę, jeśli nie coś jeszcze znacznie, niewypowiedzianie gorszego. Pamięta się przecież słynną kontrolę wrocławską.

Kontrola! W normalnym świecie słowo to jest jednoznaczne i nie powinno wzbudzać trwogi, zwłaszcza wśród ludzi uczciwie pracujących. Inaczej wygląda sprawa tutaj, gdzie kontrola stała się narzędziem budzenia w delikwentach mistycznej a niepojętej, światopoglądowej trwogi. Najdoskonalej boi się ten, co się boi czegoś nieokreślonego, niezdefiniowanego, a więc boi się zawsze, bo z tajemniczego nieba piorun paść może każdej chwili. Przepisy określone i uporządkowane nie budzą trwogi irracjonalnej, boi się ich tylko ten, kto wie, że je przekracza. Stałą, irracjonalną trwogę budzić mogą tylko przepisy powikłane i wzajemnie sprzeczne, pochodzące od różnych ciał i instytucji, narastające przez lata, jak dziewicza dżungla, splątana lianami, gałęzmi, korzeniami. Ten tajemniczy las ustaw, zarządzeń, przepisów wykonawczych, okólników interpertacyjnych, instrukcji i pouczeń, to właśnie jest teren działania NIK-u. Instytucja owa nie kontroluje pracy fabryki z punktu widzenia interesu produk-

cji, to ich nie dotyczy — ona rozpatruje tylko i jedynie zgodność lub niezgodność postępowania poszczególnych Wydziałów z przepisami. Ze zaś przepisów jest właśnie mnogość i gąszcz, więc też rzeczy z tego wychodzą przedziwne: wysoka komisja ocenia zastosowalność owych przepisów tudzież ich hierarchię w takim czy innym wypadku, waży na dialektycznej, prawnej szali stopień konformizmu i praworządności każdej decyzji, po długim, subtelnym rozszczepianiu włosa na czworo wychodzi z tego werdykt — dziwoląg, zdumiewający wszystkich, choć zdumienie takie pilnie ukrywają, werdykt, stanowiący wypadkową jakichś całkiem wobec życia fabryki abstrakcyjnych racji, nie mający nic wspólnego z żadnym konkretem, po prostu dzieło sztuki same w sobie i dla siebie. A cóż dopiero wynikające z tego werdyktu zarządzenia pokontrolne! Ileż magicznej, krętacko interpretatorskiej sztuki potrzeba, aby stępić ich ostrze, aby swymi absurdalnymi postulatami nie zdeorganizowały życia zakładu, nie zniechęciły pracowników i kooperantów. Tu już trzeba iście elektronowego mózgu Michasia Chruszcza, jego przy tym znajomości psychologii władz wyższych i średnich, orientowania się w tajnych okólnikach i sugestiach partyjnych, wytyczających kierunek, skąd wieje aktualny wiatr ideologiczny, a wiatry są to zmienne i przy następnej kontroli za parę lat, lub też przy kontroli realizowania zaleceń poprzedniej kontroli, czyli właśnie wykonania zarządzeń pokontrolnych inne już całkiem mogą być ideowe kryteria, inny też stopień ryzyka przy ich wymijaniu czy zbimbaniu. O, wielka, grząska, głęboka i przepaścista jest to sztuka, lecz na słabego partnera tu nie trafiono: Chruszcz to szermierz znamięnity i na pewno stanie na wysokości zadania. Tyle, że długo zapewne będzie niedostępny, wyłączony, to katastrofa, wyczuwał ją zapewne zawczasu, stąd jego przedsięwzięte zdernerwowanie — wiedział już chyba o zamierzonej kontroli. A czy dojdzie również do kontroli portfela umów kooperacyjnych z prywaciarzami lub pseudo spółdzielcami, gdzie zawarta jest cała tajemnica funkcjonowania Niedźwiedowa, tajemnica nader wstydliva i z punktu widzenia ideowej metafizyki naganna? Kontrolerzy to wszakże nie praktycy, powiedzą, że można było uruchomić własną produkcję wszelkich elementów, niemożliwości tego nikt im nie udowodni, bo na to, by rzecz zrozumieć, trzeba znać do głębi technikę niedźwiedowskiej produkcji, oni zaś jej nie znają i nigdy nie poznają, zresztą po co im to, oni nie są od tego, lecz od psychologii, socjalistycznej psychologii. Psychologia ta nakaze im więc pociągnąć do odpowiedzialności określonych ludzi o określonej psychice, przede wszystkim zaś osoby, podpisane na kontraktach i ochronnych zaświadczeniach, na

przykład Michała Chruszcza, Joannę Ptaśnikową, no i oczywiście głównego winowajcę zaniedbań, materiałowca, inżyniera Adama Osińskiego.

Na rzecz tej interpretacji świadczyłby fakt, że Ptaśnikowa też już była oprymowana, choć dziwnym zrządzeniem nadrzędnej Opatrzności (czy Opaczności, jak mawiał Staś Buchała) przez IKR. Inspektorat ten zajmował się zapasami, asortymentami, magazynowaniem, osobliwie więc, że wzięli się akurat do działu Kadr. Może nie mieli już odpowiedniej ekipy kontrolnej, a może szło jednak o co innego, o jakieś przekroczenia osobowe. Robotnicy wiejscy potrafili osiedlać się w Niedźwiedowie na krótko, dla sobie wiadomych celów: jednym chodziło o papier, by móc się starać o spółdzielcze mieszkanie, inni wykręcali się w ten sposób od wojska (jest wszakże w Niedźwiedowie niby tajny dział doświadczalno-zbrojeniowy, który daje zwolnienie od służby), jeszcze inni po prostu kradli i wynosili — znana była historia kilkunastu traktorów, zmontowanych przez pracowników POM-u w Chojnicach z niedźwiedowskich części i sprzedawanych indywidualnym gospodarzom po 100 tysięcy złotych. Może wpadli na trop jakiejś takiej historii, też światopoglądowej (bo nie tylko chodziło o zwykłą kradzież, lecz o naruszenie ideologii przez prywatne, poza fabryczne „produkowanie” maszyn). Nie wykluczone więc, że to coś takiego właśnie i że zwrócono się do Ptaśnikowej, jako do znawczyni spraw kadrowych, broń Boże zaś osoby, parafującej wątpliwe dokumenty, nie należące do jej gestii. Ależ się musiała denerwować — Adam widział już chyba wyobraźni apoplektyczne wypieki na jej dobrodusznych w zasadzie, pulchnych policzkach. Tak czy owak pozostawała niedostępna, a inżynierowi Osińskiemu niezwykle potrzebna, żeby dalej popełniać owe „rzeczy złe i zdrożne” z kooperacyjnymi umowami.

Być zatem może, że strach ma wielkie oczy, że kontrole o których mowa są normalne i nie dotyczą Adama (wezwaliby go chyba, choć co prawda mają jeszcze czas), jednak niezależnie od tego wszystkiego, grunt pali mu się wyraźnie pod nogami. Jeśli chodzi o zaopatrzenie fabryki na przyszły, 1968 rok, to zaklepał sobie w zasadzie sprawy długodystansowe, stal, rudę, metale kolorowe, jak aluminium (nawet, choć brak wiertła i noża), cynk, miedź, ołów, załatwione też są farby i lakiery z Zabrza, opony z Olsztyna i Tarnobrzegu. Jaka będzie rytmiczność dostaw, to inna sprawa, ale podstawa jest, można żądać. Gorzej będzie ze szkłem kabinowym, jeszcze gorzej z osprzętem elektrycznym: choć Buchała twierdzi, że osprzęt ten a nawet części zamienne można dostać w sklepach spółdzielczych Samopomocy

Chłopskich, jednakże tam Kółkom Rolniczym nie wolno ich kupować, tylko przez centralę CZKR i tylko w Niedźwiedowie. To jest, owszem, problem do załatwienia, ale tylko z pomocą Chruszcza, który jeden przynajmniej nie ma szacunku dla świętych nonsensów. Lecz pozostaje jeszcze cała ogromna dziedzina „1001 drobiazgów”, bez nich zaś ani silnik, ani pompa wtryskowa, ani ogumione koło się nie obejdzie, drobiazgów które uzyskać można wyłącznie z krótkoterminowych umów ze spółdzielczością i prywaciarzami. Tylko że to trzeba robić już, z kwartału na kwartał — i znowu bez Chruszcza nic się nie da załatwić. W ogóle gadać nawet z kim nie ma, można najwyżej błagać Waligórę o sławetne uruchomienie własnej produkcji w tym zakresie, a on odmachnie się jak od natrętnej muchy i zacznie bając, że jedyny sposób i jedyna ważna sprawa to unifikacja konstrukcji, bo na razie to właściwie jest w Niedźwiedowie parę fabryk traktorów, nie jedna. Unifikacja ma zaradzić na wszystkie problemy i bolączki, prawda, lecz i zarazem utopia, bo kiedyż to się zrealizuje, w najlepszym wypadku po długich latach, tymczasem drobiazgi produkować trzeba, już, zaraz, jutro, inaczej ludzie się wściekną i fabryka rozleci. Ale kto to zrozumie? Tylko jeden Chruszcz, a właśnie jego nie ma. I to po świętach przed Sylwestrem zwała się kontrola, nikogo nie obchodzi, że są to akurat dni kluczowe, dni do połowy stycznia, kiedy można pozawierać umowy. Rzemieślnik jest przewidujący, nie żyje z dnia na dzień i nie pije, tak jak robotnik, on ceni spokojną pracę. Zresztą robotnicy niedźwiedowscy nie bardzo są zainteresowani w premiach za plany roczne czy okresowe: oni zarabiają na nadgodzinach, przestoje ich drażnią ale nie uderzają po kieszeni, chyba tylko w odlewni czy kuźni, gdzie się pracuje na trzy zmiany i na akord. Wykonanie planów, rytmiczne wykonanie planów, to są premie dla administracji a także spokój od władz wyższych, politycznych, ewentualnie od handlu zagranicznego. O tym wszystkim wie Osiński, wie Buchała, wie może niepoważny Gościński, no i właśnie wie wszystko na wylot Michał Chruszcz — Wielki Nieobecny. Pojęcia zaś o niczym nie ma zielonego dyletancki wysłannik Partii, Ryszard Działak, który oto od swego biurka łyska złożonymi okularkami w stronę szefa, czekając pochwały, że spławił starego Walichowskiego. Nie wie o niczym co dotyczy produkcji i dzięki Bogu! Ileż to zamieszania mógłby narobić taki wyposażony w groźną władzę bubek, gdyby zaczął się choćby domyślać, na jak kruchych i dowolnie improwizowanych podstawach opiera się ten cały, na oko gigantyczny interes!

Tymczasem, wręcz na złość, nasuwa się wciąż myślenie o Jo-

lancie, która, choć to nonsens, absolutnie nie kojarzy się Adamowi z osobą Dziamaka, jakby pochodzili oboje z dwóch różnych światów. Nie umówił się z nią, to go podskórnie denerwuje, bo sprawa teraz już musi mieć swój dalszy ciąg, im bardziej rzecz się odwleka, tym głupiej. Przez zdenerwowanie tą całą historią Osiński nie może zająć się z należytym zdecydowaniem alarmującymi wręcz sprawami fabrycznymi — nie mówiąc już o domowych: te od dawna wymknęły się spod kontroli i idą własnym, niezbyt zrozumiałym torem. Bo przecież Jadwiga na pewno nie romansuje z doktorem Lasotą, to nie w jej stylu, dlaczegóż jednak w takim razie jest wyraźnie zmieniona, wytrącona z równowagi, czasem wręcz nieprzytomna? Dała temu dowód choćby wczoraj, gdy ze zdumieniem stwierdziła, że „Sam” towarowy w ich osiedlu jest jeszcze nieczynny. A przecież sto razy mówili o tym, że przeklęty szklany barak umiejscowiony tuż obok, o trzydzieści metrów od ich domu, stoi nie wykończony. Całkiem inaczej by się żyło, gdyby ten sklep otwarto, nie musiałoby się wtedy latać po każde głupstwo na drugą stronę Alej lub wręcz na Grójecką. Ale przecież mówili o tym tyle razy, cóż więc właściwie dzieje się nagle z Jadwigą?!

Co prawda nie miał czasu się nad nią zastanawiać, bo nie wie dobrze, co dzieje się z nim samym. Z dnia na dzień staje się coraz bardziej nerwowy, w miarę, jak od Jolanty nie przychodzi żadna wiadomość, czy w ogóle znak życia. Adam wie, że ona jest ogromnie sprytna, że żadne zewnętrzne przeszkody dla niej nie istnieją. Jeśli więc się nie odzywa, to dlatego, że nie chce, ale cóż to właściwie może znaczyć? Czyżby zapomniała o tym, co się stało, a może ją czymś zraził, lub też zrodziły się jakieś inne komplikacje, choć właściwie jakieżby one mogły być, jeśli Dziamak, co jest oczywiste, niczego się nie domyśla? Męcząca rzecz trwać tak w niewiedzy i niepewności, będąc skazanym na czekanie. Choć może to właściwie on powinien wszczać pierwsze kroki?

Wobec czego, po paru chyba dniach próżnego oczekiwania, Adam zaczął telefonować. Nie była to wcale rzecz prosta, o nie. Z biura nie ma mowy, zresztą po co, kiedy Jolanta przed południem pracuje w wydawnictwie, na śmierć zapomniał w jakim. A znów po południu, czyli raczej wieczorem, gdy się bowiem wreszcie dostał do domu bywało już całkiem ciemno, mnóstwo się nastęrczało trudności. Z domu dzwonić nijako, bo przecież celem Adamowego telefonu jest rozmówienie się z Jolantą samą, gdy zaś Dziamak będzie u siebie, rozmowa taka okaże się niemożliwa, w M 3 z każdego miejsca słycać każde słowo — przekonał się zresztą o tym, będąc u nich w Święta.

W ogóle gdy Działak się odezwie, trzeba położyć słuchawkę, a gdy odezwie się Jolanta, należy wyczuć po jej głosie czy jest sama czy nie, ewentualnie również z rozmowy zrezygnować i popробować kiedy indziej. Jakże jednak realizować podobne manewry w domu, gdzie, choć Jadwigi częstokroć nie ma, jest jednak Zbyszek, mający zwyczaj z bezceremonialnym hałasem wpadać do pokoju, nierzadko zresztą w towarzystwie jakichś uprzykrzonych kolegów, jest też aktualna posługaczka, starsza, kwaśna kobieta, snująca się jak widmo, pojawiająca się w zgoła niemożliwych do przewidzenia porach, niespodziewanie a bezszelstnie. Nie, z domu dzwonić absolutnie nie można. Pozostawała budka telefoniczna, lecz ta na dziedzińcu, obok drucianej siatki, odgradzającej betonowy most prowadzący ku Alejom Jeruzolimskim i szkolne boisko, nie mogła wchodzić w rachubę. Po pierwsze stale była zajęta przez podejrzanych młodzieńców czy jakieś rozchichotane uczennice, po drugie, gdyby Zbyszek zobaczył go tam, czekającego wśród młodzieży, miałby zabawę nielada oraz temat do przemyśleń, zważywszy, iż w domu jest już przecież telefon. A Zbyszek przebiegał tamtędy z kolegami dwadzieścia razy na dzień, nieustannie bawili się bowiem w policję i gangsterów, celując do siebie z naturalnej wielkości pistoletów maszynowych — zabawek, produkowanych w NRD. Ów „rozpylacz”, mordercza broń niemieckiej policji podczas wojny, stała się teraz ulubioną igraszką warszawskiej młodzieży — tak to się wszystko na świecie dewaluuje.

W rezultacie pozostawał już tylko kiosk telefoniczny przy Dworcu Głównym, dosyć to było daleko, trzeba przeciąć jezdnię ulicy Towarowej, ewentualnie przejść pod jezdnią, wąskim, ciemnym i cuchnącym kamiennym korytarzem. Jest to teraz po prostu wyprawa — dwa razy tam i z powrotem, to już miało się z głowy całe popołudnie a raczej wieczór. Życie ulegało kompletnej dezorganizacji, tymczasem złapać Jolanty samej absolutnie się nie udawało. Kilkakrotnie swym nosowym głosikiem odzywał się Działak i Adam szybko odkładał słuchawkę na widełki, pełen pogardy dla samego siebie. Mimo tej pogardy próbował dalej, ale wciąż bez rezultatu, wciąż na próżno marnując czas i energię. Piekło, po prostu piekło!

Gdzieś dopiero trzeciego dnia, tuż przed samym Sylwestrem, udało się. Było już ciemno, śnieg padający wielkimi płatami przesłaniał światło dworcowych jarzeniówek. Po intonacji głosu Jolanty Adam poznał, że jest sama. — Muszę się z Panią zobaczyć — powiedział wręcz rozpaczliwie. Jednocześnie ujrzał kątem oka, że przed budką zatrzymał się jakiś mężczyzna — najwyraźniej czeka na telefon, jakież to denerwujące. — Ja też

chcę się z Panem zobaczyć — głos Jolanty brzmiał nisko, wi-
brująco — ale boję się, strasznie się boję! Osiński stał bez
słowa — boi się, cóż na to odpowiedzieć, nie zawsze była taka
bojaźliwa! Tymczasem człowiek za szybą przytupywał w śniegu,
dając Adamowi jakieś niecierpliwie znaki. Rzeczywiście: śnieg
padał jak najęty, coraz grubszy, coraz gęściejszy.

Nagle Jolanta odezwała się innym głosem. — Czy idzie Pan
jutro na bal do Niedźwiedowa? Adam wzdrygnął się zdumio-
ny: bal sylwestrowy w Domu Kultury w Niedźwiedowie! Nie,
oczywiście że nie. — Ja także nie — mówiła Jolanta. — Ale
niech Pan słucha. (Człowiek na zewnątrz zachowywał się już
wręcz bezczelnie: bębnił w szybę i przybliżał do niej swą twarz
w dużej, futrzanej czapie). — Ryszard jedzie na ten bal, wie
Pan, służbowo. Jedzie gdzieś koło dziesiątej wieczór. Więc jak
Pan zobaczy, że na parkingu od Złotej nie ma naszego Volks-
wagena, proszę przyjść na górę. Wypijemy koktajl — za zdrowie
Nowego Roku. Dobrze?

Adam wychodził z budki z bijącym sercem i zastopowanym
oddechem, przyduśiło go po prostu z wrażenia. Więc jednak
znalazła sposób! Zaabsorbowany zapomniał nawet nasobaczyć
owemu brutalnemu natrętowi; gdy sobie o nim przypomniał i
obejrzał się, było za późno, tamten tkwił już w budce.

Inżynier Osiński szedł przed siebie w padającym śniegu, bar-
dzo szczęśliwy, aż mu się chciało śpiewać. Rozwazał teraz całą
rzecz od początku. — Samochód, Volkswagen, zielonawy Volks-
wagen, znał go dobrze, jeździł nim przecież niejedną raz. Że też
mu to wcześniej nie wpadło do głowy. Wystarczyło sprawdzić
na owym, nie strzeżonym zresztą i prymitywnym parkingu, jeśli
auta nie ma, można wpaść na górę — proste i jasne. Zapomniał
przecież zupełnie, że to wszystko rozgrywa się na niewielkim
dziedzińcu, że mieszkali z Działakami o niecałe sto metrów od
siebie. Głupio się zachowywał, biegając gorączkowo od telefonu
do telefonu. No, ale mniejsza o to: grunt że są już umówieni,
że spotkania nikt już nie cofnie ani nie odbierze. Tyle, że będzie
z tym, oczywiście, mnóstwo kłopotu: jakże tu wychodzić sobie
samo w Noc Sylwestrową, co powiedzieć Jadwidze i Zbyszkowi?
Znów upokorzenie, znowu przykreść i niesmak.

Ale i tym razem wszystko poszło gładko i naturalnie, niczym
w Święta — jakby jakiś życzliwy bies sprzyjał Adamowi i Jolan-
cie. Osiński coś tam półgębkiem nadmieniał żonie, że w Syl-
westra wyskoczy na chwilę do Niedźwiedowa (któż sprawdzi?)
spotkać się z kolegami, ona nie zgłaszała specjalnych obiekcji,
wspominając tylko o możliwości późniejszego powrotu ze szpi-
tala. Nie patrzyli sobie przy tym w oczy, ale takiego zwyczajują

dawno już nie było — co prawda od Świąt ucichły również owe anonimowe telefony na temat doktora Lasoty. A w Sylwestrowy wieczór sprawy znowu rozwiązały się w sposób wręcz organiczny. Zbyszek poleciał koło ósmej na telewizyjny program do sąsiadów, Jadwiga zadzwoniła ze szpitala, że koleżanki zaprosiły ją na „lampkę wina”, żeby Adam nie krępował się z wyjściem. Został więc sam, ogromnie podniecony, nawet nie pomyślał o słabiutkim alibi, jakie tym razem przedstawiła Jadwiga. Serce mu biło, oddechu brakło, nie mógł wręcz doczekać owej godziny dziesiątej. Nareszcie! Zbiegł po schodach, ze szklanego westibulu na dole rozejrzał się pilnie w różne strony. Szczęściem koledzy Zbyszka, u których bywał on na telewizji, mieszkali w jednym z bloków zewnętrznych, skąd nie było widać wewnętrznego osiedlowego dziedzińca. Adam nie chciał, aby wścibski synalek wypatrzył, że ojciec też gdzieś tu chodzi do sąsiadów. Ale na dziedzińcu nie było nikogo, ludzie znow się bawią po mieszkaniach. Inżynier Osiński rusza więc w teren, słabo oświetlony odbłaskiem dalekich stąd ulicznych jarzeniówek. Idzie zdecydowanie, choć czuje, że brak mu oddechu i że się znow skrada — idzie w stronę parkingu. Wiadomego Volkswagena nie ma, cóż więc prostszego jak wbiec na wiadome schody i pędzić susami po dwa stopnie, aż do momentu, gdy, po naciśnięciu guziczka w wiadomych drzwiach, rozbrzmi oto przedłużony echem akord ze srebrzystych dzwonek!

Drzwi się otwierają, w mieszkaniu panuje wielobarwny półmrok, bo palą się tylko kolorowe lampki na choince. Zanim Adam ma czas się zorientować, czyjeś gorące ramiona oplatają mu szyję. Jolanta bez słowa wciąga go do pokoju, pociąga za sobą na niski, miękki tapczan czy sofę, oplata całym ciałem.

Pewien czas pieszczą się, niemal ubrani, potem wstają, w kolorowym blasku lampek piją ów, przygotowany zawczasu, politurowaty koktajl, wreszcie, bez słowa, bez wstydu, pospiesznie, rozbierają się do naga i powtórnie zapadają w ową puszystą sofę, z tym, że zapobiegliwa Jolanta przynosi jakiś mięciutki, gładki koc. Chłoną siebie gwałtownie, gorączkowo, potem z uplanowanym rozmysłem, jakby chcąc osiągnąć maksimum pieszczot, zawartych w tym niedługim przecież odcinku czasu. Bo przed dwunastą ubrali się znow, aby przy zapalonym już świetle wypić „zdrowie Nowego Roku”. Rozbrzmiało też radio, podając dwunastokrotny sygnał zegara. A więc zaczął się rok 1968!

Adam zostaje tam jeszcze z pół godziny, gdy oto Jolanta zaczyna się denerwować. Sciszyła radio i położyła palec na ustach. — Posłuchaj — szepcze tajemniczo: Osiński nastawia uszu: za

oknami szaleje wichura, porywiste fale wiatru uderzają o szyby, wstrząsając nimi z głuchym trzaskiem. — Boję się, boję się — zaczyna szybko mówić Jolanta. — Boję się, Ryszard wróci, idź już! Głos jej dygocze, jest chyba przestraszona, choć Adamowi wydaje się to przesadą — znów jakaś afektowana poza i to po dwóch godzinach najczystszej prawdy! Ale nic nie mógł poradzić, Jola niemal wypychała go za drzwi, pomagając włożyć płaszcz. W drzwiach wymienili pożegnalny pocałunek, tym razem powierzchowny, niby ukradziony czy zastępczy, choć jej nabrzmiałe wargi były teraz gorące jak nigdy przedtem. I oto już Adam znajduje się na dole, oto idzie znów przez dziedziniec, wśród porywów ciepłego tym razem, odwilż niosącego wichru.

Wśród wichru dobrnął do przystanku Ochota, gdzie, jak przed paru dniami, stanął oparty o betonową balustradę i wpatrzył się w perspektywę bezludnej, Sylwestrowej ulicy. W tym momencie poczuł szczęście, lecz jednocześnie ukłuło go coś w serce ostro, jakby stalowym drutem. To była myśl, że zdradził Jadwigę, po raz pierwszy w życiu kogoś zdradził. Ona nie była winna, męczyła się tylko przez tego głupiego doktora Lasotę, to jasne. A tutaj Adam zdradził ją perfidnie i z rozmysłem, bez chwili zawahania. Ale nie mógł w tej chwili niczego żałować: to było złe, ale było cudowne.

Nagle coś zwróciło jego uwagę, może dlatego, że kontrastowało z dziwnym bezruchem noworocznego już miasta, jakby opuszczonego, odrętwiałego, gdzie hałasował i szalał tylko wiatr. Oto z Towarowej wjeżdżało pomiędzy bloki osiedla samotne auto. Kształt znajomy, choć z daleka nie widać koloru — tak, to Volkswagen Działaka. A więc Jolanta miała rację, jeszcze chwila i byliby się tam spotkali — jakież to dziwaczne. Jola chyba jeszcze nie śpi, na pewno błyskawicznie sprzątnęła, zatarła ślady. Działak nie dzwonił do domu o północy, jasne, na balu nie miał głowy, może teraz się spieszy, chce jej złożyć życzenia. A jeśli po niej coś pozna, jeśli...

I oto inżynier Osiński czuje w swoim wnętrzu drugie stałe ukłucie, tym razem niepomierne silniejsze, już nie ukłucie lecz wręcz dźgnięcie jakimś tęgim ostrzem. To dźgnięcie zazdrości. Jednocześnie jest zdumiony, niepomierne zdumiony tym, co się z nim dzisiaj wyrabia. Nigdy przecież nie był zazdrosny, ani o Jadwigę ani w ogóle o nikogo, zresztą nigdy nie miał po temu żadnej okazji, bo na sprawę doktora Lasoty patrzył niedowierzająco, raczej zaciekawiony czy lekko ale łagodnie zaniepokojony. A tu naraz ostry ból w sercu, nienawistne „żądło” zazdrości i to o kogo? O kobietę prawie nieznaną, którą jeszcze

parę dni temu skłonny był lekceważyć, nawet sobie z niej w duchu pokpiwał. Czyżby tego noworocznego wieczoru dane mu było odrobić nagle całozyciowe zaległości, wypełnić nieuświadomiane duchowe luki, odkrywając za jednym zamachem takie znane mu widać tylko z nazwy uczucia, jak wyrzuty sumienia i zazdrość? Ważny to wieczór, ciekawy to wieczór, ale co się stanie dalej?

XI

Tymczasem właśnie dalej nic się nie stało i nic się nie dzieje, poza oczywiście normalnymi, choć złośliwie się zaostrzającymi kłopotami w fabryce. Twarz Działaka w przeciwnym pokoju taka sama jak zwykle, obła i przymilna — na pewno nie kryje się za nią żadna ukryta nowa myśl czy podejrzenie. Jakby tamtej wietrznej nocy zupełnie nie było. Zresztą Adam nie ma czasu o niej myśleć, jest zaabsorbowany sytuacją w pracy, z której to sytuacji wynika konieczność nieustannego wytrząsania się fabrycznym autem po przeróżnych, błotnistych i śnieżystych dziurach. Trzeba zawierać umowy kooperacyjne z prywaciarzami czy spółdzielczymi krypto prywaciarzami, trzeba w dodatku zawierać je na własną rękę, bo Chruszcz nadal jest nieuchwytny. Bardzo to niewygodne, ba, wręcz niebezpieczne, nie wiadomo przecież, jaki będzie w tym roku limit na transakcje z sektorem nieuspołecznionym, a także jakim funduszem na te cele dysponować może w poszczególnych kwartałach Niedźwiedów. Fundusz ten zmieniał się co roku, w dodatku trudno go było określić, gdyż limit przyznawano całemu Zjednoczeniu, potem dopiero następowały proporcjonalne w zasadzie, lecz płynne i zawile, bo od mnóstwa wskaźników zależne podziały. Jak zwykle tylko Chruszcz wyznawał się w tym dokładnie, on jeden również potrafił zdobywać dodatkowe limity nawet pod koniec roku, gdy w kooperacji otwierała się jakaś niespodziewana dziura, grożąca nieraz widocznym nagłym dla wszystkich zahamowaniem produkcji, zawaleniem planu, skandalem. Tak, tak, Chruszcz był mimo wszystko nieoceniony i niezastąpiony, cóż z tego, kiedy od Nowego Roku pozostawał już dokładnie niewidzialny i nieosiągalny, wobec czego inżynier Osiński, odpowiadający wszakże za rytmiczność produkcji nie tylko w jednym kwartale, lecz w całym nad-

chodzącym roku produkcyjnym, decydować musiał sam. Dośćw- nie sam, gdyż w zawile i właściwie nielegalne, bo przez nikogo nie parafowane transakcje, jakie teraz zawierał, nie wtajemni- czał oczywiście ani Działaka ani zastępu młodych pracowników ze swego wydziału. Brał wszystko na siebie, zupełnie jak u inży- niera Rotmana we Wrocławiu — zgoła to zresztą złowrogie po- równanie.

W dodatku prywaciarze zaczęli się płoszyć i to sami z siebie, niby czujna zwierzyzna, wietrząca niebezpieczeństwo jakimś intui- cyjnym super węchem. Oczywiście — i ich nie urządziła wcale transakcja wątpliwa pod względem prawnym, każdemu wiadomo, że w końcu na nich się skrupi, że znajdą ich, choć pochowali się w podwarszawskich ni to „uzdrowiskach” ni to wioskach czy osadach, na linii Otwockiej, Grójeckiej, Żyrardowskiej, zamas- kowani w niepozornych chałupkach, barakach lub tylnych ofi- cynach wielorodzinnych wili. Ryzykować to nie był dla nich interes, wciąż pisano i gadano o ograniczeniach lub nawet zamierzonej likwidacji kooperacyjnych limitów, celem, jak to na- zywano „uzdrowienia sytuacji”. Pięknie, słusznie, tylko że nic poza tym nie robiono, aby umożliwić produkcję drobiazgów w samych fabrykach: ani plany materiałowe ani zatrudnieniowe te- go nie uwzględniały, a przecież choćby same naprawy gwaran- cyjne odsyłanych do Niedźwiedowa zdewastowanych traktorów pochłaniały ogromną ilość tak potrzebnych detali. Prawda, zbli- żała się zapowiedziana na połowę stycznia wielka, doroczna kon- ferencja produkcyjna, ale wiadomo z doświadczenia, co się tam będzie działo: ogólniki, demagogia i porachunki personalne, nic więcej. Cała nadzieja, jak zwykle, tylko i jedynie w Chruszczu.

Na razie jednak Adam gorliwie połykać musiał swoją żabę, ta żaba, co było jasne, stanie mu w końcu w gardle. Podróże do rzemieślniczych siedzib, które to siedziby w ramach tak zwa- nej deglomeracji z reguły wypchnięto teraz poza Warszawę, po- drodze w śniegu lub błocie, stawały się coraz przykrzejsze, tak fizycznie jak i duchowo. To ostatnie zwłaszcza jest dotkliwe: trzeba kręcić, kluczyć, namawiać, czasem wręcz żebrać, ukrywając przed nieufnymi chałupnikami goły, żenujący fakt, że inżynier Osiński nie ma właściwie od dyrekcji Niedźwiedowa żadnych pełnomocnictw, że nie może nic określonego powiedzieć o tego- rocznym stanie limitów na kooperację z rzemiosłem, a także wykręca się od wystawiania rachunków, na których z reguły fi- gurować winny co najmniej dwa fabryczne podpisy i parę pie- cześci przeróżnych kształtów. Tak, ci prywaciarze po latach nie- ustannej huśtawki, czyli tak zwanej popularnie metody bata i cukierka, ogromnie się wycwanili — żebyż tyle rozumu miał

w swoim czasie biedny Franek, którego sprawa podobno stała coraz gorzej i groziło mu już jak mówiono, do dziesięciu lat więzienia. Ci tutaj za to nie mieli wcale zamiaru siedzieć, toteż przeszrywali Adama podejrzliwym swym wzrokiem na wskroś i piętrzyli trudności tudzież warunki i zastrzeżenia aż rozpacz brała. Znowu więc to samo: gdy Adam chce wypełnić swe zobowiązania wobec fabryki i produkcji, wychodzi na nieuczciwego i ziemia pali mu się pod nogami, gdy za to w Biurze Projektowym zmuszany był do rzeczywistej nieuczciwości to ani nikt o tym nie wie, ani nikt nie ma do niego cienia pretensji. Dziwaczne to wszystko. Wielu ludzi w Niedźwiedowie zbożnie i pieczołowicie pracuje (choćby taki Wykrot, pioruński pedant z księgowości) i nigdy się nie dowiedzą, że ta praca jest do niczego. Za to tych kilku, którzy wiedzą o co naprawdę chodzi w produkcji i chcą jakoś zaradzić czy dopomóc, tych kilku niechybnie, prędzej czy później, dostanie w łeb. Taki los wypadł nam!

Adam załatwiał względnie próbował załatwiać krótkie, podwarszawskie wyjazdy, wahał się na razie co do podróży dalszych, na Śląsk czy w Lubelskie, nie chcąc przed konferencją zostawiać biura samopas, zwłaszcza że Działak czuwał a przedłużające się podróże szefa musiały wzbudzić jego zainteresowanie, choć jak na razie o nic nie pytał. Tymczasem po fabryce chodziły różne pogłoski, na przykład ta, o której natracił kiedyś właśnie Działak, że Waligóra to Żyd i nazywał się po prostu Walfisz, syn młynarza z Woli. Szeroko namiętnym szeptem opowiadał o tym zawodowy plotkarz Gościński. — Tak to, panie, było — pytał na korytarzach — zdarzało się przecież, że ktoś przechował i ocalał żydowskie dziecko, potem nikt nie pytał, gdzie te dzieci, a tu właśnie — w ZMP, na politechnice, na stanowiskach! Umieć taki nic nie potrzebował — oni mieli protekcję. Długo się dało ukryć, ale dłużej rzecz nie przeszła: teraz w kadrach sprawdzają, no i połapali się!

Było to typowe endeckie gadanie, ale zdumiewająca rzecz, że zbiegało się ono obecnie z tendencjami, panującymi w Partii. Antysemityzm stał się tam bardzo wyraźny, objawiał się nawet w prasie, z tym, że Żydów nazywano teraz „syjonistami” i oskarżano o wszystko złe, co się w Polsce wydarzyło po wojnie. Istotnie, była tutaj kiedyś grupka Żydów politruków, przybyłych z Rosji, takich jak inżynier Rotman czy dyrektor Wilner, którzy podejmowali się różnych niemiłych funkcji i przez to zaszkadzili innym Żydom, tym co cudem ocaleli z niemieckiej rzeźni, ale przecież politycy od dawna nie mieli już wpływów, dłaczegóż więc odgrzewano nagle tę minioną sprawę? W dodatku antysemici przedwojenni raczej sobie cenili syjonistów czyli zwolenni-

ków narodowego państwa żydowskiego, uważając, że spowodują oni masową emigrację ludności żydowskiej z Polski. Tymczasem teraz najbardziej właśnie potępiano „syjonizm”, choć co prawda pod nazwę syjonisty podciągano każdego Żyda. Wobec tego również w Niedźwiedowie przebąkiwać zaczęto, że syjonista Wali-góra-Walfisz nie powinien pełnić swej dyrektorskiej funkcji, bo wobec wojny w Izraelu nie można mieć „do nich” zaufania. A to ci dopiero!

Osińskiemu przykro było specjalnie ze względu na Jasia Brzozowicza, który okropnie się tym wszystkim denerwował: nigdy nie ukrywał przecież swego żydostwa, ale chciał być Polakiem i był Polakiem. W obozie jeńców w Murnau krążyły, owszem pogłoski o prześladowaniu Żydów przez Niemców w okupowanej Polsce, ale dopiero po powrocie sprawdzili i zrozumieli z Jasiem tę rzecz nieprawdopodobną, widząc, że miliony Żydów, zaludniających kiedyś polskie miasta i miasteczka, po prostu wy-parowały. Jak do tego doszło, jak to zrobiono? Adam wysłuchał z czasem tysiąca opowiadań o mordowanych w komorach gazowych i ukrywających się Żydach, lecz nigdy nie zdołał w pełni sobie tego wyobrazić. W każdym razie przekonany był, że po niemieckich straszliwościach antysemityzm nigdy się już w Polsce nie odrodzi. Tymczasem odrodził się, nie bez zresztą niezamierzonej pomocy owej antypatycznej, bo egoistycznej i bezwzględnej grupy Żydów komunistów z Rosji. Odrodził się, co więcej, stał się dziś z kolei elementem partyjnej agitacji. Osiński widział już rozmaite zmiany komunistycznej taktyki, ale ta zaiste była zaskakująca, choć hasło przyszło pewno z Rosji. I pomyśleć, że ofiarą padał Jaś Brzozowicz, złoty kolega i dobry Polak — a więc i tutaj oskarżony zostaje nie ten, kto jest winien!

Widząc, że plotka Działaka o Waligórze stała się ciałem, Adam zaczął się również dowiadywać o ów rzekomy pobyt Michasia Chruszcza „w Rosji”. I to się sprawdziło: Chruszcz był w syberyjskim obozie, czyli łagrze, jak zresztą setki tysięcy Polaków, co ciekawsze, siedział z nim „stary”, czyli dyrektor Maciejewski — nikt nigdy o tym w Niedźwiedowie nie wspominał. Przygody ich okazały się zresztą, co opowiadał oczywiście uniwersalny informator Gościński — zgoła niezwykle. Oto Chruszcz i stary siedzieli we Lwowie w sowieckim więzieniu na Brygitykach. W dniu zbliżania się Niemców, Rosjanie rozstrzelali wszystkich więźniów bez względu na wyrok czy śledztwo, jednak Maciejewskiego i Chruszcza jakoś nie zdążyli, nawiewający oddział Armii Czerwonej zabrał ich ze sobą, gdzieś tam już w Rosji uciekli i obaj wylądowali w końcu w tym samym obozie, skąd wrócili po wojnie. A więc przeszli niejedno, wiedzieli czego się

bać, teraz wyjaśniało się poniekąd paniczne tchórzostwo dyrektora naczelnego i jego parogodzinne ochronne mowy o Leninie — za to Michaś był w swym spokoju imponujący. Nie można zatem nikogo potępiać bez uwzględnienia wszelkich okoliczności łągodzących — czy to samo będzie zastosowane ewentualnie do „sprawy” inżyniera Adama Osińskiego?

Atmosfera plotek, podnieceń, ciekawostek nie sprzyja pracy, i tak, wobec nieobecności Chruszcza, ogromnie trudnej. A tu jeszcze Adam miał teraz na dodatek swoje „drugie życie” — sprawę Jolanty. I właściwie, co uświadamiał sobie od czasu do czasu z dreszczem przestachu ale i z jakąś niejasną satysfakcją, trudno było orzec, które życie jest dlań w tej chwili pierwsze, które zaś drugie. Czasem wydawać by się mogło, że żyje sprawą Jolanty a swe godziny fabryczne po prostu jakoś tam odbębnia — tak zresztą postępowo z pracą również i wielu zgoła nie zakochanych urzędników, zwłaszcza tych gorzej płatnych, którym instynkt samozachowawczy nakazywał widać ekonomiczne gospodarowanie siłami i zasobami psychicznymi. Inżynier Osiński nigdy do nich nie należał, bez względu na to, ile mu płacono i jakie akurat panowały czasy, wkładał w pracę całą swą energię, a także (z wyjątkiem może epoki nieszczęsnego Biura Projektowego), całą, dostępną mu jeszcze porcję entuzjazmu. Tymczasem obecnie, chyba po raz pierwszy w życiu, zaczął patrzeć na pracę i jej irracjonalizmy jakoś z boku czy z dystansu — pomyślałby kto, że jest tu raczej widzem niż aktorem, choć przecież sytuacja wydawała się coraz bardziej niepokojąca, wręcz groźna. Niewyjaśniona sprawa z kooperantami stawiła pod znakiem zapytania całą przyszłoroczną produkcję, w drugim już kwartale mogą się zacząć katastrofalne historie, tymczasem nikt z odpowiedzialnych za kierunek produkcji ani się tą dziedziną nie interesował, ani w ogóle nie miał pojęcia o niebezpieczeństwach, jakie zawisły nad fabryką. Stary Maciejewski snuł swoje sklerotyczne marzenia o uroczystościach, jubileuszach i ćwierć milionowym traktorze, Waligóra gadał tylko o unifikacji produkcji i o koncentracji uwagi na paru wybranych typach traktorów, do których pasować będą wszystkie części, wytwarzane masowo na miejscu. Piękne marzenia, godne Napoleona techniki, tyle że w obecnych warunkach organizacji i układu plac w fabryce zupełnie nierealne, jakby kto chciał strzelać z kija. Toć nawet produkcji podzespołów dla przyszłej chluby zakładu, ciężkiego „czołgu” 385 nie dało się dotąd w żaden sposób rytmicznie ustawić, a parę wyprodukowanych egzemplarzy sterczało w środku placu na pokaz dla ministrów i członków Biura — broń Boże ich tknąć, bo części zapasowych ani śladu.

Zaiste, trudno o tak oderwane od rzeczywistości rojenia jak te, którym oddawał się Waligóra (czy, według powszechnej już opinii, Walfisz), tyle, że był przecież młody i wyuczono go pewnie, że ma szukać szerokich horyzontów techniki i produkcji, nie zaś babrać się w mozolnych szczegółach wykonania. Drobiazg, że szczegóły te mogły lada chwila zastopować bieżącą pracę i skompromitować wszystkich. Ale co tu wymagać od młodego geniusza, jeśli wytrawny, w więzieniu szkolony realista Staś Buchała zwariował na temat potrzebnego dziś jak kwiatek do kozucha elektrycznego pług, a uczoney bądź co bądź i zawsze dotąd tchórzliwy (tyle, że nigdy nie wiedział, czego się bać) „doświadczalnik” Jan Natorf jeszcze Stasiowi basuje, lansując ostatnio jakieś wariactwa przyszłości, zmotoryzowane narzędzia czy mikrociągniki od 4, 5 do 6 KM dla ogrodników i sadowników. Cóż to za ludzie: jadą dziurawą łódką, która lada chwila zatonie, a deliberują, jaki by jej misterny żagiel ustawić. I do tego brak jedyne go przytomnego i kompetentnego w tych warunkach partnera, Michasia Chruszcza, u Ptaśnikowej niepokojąca i dalszy bałagan wróżąca kontrola, tu zaś, nad samotnym Adamem, obok głównej klęski czyli sparaliżowania kooperacji wisi brak owej przeklętej obrabiarki do hamulcowych szczęk, wobec czego wszystkie, co do jednego, niedźwiedzowskie ciągniki mają niepewne hamowanie. Ukarać za to można tego lub owego, na pewno jednak nie „Mechanę” lecz na przykład właśnie Szefa Służby Zaopatrzenia i Gospodarki Materiałowej, że sprawy nie dojrzał w odpowiednim czasie. A przy okazji wyjdą na jaw niezbyt legalne umowy kooperacyjne z okresu ostatnich kilku lat, potem, oczywiście, przypomni się historie wrocławskie. No i co? Jakże wybrnąć z tego wszystkiego, zwłaszcza bez pomocy niewidocznego teraz a ostatnio jakoś niepokojąco się zachowującego Chruszcza? I tak tu nieść na sobie samotnie ciężar tej sytuacji, tak groźnej dla życia i funkcjonowania fabryki, choć nikt tego nie podejrzewa i nikt by nie uwierzył, gdyby mu nawet próbowano opowiedzieć. Niektórzy, jak inżynier Buchała na przykład, znali pewne elementy sprawy, całość jednak obejmował tylko jeden Chruszcz — Wielki Nieobecny. A bez jego świadectwa nikt Osińskiemu nie uwierzy, tak jak we Wrocławiu bez świadectwa milczącego inżyniera Rotmana. Nikt nie uwierzy, zbyt to nieprawdopodobne i osobliwe, aby tak wielki ciężar jak produkcja Niedźwiedzowa wisiął na podobnie cienkiej i irracjonalnej, w dodatku przez nikogo nie dostrzeganej nitce.

Tak, było się czego obawiać i normalnie inżynier Osiński zlodowaciałby wewnątrz, owładnięty jedną, jedyną myślą o grożącym niebezpieczeństwie. Normalnie — lecz teraz nic się nie

działo normalnie. Adam patrzył na wydarzenia jakby przez matową szybę czy przez odwrócone szkło lornetki. Z zaciekawieniem, owszem, nawet z pewną niewątpliwą emocją, ale tak, jakby widowisko dotyczyło kogoś innego. Wiedział, że to, co go naprawdę interesuje i angażuje całą jego osobowość, zaczyna się dopiero późnym południem, właściwie z nastaniem ciemności, gdy pejzaż Uranowego Osiedla rysuje się niejasnym konturem w bladym świetle jarzeniówek, odbitym od wysokich, śnieżystych wzgórków, obrzeżających w tym roku warszawskie chodniki. Ciemnawe, ośnieżone ulice, zamglony zaułek i parking poza blokami Osiedla — to była, patetycznie mówiąc, kraina jego miłości.

Czyżby rzeczywiście spotkał oto, w sposób tak niespodziewany, prawdziwą miłość? Sam, zdziwiony swym postępowaniem i nieobliczalnymi reakcjami, zadawał sobie to pytanie. Miłość polega na tym, że zawsze nas zaskakuje, że jest inna, niż można by przewidzieć, przekreśla bowiem wszelkie rachuby oraz wyobrażenia i przez to, że nie można się było zawczasu na nią przygotować czy od niej ubezpieczyć, staje się faktem tak nieodpartym. Atakuje nieuprzedzonego, w tym jej siła, w tym też wytłumaczenie, dlaczego wydaje się zawsze niepowtarzalnie dziwna, przynajmniej wydaje się taka delikwentowi, poddanemu z nagłą jej niepowstrzymanym i nieodwracalnym działaniem.

Miłość Adama też była dziwna. Szła na poprzek czy pod włos wszelkim jego nawykom, upodobaniom, ba, poglądom i zasadom nawet. W tym zresztą może jej główny urok: człowiek, który jej się podda, czuje się nagle wyswobodzony ze wszystkich więzów i zahamowań, jakie go krępowały, jakie gnębiły, dokuczały, uwierały, choć przedtem wcale na pozór o nich nie wiedział — tu widocznie miał swoją rację Freud. Adam dawał się więc oswobadzać, lecz dziwił się ciągle, że przyzwolenie na to przychodzi mu tak łatwo.

A przy tym nie był przecież bezkrytyczny — Jolanta często go drażniła, widział jej pozy, krygowania i zmienne humory. Nie miał z nią łatwego życia, jeśli w ogóle tę huśtawkę zaskakujących nastrojów, zawieszoną wśród przypadkowych, niestabilnych okoliczności, można było nazwać wspólnym życiem. Przy tym Jolanta nie zabiegała już o niego, teraz, gdy go już osiągnęła, wymykała mu się jak mogła, skazując go na tęsknoty, niepewności, zazdrość i przeróżne gniewy, które wywoływała rozmyślnie, z niewinną minką, jakby o niczym nie wiedziała, niczego się nie domyślała. Skazany był na gonitwy za nią, na gimnastykowanie się między budką telefoniczną, schodami jej wysokościowca, improwizowanym parkingiem gdzie po dziesięć razy

na dzień sprawdzał obecność czy nieobecność zielonego Volkswagena. Co wieczór od chwili powrotu z Niedźwiedowa zdany był na tortury niepewności i zazdrości, nigdy bowiem nie wiedział dokładnie, czy ona jest już w domu, czy z Działakiem czy sama, co właściwie robi i myśli, czy jest wolna od uczucia ssącej pustki, która gnębi Adama. Nie widział już domu, zdenerwowanej swoimi przeczuwalnymi sprawami Jadwigi i przymilkłego nagle, spode łba jakoś spoglądającego Zbyszka, który zresztą kilkakrotnie przyłapał ojca na podejrzanych usiłowaniach telefonicznych. Z telefonami to w ogóle była rozpacz: jeśli nie dom, owo mikroskopijne, za to diabelsko akustyczne M 3, to pozostawał telefon przy dworcu, bo budka przed blokami zupełnie się już stała nieznośna. Brnął więc Adam do dworca, ale po drodze sprawdzał, czy stoi wiadome auto: jeśli stało, wówczas nasuwało się kilka możliwości, na przykład, że Działak wyszedł gdzieś pieszo, a Jolanta jest sama, albo że wyszli oboje, albo że Działak jest sam, zaś na Jolantę można się gdzieś zacząć koło mostu nad przystankiem Ochota, bo szła zwykle od strony Alej Jeruzolimskich. Raz ją tam nawet przyłapał i usiłował odprowadzić do bloku, ale była przerażona i pokazywała wciąż na okna trzeciego piętra — czyżby Działak ją śledził czy co u licha? Także gdy kiedyś, bez uprzedzenia, Adam zakradł się na owe trzecie piętro i zastukał (unikając dzwicznego dzwonka) do ich mieszkania, Jolanta ujrawszy go położyła palec na ustach z wyrazem najokropniejszego przerażenia w oczach. A przecież dzwonił uprzednio trzy razy, stwierdzając, że telefon zawsze przyjmowała ona, czyli, wedle wszelkich poszlak i rachunku prawdopodobieństwa, Działaka w domu nie było. Potem dopiero się okazało, że mąż spał i na szczęście (jak mówiła Jolanta) niczego nie zauważył. „Zabiłby mnie chyba, ja się go boję”, labidziła, ale według Adama, robiła to nieszczerze, udawała. Gdy urządził jej sceny, że choć wygaduje na Działaka, jest w istocie po jego stronie, po stronie reprezentowanej przez owo pieczołowicie obchuchane, niby wschodnie mieszkanko, mówiła mu: „Weź mnie z sobą, zabierz mnie stąd, ja się go tak boję”. To znowu mroziło Adama swym bezlitosnym, nie życiowym maksymalizmem: jakżeż to i dokąd miał ją brać ze sobą, gdy w domu jest Jadwiga, niczego się nie spodziewająca i Zbyszek, stwór z innego świata? Lecz skoro nie chciał wziąć Jolanty „ze sobą”, już, zaraz, natomiast, czego się domagała po wypiciu dwóch kieliszków, to w jaki sposób mógł żądać, by zerwała z Działakiem? Przy takiej konfrontacji pozycja jego od razu słabła, wobec tego musiał przecież nadal tolerować ich stadło, stosować się do ich rozkładu zajęć, nawet przyjemności, bo gdy na przyk-

ład szli do kina a on był o tym uprzedzony, przeżywał wówczas w pełni swą jałową samotność, nie mogąc usiedzieć w domu plątał się po osiedlowym niby dziedzińcu, z nienawiścią patrząc na małe zielone auto, którego obecność nic teraz nie znaczyła, bo państwo Działakowie do kina chodzili pieszo. Zdarzało mu się nawet wbiec wtedy na trzecie piętro i zadzwonić sobie bezkarnie, wywołać przez naciśnięcie ów srebrzysty, długo wybrzmiewający akord. Raz nawet zrobił to dwukrotnie, aż z drzwi z naprzeciwka wyjrzała jakaś zaciekawiona pani. Inżynier Osinowski wściekły na siebie zbiegł na dół, jak przyłapany sztabak. Ale to było od niego silniejsze, wiedział, że nadal krążyć będzie po dziedzińcu i jego okolicach, spoglądając to w stronę Towarowej, to ku starej ulicy z czerwonej cegły, to ku Alejom Jerozolimskim. Gdy zaś dojrzy z daleka zbliżające się małżeństwo Działaków, skryje się gdzieś jak szczur (skryje się podwójnie, bo przed nimi i przed niezmiennym penetrującym okolice ruchliwym Zbyszkiem), aby potem z drżeniem serca wpatrywać się w ciemne okna trzeciego piętra, oczekując, aż rozbłyśnie w nich światło, nie jaskrawe, lecz kolorowe, przepuszczone przez jakieś azjatyckie, barwne muśliny. Istne błędne koło jałowych udręczeń.

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno nic go ta Jolanta nie obchodziła, że patrzył na nią krytycznie a jej umizgi przyjmował z rezerwą, z ironią i autoironią. Teraz zresztą zdarzało się to również, ale dopiero wtedy, gdy ją w końcu, po wielu perypetiach, jeszcze raz osiągnął, gdy odbyli swe kolejne misterium w kolorowym zawsze mroku, na owym niskim, też jakoś wschodnim tapczanie. Dochodziło do tego zresztą z trudem, po nieskończonych teraz ostrożnościach i wzdraganiach się z jej strony, przepłatanych ciągłymi trwożnymi westchnieniami że „Ryszard” ją zabije i że ona się strasznie boi. Gdy wreszcie przewyciężył jej opory, zazwyczaj przy pomocy wódki (Adam zastanawiał się serio, czy Jolanta nie jest po prostu najzwyczajniejszą w świecie alkoholicką — mitomanką), gdy po wielu obłądnie śmiałych pieszczotach i gwałtownych, wspólnych spazmach, nakrywał wreszcie jej bielejące w ciemności ciało owym z góry przygotowanym miękkim futrem, wtedy czuł się uspokojony, zrównoważony, panujący nad sobą i nad nią. Jolanta zaczynała wówczas, a raczej próbowała rozwijać swą zawiłą, nieuporządkowaną opowieść o „biednym Ryszardzie” który jej nie rozumie i nigdy nie zrozumie, z którym jest nieszczęśliwa, którego się boi. Ale Adam przerywał jej tę gadkę bez ceremonii, nie chciał tego słuchać, ani wtedy, ani w ogóle, zwłaszcza, że historie owe wydawały mu się jakieś alkoholowo sztuczne, pozerskie, tanio afektowane. Tak więc Jolanta nie mogła nigdy wyjść poza wstępne

aluzje, wobec czego zaczynała mówić o swej miłości do Adama, poczętej, według jej wersji, od pierwszego spojrzenia. Tego to już Adam słuchał chętniej, martwiąc się tylko, że do wynurzeń podobnych dochodziło jedynie po alkoholu i jedynie w takie właśnie a nie inne wieczory. Normalnie, we dnie, Jolanta bywała teraz zabójczo trzeźwa, rzeczowa i ostrożna, dopiero te dziwne wieczory wyzwalaly z niej romantyczną egzaltację, egzaltację, która kiedyś skłoniła ją do niespodziewanego położenia ręki obcego mężczyzny na swej piersi. W dodatku zdarzyło się to wówczas w prozaiczny, biały dzień, w Niedźwiedzkim biurze, dziś było do pomyślenia tylko w specjalnym, trudnym do osiągnięcia nastroju owych namiętnych zmierzchów, w kolorowym, egzotycznym mroku, kiedy warszawskie Uranowe Osiedle na parę zimowych godzin przestawało być sobą i stawało się irracjonalną krainą wszelkich możliwości.

Ale rzadko, coraz rzadziej trafiały się takie wieczory. Trudno było do nich doprowadzić, nie tylko z powodu oporów i leków Jolanty, ale z przyczyn czysto technicznych: technika socjalistycznego, jak mówiono, życia, była trudna, wymagała starannych przemyśleń, uwzględnienia przeszkód prymitywnych ale nieodpartych, wciągających człowieka w swój absurdalny system i pętających jego swobodę ruchów, niczym owa śnieżysto błotnista maź, która zalegała w tym roku uliczne bruki, jezdnie i chodniki, czyniąc poruszanie się po nich mozolniejszym niż zwykle. Przede wszystkim, jak to sobie Adam mówił po wojskowemu, szwankowała łączność, główny bowiem kłopot nastęrczały właśnie nieszczęsne rozmowy telefoniczne, realizowane czy to z dworca, czy z osiedlowej budki, czy ewentualnie, choć pod Bożym strachem, z domu. Wiele ich było, duża jednak część padała łupem Działaka. Działak odzywał się, mówił „halo” nonszalanckim, nosowym głosikiem. Przejęty niechęcią, odrazą a także jakimś ukrywanym przed sobą lękiem, inżynier Osiński oczekiwał chwilę, znacząco, z napięciem, po czym odkładał słuchawkę. Ale wydarzenie takie powtarzało się zbyt często, za dużo było tych dzwonień, paradoks to zresztą, że mieszkając tuż obok, w jednym osiedlu, trzeba się posługiwać telefonem, drugi paradoks, że przecież z tymże rozmówcą tego samego dnia siedzieli wiele godzin w jednym biurze, że inżynier Osiński patrzył spokojnie w oczy swemu zastępcy a tamten najwyraźniej niczego się nie domyślał. (Co prawda z tym siedzeniem w biurze to była raczej teoria, Działak bobrował teraz nieustannie po całym rozległym terenie fabryki wraz ze Zdzisławem Orzechowskim, cwaniaczkiem i blagierem z młodzieżówki czyli ZMS-u — coś najwyraźniej przygotowywali). Że też to można bezkarnie bywać

w mieszkaniu faceta pod jego nieobecność, potem widywać go w pracy, a potem dzwonić do niego i słuchać jego głosu samego się nie odzywając! Swoją drogą człowiek to istota bezczelna — tak myślał czasem o sobie Adam Osieński, mimo całej abominacji, jaką czuł do Dziamaka.

Inna sprawa, iż rzeczywiście telefonów owych było już za wiele. Przecież Dziamak to ubek, człek doświadczony i na pewno podejrzliwy, musi się w końcu zorientować, że coś tu z tym ciągłym dzwonieniem jest nie w porządku, może zaalarmować kolegów z jakiejś tam służby, mają wszakże sposoby sprawdzenia, podobno wszystkie telefony w Warszawie są na podsłuchu. Trzeba więc bardzo uważać, zwłaszcza z dzwonieniem od siebie. Tymczasem gdzieś w połowie stycznia stało się coś dziwnego: w mieszkaniu Adama zaczęły się odzywać takie same głuche telefony: ktoś milczał chwilę i przerywał połączenie. Szereg razy trafiło to na Adama, potem rzecz zaobserwował Zbyszek, wreszcie przyszła kolej na Jadwigę, która odkładała słuchawkę, zaciskając usta. Ciekawe, czy to rewanż, czy to całkiem co innego i kto inny? A może to było w związku z doktorem Lasotą i tą jego histeryczką żoną — w tej sprawie zresztą przyszło już z kolei parę anonimów, szczęście, że tylko Adam miał w domu klucze od skrzynki pocztowej, przeglądał więc korespondencję jeszcze na schodach i nieodpowiednie listy z miejsca skrupulatnie niszczył. Nie wiedział tylko, czy porozmawiać wreszcie o tym wszystkim z Jadwigą czy nie. W tej chwili, wobec sytuacji z Jolantą, rozmowa taka byłaby dla Adama niezmiernie trudna — Jadwiga zresztą o niczym co jego tyczyło nie wiedziała, był tego pewien, ale znajdowała się w jakimś bardzo złym stanie, chorobliwie zaabsorbowana swoimi sprawami — na pewno słyszała o anonimach i telefonach żony doktora Lasoty. A więc tkwiło coś jednak z prawdy w tej historii? Adam nie mógł teraz robić żonie wyrzutów, zresztą w ogóle by nie potrafił. Niechże więc sprawy pozostaną na razie w zawieszeniu — chociaż co to właściwie znaczy „na razie”?

Owe nieustanne, bo coraz już częstsze, głuche telefony wytwarzały atmosferę podminowania, zdenerwowania, tajemniczości. Jakby jeszcze mało było tego wszystkiego, kłopotów i złowróżbnych nastrojów w fabryce, Jolanty i nieustannej pogoni za nią, zazdrości, niesmaku, trwonienia czasu na jałowych udrękach, a także całkowitego już rozkładu życia domowego, co jak się zdaje rozumiał nawet Zbyszek! W dodatku konferencję produkcyjną Niedźwiedowa wobec kontroli i wobec ciągłej nieobecności Chruszcza przełożono na początek lutego. Jest to wręcz alarmujące — wszak sprawa dostaw kooperacyjnych zahacza już o dru-

gi kwartał, trzeba decydować co do wielu szczegółów, a tu kierunki produkcji nie są wcale z kimkolwiek uzgodnione. Waligóra opowiada swoje, wiadomo jednak, że strzela bez prochu i że o wszystkim ostatecznie zadecyduje Chruszcz. Tymczasem kooperacja w lesie, Adam dojutrukuje, w okolicy Warszawy jeździ, resztę próbuje załatwiać listownie, nie chce w tej chwili opuszczać miasta, pewno ze względu na Jolantę, choć się do tego przed sobą samym nie przyznaje. Ale denerwuje go to wszystko, mimo iż zewnętrznie zachowuje spokój — ciężko mu się żyje tej zimy, nie służy mu coś owa, jak ją sobie nazywał, zimowa miłość.

Pod koniec stycznia mrozy nagle ustąpiły, przyszło od razu, bez wstępów, przesadne już, zgniłe ciepło, po czym zaczęły wiać gwałtowne, denerwujące wichry — warszawska odmiana zakopiańskiego halniaka. Taki właśnie wiatr dmuchał i wył tego dnia, gdy Adam po tygodniowej przerwie umówił się z Jolantą u niej w domu. Działak miał jakieś zebranie czy wyjazd czy coś tam, tak czy owak wieczór był wolny. Wicher szalał po osiedlu jak wówczas, w Sylwestra, było ślisko, ciemnawo, jakieś blachy balkonowe stukwały i trzaskały, za rogiem wyło wręcz opętańczo. Inżynier Osiński nasłuchiwał tego wycia, wspinając się po schodach — idąc do Działaków nigdy nie używał windy. Wiatr niepokoił, ale i pocieszał: zaczyna się odwilż, ustąpią śniegi i lody, coś się może wreszcie ruszy, zmieni, aby tylko przeczekać inwazję błota, jaka teraz nastąpi, aby do przedwiośnia — wszak może ono przyjść i w lutym, zima w tym roku zaczęła się tak wcześniej. Aby przetrzymać, aby do zmiany!

Jolanta przyjęła go nerwowo, może i na nią działał wiatr? — Boję się, mam złe przecucia — mówiła szybko. Próbował ją objąć, lecz wywinęła mu się z jakąś niezwykłą siłą. — Mam złe przecucie, czuję coś złego — powtarzała. Adam wiedział, że w takiej sytuacji jest jedna rada, trzeba zmusić ją do współbrzmienia i współdziałania zmysłowego, podniecić nagłą pieśczo-tą, potem dać dwa kieliszki wódki czy „koktajlu”, wtedy rozpręży się, wyswobodzi, zapomni o wszystkim, sama zrzuci suknię i znowu znajdą się w swojej krainie, wśród owego wspólnie przeżywanego i dotykalnie niemal odczuwanego kolorowego mroku, oddzielającego ich od całego świata. Objął ją mocno i próbował pieścić po swojemu, jak to mieli w zwyczaju, ale wciąż szamotała się ślepo i gwałtownie, choć w milczeniu. Adama ogarniał gniew: trwało to zbyt długo, czyż ona zawsze odgrywać musi te swoje komedie? Przyciągnął ją do siebie całą siłą, coś tam upadło, coś brzękło, mniejsza z tym, gdy oto nagle oczy Jolanty rozszerzyły się, wpatrzyły w jeden punkt, z ust wybiegł

pisikliwy, miewi krzyk. Tknięty przecuciem Adam odwrócił się: w drzwiach stał Działak.

Jeszcze chwilę trwali przytuleni, po czym nagle Jolanta wyrwała się Adamowi i ze szlochem przypadła tamtemu do ręki. Straszny gest, jakież to obrzydłe! Coś wykrzykiwała szlochając, wciąż całowała męża po rękach, obiecywała mu „wszystko wytłumaczyć”, wzywała Adama, żeby sobie poszedł. Działak stał nieruchomy, w futrzanej czapie, obcałowywanych rąk nie cofał, patrzył, nie wiedzieć, na Adama czy gdzieś w przestrzeń — połączone okulary migotały ukośnie.

Scena przeciągała się, milcząco i nieoczekiwanie, jakby kto zatrzymał film: Jolanta wciąż płakała i klęcząc wpijała się ustami w ręce męża, Działak wciąż stał nieruchomy, więc Adam także ani drgnął. Wiedział, że wyjść może tylko powoli, że nie ma prawa uciekać, trzeba tamtemu dać okazję, satysfakcję, możliwość. Ale w końcu trwało to już za długo, stawało się śmieszne i obrzydłe, tak jakby obydwaj nieruchomo wsłuchiwali się w zaklęcia i szloch Jolanty. Wreszcie Osiński, tak jak stał, w płaszczu jeszcze, ruszył powoli ku drzwiom. Jolanta zamilkła, Działak usunął się lekko, robiąc przejście. Jeszcze chwila i Adam jest już na schodach, jeszcze parę chwil i oto otwiera parterowe szklane, zacinające się drzwi, aby znów pogрузić się w falach ciepłego, porywistego wichru. A co myśli? Zupełnie nic, chociaż gdzieś tam, poza myślami, wie wszystko, wie dokładnie.

XII

Odtąd już życie zaczęło się toczyć całkiem dziwnie, choć było teraz otwarte, w przeciwieństwie do uprzedniego zamknięcia. A raczej może nie tyle otwarte, co wyzbyte praw ciężenia — jak by się wszystko odbywało w nierealnej próżni. Nadal nikt się nie przejmował brakiem limitów i nowych umów kooperacyjnych, choć produkcja stanąć mogła za dwa miesiące, nikt nie pytał co z kontrolą u Chruszcza i Ptaśnikowej, dlaczego najważniejszy w istocie człowiek Niedźwiedowa wciąż jest nieobecny a etapowego planu rzeczowego na bieżący już rok w ogóle nie dostarczono, nikt się nie dziwił, że maszynowego obrabiania szcęk hamulcowych zaniechano, że kobiety przygotowane do tej pracy zwolniono zaś traktory niedźwiedowskie wyjeżdżały na plac z niepewnym hamowaniem — jak zwykle. Nawet Staś Buchała się już nie przyczepiał, miał zresztą jakieś kłopoty ze zbytem, remanenty ciągników w aparacie handlu rosły, może dlatego, że wieś chciała ciągników lekkich C-330 a Niedźwiedów oferował co popadnie, co mu akurat zeszło z taśmy, głównie „szafy” C-40011, może zaś dlatego że stworzono znów nową jednostkę handlowo-koordynacyjną pod nazwą „Agroma”, która wszystkiego musiała się uczyć od początku. Za to zdewastowane ciągniki bez akumulatorów, opon, prądnic, reflektorów, tłoków, przeznaczone rzekomo do napraw gwarancyjnych, zalegały dziedzińce Niedźwiedowa, Przeznaczone rzekomo, bo praca Nowej Odlewni szła coraz gorzej, normalnych podzespołów i w ogóle materiałów dla codziennej produkcji brakło, odlewy pękały, taśma montażowa wciąż stawała, jakże tu więc myśleć o częściach zapasowych do remontów, choćby i remontów obowiązkowych, gwarancyjnych? A w ogóle stanie wszystko, gdy za dwa miesiące zbraknie śrubek, nakrętek, wentylków, drutu i kabla, nie mówiąc

już o wkładkach do filtrów, czy olejkach i pompach wtryskowych — tak sobie myślał inżynier Osiński, lecz z nikim się tą katastroficzną myślą nie dzielił, bo i któżby go teraz, pod nieobecność Chruszcza, zrozumiał? Może Staś Buchała, lecz ten, przygnieciony sprawą trudności handlowych, chodził nieprzytomny, z przekrwionymi oczyma, nawet już o pługu Walichowskiego zapomniał. — Upchnęłoby się remanenty w miesiąc — mruczał — gdyby pozwolili teraz, przed wyjściem na pola, sprzedać traktory na raty indywidualnym chłopom — rzuciliby się na każdy ciągnik, nawet półciężki, rzuciliby się jak wilki. Ale cóż, nie można, rządzi idea, społeczeństwo ma być bezklasowe, nie wolno chłopu posiadać maszyn, może je tylko z łaski państwa użytkować. Skoro idea ważniejsza jest niż życie, to marnujemy produkcję, pracę, materiał — czemu nie?!

Na owo „reakcyjne gadanie” Stasia nikt już zresztą od dawna nie zwracał uwagi, pewno dlatego, że tkwiła w tym jakaś istota rzeczy, a któżby był dzisiaj tak szalony, żeby zajmować się istotą rzeczy. Ten właśnie brak zainteresowania esencją zagadnień wydawał się Adamowi sprawą najdziwniejszą: tu właśnie zawierała się przyczyna ogólnego stanu nieważkości. Nieważkość ta zresztą, niewyciąganie konsekwencji z czegokolwiek, stała się również cechą osobistego życia inżyniera Osińskiego. Ostatnie wiadome wypadki nie miały bowiem żadnych skutków, to było najpierw zdumiewające, potem zdumiewające i upokarzające. No bo przecież Działak, problem Działaka. Tymczasem nic się nie wydarzyło po owym fatalnym incydencie — Działak nic nie mówił, niczego nie chciał, kłaniał się z daleka, może był trochę błądy, ale nie, zawsze przecież prezentował się jak wyemoczek. Tragiczność błazna i ubeka, to byłaby nawet rzecz poniekąd go uwznioślająca, rehabilitująca, na razie jednak zupełnie jakoś na to nie wyglądało. Po paru dniach Działak jął się nawet pojawiać przy biurku Osińskiego, najczęściej ze Zdzisławem Orzechowskim, spryciarzem i frantem, który zawsze miał na języku jakiś świeży kawał antypartyjny czyli antyrządowy, choć wiadomo było, że to szpieg i ucho Partii, wyciąga ludzi na słówka a potem wszystko donosi. Tylko produkcja nic a nic go nie interesowała, miał inne zadania, wszyscy zresztą mieli inne zadania niż trzeba i nie interesowali się tym, co było najważniejsze, czyli zbliżającym się najwyraźniej produkcyjnym końcem świata. Zdzisław Orzechowski posiadał zresztą teraz w repertuarze głównie dowcipy o Żydach. — Monius, daj jakąś pracę — prosi zwolniony Żyd innego Żyda, jeszcze dyrektora departamentu. — Nie mam żadnej pracy — odpowiada dyrektor, tylko fizyczną, bardzo ciężką, łupanie kamieni — tego przecież nie weźmiesz!

— Monius, co znaczysz nie wezmę? — mówi Żydek. — Już biorę — daj ludzi, a już biorę!

Miało to znaczyć, że Żydzi chcą tylko zarządzać a nie pracować — taką tezę szerzono teraz w Partii, przywołując w dodatku od dawna już nieaktualne nazwiska Zambrowicza i Janowskiego. Byli to niegdyś, w latach czterdziestych i początku pięćdziesiątych, wszechmocni Sekretarze i członkowie rządzącego Biura, Żydzi co przybyli z Rosji i wprowadzali w Polsce komunizm — zresztą nic innego robić nie mogli, jeżeli już tak koniecznie chcieli działać. Ale z czasem, w 56-tym, rozumiejąc, że są niepopularni i będą obwinieni o stalinizm, zaczęli się zmieniać, liberalnieć, potem w ogóle stanęli na czele ruchu zwanego „odwilżą”, za co ich w końcu (nie za stare grzechy) wyrzucono z Partii. Od lat już nikt o nich nie słyszał, a teraz sama Partia stawiała ich ludziom przed oczy i to usilnie, natrętnie, oskarżając o „syjonistyczny” spisek, o chęć powrotu do rządów i o inne mało prawdopodobne winy Adam nic z tego nie rozumiał, ale dla podnieconych plotkarzy w rodzaju Gościńskiego była to gratka nielada. Fabryka trzęsa się od plotek na temat losu czterech czy pięciu „Żydków” zatrudnionych w Dyrekcji i w umysłowym. Zastępca Naczelnego Wilner wziął natychmiast urlop zdrowotny, jakby chcąc uniknąć zbliżających się wydarzeń. — Temu to nic nie będzie — mówili ludzie — ma zasługi z czasów, kiedy chodził w mundurze. — Ale Walfisza to wykończą! A z Brzozowiczem też będzie kuso. Doczekali się ich mać!

Inżynier Osiński nic z tego wszystkiego nie rozumiał — kto i po co rozdmuchiwał podobne bzdury, podczas gdy 15-tysięczny zakład Niedźwiedowski stał na granicy dezorganizacji? Waligóra, owszem, pewno się i nie nadawał na kierownicze stanowisko, ale takich mieli przecież dziesiątki, ze starym leniem i tchórzem Maciejewskim na czele. I co tu winien biedny Jaś Brzozowicz?! Widać jednak dzieło Hitlera nie całkiem poszło na marne, w każdym razie jedyne, co po nim zostało, to zniszczenie Żydów, ale nie tylko fizyczne unicestwienie, lecz także zniszczenie ich w świadomości ludzkiej. Hitler odczytał ludzi od faktu, że Żyd to rzecz normalna, odczytał ludzi od obecności Żydów, Żydzi stali się samotni; podczas gdy przed wojną żyli w swoim tłumie, dziś żyje im się smutno i osobno. Przedtem popierała ich Partia, teraz ich wszyscy odepchnęli, w dodatku chcą na nich zwalić winę, posługując się antysemityzmem przedwojennym, masowym. Co za dziwna intryga — ktoś chce pewno odwrócić uwagę od grożącej plajty: wszak ten ustrój to jedno, wielkie a nieudolne przedsiębiorstwo, bez rezerw, na granicy bankructwa, odcięte od

świata techniki zachodniej, kierujące się dziwacznymi zakazami i nakazami w założeniu ideowymi, w praktyce absurdalnymi. Kto winien? Dlaczego nagle Waligóra i Brzozowicz, a także intrygi i spiski „syjonistyczne” na Uniwersytecie czy w Związku Literatów, o czym wciąż gadano i tajemniczo pisała też prasa?! Osobliwa to historia, lecz konkretna, niesie ze sobą realne skutki, choćby w postaci wygwizdania Waligóry na naradzie produkcyjnej — rzecz to wszakże do niedawna wręcz nieprawdopodobna.

Bo było już przecież po owej lutowej naradzie, na której, jak zresztą Adam z góry przewidywał, mówiono o wszystkim prócz tego, co ważne i pilne. Ale mówiono burzliwie, namiętnie, z demagogicznym krzykiem, ktoś więc na to pozwolił, ktoś rzecz podsycał, to było oczywiste. Nawet dyrektor Maciejewski zrezygnował ze swojej wstępnej dwugodzinnej gadki o Leninie, od razu przeszli do rzeczy — tylko do jakiej?! Ton hysterii i demagogii nadał młody przewodniczący samorządu robotniczego, Jan Bieniek. Ten się rozdarł — Chryste Panie!

Ów Bieniek to był typowy chłop, obłąkany przez partię, przez życiowy awans i przez Warszawę — chłopci pozbawieni tradycji, religii, własnych, starych form życia, wariowali w tej stolicy nie licho, a Partia umiała to wykorzystać, sekretarz Karaś nie musiał stękać swoim głuchym, starczym basem, Bieniek krzyczał za trzech, choć przecież nikogo nie reprezentował: ani to robotnik, ani chłop ani inteligent, po prostu funkcjonariusz — pozytywka, przez kogoś tam nakręcana, roślina wyrwana z ziemi, co wrosła ślepy m korzeniem w obojętny miejski kamień. Sekretariat Partii dopuścił go do konfidencji, komuniści go opętali, wyobcował się ze swej przyrodzonej niegdyś sfery i stał się „działaczem” — tyle, że pomyłonym, zdezorientowanym — jak to w ogóle działacz w Polsce Ludowej, osobliwy zawód, jedyny w świecie. Inna sprawa, że całe to zgromadzenie na wysokiej Konferencji Produkcyjnej mocno było dziwaczne, choć coś, co stale wraca, dziwaczne już podobno nie jest: sto kilkadziesiąt osób, mające niby reprezentować kilkunastotysięczne miasteczko produkcyjne, jakim jest Niedźwiedów a w istocie reprezentujące własną wielokierunkowość, rozbieżność i chaos — to ci dopiero zgromadzenie! Kierownicy działów, inżynierowie i majstrowie („mistrze”, jak mówiono teraz), Komitet Fabryczny Partii, Rada Zakładowa i samorząd robotniczy, dyrekcja i planowanie, czyli objawiony wreszcie a jeszcze mniej mówiący niż zwykle Chruszcz, kadry, handel, zaopatrzenie, administracja i BHP, pracownicy socjalni, kulturowcy i oświatowcy — ci, wszyscy szczególnie wzięci mieli własny punkt patrzenia, odmienne interesy i sprawy, tyle, że są to sprawy drugorzędne, uboczne, nie dające się

rozstrzygnąć bez ruszenia centralnych zagadnień, dotyczących przedmiotu i organizacji produkcji, co do których tymczasem obecni, choć roznamiętnieni jak koguty, dziwną wykazują dezorientację, totalne nieobznajmienie zgoła. Różność interesów to rzecz dobra, ale nie w socjalizmie, gdzie jej oficjalnie nie ma, wobec czego się ją ukrywa pod płaszczem dyskusji gromkiej lecz nijakiej, w której opuszcza się sprawy najważniejsze a konflikty świadomie kanalizuje tak, iż znosząc się i neutralizując wzajemnie, doprowadzają w rezultacie do zera, do braku wszelkiej decyzji.

— Panowie uwiliście sobie gniazdko, aby Wam było ciepło — grzmiał Bieniek — („panowie” — to było specjalnie obraźliwe — normalnie mówiło się „towarzysze” lub „obywatele”), panowie z Umysłowego zapomnieli, że żyją w Polsce Ludowej, gdzie rządzi lud pracujący miast i wsi! Ale klasa robotnicza Niedźwiedowa da sobie radę z klikami, z kumoterstwem, z wyzyskiem! Tak krzyczał Bieniek, chodziło mu zaś o to, iż Rada Zakładowa przy podziale funduszów i przyznawaniu premii faworyzowała rzekomo pracowników umysłowych kosztem fizycznych. Nie rozumiał, osioł ciężki, że premie dla umysłowych to rezultat wykonania i przekroczenia planu, przyznawanie ich zatem leżało w interesie wszystkich. Natomiast robotnicy zarabiali za nadgodziny, w paradoksalny więc sposób, im gorzej szła produkcja, im więcej było przykrych niespodzianek, braków w dostawach i przestojów taśmy, tym mieli więcej okazji do zarobku: za przerwy w pracy forsą „leciała”, a potem przychodziły nadgodziny. Prawda, ci co wracali każdego wieczora daleko na wieś nie brali nadgodzin, ale ci i tak mieli oparcie w rodzinnych gospodarstwach. Najgorzej dzieje się starym, wykwalifikowanym robotnikom z miasta rodem: skoro fabryka płaci nie za jakość lecz za ilość ciągle przerywanej pracy, za czas, spędzony na miejscu, więc i oni muszą brać nadgodziny, żeby wyjść na swoje, podstawowe płace są przecież niskie, premia nic by im nie pomogła, jeśli planów się nie wykonuje. Najtrudniejszą w gruncie rzeczy sytuację mają mistrzowie, płatni za akord i technikę, ale oni radzą sobie, ściągając łapówki ze swoich ludzi, o czym się nie mówi, choć wszyscy wiedzą. Znalazłoby się, owszem, dużo rzeczy do zmiany w systemie robotniczych płac, bez absurdalnej kłótni z umysłowymi, lecz tego Bieniek nie wie, bo wcale już sam nie pracuje, nie reprezentuje żadnych robotników, lecz własne karierowiczowstwo. Zresztą nawet gdyby do wiedział, to by mu organizacja partyjna gadać o tym nie pozwoliła, bo odnośna decyzja musiałaby przyjść z góry. Krzyczał więc swoje pusto i bez treści, ale robił „czujność klasową”, takie otrzymał najwyraźniej

aktualne zadanie polityczne, nic zaś innego się dlań nie liczyło, na nic nie zwracał uwagi.

To wrażenie potwierdziło się jeszcze Adamowi, gdy Bieniek zaatakował „panów”, chcących sprzedawać traktory indywidualnym, bogatym chłopom, czyli „kułakom”, aby przywrócić rządy „wiejskiej burżuazji” i zadać „cios w plecy” socjalizmowi. Tu już partyjna inspiracja wylaża ostentacyjnie, niczym szydło z worka, bo żaden chłop z pochodzenia, choćby tak wykorzeniony i wyzbyty skrupułów jak Bieniek, nie krzyczałby sam z siebie przeciw marzeniu wsi, którym jest od lat prywatny, tani traktor, jakikolwiek, aby tylko własny.

Było to najwyraźniej wymierzone w Stasia Buchałę, tenże bowiem na początku postraszył zebranych owymi handlowymi remanentami mniej poszukiwanych modeli i oczywiście nie omieszkął polecić jako lekarstwa — indywidualnej sprzedaży. Inżynier Buchała próbował teraz przerwać Bieńkowi, wstając z miejsca i wykrzykując coś kogucim dyszkantem, lecz przewodniczący dyrektor Maciejewski, siedzący w prezydium w asyście najrozmaitszego rodzaju sekretarzy partyjnych, od wojewódzkiego do osiedlowego włącznie, zgasił go stanowczo, poparty przez mrukliwy głos ludu, czyli przez lwie choć i sklerotyczne stęknięcia Karasia. Szum na sali uspokoił się i Bieniek kończył w ciszy, efektywnie oskarżając umysłowych o zaniedbanie sprawy remontów gwarancyjnych. — Trupy, wraki traktorów obdartych z części, wraki zalegające dziedziniec, oto wasza wina, wina i hańba, panowie — zakończył, a majstrowie i brygadziści oraz władza partyjna dali mu huczne brawo, choć przecież najsensowniejsze dla zakładu byłoby właśnie wypieprzyć stąd zarówno wszelkie remonty gwarancyjne jak i w ogóle nieszczęsną produkcję części zamiennych (co prawda kto i gdzie miałby ją przejąć — to już tajemnica zgoła nie do zgłębienia). Tutaj właśnie wyskoczył jak na sprężynie Waligóra, nie wiedzący chyba zgoła, co go właściwie czeka.

Młodzieńczy, opalony i jakby egzotyczny cisnął się na Bieńka, niczym wyrzucony z katapulty. — Sto, tysiąc razy — wołał — mówiłem towarzyszom, że bez nowoczesnej unifikacji produkcji nic się tu zrobić nie da! Kto nastarczy części, gdy każdy traktor jest inny, gdy mamy tu nie jedną lecz szereg przypadkowych fabryk, gdy taśma wciąż staje i trzeba części ręcznie dobierać, gdy serie są coraz to krótsze, jednolitych podzespołów brak a technologia jest zacofana, przedwiekowa?! Żeby nastarczyć w Polsce części zapasowych do traktorów, trzeba zunifikować wreszcie model ciągnika, nie oglądając się na rozmiar! Bez unifikacji nic nie zrobimy, ani części zamiennych ani w ogóle

i podstawowych. Nie da się kontynuować taśmowej produkcji, wszystko się rozpręgnie, będziemy klepać traktory ręcznie, z pękających odlewów i składanych kawałków. Tak towarzysze, unifikacja produkcji, tylko i wyłącznie ona, tego żąda od nas Partia, to jest nasz podstawowy obowiązek wobec Polski Ludowej, która potrzebuje produkcji nowoczesnej, nie zaś zacofanego chałupnictwa!!

On też krzyczał — ale bez współudziału sali. Inżynier Osinowski słuchał go z pewnym współczuciem. No cóż, ma swoją rację, ale abstrakcyjną, oderwaną, nie mówi któredy dojdź do celu, zupełnie jakby się z choinki urwał, jakby nie wiedział, ile władz i instancji trzeba by poruszyć, ile przepisów i zwyczajów zmienić, aby coś z tego zaczęło świtać. Czyżby on partyjnik, nic o tym wszystkim nie słyszał?! A czy nie słyszał również o sprawie wstydliwie prymitywnej, że w ogóle wszelka produkcja, zunifikowana czy też nie, okaże się niemożliwa, jeśli jakiś półspółdzielczy, półprywatny, półlegalny majsterek z Józefowa, na skutek działań Ministerstwa Finansów czy też na skutek braku surowca, zaniecha swej pilnej, chałupniczej pracy, polegającej na pospiesznym lecz maszynowo czy maszynkowo precyzyjnym płodzeniu całymi seriami śrubek i nakrętek? Nieprawdopodobne to, fantastyczne, lecz prawdziwe: nie będzie wtedy nie tylko części zapasowych — nie będzie w ogóle rzeczywiście nic! I cóż ty na to, dudku słomiany, Napoleonie produkcji, dyktatorze z Psiej Wólki?!

Naczelny inżynier Niedźwiedowa nie wiedział tego wszystkiego, lecz najwyraźniej nie wiedział jeszcze czego innego: że dla obecnych nie był już Waligórą, był Walfiszem. Prawda to czy nieprawda, lecz oni tak sądzili, a on w swoim szczytnym niby (choć w tej sytuacji głupim) zaabsorbowaniu bezkresnymi horyzontami techniki i produkcji, zgoła tej nowej konfiguracji nie dostrzegł. Nie wyczuł gęstej atmosfery niechęci, nie zauważył, że słuchano go z milczącą nienawiścią, czekając tylko na jakieś potknięcie: tłum lubi igrzyska i ofiary, tu w dodatku rzecz była zapowiedziana, z góry zaaprobowana, co się okazało później. Czekano więc okazji i okazja przyszła, gdy naczelny inżynier, wśród innych argumentów za unifikacją (po cóż było argumentować, skoro rzecz jest bezsporna, tyle, że nierealna) powołał się na opinię ekspertów angielskich i wspominał o kupnie dewizowej licencji. Wtedy to wybuchnął ryk, który nie ustawał i spędził w końcu Walfisza, tfu, inżyniera Waligórę, z podium kinowej sali Niedźwiedowa, gdzie odbywało się zebranie. Była to porażka, dla bystrzejszych zaś zapowiedź klęski: nie spędza się w ten sposób z trybuny jednego z dyrektorów, o ile nie został przez

Partię z góry skazany czy też poświęcony, co wychodzi na jedno.

A rzecz tkwiła w tym, że w Polsce Ludowej zawsze łatwiej jest zapłacić sto tysięcy dolarów za zagraniczną licencję, niż dać swoim pracownikom milion złotych, żeby coś we własnym zakresie zmagistrowali. To drugie narusza ustrój, ideologię, zasadę społeczeństwa bezklasowego, boć nie może tu być grup materialnie uprzywilejowanych (chyba złodzieje i ci co indywidualnie wygrali w Toto Lotka), to pierwsze natomiast, czyli wybulenie stu tysięcy dolarów jest normalnym, jeszcze przez Lenina zatwierdzonym trybutem na rzecz „kapitalistycznego okrążenia”. Dlatego po Niedźwiedowskiej fabryce zawsze płatali się jacyś zagraniczni eksperci, wcale oczywiście nie mogąc pomóc, jako że trudności zawarte były nie w technologii lecz w „socjalistycznej organizacji pracy”, na czym, rzecz prosta, zachodni bezideowi pragmatycy nic się a nic nie wyznawali. Dlatego też co pewien czas instalowano jakąś zagraniczną, importowaną maszynę, która oczywiście wśród otaczających ją materiałowo kooperacyjnych trudności cudów zdziałać nie mogła. Ale oficjalnie lansowano tezę, że Niedźwiedów absorbuje masę dewizowych dotacji, że uszczupla przez to swój dewizowy „uzysk”, stąd jego przeróżne trudności, mały fundusz premii, niedostateczna akumulacja. Na cudzoziemskich rzeczoznawców patrzono więc jak na zarazę, a tu Waligóra na nich się powołał, jeszcze nowych licencji żądał! Ależ ściągnął na siebie burzę! Zaczął, rzecz charakterystyczna, sam sekretarz Wojciech Karaś, to on pierwszy stęknął coś o niedoświetwie, o marnotrawstwie dewiz, za nim już cała sala. Ryk był jak rzadko — od 56 roku takiego tu rynku nie słyszano. Milczał tylko Staś Buchała, pewno i Jaś Brzozowicz, milczał inżynier Adam Osiński, zaś Michał Chruszcz pilnie przekładał papiery, mocno w nich i bez reszty zagłębiał. Dyrektor Maciejewski, tak zwykle wrażliwy na bzyczenie muchy choćby, tym razem jakoś hałasu zgoła nie tłumił. Odwaga w niego wstąpiła, nie ma co! (A w duszy jeszcze się pewno cieszył, że burza poszła w inną stronę — zamiast na niego).

Po tym incydencie zebranie straciło już na rozmachu. Adam nie próbował wszcząć żadnej sprawy ze swojej złotej serii, na przykład, że fabryka stanie bez umów kooperacyjnych lub że ciągniki jeżdżą na niepewnych hamulcach — to nie gremium po temu. Dawniej, w epoce Stalina, w razie niedomagań produkcji, oskarżano ludzi o przeszkadzający rozmyślnie sabotaż i żądano zobowiązań co do współzawodnictwa pracy, dziś powiały widać inne wiatry — polityczne. Cóż wobec nich znaczy produkcja! Dyskutowano jeszcze chwilę sprawę nieśmiertelnego pług inżyniera Walichowskiego, wszczął ją wielki niczym hipopotam,

uczenie się jakąjacy Natorf, widać Staś Buchała zrezygnował, pojął już cały bezsens rozdymania tej sprawy. Za to niespodzianie podchwycił temat Chruszcz, gadał nawet długo, tylko o tym, trochę za, trochę przeciw, najwidoczniej, Osiński zrozumiał to natychmiast, aby zająć czas i odciągnąć uwagę od spraw innych — mistrz manewru taktycznego znów się objawił. Ale zebrani nie podchwycili tej okazji: nie miała kontekstu „syjonistycznego” czy politycznego, a uprzedzeni najwyraźniej ludzie na to jedynie czyhali. — Widać nie przyszła jeszcze na mnie pora — myślał sobie Adam, szukając na próżno wzroku daleko gdzieś (tym razem nie w prezydium) siedzącego Działaka. Konferencja zakończyła się właściwie bez konkluzji — zlecono paru wydziałom oraz organizacji partyjnej opracowanie rzeczowych szczegółów planu, zakładając zatem, że plan w ogóle jest już ustalony. Czyli zostaje Chruszcz — znowu Chruszcz. O kooperacji nie mówiono — jakby sprawa nie istniała. Na zakończenie, późnym już wieczorem, dyrektor Maciejewski popoľgował sobie jednak i pogłędził, ale tylko pół godziny i tym razem nie o Leninie, lecz o czujności wobec wrogów Partii i Narodu, którzy znów usiłują... Wspomniał też, bez związku, o nastrojach na uniwersytecie, o literatach, o syjonizmie. Waligóra siedział poźółkły, ludzie wokoło wlepiali w niego oczy. Co u licha to wszystko znaczy i czy naprawdę z nikim już nie da się załatwić sprawy limitów kooperacyjnych? Michaś Chruszcz wyszedł szybko, nie patrząc na nikogo, nikt zresztą teraz na nikogo nie patrzył, wszyscy ruszyli do aut, które długim szeregiem stały wzdłuż spółdzielni, inżynier Osiński za to samotnie powędrował do kolejki. Znowu dmuchał wiatr, ale tym razem zimny, choć i zarazem jakiś mokry, rzucający w oczy to bryzgami wody to rzadkim lecz grubym śniegiem. Przedziwna konferencja, złowieszcza nawet, byłoby się nad czym namyślać gdyby Adam miał do tego głowę, byłoby się czego bać, gdyby nie utracił od pewnego czasu poczucia wagi spraw, ich ciężenia i konsekwencji.

Bo historia z Jolantą nie tylko nie pociągnęła za sobą ważkich i dramatycznych konsekwencji, lecz w ogóle jęła zanikać, rozsypując się na szereg coraz bardziej mdłych, przykrych, żenująco przypadkowych incydentów. Incydenty te to były spotkania, wymuszane przeważnie przez Adama w różnych, najdziwniejszych miejscach i porach, co jeszcze bardziej niszczyło przyrodzony styl i porządek życia. Inżynier Osiński dotarł nawet do redakcji, w której pracowała Jolanta, gdzieś na ulicy Wiejskiej, ulicy przypominającej swymi zachowanymi przeważnie, eleganckimi kiedyś, pięciopiętrowymi domami z epoki nieboszczki Sanacji, przedwojenną Warszawę. Przyjęto go tam nieświecznie, kazano długo

czekać, piętrzone trudności, Adam odniósł wrażenie, że Jolanta go się wstydzi, unika, że kazała koleżankom spławić natręta jeśli tylko się uda. Ale się nie udało, nieproszony gość okazał się uparty, rozmowę odbyli w jakiejś poczekalni, tyle, że była to rozmowa przykra i jednostronna. Przykra, to nawet za łagodnie powiedziane, z pogawędki tej bowiem jasno wynikało, że nie ma już w Jolancie ani śladu miłości do Adama, miłości, którą kiedyś (właściwie zgoła niedawno) sama i nieproszona mu wyznawała, co gorsze, że na miejsce tej miłości pojawiła się niedwuznaczna — nienawiść. Nienawiść syczała w jej przyciszonym, ze względu pewno na podsłuchujące koleżanki, głosie, gdy namiętnym szeptem wyrzucała inżynierowi Osińskiemu, na co to on ją naraził. — Nie mam chwili spokojnej, Ryszard mi tego nigdy nie wybaczy, nie wiesz, jaki jest mściwy, ty go nie znasz, nikt go nie zna tak jak ja i nikt go nigdy nie pozna — moje życie jest zmarnowane, to jedno pasmo udręki, na coś ty mnie naraził, a przecież sto razy mówiłam, że trzeba uważać — teraz sytuacja jest bez wyjścia, zupełnie bez wyjścia! Słowa te, namiętnie wyrzucane przyciszonym głosem (niby dźwięk oglądany przez odwróconą lornetkę) dziwnie jednak nie przekonywały Adama: jak zawsze dawniej wydawało mu się, że ona coś udaje, że się zgrywa i to całkiem na zimno. Jedno tylko jest pewne, choć przed tą pewnością inżynier Osiński broni się wewnętrznie jak może: Jolanta nie chce go już widywać, ani gdzieś w mieście, ani na ulicy, ani tym bardziej w domu u siebie — owe wieczorne, nieliczne zresztą spotkania w azjatyckim pokoju nigdy już nie wrócą, zresztą (Adam rozumiał to, choć nie chciał rozumieć) straciły już cały swój urok, gdy wiedział o nich ktoś trzeci i to kto — sam właściciel, nie mieliby tam przecież chwili spokoju. Ale czy straciły swój urok również wstecz, czy nic z nich nie pozostało pozytywnego, czyż unicestwione zostały bez reszty, przez konfrontację z obrzydliwą sceną, jaka się w tymże azjatyckim pokoju rozegrała, sceną, która zresztą inne na pewno miała znaczenie dla każdego z jej uczestników? Sądząc po zachowaniu się Jolanty, wszelki urok ulotnił się dla niej bezpowrotnie, ulotnił się też ze wspomnień, kobiety zresztą nie cenią wspomnień tak jak mężczyźni. Chciała zapomnieć, pozbyć się całej nieudanej sprawy, a tu Adam z uporczywą niezręcznością usiłował problem wskrzesić, stąd jej ledwo ukrywana niechęć, ba, nienawiść zgoła.

Inżynier Osiński nie wierzył oczom czy uszom, próbował rzecz wznowić, wmawiając sam sobie, że winna tu jest zmienna nastrojowość Jolanty, że psychiczne straty uda się równoważyć a urazy czy szoki — przekreślić. Pamiętał przecież, jak bardzo

Jolanta z minuty na minutę potrafiła się zmienić, choćby gdy wmusił w nią parę wódek czy owych koktajli, które wówczas wydawały mu się snobizmem i tandetną pozą, dziś za to (nisko właściwie upadł) symbolizowały miniony i utracony urok życia, kiedy to barwę istnieniu nadawały owe szalone wieczory, spędzane we dwoje w niespodziewanie malowniczym zakamarku jedenastopiętrowego Uranowego Osiedla. Miałyżby te wieczory nigdy nie wrócić, miałyżby owe dwa miesiące, jakie upłynęły od Nocy Sylwestrowej — zostać we wspomnieniach jako coś jedno-razowego, jako ZIMOWY ROMANS, który już nigdy się nie powtórzy, tak jak nie powtórzy się dosłownie owa jedyna w swoim rodzaju, okutana w śniegi i błota tegoroczna zima?

Że ta zima nie powróci, to już niemal pewne; mimo błota, wichrów i ślizgawicy, wraz ze zbliżaniem się początku marca, zaczęło się wokół coś przesilać. Choćby na przykład wieczorne niebo: stawało się znaczące, z nagłą różowiało i purpurowiało, na jego tle szeregi smukłych jedenastopiętrowców Uranowa rysowały się niebieskawym konturem, osobliwie kontrastując z krępą, ciemnoczerwoną fortecą dawnej, ceglanej zabudowy, zwanej w Warszawie Dzikim Zachodem, rozciągającej się od przydworcowych krańców ulicy Towarowej aż niemal po zachodnią stronę Pałacu Kultury. Ale i ta forteca dawności już się kruszyła, ustępowała — co drastyczniejsze ruiny rozebrano, pozostawiając na razie tu i ówdzie bezładne gruzowiska, za to na samym cyplu dzielnicy zagnieździło się Nowe w postaci wyniosłego wieżowca „Ruchu”, czternastopiętrowca, bijącego w różnobarwne, przedwiosenne niebo łuną swej wieczornej iluminacji.

Inżynier Osiński wiele czasu spędzał obecnie na powietrzu — właściwie całe popołudnia i wieczory plątał się po skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich, Towarowej i Grójeckiej, zwanym Placem Zawiszy. Dni były już teraz trochę dłuższe, po powrocie z Niedźwiedowa miał inżynier zawsze nieco światła, aby z podwyższonego lekko skrzyżowania — zwłaszcza na wysepce przystanku tramwajowego było tutaj wyraźne wybrzuszenie jezdni — obserwować okolice dworca i śnieżyste jeszcze po trochu przedpole Uranowego Osiedla. Co chciał zobaczyć? Po prostu, choć się do tego przed sobą nie przyznawał, liczył wciąż, że zobaczy Jolantę, jej smukły cień, przewijający się o marcowym zmierzchu w okolicach przystanku „Ochota”, na betonowym moście niedaleko szkoły lub też przeciwnie, z drugiej strony Osiedla, tam gdzie wśród resztek starych, ceglanych ścian garażował zielony Volkswagen. Na zakończenie ostatniej ich rozmowy w owej redakcji na Wiejskiej, Jolanta kategorycznie odmówiła mu dalszych spotkań, zapowiadając z podrabianym patosem,

że między nimi wszystko skończone. Mimo to łowił ją tutaj w tłumie ulicznym, próbując sprowokować parę chociaż jej słów, co zawsze, z reguły kończyło się awanturą, że aż przechodnie się zatrzymywali. Było to upokarzające, po cóż szukać potwierdzenia rzeczy oczywistej? A jednak inżynier Osiński próbował wciąż, jeszcze i jeszcze, za każdym razem coraz bardziej zgnębiony, zgnębiony zarówno niepowodzeniem jak i poczuciem próżno i pusto płynącego czasu, choć w istocie nie płynął on przecież całkiem pusto, skoro naładowany został nudnym a nieustępliwym cierpieniem, przypominającym ból zęba. Bo wciąż, na myśl, że niewyobrażalna i utęskniona dziś intensywność życia zakosztowanego z Jolantą już nie wróci, odczuwał ból, jakiego nie zaznał nigdy, nawet w upiornym Oflagu, gdzie potrafił narzucić sobie dyscyplinę udanej obojętności czy opanowania, stającą się z czasem drugą naturą. Tymczasem tutaj nie było ratunku, nie było schronienia przed myślą, że nigdy już nie wróci do tandetnego raju utraconego, jakim okazał się tybetański czy jakiś tam pokój Działaków. Nie wróci, gdyż tybetańskiego pokoju wcale nie ma, nie ma bowiem Jolanty, na jej miejsce pojawił się jakiś stwór obcy i rozżarty, podniecony stała a nierozumną nienawiścią do Adama; z tej sytuacji po wszystkich okropnych słowach, jakie mu powiedziała, nie widać wyjścia ani odwrotu — trudno to pojąć, trudno sobie wytłumaczyć, lecz jednak rzecz nie ulegała wątpliwości: znalazł się w bezbłędnie skonstruowanej pułapce, do tego organicznie i beznadziejnie trwale związany z Działakami wspólną pracą, wspólnym mieszkaniem na tym widmowym, buro-niebieszczającym w marcowym zmierzchu osiedlu.

Nie było już właściwie teraz nic do roboty, przedłużający się beczynny czas popołudniowy okazał się tylko ciężarem i kłeską. Nie było też i kłopotów z telefonowaniem, zaś kłopoty te, które niedawno jeszcze wielokrotnie przeklinał, też okazały się obecnie utęsknione, w sytuacji, kiedy wiadomo oto, że nie ma absolutnie dokąd telefonować, ani z kiosku przy dworcu ani na dziedzińcu osiedla, nie ma dokąd i nigdy już nie będzie. Także w domu telefon zamilkł na głucho, skończyły się owe tajemnicze dzwonki czy to pochodzące od żony doktora Lasoty czy od kogokolwiek innego, nieznanego i tajemniczego, boć chyba nie od Działaka. Jadwiga przychodziła późno, często teraz miała zaczerwienione powieki, chyba z płaczu, a znowu Zbyszek po dawnemu gdzieś gonił, na zwróconą zaś uwagę odgryzał się grubym, choć jakby jakimś skrzekliwie brudnym głosem — miał już wszakże swoje piętnaście lat. I tak Łaska Boska, że nie śledził ojca, że nie natknął się na Adama, wędrującego wokół, okrążającego Uranowe Osiedle to od strony starej to nowej zabudowy.

W wędrówkach tych inżynier Osiński częstokroć zatrzymywał się i opierał o poręcz na prowadzącym do dworca moście, wysoko ponad poczworną linią torów kolejowych, bo i kolei elektrycznej, wiodącej przez Niedźwiedów do Żyrardowa czy Skierniewic i dalekobieżnej, prowadzącej, jak mówiono, „w siną dal”. Ej, pojechałoby się przed siebie, myślał czasem inżynier, lecz od razu, jako człowiek trzeźwy, korygował swe marzenia i to dokładnie: nie było zgoła dokąd jechać, doskonale wiedział co go czeka na każdej stacji, bliskiej czy dalekiej, w każdej miejscowości na tej linii. Koniec lutego, początek marca, roztopy, na pół piaszczyste na pół śnieżne wertepy i jałowizny, ceglane domki, osiedla, druciane siatki, parkany, lasek, piasek — męka koczowania a w Warszawie męka zamknięcia i uwięzienia wśród bloków. Niby olbrzymie to miasto, w rzeczywistości zaś nie ma się gdzie w nim ruszyć: wszędzie to samo, bloki i bloki, w blokach mrowią się zawsze jednakowi, nowi i obcy ludzie ze wsi, także młodej, nieznanej, powojennej. Nie ma więc dokąd iść, nie ma dokąd jechać, tor kolejowy to tylko złuda, wspomnienie o czymś minionym, co w dzisiejszym świecie nie posiada już wcale znaczenia. Zresztą żadna podróż w życiu nie przyniosła Adamowi szczęścia, wszystkie łączyły się z jakimś absurdalnym mozołem. Jedyny wyjątek stanowiła może owa studencka wycieczka do Francji i Włoch, ale któż o niej dziś pamięta: wycieczka nie istniejących ludzi do nie istniejącego już w praktyce świata!

Szef Służby Zaopatrzenia wiedział zresztą, dokąd powinien obecnie jechać: po prostu do wielkich, państwowych kooperantów Niedźwiedowa, tych co robią całe części zamienne i nawet, acz niechętnie, montują podzespoły. Niech no oni popróbują teraz, przy zredukowanych i zablokowanych limitach uporać się z brakiem spółdzielczych czy prywatnych detali, niech no podyskutują z bezmyślnym Ministerstwem Finansów, które potrafi tylko ściągać podatki. Wiedział jednak, że nic z tego: nie pojedzie. Nie ma głowy, nie ma czasu, musi przecież tkwić co dzień na owym niewidocznym na pozór lecz realnym wzgórkcu Placu Zawiszy, gdzie, dzięki asfaltowej wypukłości mógł obserwować dookolne usytuowanie przestrzenne, ruch na Towarowej, Grójeckiej w Alejach. Obserwować — po co?! A właśnie. Jednak musiał, nie było na to rady — skazany został na ten pejzaż, niczym kiedyś na druty i małą wieżę Eiffla, jak nazywali w Oflagu wieżę strażniczą. Ten tutaj pejzaż zawierał wszakże resztkę niedawnej przeszłości, ślady owego bezsensownego „zimowego romansu”, wobec którego zszarzały mu i zmalowały tak kiedyś ważne problemy fabryki, gdzie czuł się teraz *outsider'em*, intruzem,

gościem. Tak, sprawa Jolanty zabrała mu naraz wszystko, nic w zamian nie dając, bo nawet nie poznał i nie zrozumiał tej dziewczyny, nie rozszyfrował genezy jej nastrojów, jej sztuczności, pozy i udawania, jej nagłej płomiennej niby miłości i równie nagłej obojętności, ba, wręcz nienawiści. Wciąż krążył myślą wokół tej sprawy, analizował, rozszczepiał włos na czworo. Na przykład: Dziamakowie nie mieli telewizji, a przecież powodziło im się dobrze, zaś telewizor był w dzisiejszej Warszawie nieodparcie modny. Cóżby to znaczyło, czyżby naprawdę mieli jakieś swoje własne życie kulturalne, duchowe, boć telewizja to tandeta dla nowych, niewydarzonych ludzi; może jednak w literackich studiach i zainteresowaniach Jolanty tkwiło coś głębszego? Trzeba ją o to spytać przy najbliższym, wymuszonym spotkaniu, szybko podejść i spytać, zanim będzie miała czas się oburzyć. Lecz nie, rzecz się nie udaje, znowu wybucha awantura, jeszcze jedna, zenująca, uliczna scena, tym razem wśród padającego mokrymi płatami marcowego śniegu, u stóp centrali „Ruchu” na rogu, dla odmiany, Srebrnej i Towarowej. I znów pogiębiony Adam wlecze się z powrotem na ów most dworcowy, gdzie żelazna perspektywa torów kusi do bezkresnej rzekomo a w istocie żłudnej i nierealnej podróży w warszawską „siną dal”.

Nawet bowiem jeśli szło o owe niedźwiedzowskie podróże kooperacyjne do dużych zakładów, do Kutna czy Lublina choćby, to wyjazdy takie nie miały w obecnej sytuacji wielkiego sensu — Osiński rozważył to sobie mimochodem lecz skrupulatnie, jakby na marginesie swego głównego choć jałowego nurtu myślowego, który ogólnie określić by można jako „kryptonim Jolanta”. Więc, przede wszystkim, nie było celu jechać samemu, to znaczy, bez oparcia zarówno merytorycznego jak i prawnego w kimś odpowiedzialnym z kierownictwa Niedźwiedowa, w danym zaś wypadku jest nim tylko Szef Służby Planowania i Kontroli Produkcji czyli Michaś Chruszcz. Tylko on wiedział, jak się przedstawia sprawa limitów kooperacyjnych na bieżący rok, tylko on był w stanie zalegalizować ową doroczną kombinację „zaświadczeniową”, realizowaną przy pomocy nieświadomej rzeczy Joanny Ptaśnikowej, operację, rozwiązującą Osińskiemu ręce jeśli chodzi o swobodne poszukiwanie kooperantów tu lub ówdzie. Bez Chruszcza i jego autorytetu a także jego poinformowania o obecnym wyglądzie planu nie ma co w ogóle zaczynać — rzemieślnicy się płoszą, są nieufni — trudno im się dziwić. Skoro zaś Chruszcz pozostaje nieuchwytny i cała sprawa trwa w zawieszeniu a fabryka jedzie poślizgiem na starych umowach, to znaczy że dzieje się coś niesłychanego, bez precedensu, że w ogóle trzeba zawiesić wszystko na kołku, skulić się i czekać na cios.

Cios, który, skądkolwiek przyjdzie, uderzyć musi nie tylko w wydział inżyniera Osińskiego ale w ogóle w całą niedźwiedowską produkcję, chociaż nagle wszyscy przestali się jakby nią interesować, wsłuchani w mętne i absurdałne plotki polityczne, dochodzące z niedalekiej Warszawy. Było to w sposób uporczywy zupełnie nierealne, do tego dziwaczne — jak sen, śniony na jawie i rozgrywający się wśród tych samych co zawsze, normalnych na pozór elementów konkretnej egzystencji. Coś jednak to przecież znaczyło, w końcu nie wszystkie udziwienia dookólnego życia, obserwowane przez Adama w tym nowym roku przypisać było można historii z Jolantą i wpływowi tej dziewczyny na stan psychiczny niektórych jej znajomych. To już nie przywidzenia, to realne fakty: naprawdę wszakże nie ma w tym roku planu produkcyjnego, nie ma nowych umów kooperacyjnych, nie wspominając już o obrabiarce do szczęk hamulcowych czy nożu do aluminium; co jednak najważniejsze, nie ma dobrego ducha fabryki — Michała Chruszcza. A przecież na niepisanej lecz od szeregu lat funkcjonującej cichej umowie ich trzech; Chruszcza, Osińskiego i Stasia Buchały, trzech co jeszcze nie zwariowali i nie chcą się „dać zwariować”, opierała się w gruncie rzeczy jaka taka dotąd praca Niedźwiedowa. Na czym oprzeć tę pracę, gdy ubył główny jej filar, gdy nie ma Chruszcza a nieobecność jego, przedłużając się aż już niemal po drugi kwartał roku, staje się coraz bardziej niewytłumaczalna, wręcz złowieszczo niewytłumaczalna?!

XIII

Lecz oto nagle Chruszcz się zjawił — przyszedł po prostu do biura inżyniera Osieńskiego w najdziwniejszy marcowy dzień, kiedy to wiosna co godzinę przeplata się z zimą, grad z deszczem, mokry wicher ze słońcem. Adamowi zabiło serce: czyżby normalny porządek rzeczy, chwilowo zawieszony i nieobecny, miał jednak powrócić? Michał był rzeczowy, w oczy nie patrzył, szkicował tylko jakby swój zwykły, spokojnie porozumiewawczy uśmiech, ale wiadomo przecież, że nigdy nie zwykł nadmiernie się poufalić, właśnie zachowywany dystans pozwalał mu grać różne role, być wtajemniczonym i wpływowym członkiem Partii a zarazem rozumieć wszelkie trudności, wynikające nieraz z teoretycznej, sztywnej partyjnej linii. Nie to zatem, nie suchość i psychiczne oddalenie, czy też jego pozór okazały się tu niepokojące, lecz słowa, jakie bez wielu wstępów skierował do Adama, słowa, to znaczy zarówno ich bezpośrednia treść jak rytm, system formułowania zdań, w niewiarogodny sposób przechodzących do porządku nad wszelką domyślną wspólnością stanowisk, która cechowała niegdyś takie rozmowy. Choć niby zaczął obiecująco, lecz rozwiało się to szybko, najbardziej zaś zastanawiał i zaskakiwał ton jego dzisiejszej perswazji, ton suchy, przesadnie ostry, jakby bezosobowo, oficjalnie zaplanowany.

— Wiem, kolego inżynierze — mówił — że kłopotiecie się o tegoroczne umowy kooperacyjne. Otóż jest to zbędne, w tym roku mamy, jeśli o te sprawy chodzi, zupełnie nową sytuację. (Inżynier Osieński wstrzymał dech, nastawił uszy — tu tkwiło przecież sedno sprawy). — Po prostu — ciągnął Michał — nie będziemy już zawierać takich umów. Jest to po pierwsze niewłaściwe i niewskazane, po drugie zaś — zbytuczne. Niewłaściwe, bo jak się okazuje, kolidowało z wielu istotnymi przepisami,

dotyczącymi warunków pracy rzemiosła, tak usługowego, jak produkującego, tak spółdzielczego, jak i prywatnego. Każdy rzemieślnik otrzymał przecież kiedyś kartę, regulującą jego obowiązki i uprawnienia. Został tam również określony przedmiotowy zakres jego pracy oraz posiadany przezeń, zgłoszony władzom park maszynowy. Tymczasem rzemieślnicy ci, pod płaszczykiem kooperacji z państwowym przemysłem kluczowym, lub też, używając wobec władz finansowych pretekstu produkcji antyimportowej, przekraczali po wielokroć ów ustalony dla nich przedmiotowy zakres pracy a także, podejmując się wykonania zadań bardziej skomplikowanych, posługiwali się musieli cudzymi maszynami, łącząc się w tym celu w nie kontrolowane i nie legalne grupy kooperacyjne. Teraz, gdy odnośne władze rewizyjne wejrzęły bliżej w te sprawy, na niesumiennej przedstawiciele rzemiosła spadają zasłużone kary, w postaci wstecznych domiarów pieniężnych, w drastycznych zaś przypadkach dochodzi do cofnięcia karty rzemieślniczej i nawet do represji sądowych. Nie taję, panie inżynierze, że to częstokroć my, przez zbyt pochopne i liberalne zawieranie umów, staliśmy się przyczyną obecnej sytuacji tych ludzi, o co nawet mogliby mieć do nas w niejednym wypadku pretensję. Wobec stwierdzonego stanu rzeczy, takiej chałupniczej, rozdrobnionej kooperacji stanowczo należy zaniechać: wymaga tego zarówno praworządność i dobro społeczne, jak też szeroko pojęty interes naszego zakładu...

Adam słuchał i nie wierzył w to co słyszy: czyżby nieprawdopodobny sen trwał dalej, ba, zaostrzał się i uintensywniał, obejmując sobą poważną dotąd i solidną osobę Szefa Planowania?! Bo jeśli tego, co mówi teraz kierownik Chruszcz nie uznać za dziwny żart czy fantastyczny sen, to trzeba by w takim razie zakwalifikować całą rzecz jako — szczyty bezczelności. Udawał Greka czy co takiego? Ale z jaką twarzą, ileż trzeba na to czelności?! Toć od szeregu lat ubolewali wraz z Michałem nad zespołem idiotycznych przepisów, które hamują pracę rzemieślników i uniemożliwiają właściwą z nimi współpracę, czyniąc w istocie każde kooperacyjne działanie półlegalnym i zawieszonym na cienkiej nitce ryzyka, a już zgoła setki razy kiwali głowami i stukali się w czoło na temat skrajnego absurdu, jakim było rygorystyczne przestrzeganie owych właśnie „zakresów przedmiotowych”. Chodziło o to, że każdemu rzemieślnikowi wyznaczono oficjalnie nader wąski zakres jego specjalności, to znaczy prac, które wolno mu wykonywać. Na przykład ślusarzowi nie wolno lutować i w ogóle uprawiać blacharstwa, spawaczowi nie wolno zajmować się elektrotechniką, elektryk nie ma prawa ciąć drutu i tak dalej i dalej. Wynikały z tego historie

nieprawdopodobne, jak na przykład gdy rzemieślnikom pewnego województwa odmówiono prawa wykonywania złącz, twierdząc, że to już nie są usługi rzemieślnicze lecz produkcja, więc rzecz zastrzeżona dla państwa. Izba rzemieślnicza, naciskana przez zgłodniałe złącz tamtejsze państwowe fabryki, zwróciła się z odwołaniem do Komitetu Drobnej Wytwórczości, aby po czterech miesiącach uzyskać odpowiedź, że owszem, produkcja złącz leży w zakresie ślusarstwa przemysłowego. Cztery miesiące czekania na tę odpowiedź plus uprzednie wielomiesięczne szamotanie się z Wydziałami Przemysłu i innymi instancjami wojewódzkimi — to była niezła luka w produkcji. Gwoli sprawiedliwości stwierdzić jednak trzeba, że Niedźwiedów takich luk nie przeżywał, a to właśnie dzięki Michałowi, który miał odwagę i rozsądek, aby usankcjonować solidarne bimbanie sobie z wszelkich przepisów, traktujących o zakresie przedmiotowym, bimbanie, nieświadomie (ale z pełną świadomością ze strony Chruszcza) parafowane przez obywatelkę Joannę Ptaśnikową. Parafowane z inicyjatywy tego samego Michała, co teraz...

Sprawa owych nieszczęsnych zakresów przedmiotowych miała jeszcze równie nieszczęsne konsekwencje w dziedzinie rzemieślniczych parków maszynowych. Kiedyś, po Październiku, rzemieślnicy podostawiali ulgi celne i, jeśli ktoś miał krewnych czy znajomych za granicą, sprowadzał sobie precyzyjne maszynki, specjalnie przystosowane do pracy w małych warsztatach — tak przecież postąpił wówczas biedny Franek, w związku z czym zresztą trafił dzisiaj do ciupy. Później to się skończyło, ale gdzieś około roku 1965 zaczęto znowu głośić, po raz nie wiadomo który, odrodzenie rzemiosła i wyasygnowano nawet spore kredyty na zakup przeróżnych narzędzi. Rzemieślnicy zaopatrzyli się wtedy we wcale wszechstronny park maszynowy, rychło się jednak okazało, że park ten jest przeważnie przeznaczony aby rdzewiał w samotności i zaniedbanu. Wszelkie bowiem posiadane przez indywidualnych warsztatowców maszyny i narzędzia zostały z maniacką ścisłością skatalogowane i uwidocznione w karcie rzemieślniczej a także w najrozmaitszego rodzaju ewidencjach. Gdy więc teraz nadeszły zarządzenia, nakazujące rygorystyczny w przestrzeganiu zakresów przedmiotowych, okazało się, że każdy poszczególny właściciel warsztatu korzystać może tylko z bardzo niewielkiego fragmentu swej, z nieprzezorną wszechstronnością kompletowanej narzędziowni. Pożyczanie zaś wzajemne maszynek i narzędzi podciągane bywało pod zarzut nielegalnej kooperacji i karane bardzo surowo: samowolne łączenie się w zespoły czy grupy produkcyjne grozi, jak wiadomo powrotem kapitalizmu, wszak mały kapitalista rodzi wielkiego. Tak więc, o ile galwani-

zator pożyczczy od kogoś maszynkę ślusarską, czy też ślusarz za-
pragnie zalutować sobie kran, już wtedy, w razie kontroli lub
rewizji może bardzo poważnie podpaść, zaś rzemieślnik, który
przyjmie i realizuje zamówienie, wykraczające choćby odrobinę
poza jego wąsko określoną specjalizację, pracuje właściwie niele-
galnie i każdej chwili grozi mu wieloletni domiar wyliczony
wstecz, konfiskata narzędzi, utrata karty rzemieślniczej, a nawet
represje niewypowiedzianie gorsze, tak właśnie, jak to się zda-
rzyło biednemu Frankowi. Dochodzą jeszcze do tego skompli-
kowane sprawy zaopatrzenia w surowce, fakt zaś pracy dla za-
kładu państwowego nie stanowi wcale okoliczności łagodzącej,
wręcz przeciwnie, może się okazać czymś specjalnie obciążającym,
wnosi bowiem ideologiczne wypaczenia w sektor, stanowiący
samo jądro systemu socjalistycznego. Lepiej nie produkować wca-
le, niż produkować nieprawidłowo, po mieszczańsku czy zgoła
burżuazyjnie.

W tych warunkach można by się w ogóle dziwić, że rze-
mieślnicy indywidualni podejmują się jakichkolwiek robót, poza
tak zwanym „świadczeniem usług dla ludności”, czyli drobnymi
naprawami i remontami. Skoro samemu, własnymi tylko narzę-
dziami, zamówionej pracy wykonać się nie da, a działanie wspól-
ne może zostać ukarane i to zawsze, nawet w wiele lat po
przekroczeniu „zakresu przedmiotowego” (piekielny sposób trzy-
mania ludzi przez całe życie w niepewności i niepokoju), to jakż
wariat ryzykuje i podejmuje się? A jednak wielu się podejmo-
wało, choć i niejeden, likwidując pozornie warsztat, przyjmował
posadę państwową, dorabiając sobie na boku z pomocą jakichś
ukrytych w piwnicy narzędzi. Taki ryzykował już niewiele, chro-
nił go status pracownika uspołecznionego, nie czepiano się go,
bo nie należał do osławionego i raz na zawsze napiętnowanego
sektora indywidualistów. Ów zręczny dezerter unikał jednak jak
ognia zakładów państwowych, dla których praca pozostawić musi
papierowo ewidencyjne ślady: on pracował całkiem tajnie, dla
ściśle prywatnych ludzi, tak właśnie jak owi nieuchwytni na-
prawiacze samochodów spod parkanów Niedźwiedowa. Może
zresztą i nie tropiono ich tak specjalnie, byli bowiem po prostu
przestępcami, a przestępca to tylko ogólnie potępiony społeczny
margines, nie zagrażający zasadniczo globalnemu porządkowi ideo-
wemu, wszakże wyjątek potwierdza regułę. Dla fabryk państwo-
wych pracować jednak mogli jedynie ci, coraz zresztą mniej
liczni rzemieślnicy oficjalni, figurujący w ewidencjach i wysta-
wiający rachunki. Adam nieraz zadawał sobie pytanie, w jaki
sposób, mimo tak nieskorzystających i niebezpiecznych okoliczno-
ści, udawało ich się jednak dotąd werbować? Istniały na to róż-

ne haczyki i przynęty, jedną z najskuteczniejszych okazywały się przyznawane okresami ulgi i premie dla wytwórców, uskuteczniających tak zwaną produkcję antyimportową. Dewiz zachodnich z zasady miewało się w Polsce mało, od czasu do czasu podnoszono z tej racji wielkie larum, zmniejszano import towarów zagranicznych i ktokolwiek wówczas udowodnił, że jego wytwory zastępują podobne, które inaczej sprowadzać by trzeba z Zachodu, dostawał nagle zielone światło, choćby nawet uprzednio wyklinano go na czym świat stoi, jako produkcyjnego korsarza i relikw przelętych czasów burżuazji. Tę właśnie, od czasu do czasu nasilającą się okoliczność wyzyskiwali po wielokroć Osiński, Chruszcz et consortes, aby jednak zawierać jakoś swoje detaliczne umowy kooperacyjne i kusić ludzi, nader ostrożnych, ale jednak chcących pracować, niejednokrotnie nie mających wyjścia. Oczywiście, w tej sprawie ważna też była, formalnie nawet wręcz decydująca, opinia Stasia Buchały, który, jako naczelny handlowiec Niedźwiedowa, wiedział najlepiej co jest a co nie jest antyimportowe. Staś, rzecz jasna, nie robił żadnych trudności, był człowiekiem z tego świata, wiedział dobrze, jaka jest różnica między produkcją i papierkami, rozumiał też, że jeśli zbraknie rzemieślniczych detali, to nie będzie w ogóle produkcji żadnej: ani eksportowej, ani krajowej, ani w ogóle niczego. Prosta niby sprawa, a tak niewielu ludzi chce ją pojąć, choć przecież tym i z tego żyją.

Ale tymczasem, najwyraźniej, coś się w polityce partii zmieniło, kwestia dewiz i „antyimportu” zesza nagle na drugi plan, za to nacisk położono na problematykę natury ideologicznej, lub, jak mawiał Staś, scholastycznej: że ściśle i kategorycznie oddzielić należy sprawę rzemieślniczych „usług dla ludności” od spraw produkcji, czyli przywrócić indywidualistów na ich przyrodzone w socjalizmie miejsce, miejsce co najwyżej mniejszego zła, tolerowanego z konieczności i do czasu. Takich nagłych, dla postronnego obserwatora niezrozumiałych zmian polityki gospodarczej zdarzyło się już w Polsce Ludowej mnóstwo, długi szereg, lecz ta dzisiejsza była specjalnie dokuczliwa, negatywnie trafiająca akurat w newralgiczny moment produkcji Niedźwiedowa. Najwyraźniej Michał Chruszcz, mąż zaufania Partii, musiał się w tym wypadku podporządkować. Inżynier Osiński nie miał doń o to pretensji zasadniczej, miał tylko żal, że tamten taką sobie wybrał formę wypowiedzi, że się puszył, nadymał, wywyższał, nie przyznając się do współnictwa z Adamem w przeszłości. Żebyż choć przynajmniej porozumiewawczo mrugnął okiem! Ale widać nie mógł, widać taki był rytuał, gdy na partyjną tapetę weszły ważne (dla kogo?!) sprawy polityczne. Tylko że — wszystko to

zaczynało wyglądać groźnie, ilość przechodziła w jakość, i to w jakość fatalną. Chruszcz nie był wszakże wszechmocny, wobec niedocieczonych potęg musiał widocznie skapitulować, lepsze to, niż wylecieć za burtę. Lecz kto w takim razie wyleci za burtę?! Jasne i proste: szef Służby Zaopatrzenia i Gospodarki Materiałowej, inżynier Adam Osiński. Michał się go wyprze, po prostu w razie czego przesunie odpowiedzialność na Adama, tak właśnie jak kiedyś na dyrektora Moskwę. Opuści go i kwita, zrobi rzecz dyskretnie, już się do tego przygotowuje, dlatego ani nie mrugnął okiem. No bo cóż mógłby w końcu innego zrobić, skoro taki jest mechanizm świata? Owszem, to nie sen ani żart — to po prostu normalna, najnormalniejsza prawda. Zresztą prawda zgoła dla Adama nie nowa, raczej stara, dobrze znana, towarzysząca mu w ciągu całej jego powojennej pracy. A cóż innego działa się w PeFaKolu, na czymże innym polegały ówczesne kooperacyjne podróże po Śląsku, historie z umywającym ręce inżynierem Rotmanem i facetami z ulicy Cybulskiego? Nic nowego pod słońcem, tyle, że w PaFaKolu jednak się produkowało, musieli się produkować, to było naprawdę ważne. A dziś? Czyż oni jeszcze, po latach, nie nauczyli się, że, skoro państwo nie może dać rady, to trzeba pozwolić produkować ludziom? Czyż formalna litera dziwacznej doktryny wciąż ważniejsza będzie niż życie? Wszystko wskazuje, że tak: idea działa, dziwactwo trwa.

A co będzie z produkcją, z dalszą produkcją Niedźwiedowa? Oczywiście, w tej sytuacji — nic. Michał nie mógł teraz udostępnić Osińskiemu drastycznie wyklętych umów kooperacyjnych, nie mógł też szukać innych wyjść. Grunt palił mu się najwyraźniej pod nogami, do czasu zasłania się kontrolą i czym się tylko da, gdy dojdzie do krachu wywołanego nagłym brakiem detali, także zrzuci winę na Osińskiego. Skoro już się zdecydował, zwali na niego wszystko, cóż za różnica. Lepsza jedna ofiara niż wiele — to proste i jasne.

Adam tak się zaabsorbował swym klarownym zrozumieniem sytuacji, że nawet nie spostrzegł, kiedy i jak jego rozmówca opuścił pokój. No cóż, Michał pewno coś zauważył, on przecież w duszy wszystko rozumie, to jeden z najmądrzejszych ludzi Niedźwiedowa, a przy tym były sowiecki więzień, więc ostrożny, znający miarę rzeczy. Skoro uznał, że wyjścia nie ma, to najwidoczniej go nie ma. Wyrok zapadł, nie warto już w tej sytuacji siepać się i chandryczyć!

Patrzy więc Adam w okno, na znany pejzaż parku traktorewego i wyboistej, choć asfaltowej ulicy za ogrodzeniem. W powietrzu roi się w tej chwili od dużych płatków marcowego śniegu, które za chwilę już zmienią się na ziemi w błoto czy wodę.

Inżynier Osiniński jest bardzo spokojny, tak, jakby obserwował sprawy z daleka, przez jasną choć matową szybę. Ten bezosobowy obiektywizm, z którym patrzy na swoją nieuchronnie się zbliżającą klęskę, powstał zapewne dzięki zaabsorbowaniu sprawą Jolanty. Sprawa owa zakończyła się bankrutstwem, to jasne. Miłość jest już nie do odzyskania, zresztą chyba dla żadnej ze stron nie była to prawdziwa miłość, lecz obopólne złudzenie, imaginacyjny romans zimowy. Myśl o tym boli jeszcze, lecz ból ten zamiera, musi zamarzeć jak ból po wyrwanym zębie. Zaabsorbowanie tamtą sprawą pozwala za to spojrzeć z boku, z ukosa na te obecne, katastrofalne perypetie Niedźwiedzowskie. Po prostu jakby to nie on na nie patrzył, lecz zgoła inny, nowy, uodporniony człowiek.

Z podobnym stoicyzmem przyjął Waligórę, bo i on się zjawiał, a jakże. Słuchać go nie było warto, mówił wciąż to samo, o unifikacji technicznej, która zaradzić ma na wszystkie bolączki, dostarczyć detale, części, podzespoły, kto wie czy nawet nie kabiny do czołgów C-385, których to kabin na razie ani rusz wydebić nie mogli z Fabryki Maszyn Rolniczych w Kunowie. Konferencja produkcyjna niczego go widać nie nauczyła, tyle że mówił jeszcze gwałtowniej, z jakimś utajonym obłędem, jakby sam siebie rozpaczliwie w czymś utwierdzał. Opowiadał też o „informatyce”, o konieczności stworzenia w zakładzie „elity techniczno-konstrukcyjnej” i o innych takich książkowych sprawach. Adam, nie słuchając, pilnie mu się przyglądał, bezwiednie szukał w jego twarzy rysów semickich. Lubił Żydów — wobec irytującej młodości cywilizacyjnej nowych, chłopskich braci Polaków czuł do tamtych sentyment, jakąś wspólność pokoleniową, wspólność wspomnień i tradycji, zagubionej tradycji. Znał przecież Żydów, wielu Żydów z przedwojennej Łodzi, nie do wiary, że wszyscy, bez wyjątku niemal, tak straszliwie dokładnie zginęli. Polska powojenna odrodziła się zastrzykiem świeżej, wiejskiej krwi — tę rewolucję w istocie zrobili Niemcy, zabierając właścicielom fabryki, niszcząc inteligencję i mordując przywiązanych do własności Żydów. Może zresztą kiedyś okaże swoje dobre strony owe obecne odmłodzenie społeczeństwa, ale na razie nużące to jest — jakież nużące! Stał oto przed nim syn starego narodu, starej rasy, potomek tamtych, zagubiony w morzu nowej polszczyzny. Ale ów samotny syn czy wnuk nie jest interesujący, o nie, jest zdezorientowany, pozbawiony zaplecza, tonie oto, rozpaczliwie wykrzykując frazesy o postępie technicznym, które uważa widać za czarodziejskie zaklęcia nowych czasów. Ale one go nie uratują, nie o to tu chodzi, nie takie to proste. Poza tym młody Waligóra nie należy przecież do owego dawne-

go sprzysiężenia Żydów-komunistów przybyłych z Rosji. Skoro zaś nie należy, to nie jest chroniony, nie ma immunitetu. Czuje to — stąd jego lęki.

Jeszcze jeden przedstawiciel innej tym razem starej rasy odwiedził następnie Osińskiego — wszyscy zaczęli doń teraz pielgrzymować, to pewno też coś znaczyło. Był to hrabia Mortęski, radca prawny Niedźwiedowa, kolega partyjny i brydżowy Chruszcza — hrabiów chętnie teraz w partii widziano, przeciwnie niż w jakobińskim okresie powojennym. Mecenas Mortęski, to dobrze wychowany starszy pan, potężnie głuchy i mówiący zazwyczaj nie na temat, ale łagodnie i dobrotliwie. Tym razem jednak mówił na temat i to nawet dość uporczywie, chyba mu ten temat wyraźnie wskazano. Przestrzegał, że rzemieślnicy kooperujący często kupują nielegalny surowiec, pochodzący z państwowych przecieków, łagodnie zwracał uwagę, że przy zawieraniu jakichkolwiek umów (optymista!), trzeba tę rzecz kontrolować i żądać specjalnych zaświadczeń. Dobrodusznie, spod okularów popatrywał na inżyniera Osińskiego, a temu się zdawało, że stary hrabia czyta w jego myślach i robi jakieś aluzje. Bo akurat, od dwóch dni, myśl Adama krążyła wokół sprawy potajemnie choć powszechnie sprzedawanych, bezpańskich surowców. Myśl krążyła nie bez określonego powodu: oto właśnie Franek, łódzki szwagier, dostał z racji owych surowców żądane przez prokuratora dziesięć lat więzienia!

Wiadomość tę przyniosła a raczej przywiozła z Łodzi Zosia. Przyjechała któregoś dnia w południe, bez telefonicznego uprzedzenia, szczęściem „kobieta” do sprzątania była akurat w domu i, po dłuższym oporze, pozwoliła się w końcu gościowi zainstalować. Gdy Adam wrócił, koło piątej, zastał siostrę konferującą poważnie ze Zbyszkciem. Była niespodziewanie zmieniona, nie krzyczała już i nie płakała, jakoś dziwnie się uspokoiła i złagodniała. Wyrok jest jeszcze nieprawomocny, sprawa idzie do apelacji, ale adwokat, człowiek uczciwy, wiele nie obiecywał — wobec „podziemia gospodarczego” stosowano teraz ostry kurs i to specjalnie od paru miesięcy. Adam wiedział coś o tym...

Zosia nie miała tym razem specjalnych postulatów, raczej jakby się chciała ogrzać w ciepłe rodzinne. Ciepło to było zresztą dosyć średnie, właściwie w stadium zaniku, ale gdy przyszła Jadwiga, atmosfera rzeczywiście się jakoś poprawiła. Początkowo wprawdzie Jadwiga wyglądała na ogromnie roztargnioną, jakby przybyła z innego świata i z trudem przywoływała się do rzeczywistości, po pewnym czasie jednak rozgrzała się, jej duchowe lody, jak to sobie określił Adam, zaczęły topnieć, współ-

czucie dla szwagierki po trochu ją wciągnęło — to przecież w końcu dobra dziewczyna ta Jadwiga.

Ojciec nie był o wyroku powiadomiony: zdenerwowałby się i nie zrozumiał — mieliby z tym mnóstwo kłopotu. Zosia prosiła tylko brata o przyjazd choćby na jeden dzień, chciała żeby porozmawiał z adwokatem i ewentualnie zajął się trochę ojcem. No i sprawa ocalałego sprzętu: okazało się, że Franek miał jeszcze gdzieś w piwnicy niezłą tokarnię i jakieś kompresory — trzeba to obejrzeć, zdecydować. Adam obiecał, w gruncie rzeczy był rad, że nie wciągnięto go w tę sprawę bliżej, nie powołano na przykład jako świadka obrony czy rzeczoznawcę — wtedy to już sprawy jego mogłyby wyglądać całkiem fatalnie, choć i tak przecież prezentowały się nieświetnie. Był więc rad, ale wstydził się tego uczucia, toteż starał się okazać dla Zosi w dwójnasób dobry. W rezultacie wywiązał się oto wcale ciepły wieczór rodzinny. Na osiedlu Uranowym — cóż za paradoks!

Późnym wieczorem odprowadzał siostrę na Centralny: nie chciała zostać na noc, bojąc się o Ojca i mieszkanie, zresztą nie bardzo mieliby ją gdzie położyć (Adam i Jadwiga razem?!). Szli po błocie i gołoledzi ową starą w swym ceglanym zarysie lecz inkrustowaną Nowym ulicą, wzdłuż szczerbatego, czerwonego muru. I tam właśnie, najniespodziewaniej w świecie, spotkali Jolantę — pomyśleć, że tyle razy się na nią bezskutecznie zaczajał, a tu nagle ma ją przed sobą, samotną na pustej ulicy. Poczł coś jakby krótki, gwałtowny zawrót głowy i mocne ukłócie w sercu. Ukłonił się, w jej oczach tym razem (choć może to złudzenie — kolejowe jarzeniówki nad wykopem świeciły tu nader słabo) błysnęło coś, jakby zainteresowanie — pewno dlatego, że szedł z kobietą. Ten błysk zainteresowania otrzeźwił go jakby. Pomyślał sobie, a raczej odczuł, że ów zimowy ich romans naprawdę już jest skończony i że inaczej być nie może. W dodatku znowu zobaczył, widział zresztą od początku, że przecież zawierał się w tym wszystkim jakiś element szmiry, zgrywy — autozgrywy czy zgrywy wzajemnej, licha wie. Wielokolorowa tęcza nad tybetańskim pokojem zagasła nagle, pozostawiając tylko brudnawy półmrok. Nie była to przecież wielka miłość, jeśli tak właśnie się kończyła. Jeszcze boli, ale boleć przestanie, to jasne — za to przewidzieć można nowe, a raczej stare, lecz na nowo w pełni uświadamiane i wzrastające bóle. Oczywiście, sprawa Jadwigi, to jest przecież coś na serio, a przy tym niedokończona, niezrozumiała, niewyjaśniona. Co będzie z tą sprawą, co będzie z nimi dwójkiem, czy nie jest już za późno?

Zdumiewające, że w krótkich paru sekundach tyle spraw przebiegło mu przez głowę i to niemal bez przerywania rozmowy

z niedomyślającą się niczego Zosią. Skutki wstrząsu, jakim jest spotkanie Jolanty trwają w nim dalej, ale do ogłuszenia miesza się niesmak, gorycz, że wszystko idzie tak źle, tak niedoskonale, wszystko — i osobiste i fabryczne i ogólne. No i ten biedny Franek, o którym Adam dzisiaj, niewdzięczny, myśli właśnie najmniej. Tym goręcej wyściskał Zosię, pakując ją do łódzkiego, elektrycznego pociągu, pod żelaznym stropem otwartego na przestrzał, prowizorycznego, jak tyle rzeczy w Warszawie, Dworca Centralnego.

I znów nagle ciepło, potem obrzydliwe, bezcelowe denerwujące wiatry a raczej wichry. Warszawa, jak to mówią, trzęsie się od plotek, Adam Osiński odbiera te plotki pół uchem, w fabryce (nigdzie indziej przecież nie bywa), przeważnie z ust gadułów, Gościńskiego, Malaka, czasem Jasia Brzozowicza. Plotki były dziwnie różnokierunkowe, niczemu właściwie życiowo określonemu nie służące. Mówiły uparcie o Zambrowiczu i Janowskim, że chcą wejść do Biura i objąć władzę, popierają ich zaś jakieś tajne związki młodzieży, naturalnie syjonistyczne. Zresztą syjonistyczni wrogowie, czyli po prostu mówiąc Żydzi mieli się czaić wszędzie, nie brakło ich też wśród literatów, którzy odbyli podobno jakieś burzliwe zebranie, w związku z rzekomym zakazem wystawienia pewnej narodowej sztuki teatralnej. Wszystko to nieprawdopodobne, jak z fantastycznego filmu, ale realne, bo i w prasie ukazywały się podobne, choć tajemniczo podane wieści. Ktoś to wymyślał i puszczał na miasto, ktoś drugi na to pozwalał, ktoś był w tym zainteresowany, u komunistów nic się nie dzieje przypadkiem, nie ma dymu bez ognia, symptomy drugorzędne świadczą, że dzieje się coś pierwszorzędnego. Ale gdzie, co, dlaczego, kto?! Ha, tego już nikt nie potrafił powiedzieć, nawet złotouści, nieustannie podnieceni plotkarze-rezonerzy. Coś się jednak najwyraźniej przygotowywało, coś krążyło po Warszawie wraz ze zmiennym, porywistym, to ciepłym to zimnym wiatrem. Ale inżynier Osiński nie próbował zgadnąć co. Miał własne zmartwienia, choć właściwie w tej chwili polegały one na braku zmartwień: po prostu nadal nie było nic do załatwienia.

Znużony bezczynnością Adam zachodził teraz często na wielką halę montażową i obserwował, jak traktor schodzi z taśmy: błyszczący, zielony lub czerwony zsuwa się z zatrzymanych na chwilę rolek, człowiek w drelichu siada wówczas na siodółko, zapala motor i odjeżdża do sąsiedniej próbowalni. Ale to jest już finał, który następować winien teoretycznie co 12 minut, tak często bowiem rodzi się na tej hali kolorowy krab, zwany traktorem czy ciągnikiem. Fascynujący jest jednak początek tych narodzin:

po tak powoli, że niemal niewidocznie sunących rollkach jedzie oto coś, rozwijające się na oczach widzów od szkieletu czy embriona do skomplikowanego, maszynowego organizmu. Najpierw jedzie samo podwozie, nie dotykające nawet rolek, lecz zawieszane nad nimi na łańcuchach, z kolei przymocowuje się doń silnik i jest to wówczas nie homar lecz bezskrzydły owad, chrabąszcz czy żuk. Potem specjaliści stopniowo dokręcają koła, inni zakładają karoserię, dalej idą błotniki, kierownica, reflektory, wreszcie żmudne, precyzyjne, w intencjach swych szybkie montowanie instalacji elektrycznej i proszę — traktor gotowy, urodził się na oczach ludzkich! Tylko, że to tak w teorii, w praktyce ciągle coś nawala i przeszkadza. Na przykład brak kół zębatach, z tymi kołami zawsze są jakieś historie, i wówczas taśma staje na godzinę, półtorej, dwie — wtedy już przepisowej porcji dziennej dogonić się nie da: ludzie przychodzą na czas, więc i wychodzą punktualnie, zresztą następna zmiana czeka. Inne znów, stałe kłopoty są z wydziałem podwozi i silnikownią. Brygadziści i inżynierowie z hali montażowej na wyścigi opowiadają Osińskiemu, że oni mogliby montować traktor z dokładnością co do sekundy, ale tamte wydziały regularnie nawalają. Podobno inżynier Waligóra wciąż zwołuje zebrania egzekutywy zakładu podwozi i zakładu metalurgicznego, czyli odlewni i kuźni, cóż z tego, myśli sobie Adam, żadne partyjne zebrania nic nie dadzą, jeśli ani Dyrektor Techniczny ani Sekretarz Komitetu Podstawowego Karaś nie wiedzą, że praca silnikowni i wydziału podwozia zależy od jakichś maleńkich śrubek, które gdzieś, w na pół zakonspirowanej chałupinie tłucze na ręcznej maszynie kooperujący rzemieślnik. Kooperujący — lecz niezadługo kooperować przestanie. Waligóra i Karaś nie wiedzą o tym, nie chcą wiedzieć, wyżsi są ponadto. No więc?...

Nawet jak już taśma idzie sprawnie, to przylatuje Staś Buchała i łamie ręce, bo z rolek schodzą przeważnie niepotrzebne nikomu i wędrujące na długi do parku traktory C-40011, za to poszukiwane i rozrywane małe ciągniki C-330 to rarytas, rzadkość, brak dla nich materiału, odlewów, podzespołów. Tymi małymi traktorami łatwo by się załatwiło plan sprzedaży, czołgami C-385 też, ale o tym nie ma co marzyć bez tych przeklętych kabin. A tu jak na złość wciąż jadą i jadą owe „szafy” C-40011, których nikt nie chce. — Nie dość, że produkujemy źle, to jeszcze produkujemy do magazynów! — woła Staś. — To już nie burdel, to pożar w burdelu!

Inżynier Osiński opuszcza halę montażową z pustką w sercu, staje koło parku, gdzie szeregami czekają traktory i bezmyślnie kontempluje tumany śniegu, które wiatr rozwiewa nad szkie-

letowatą obecnie wierzbową aleją. Bezmyślnie, ale myśli czy uczucia lub raczej przecucia utajone ma gdzieś na dnie, nie trzeba ich poruszać świadomością, wiadomo przecież jakie są. Mówią one zresztą rzecz oczywistą: że tak dalej być nie może, że coś się musi zdarzyć, że to coś będzie klęską i kataklizmem, a uderzyć powinno, bez najmniejszej wątpliwości, w inżyniera Adama Osńskiego. Wrocław, drugi Wrocław, oto co mu grozi, oto co się zbliża. To jasne i oczywiste — zbyt przecież długo żył z komunistami, aby nie wiedzieć, co go teraz czeka.

XIV

Gdy się to wszystko już stało, niesposób było potem przypomnieć sobie, jak się zaczęło, jaka była kolejność wydarzeń. No i utajony ich mechanizm pozostał tajemniczy, podobnie zresztą jak całe te, rozmyślnie przez kogoś wywołane, marcowe wydarzenia. Inżynier Osiński nie miał z nimi nic wspólnego, nie wiedział w ogóle o co chodzi — mimo to on właśnie padł ofiarą, zresztą przeczuwał to zawczasu, spodziewał się tego.

Zaczął się w pewien piątek — choć Adam jeszcze o tym nie wiedział. W szary, przemrożony znowu ranek pojechał jak zwykle do Niedźwiedowa. W fabryce panował ruch, ale jakiś specyficzny, dziwaczny, diabli wiedzą co. Wszyscy latają nie wiadomo dokąd, w powietrzu podniecenie, tyle, że przyczyn jego niesposób dociec. Dziamała oczywiście ani śladu, jakiejś sensownej roboty też nie. Osiński załatwił kilka spraw ze swoimi młodymi inżynierami, spraw bieżąco porządkowych, jako że o innych ci wygodni młodzi ludzie nie mieli zielonego pojęcia. Podyktował parę drugorzędnych pism w hali maszynistek, patrzono tam na niego dziwnie, choć może tak mu się tylko zdawało. Potem wrócił do siebie i siedział przy biurku nasłuchując: korytarze starego budynku administracji wibrowały podnieceniem, ale kto się podniecał i dlaczego?! Tajemnica.

Dopiero gdzieś koło południa dotarła do niego wiadomość, że na mieście są jakieś studenckie rozruchy, że milicja walczy z młodzieżą syjonistyczną czy podburzoną przez syjonistów, domagającą się właśnie wejścia Zambrowicza i Janowskiego do Biura Politycznego. Adam poznawał w tych wieściach rękę a raczej buzię Gościńskiego, jakby słyszał jego barytonowy, operowy szept. Tuman to był i ciemniak nieprawdopodobny, ten ich finansowiec, choć niby człowiek kształcony i bywały. W jego pre-

paratach plotkarskich zawierał się zawsze taki zbiór nieprawdopodobieństw i absurdów, że wręcz rozplątać tego niesposób. Jacy „syjoniści” mogli podburzyć młodzież, toć było w dzisiejszej Warszawie może pięćdziesięciu Żydków na krzyż, jakim cudem młodzież, z natury swej w tym okresie wolnościowa i liberalistyczna (w tym okresie, bo za Stalina młodzi jakobini domagali się terroru), mogłaby żądać powrotu do Biura starych, skompromitowanych dzierzymordów, co w ogóle znaczyło całe to dziwactwo, od szeregu tygodni krążące z ust do ust po Warszawie? Inna rzecz, że skoro wieść krążyła i to krążyła uparcie, ktoś musiał ją kolportować w określonych, jak mówiono, celach. No a demonstracje młodzieży, jeśli już rzeczywiście wybuchły, musiały też mieć swoją podstawę. W zakorkowanym na głucho systemie komunistycznym nie bywa demonstracji spontanicznych, o ile ktoś z Partii po cichu ich nie zarządzi. Ostatni raz zdarzyło się coś takiego przed jedenastu laty, w słynnej poznańskiej fabryce maszyn. Robotnicy wyszli wtedy na miasto, rzadki, niesłyszczany w tym ustroju ewenement, strzelano, byli ranni i zabici, ale i o tamtych zdarzeniach mówiono, że im ktoś z Partii patrolował. Zresztą poprzedzone zostały liberalną, krytyczną kampanią prasową, a jakże mogłoby dojść do tej kampanii, o ile cenzura nie otrzymałaby odpowiednich instrukcji? Cudów nie ma, samo nic się tutaj nie dzieje — ludzie już dawno zapomnieli, że mogliby coś robić sami, resztką weteranów samodzielności to byli właśnie owi bezimienni rzemieślnicy, skazani już chyba nieodwołalnie na absurdalną agonię. Lecz demonstracje, teraz, w epoce łysego Sekretarza, który niczego tak się nie bał jak jawności i obnażania różnic czy przeciwieństw?! Oczywiście nonsense, a jednak chyba naprawdę coś się dzieje, wiadomości nasilają się, gęstnieją, zaostwiają. Słysząc też przebąkiwania, że w poniedziałek zorganizowana ma być w Niedźwiedowskim Domu Kultury masówka, zwołani będą przedstawiciele wszystkich zmian, że ważne sprawy, że grozi niebezpieczeństwo. Jakie, kto, co?! O to nikt nie pytał, wydawałoby się, że wszyscy wiedzą, tylko ukrywają rzecz przed Adamem. Dziwne spojrzenie z ukośsa, szepty, uśmiešky — ludzie milkną przy jego zbliżeniu. Znał to z Wrocławia, znał doskonale, lecz tutaj rzecz przybierała większe rozmiary, nie chodziło przecież tylko o niego. Ale o co?

Wyjechał wcześniej z fabryki, nie było tu przecież co robić, a w ogólnym bezhołowniu o dogadaniu się z kimkolwiek nie ma przecież mowy. Przyjemnie mu się nawet jechało, pociągami dosyć pustym bo godzina nie typowa. Rzeczywiście, w Warszawie od razu gdy się wyszło z dworca, widać było niezwykle ruch na ulicach. I to niezwykle przede wszystkim jakościowo: wszę-

dzie niecodzienne patrole, potężne chłopcy w białych hełmach i z ostentacyjnie prezentowanymi białymi, gumowymi pałami do bicia. Cóż to za dziwna formacja, milicja, KBW, żandarmeria, lichy wie co! — Gołędzinów — szeptali ludzie. Adam przypomniał sobie, że przed wojną, za owych, jak dziś mówiono, „przeklętych czasów Sanacji” była taka osławiona szkoła policyjna pod Warszawą. A więc „chłopcy z Gołędzinowa” pojawili się z kolei na ulicach Warszawy ludowej? Wtedy służyli do tłumienia demonstracji komunistycznych lub oenerowskich, czyli, jak wówczas oceniano, przeciw skrajnej lewicy i skrajnej prawicy. A dziś?! Trudno się w tym wszystkim połapać, trudno określić sytuację!

Jeszcze osobliwiej działało się na jezdniach. Pędziły jakieś wozy, obudowane elektrycznym osprzętem, z nadajnikami radiowymi, a także zamknięte, ponure ciężarówki, wyposażone ciekawie, arcyciekawie. Niewiadome oczy obserwowały ulicę z normalnych, lecz nienormalnie licznych policyjnych alarmówek, co chwila rozbrzmiewał taki czy inny osobliwy sygnał, coś się tu działo na wysokim zgoła, elektronicznym pułapie. Mieli więc swoistą technikę, ciekawe tylko, gdzie się to wszystko dotąd chowało, zanim wyległo na ulicę? I właściwie po co wyległo, może dla ćwiczenia? Przecież panował spokój, tyle że na chodnikach Alej i Grójeckiej roіto się więcej ludzi niż zwykle, jakby wszyscy mieli czas i hurmem wyszli z biur czy zakładów. Prąd płynął w stronę Placu Narutowicza, Adam popłynął z nimi: zajęcia studenckie to przecież Dom Akademicki, nic innego. Warto zobaczyć!

Na placu zбитy tłum zalewał jezdnie, ledwo ledwo przepuszczając pełznące powolutku tramwaje. Dom Akademicki okazał się otoczony, lecz można chyba tam się przepchnąć, bo ludzie przechodzą. Wprawdzie drogę blokował luźny kordon milicji, jednak ten i ów przedostawał się na drugą stronę, w pobliże „Akademika”. Osiński też spróbował i udało mu się, tyle, że natknął się nos w nos na potężnego milicjanta z paskiem pod brodą, ten wszakże zdawał się nic nie widzieć, wpatrzony gdzieś w dal. Sytuację wyjaśnił nagle jakiś rozgorączkowany cywil w kapeluszu, który najwyraźniej komenderował milicją. — Starsi mogą przejść, młodzież nie! — krzyknął w stronę Adama. Osobliwe kryterium, ale przynajmniej dosyć jasne. Inżynier Osiński, korzystając z przyzwolenia przedostał się do pierwszego rzędu widzów czy gapiów, otaczających teraz stary Dom Akademicki. Sam tu kiedyś mieszkał — ta akurat budowla oparła się wojnie i Powstaniu.

Z początku trudno było uchwycić, co się właściwie dzieje, stopniowo jednak we wrażenia obserwatora zakradł się ład, ale ład osłupiający. Kilkanaście metrów od bramy gmachu stała milicyjna buda, przed nią grupa niebieskich mundurów. Na drugim krańcu wolnej przestrzeni, pod murem Akademika, mrowił się tłum studenckiej młodzieży. Co pewien czas na ową wolną przestrzeń jak na arenę wybiegał któryś z młodych ludzi, machając rękami i coś wykrzykując. Milicjanci rzucali się w jego stronę. Jeśli zdążył umknąć do swoich, miał szczęście, jeśli nie, ginął w kotłowaniu niebieskich uniformów, po chwili wleczono go już do auta, po ziemi, byle jak, za nogi, dokładając pałą ile się da. Czasem szarpał się i szamotał dłużej, czasem krócej, na bruku czerwieniały plamy autentycznej krwi. Zdumiony Adam patrzył po twarzach widzów, lecz nie wyrażały one żadnych uczuć, tłum przyglądał się uważnie, bez zdziwienia ale i bez podniecenia, o jakiegokolwiek chęci interwencji nie było najmniejszej mowy, każdy starał się upodobnić do sąsiada i broń Boże niczym nie wyróżniać. A może w ogóle nie wiedzieli co myśleć, przecież takich widowisk często tu nie dawano. Adam też nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy, ale najwyraźniej nikt wokoło nie zamierzał ani o nic pytać, ani czegokolwiek komukolwiek objaśnić, najmniej oczywiście milicjanci, bardzo zaaferowani, ale jakoś rzeczowo, funkcjonalnie, zaabsorbowani jedynie samym działaniem, nie zaś jego przyczynami czy też skutkami.

Nieprawdopodobny ten, bo jakoś statyczny choć namacalnie bestialski spektakl toczył się dalej, jakby uczestniczyli w nim nie ludzie lecz nakręcone i puszczone w ruch figurki. W regularnych odstępach czasu spod muru Akademika rzucał się do przodu jakiś młodzik, wznosząc niewiadome okrzyki, milicja puszczala się za nim i teraz zaczynała się loteria: czy wróci do swoich, czy go złapią. Czasem zdarzała się jeszcze trzecia ewentualność, że mianowicie młody człowiek zdążył przebiec na drugą stronę, wmieszać się w tłum gapiów, zniknąć w nim. Milicjanci nie gonili go wówczas, kontentując się symbolicznym zamachnięciem pałki, której cios mógł zresztą spaść zgoła nie symbolicznie na kogoś ze starszych widzów. Mógł, ale nie musiał, w zasadzie nikt nie miał zamiaru bić „starych”, kontrast wieku między dwoma grupami ludzkimi, zalegającymi plac to bariera istotna i nieprzekraczalna. Najwyraźniej więc rozgrywa się rewolta młodych, ale o co, dlaczego, jak? Nikt o to nie pytał, inżynier Osiński też nie.

Czas mijał, zmierzch nadchodził a w widowisku nic się nie zmieniało, jakby odbywał się tu znaczący, wielokrotnie powtarzany obrządek. Wreszcie tłum zaczął rzednąć, ludzie szli do

domu, jak długo można patrzeć na coś niezrozumiałego? Adam zawrócił na Grójecką, roіło się tutaj mnóstwo niezwyuczajnych przechodniów, jakby się wysypali z teatru lub kina. Po jezdni nadal sunęły przeróżne utechnicznione wehikuły milicyjne — znów budziło się pytanie, ileż tego było i gdzie się dotąd przed ludzkimi oczami utajało? A więc komuniści ubezpieczyli się po cichu nie najgorzej, ubezpieczyli na wszelką ewentualność: lud ludem, ale uważać trzeba. Zatem i ten system ma swoje granice, choć tak na pozór samoczynny, bez luk i szczelin. Ciekawe czy przychodziło to do głowy owym „Gołędziniakom” o drewnianych twarzach?

I oto już różowieją w ukośnej poświacie zachodzącego słońca betonowe 11-piętrowce osiedla Uranów, otaczające swą wyniosłą grupą ciemniejący wewnątrz plac, ów oszroniony, nie wybrukowany dziedziniec. W lukach między „szklanymi domami” prześwieca krwawo czerwona, ceglana resztką dawnej zabudowy. Adam wchodzi w ten mroczniejący świat kamiennym mostem, obok nisko rozsiadłej szklanej szkoły. Swoją drogą dobrze ta szkoła była pomyślana, jakiś zdolny entuzjasta musiał ją zaplanować, takich ludzi w Polsce nie brak, tyle że dziś buda przedwcześnie się postarzała, zniszczona błędami wykonania, niedokładnością, złym materiałem. Adam zatrzymał się tu jeszcze; zanim pograży się w domowy mrok Uranowego osiedla, chwilę posłucha sobie z daleka szmeru i chrzęstu Alej Jerolimskich, obejrzy się na purpurową, jaskrawą poświatę, okalającą dworzec, oświetlającą wierzchołki długiego szeregu wysokościowców nowej Ochoty. Chwila, niedługa chwila, i oto miasto tonie w mroku, ale niebieskawym, przedwiosennym — to już marzec przecież.

Na drugi dzień, w sobotę, wszystko działo się podobnie, tyle, że inżynier Osiński wcześniej wrócił z Niedźwiedowa, więc wcześniej poszedł na akademicki plac, oglądać takie jak i wczoraj widowisko — nic się tutaj nie zmieniło, niczym właśnie w obrzędzie. Za to w niedzielę wszystko z kolei ustało, po prostu nożem uciął — manifestanci najwyraźniej świętowali, milicja widocznie też, tyle, że po ulicach, wśród tłumu przechodniów, płałało się sporo jakich obleśnych cywilów, natrętnie zagląających w twarze. Ale Osiński mało ich widział: siedział popołudniu w domu, Jadwigi nie było, Zbyszka też. Adam tkwił w rogu kanapy z książką Simenona, lecz czytał mało, raczej wsłuchiwał się w drżące przydechem czy poświstem gamy wichru, wygrywane za oknami wzdłuż i wszere Uranowej platformy. Jutro poniedziałek 11 marca, jutro masówka na którą go nie zaprosili, jutro dalszy ciąg tajemniczych hec, bulwersujących nic nie rozumiejącą, wiejską Warszawę, jutro coś się stanie i roz-

strzygnie, bo świat w zawieszeniu trwać nie może. Tak myślał, tak przewidywał, toteż nic go nie zaskoczyło — zresztą nigdy w życiu nie spodziewał się niczego lepszego niż miał i dostawał — to w końcu dobrze to swego rodzaju wewnętrzna stabilizacja. Jak w Oflagu — ale stabilizacja.

I oto kroczy (kroczy, dosłownie — stara się iść sprężyście) ulicą Traktorzystów, obok ceglaneanego gmachu Dyrekcji, obok spółdzielni, parkingu, domu kultury i maszynowego parku. Kroczy w codziennym charakterze po raz ostatni, jeszcze tego nie wie, jeszcze nadal nie wie, ale oto już wie — teraz już wie na pewno. Gdy bowiem na portierni sięga ku tablicy po swój numer, uprzedza go portier, staroświecko (choć teraz to znów w modzie) wąsaty Józef. — Szkoda fatygi, panie Inżynierze — mówi jowialnie. — Mam tu coś dla Pana! W ręku Józefa duża, niebieska koperta i Adam już wszystko wie. Siada na podsuniętym przez portiera krześle, siada pod oknem, wygodnie, tak żeby go nikt nie widział, precyzyjnie, zgoła nie drżącą ręką rozcina kopertę i z łagodną twarzą, ba, z uśmiechem nawet, czyta:

„Zakłady mechaniczne Niedźwiedów, lista dziennika 1371 łamane przez 68. Obywatel Inżynier Adam Osieński, Kierownik Służby Zaopatrzenia i Gospodarki Materiałowej, w miejscu. Z dniem 11 marca 1968 odwołuję Obywatela ze stanowiska Kierownika Służby Zaopatrzenia i Gospodarki Materiałowej Zakładów Mechanicznych Niedźwiedów, jednocześnie wypowiadam umowę o pracę, zawartą z Obywatelom w dniu 1. IV. 1960 roku z tym, że całkowite rozwiązanie stosunku służbowego nastąpi w dniu 15 czerwca 1968. Podstawa prawna: rozdział III, art. Nr 7, punkt B Układu Zbiorowego Pracowników Przemysłu Ciężkiego i Maszynowego. Podpisano: Antoni Maciejewski, dyrektor naczelny, Warszawa, 11. III. 1968”.

A więc wypowiedzenie, trzymiesięczne wypowiedzenie z natychmiastowym przerwaniem pracy. — Pan Brzozowicz i pan Buchała też dostali — szepcze konfidencjonalnie portier. Osieński machinalnie kieruje się ku drzwiom prowadzącym na wewnętrzny dziedziniec, lecz Józef zastępuje mu drogę. — Nie warto tam iść, panie inżynierze — mówi łagodnie — w każdym razie nie dzisiaj. Dzisiaj mam zarządzenie nikogo nie wpuszczać!

Nikogo — dobry sobie! Inżynierowi Osieńskiemu przypomina się scena z wartownikiem PaFaKolu we Wrocławiu. Kiedy to było, ile lat upłynęło? Mniejsza z tym. Ale tam nie wręczyli mu dymisji przez portiera. No cóż, widać inny teraz jest moment, rozruchy, rewolucja, czy, pardon, kontrrewolucja. Ale co to ma wspólnego ze sprawą Adama?! Mniejsza z tym! Podaje

rękę portierowi i zawraca na ulicę. Pójdzie w kierunku miasta, aby wyminąć przybywających od strony kolejowej rampy kolegów. Idzie już, zagłębia się w chłodną, marcową mgiełkę, gdy oto słyszy tupot: ktoś za nim biegnie, nawołuje. Adam odwraca się zniecierpliwiony i literalnie wrasta w ziemię: to Dziamak. Dziamak zadyszany, bez kapelusza, mimo mgły, chłodu, szronu. Cóż u licha, czyż teraz, tutaj, bić się mają o Jolantę?! Przypomniał sobie osioł — rychło wczas.

Ale Dziamak nie okazuje ochoty do bicia się. Zadyszany, łapie powietrze, okulary zaszyły mu mgłą, na włosach srebrne gwiazdki śniegu. — Towarzyszu inżynierze — jąka (kiedyż oduczy się od tego „towarzysza”?) — Towarzyszu inżynierze, ja — chciałem — żebyście wiedzieli. — To nie ja, to nie o to... Ja...

Osiński patrzy nań pytająco, wreszcie Dziamak się wysapał, przetarł okulary, ręce mu drżą lecz zaczyna mówić składniej. — Towarzyszu inżynierze, chciałbym żeby pan wiedział... To nie ja, to nie moja wina... Jeśli coś było między panem a Jolą, to jest zupełnie inna sprawa, wasza sprawa, czyli... właściwie — nasza sprawa, ale prywatna, inna... to nie ma związku. Ja bardzo cenię Waszą pracę, towarzyszu inżynierze, ja bym nigdy... To nie ja...

Adam rozumie, jest zdumiony. Dziamak się nie mści, boi się nawet posądzenia o to, Dziamak się wstydi, uniewinnia, ba Dziamak przeprosza, zaręcza, że to nie on... A więc może to porządny człowiek ten Dziamak, porządniejszy przynajmniej od swego rozmówcy, który go lekceważył, oszukiwał, krzywdził? Nagłe wzruszenie podchodzi inżynierowi Osińskiemu do gardła, ale niesposób przecież teraz dużo mówić. Zresztą Dziamak nie oczekuje tego, sam jest ogromnie zmieszany, z trudem krztusi słowa. Mocno ściskają sobie dłonie i Adam dalej rusza w swoją mgłę, bardzo wygodną, bo osłania go szczelnie przed oczyma ciekawych.

Jest jeszcze wcześniej rano. Osiński z pustką w głowie wędruje tu i tam: najpierw spaceruje po starym Niedźwiedowie, wśród drewnianych, walących się dworków, ale takich z pretensjami, z kolumienkami i ganczkami. Potem zagląda na przedmieście Rudniki, gołębiarskie i badylarskie: od razu tu poznać zabudowę prywatną, nieotynkowane ceglane sześcianiki, rozmyślnie nieefektywne, aby nikogo nie kłócić w oczy. I wreszcie Niedźwiedów nowy. Niedźwiedów wielkich, piętrowych bloków i oszklonych pawilonów handlowych. Jest tu restauracja „Casanova”, wieczorem dansing, awantury i pijaństwo, teraz długa sala pusta i przestronna, z oczekującą beczynnie ekipą kelnerek.

Adam też jest beczynny, ale ma trochę do pomyślenia — wstąpi więc, ogrzeje się, zje coś i może myśli popłyną, bo na razie niezbyt się one dzisiaj kwapią...

Lecz, jak na złość, na samym początku długiej sali, w przejściu koło okien siedzi przewodniczący Rady Zakładowej Jan Malak, pijany już na pewno mimo wczesnej pory, bo cóżby tu inaczej robił. Dziwne nawet, że siedzi sam, zawsze przecież asystował mu albo ktoś z kolegów z rachunkowości, albo mistrz, czy inżynier, względnie robotnik, kierowca, sanitariusz z przychodni, każdy dobry, aby tylko zapłacił wódkę i potem odwiózł zabzdryngolonego „prezesunia” do domu — Malak przesądów „klasowych” nie miał, sam wywodził się z majstrów a dziś jest przewodniczącym Rady Zakładowej. Ale co robi o tej porze samotnie w „Casanovie”? To znaczy, co robi — wiadomo: pije. Tylko dlaczego sam i tak wcześniej? Pracować to on z zasady nie pracował, powinien przecież jednak tkwić w fabryce — psie jego prawo.

Adam chce się dyskretnie wycofać, nie zdjął przecież dotąd płaszcza, bo szatnia zgoła była opuszczona, ale już za późno: Malak go dojrzał, rzucił się, jak ryba wyciągnięta z wody, złapał go w sękate, drżące łapy i sadzał przy stoliku, gadając przy tym tak głośno, że aż kelnerki z drugiego, dalekiego końca sali wpatrzyły się w nich uważnie. Ziało przy tym od tego Malaka okropnie: wódka z piwem, chory żołądek, odbijało mu się kwasem, ohyda!

— Jenżynier, jenżynierek — chrypiał Malak, jakby rozmyślnie z chłopskim akcentem, po chłopsku, proletariacku; chłopotrobotnik z Marszałkowskiej — dobrze, żeś pan przyszedł, zalejemy robaka, ja tu siedzę i przetłumaczyć sobie nie mogę, że porządnych ludzi za ofiarę biorą. A wszystko psia ich mać przez tych Żydów!

Inżynier Osiński nie chciał słuchać, wiedział już co nastąpi, ale kto kiedy wyrwie się Malakowi? Lepił się do człowieka, wspierał o niego, gadał z bliska a chuchał kwaśnym, trupim zapachem, że mdło się robiło. Tymczasem już przed inżynierem Osińskim stoi setka żytniowej wódki, zaś kelnerka niesie jakiegoś obrzydliwego śledzia. Kara Boża, nic innego, tylko kara Boża. A niech tu jeszcze ktoś przyjdzie, skandal gotowy...

— Przez Żydów pan wyleciał, ja to panu mówię. Przez jakiegoś Rotmana we Wrocławiu, z którym pan miałeś spółkę, a teraz przez Brzozowicza i Waligórę, tego tam... Walfisza. W dyrekcji mówili, a ja im...

Inżynier Osiński chce się wyrwać, przerwać ten tok bzdur, choć dziwnie znaczących (skąd wiadomość o Rotmanie?!), chce

krzyknąć coś i uciec stąd. Ale nie łatwe to, bo i wypita wódka działa już od środka, upiększa banalną scenerię, czyni bredzenia Malaka interesującymi — jak to wódka, zresztą inżynier nie jadł dziś prawie śniadania, nawłóczył się po mgłę, a teraz łagodzące ciepło rozptywa mu się po kościach. Zabiera się do jedzenia, choć jest ono obrzydliwe, bułki stare, miękkie i wilgotne, śledź bez smaku. Żuje jednak i słucha — jakby z oddalenia.

... a ja im mówię: inżynier Osiński, porządny człowiek, o robotę dba, dla Żydów może za miękkie miał serce, ale o robotę dba... A oni, że sprawę wytoczyć trzeba. A ja im...

Sprawę?! To słowo z opóźnieniem dotarło do Adama, lecz zostawiło ślad, jak zapalona nagle czerwona alarmowa lampka. Sprawę, wytoczyć sprawę?! Prawda, już we Wrocławiu mu tym grozili, u nich to zawsze możliwe, nie wiadomo o co — ileż to przesiedziało się Staś Buchała! Ale wtedy był bądź co bądź stalinizm, a we Wrocławiu wojskowe rządy nad produkcją, Niemcy, Ziemię Odzyskane, czort wie co. Tymczasem tutaj... Przecież jest po odwilży, przecież go zrehabilitowano, przecież...

— Jaką sprawę, panie Malak, mów że pan, no...! Inżynier Osiński trzęsie teraz tamtym jak gruszką, złapał za ramiona i trzęsie, bo Malakowi oczy uciekają gdzieś do środka, twarz robi się ziemista, zaraz spadnie z krzesła i zaśnie. Trzęsienie pomaga trochę, przewodniczący Rady ocyka się na nowo, ale jednocześnie strach go bierze, że za dużo powiedział, zaczyna się jąkać, kłuczyć, wycofywać... Nie wiem jaką sprawę — miamle — kto to może wiedzieć. Może się przestyszałem?!

Nagle jednak Malak zbiera się w sobie, przytomnieje, jeszcze bardziej, dokładniej może uświadamia sobie, z kim mówi i w jakim momencie. Strząsa rękę inżyniera, siada prosto i zaczyna perorę, z lekka się tylko zacinając.

— Bo to widzisz pan, panie inżynierze, u nas złodziejom i oszustom to nikt sprawy nie wytoczy, tylko porządnym ludziom. Kierowcy, ci od szlaki, co ciężarówkami z odlewni wożą, po pół dnia w pracy są nieobecni. Meble ludziom tachają, za taksówkie towarową biegają. I myślisz pan, że im jest co za to?! Nic, choć wszyscy wiedzą. A, panie, ci „rzemieślnicy”, niby taki nasz pracownik, co to fabryczną robotę byle jak przemarkieruje, tylko, żeby być zapisany, a poza godzinami swoje robi? Też nic im nie jest, tylko legalny, zarejestrowany rzemieślnik bierze w dupę — bo go mają na papierze. Paneś też, panie inżynierze, był za frajera, po coś pan pisał, po coś pan poświadczał?! A teraz Żydy pana wystawiły, zostałeś pan za ofiarę. Ale może sprawę nie wytoczą, Żydy zapłacą za wszystko...

— Jakie Żydy, panie Malak, co pan opowiada! I jakie papiery ja podpisywałem, mów pan, mówże pan! (Inżynier Osiniński udaje wzburzenie, choć dobrze wie, o jakich papierach mowa. Tylko że Malak o tym wiedzieć nie może, nie powinien, w każdym razie JESZCZE nie powinien. Chyba że Chruszcz, chyba że Ptaśnikowa...).

Ale Przewodniczący nie taki głupi, czuje że się zagalopował, że niechcący coś odgadł, a on nie chce się w nic mieszać ani nikomu narażać. Więc zjeżdża na Żydów, generalnie, szeroko a mętnie. Wylano z Niedźwiedowa Brzozowicza, wyleją na pewno i Walfisza-Waligórę, bez tego się nie obejdzie. Dosyć już narozrabiali, przyszła ich godzina. Jeden Wilner może się ocalić, bo oficer. Zresztą on z góry wiedział, co się przygotowuje, już przed tygodniem wziął zdrowotny urlop i pojechał do sanatorium. A jeźnierz Buchała to poszedł przez długi język. Nic, tylko przez długi język: co na myśli, to i na języku. Tymczasem sytuacja jest raptowna, przymusowa, sam pan widzisz, co się na ulicach dzieje. I tak...

Inżynier Osiniński milknie zniechęcony: nic się od tego krętacza — pijaczka nie dowie. Automatycznie przełykają obaj po dalszej setce żytniówki i Malak staje się teraz konfidencjonalny, mówi ciszej, aforystycznie i ogólnie, niemal *de publicis*.

— Bo widzisz pan, panie jeźnierz, po mojemu to jest tak. Weźmy te traktory, co do obowiązkowego remontu przychodzą i pół roku na złomisku leżą, trupy z wyszarpaną blachą i pogiętymi osiami. Czemu one tak wyglądają i to od razu po jednym sezonie?! Bo państwowe, niczyje! Kto by się tam troszczył o państwowy traktor! I widzisz pan, tak jest tutaj ze wszystkim — dlatego nic pan nie możesz zrobić, choćbyś pan i chciał — tylko Żydy się z pana śmieją, bo oni wiedzą: oni tak umyślnie wszystko urządzili, żeby nic się zrobić nie dało. A ja mówię: rzuć pan to, weź się pan za co innego, hoduj pan norki, zarobisz pięć razy tyle! Po co tkwić w tym burdelu — pan, człowiek inteligentny? Przez Żydów pan cierpisz!

Malak przerwał, zaciągnął się papierosem, cuchnącym jak wszystko wokół niego. Inżynier Osiniński nie palił nigdy, dlatego może taki jest uczulony na wszelakie smrody — ale cóż tu robić. A Malak długo gasił niedopałek o osmarowany śledziem talezyk, po czym wrócił do dalszej filozoficzno-społecznej gadki — swoją drogą „reakcyjny” to on był nie gorzej od Stasia Buchały, tylko na inny sposób.

— Bo, widzi pan jeźnierz, my tu mało pracujemy — a w kapitalizmie orze się bez litości. Znam to przecież, w Niemczech byłem i w Belgii (Adam nic o tym nie słyszał). — Orze

się, ale tam jest sens pracować, tam człowiek coś z tego ma i na starość się zabezpieczy. A tu co — ledwie się zje, a i mieszkania porządnego nie dadzą. To i dlatego nasz brat nie pracuje. Lenin powiedział, wiesz pan Jenżynier, że wojna z kapitalizmem będzie polegać na większej wydajności pracy, że bez tego nie zwyciężymy. To po mojemu Lenin już przegrał, bo ludzie nie pracują i nie będą: państwowe ich nie cieszy, dyrektorów i jenżynierów też nie — wszyscyśmy dziady! Zresztą pracować nie-sposób, biurokracja, panie jenżynierze, żydowska biurokracja. Stalin za to wygrał, bo pędził ludzi do pracy batem, a dyrektorów i Żydów do więzienia. No to napijmy się!

Nie wiadomo, która już była godzina, może to południe a może zmierzch?! Na dużej sali „Casanovy” pokazywać się jeli jacyś ludzie, w fufajkach, w czapach. Chyba to druga zmiana, chociaż nie, tu przecież za drogi lokal. A może już ludzie z masówki? Także nie, masówka wyznaczona chyba na skrzyżowanie zmian, na drugą, pewno właśnie teraz, a że nie wszyscy pójdą, więc część rozpełza się po okolicznych knajpach. Tak czy owak, trzeba się stąd ulatniać. Przewodniczący Rady Zakładowej kiwał się nad stołem, znowu go zmogło. Osiński wykorzystał to, nieznacznie położył na osypanym popiołem obrusie sto złotych, ostrożnie wycofał się do szatni, gdzie było już trochę ludzi, łap za palto i — na ulicę.

Tu również mrowiło się jakieś towarzystwo, nieosiedlowe, lecz właśnie fabryczne. Inżynier Osiński czuje na sobie rozmaite spojrzenia, zaciekawione czy ironiczne. A może mu się tylko zdaje, może to mania prześladowcza? W każdym razie zawinął się szybko i już znowu jest we mgle, zgęstniałej teraz, jakby nasianej mrokiem i chwilową zawieją, niosącą duże, wirujące płaty ni to śniegu ni gradu. Inżynier Osiński postanawia iść pieszo do sąsiedniego Niemcowa, aby ominąć kolejową rampę i uniknąć zbędnych spotkań. Potrzeba mu zresztą ruchu i odświeżenia po przeróżnych smrodach, którymi ział ów nieszczęsny filozof Malak. Pewno tam, osioł zatracony, pije dalej z nowoprzybyłymi, a o „jenżynierze” całkiem już zapomniał. Dobrze i to!

I oto Adam jest już na trasie do Niemcowa, w owej krainie żelaznych słupów, drutu, zgubionych szyn, ślepych semaforów, jakichś hańd i gruzowisk, tonących wśród sosenek i śnieżystego teraz piasku. We mgle palą się światła, żółte, zielone, czerwone, głęboki, stękający oddech nowej odlewni rozchodzi się na całą, otuloną zmierzchem okolicę. Czy mu się zdaje, że na tle tego regularnego oddechu, niosącego się z ciemniejszego niewyraźnie na tle nieba betonowego olbrzyma, słysząc jakiś ludzki zgiełk, jakieś zbiorowe okrzyki? Może to więc właśnie, może krzyczą

przeciw Żydom, albo przeciw inteligentom, co zawalili pracę fabryki, takim jak Buchała lub Osiński? Gniew ludu wybucha, kierują nim sprawnie Bieniek i Karaś. A czemużby nie?

Kto to rozpetał tę hecę przeciw Żydom, dla odwrócenia uwagi od siebie? W gruncie rzeczy nie takie to wcale trudne. Robotniczy aktyw, majstrowie, brygadziści, przodownicy, to wszystko było skołowane przez Partię, wierzyli że rządzą, że o nich chodzi, o „klasę robotniczą”, że wszystko byłoby dobrze, gdyby nie intrygi inteligentkich krętaczy z umysłowego. Krętaczy, kierowanych przez Żydów, toć Żydzi są przy władzy i przy odgórnym intrygach od narodzenia Polski Ludowej — co złego, to ich wina, nie komunizmu, broń Boże, te rzeczy trzeba umieć rozdzielić — Partia to potrafi! A że Żydów w Niedźwiedowie mało, nie szkodzi, nawet zupełnie wystarczy: Wilner — dyrektor personalny, Waligóra — dyrektor techniczny, kluczowe stanowiska! No i ich sługusy, Brzozowicz, Buchała, Osiński, co to dezorganizowali pracę, bo są klasowo obcy, reakcyjno-syjonistyczni. Cóż prostszego jak powiedzieć wzburzonym podopiecznym Karasia i Bieńka, że inżynier Osiński pod pozorem kooperacji chciał wydzierżawić czy sprzedać burżujom Niedźwiedowską fabrykę? Ci co wiedzą, jak jest naprawdę, utajeni rzemieślnicy, oczywiście milczeć będą, ostrożne cwaniaki, za to inni, „nowi ludzie”, wrzasną ze wzburzenia a także z zachwyty, że wydano im oto na łup ofiarę. Zresztą ci młodzi, z hotelu robotniczego, bez mieszkań i słabo płatni, mają prawo do goryczy: żyją nędźnie, żadnych perspektyw, a wmawia się im, że rządzą. Tak, tym trzeba koniecznie pokazać winnego! Tylko co na to Chruszcz, wszechwiedzący Chruszcz, jak ten się ocali?! Mniejsza o to! Co to ma do rzeczy? „Nie dyskutuj, nie podskakuj, siedź na dupie i potakuj!”

Sprawa jest prosta: Partia wyzyskuje gospodarcze trudności i studenckie nastroje, aby oczyścić produkcję z ludzi dawnego świata, pozbyć się widm, pamiętających inne czasy. A jeszcze do tego można na nich zwalić cały katastrofalny impas produkcji, zawiniony przez głupie przepisy, ba, przez głupi ustrój, jakby powiedział Staś Buchała. Operacja wcale zręczna, ludzie uwierzą, winowajców znaleziono — wielokroć już tak było. A co z Adamem? W lepszym wypadku pójdzie gdzieś indziej, do innej pracy. W gorszym — będzie bezrobotny i wytoczą mu sprawę. Co wtedy? Mniejsza o to!

Inżynier Osiński rozumie wszystko, widzi zdarzenia jasno i precyzyjnie — to mu przywraca spokój, czuje się rozluźniony, wręcz pogodny, jakby chodziło o kogo innego. Może to i skutek wódki, wypitej z Malakiem, ale wędruje sobie oto przez podwar-

szawski zmierzch, przez dziwną okolicę, królestwo mgły, przekłówanej przez dalekie i bliskie światła sygnałowe i czuje się wolny, bez troski, po prostu pozbył się ciężaru, a i śnieg też już nie pada. Sprawy fabryki oddaliły się, jakby patrzył na nie przez odwróconą lornetkę. Nawet i cień przypomnienia o Jolancie nie zdoła mu już przeszkodzić: teraz, po nieoczekiwanej rozmowie z Dziamakiem, sprawa ta nie mogła dalej istnieć, duchowy ząb, o dziwo, przestał boleć. Wszystko zmałało, zbladło, wróciło do właściwszych rozmiarów. Pozbył się przywidzeń, obsesji, podnieceń, widział oto, jak jest naprawdę. I to właśnie po wódce — zabawna rzecz, cóż za historia!

Tylko jedna sprawa mu ciąży: czeka go rozmowa z Jadwigą, jak jej powiedzieć, co jej powiedzieć? Trzeba to załatwić szybko, póki trwa w nim ten stan pogody i jasności, póki działa wódka, czy w ogóle cały jakiś ów zespół pomyslnych psychicznych wektorów. Inżynier Osiński zaczyna się spieszyć, galopuje przez mrok, potyka się o jakieś kamienie, dopada wreszcie stacji w Niemcowie, akurat na szerokich tutejszych peronach nie brak pociągów: jest i dalekobieżny, jest i zwykły elektryczny. Elektryczny lepszy, tamte nie zatrzymują się wszakże na przystanku Ochota, u stóp Uranowego osiedla. Adam wsiada, są wolne miejsca, do Warszawy dziesięć minut.

Jadwiga już wróciła, Zbyszka nie ma — dobrze się składa. Adam nie patrząc na nią mówi szybko swoje, obmyślane zawczasu. — Zwolnili mnie z pracy, niesłusznie, ale trudno. Może wytoczą sprawę — raczej jednak nie... Mieszkanie chyba zatrzymamy, ale z pracą w Warszawie będzie ciężko. Trzeba by poszukać, słyszałem, że w Szczecinie...

Nie patrzy na nią dalej, czeka. I oto słyszy coś zupełnie innego niż się spodziewał, a i głos inny, jakiś nieśmiały, wzruszony czy co u licha. — Ja też chcę wyjechać z Warszawy — szepcze Jadwiga. — Ja mam dosyć, zupełnie dosyć... Nie mogę...

Zdumiony Adam podnosi wzrok: Jadwiga płacze. Cóż u diabła wszyscy dziś tacy uczuciowi — przedtem Dziamak, teraz ona. Chce wyjechać, ale czy z mężem, czy... Inżynier Osiński spogląda na żonę uważnie: jakąż ona mizerna, wymęczona, bezradna, dawno jej takiej nie widział. — Czy chodzi o doktora Lasotę? — pyta ostrożnie — było coś między wami? Jadwiga potakuje ruchem głowy i dalej cicho płacze, Adam wstrzymuje oddech, oby tylko głos mu się nie załamał. — Wszystko skończone? — pyta prawie szeptem. Ale Jadwiga słyszy, potakuje. Więc tak.

Zdradzili się wzajemnie, oboje przeżyli swój „zimowy romans”, a teraz już się skończyło. Może to i dobre, ta wzajemność,

mniej są wobec siebie winni, łatwiej mogą rozpocząć nowe życie. A to dopiero! Ile to już razy Adam rozpoczynał nowe życie? Nie chce mu się teraz liczyć, na pewno jednak kilka razy co najmniej. Trzeba uciec z tego Uranowego osiedla, nie sposób tu mieszkać pod samym Niedźwiedowem, z nieszczęsnymi Dziamakami na karku. Jadwiga też ma tu złe wspomnienia, a i Zbyszek tkwi w fatalnym środowisku, może jednak gdzie indziej uda się jeszcze go przerobić? Trzeba jechać, szukać, może właśnie na Wybrzeżu, potrzebują mechaników, ma tam znajomości. A co z mieszkaniem, ze zobowiązaniami? A co z rodziną, z Frankiem? A co ze sprawą, jeśli mu wytoczą?! Chociaż niby o co? O wszystko, pretekstów jest tysiąc.

Mniejsza z tym — martwić się będzie później, na razie ma swój plan, i decyzję, no i chyba — Jadwigę. Jadwiga patrzy w niego teraz uważnie, widać że zgaduje, rozumie, co on myśli, widać, że chce tego samego. Tak jak i on zatrula się tą Warszawą. Czyli że naprawdę nowe życie? A to heca! A to dopiero historia!

XII. 1969 - I. 1972

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 1 7 J U I L L E T 1 9 7 2
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)
D é p ô t l é g a l : 3 ^e t r i m . 1 9 7 2**

Cena 24 F (dol. 6,00; sh. 2.00)